GORĄCY WŁOCH, KTÓREGO POZNAŁA W NOWYM JORKU,
OKAZAŁ SIĘ JEJ PRZYBRANYM BRATEM.
GRA MATTEO
SLOW BURN #3
J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

GRA MATTEO

SLOW BURN #3

TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2021

Copyright ©
J. T. Geissinger
Tytuł oryginału:
Ache for You
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Katarzyna Mirończuk
Korekta:
Aleksandra Szczerba
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-681-2

SPIS TREŚCI

JEDEN
DWA
TRZY
CZTERY
PIĘĆ
SZEŚĆ
SIEDEM
OSIEM
DZIEWIĘĆ
DZIESIĘĆ
JEDENAŚCIE
DWANAŚCIE
TRZYNAŚCIE
CZTERNAŚCIE
PIĘTNAŚCIE
SZESNAŚCIE
SIEDEMNAŚCIE
OSIEMNAŚCIE
DZIEWIĘTNAŚCIE
DWADZIEŚCIA
DWADZIEŚCIA JEDEN
DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY
DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM
TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
CZTERDZIEŚCI
EPILOG
PODZIĘKOWANIA
O AUTORCE
Przypisy

JEDEN

Kimber

Niezależnie jak pulchna, zwyczajna czy biedna jest kobieta, odpowiednia suknia ślubna sprawi, że poczuje się piękniejsza niż jakakolwiek księżniczka z bajki.

Właśnie w tej chwili myślę sobie, że Kopciuszek może pocałować mnie w mój śliczny tyłek. Z łomoczącym sercem wychodzę zza drzwi przymierzalni w ekstrawaganckiej chmurze jedwabiu i koronek, stworzenie której zajęło mi trzy miesiące, i czekam na reakcję Jennera.

Jest nawet lepsza, niż się spodziewałam.

– Na włochate jajka Winstona Churchilla!

Zrywa się na równe nogi z brzydkiej, perkalowej sofki, na której wylegiwał się, kiedy ja przygotowywałam się do ceremonii. Nieskazitelnie elegancki, w idealnie skrojonym smokingu od Armaniego, powoli lustruje mnie od stóp do głowy.

– Jesteś aniołem! Zjawiskiem! Jesteś pieprzoną boginią!

Rumienię się. Z komplementami czuję się mniej więcej tak komfortowo jak z lewatywą.

– Dziękuję.

Ściąga wargi, marszczy brwi i krzyżuje ramiona na piersi.

– Czy byłoby czymś złym, gdybym miał teraz erekcję? W dolnych obszarach robi się nieco ciasno.

– Zawsze kręciły cię francuskie koronki. – Śmieję się zadowolona.

Macha dłonią z gracją godną królowej.

– Okręć się, kochana. Musimy zobaczyć tę sukienkę w akcji.

Unoszę lekko spódnicę i kręcę się wkoło, niczym baletnica. Welon spływa mi po ramionach jak najznakomitsza aureola, utkana

z chmur. Kiedy zatrzymuję się i znowu patrzę na Jennera, on udaje, że ma łzy w oczach i zakrywa usta pięścią.

– Moja mała dziewczynka jest już taka dorosła.

Wzdycham i patrzę w sufit.

– O Boże! Jesteś ode mnie starszy o *miesiąc*.

– To miała być metafora! – Rozkłada ramiona, podchodzi swoim eleganckim krokiem i przytula mnie, uważając, żeby nie pognieść sukienki, ani nie rozmazać mi makijażu, kiedy całuje mnie w policzki. – Teraz to przyznaję, nie zawsze wierzyłem w to, że Brad ożeni się z tobą…

– Przecież dosłownie powiedziałeś mi, cytuję: *Ten pajac nigdy się z tobą nie ożeni*.

Jęczy.

– Mary Poppins, masz pamięć jak słoń! Jak już mówiłem, nie zawsze wierzyłem, ale cieszę się, że nie miałem racji. Ze względu na ciebie.

Odsuwa się i delikatnie chwyta mnie za ramiona. Nie umie się powstrzymać, kiedy coś jest nie na miejscu, więc bierze w palce kosmyk, który uciekł z mojego koka i zakłada mi go za ucho.

Kiedy głos mu twardnieje, uwydatnia się jego brytyjski akcent:

– Ale jeśli zrobi cokolwiek, czym cię unieszczęśliwi, jeśli choćby skrzywisz się przez niego, wykastruję pajaca zardzewiałym nożem do masła.

Patrzę na poważną twarz Jennera i uśmiecham się.

– Też cię kocham – mówię łagodnie.

– Jesteś odrażająco sentymentalna – mówi lekceważąco, ale widzę, jak jego dolna warga drży. – I przypomnę ci to, kiedy będziesz szlochać w rękaw przy mojej przysiędze, koleżanko.

Przez chwilę milczy, zastanawia się nad czymś i zaczyna bawić się brzegiem mojego welonu.

– Jakieś wątpliwości w ostatniej chwili? – pytam.

– Nie. – Kręci głową.

Czekam na tę chwilę od trzech lat. Odkąd tylko ujrzałam pierwszy raz Bradleya Hamiltona Wingate'a III, zakochałam się w nim szaleńczo. To najszczęśliwszy dzień mojego życia. Jedynym, kto mógłby go jeszcze uświetnić, byłby mój ojciec prowadzący mnie do

ołtarza, ale jego klaustrofobia uniemożliwiła lot przez ocean, więc mój przystojny, elegancki Jenner zrobi to równie dobrze.

Nadal bawiąc się moim welonem, mówi:

– Mój jaguar stoi tuż przed wejściem. Za niecałe dwie godziny będziemy wylegiwać się w Meadwoods, korzystać z masaży i podrywać ratowników przy basenie.

– Wiem, że nie przepadasz za Bradem, ale jeśli zrujnujesz mi ślub, gadając bzdury o moim mężu, spalę twoją kolekcję klasycznych szalików od Gucciego. – Obrzucam go gniewnym spojrzeniem.

Zaciska wargi, jakby chciał je zamknąć na zawsze.

– Już się tak nie rzucaj, Ślubodzilla. Moje usta nie wypowiedzą już ani jednego słowa. – Udaje, że przekręca kluczyk w zamku i wyrzuca go, ale przerywa milczenie: – Żebyśmy mieli jasność, chcę, żebyś wiedziała, że mogłabyś mieć coś o wiele lepszego…

– Jenner!

Spogląda na moje zaciśnięte szczęki i wytrzeszczone oczy.

– Masz rację – mówi łagodnie. – Mój błąd. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

Przemilcza wszystkie te razy, kiedy wypłakiwałam się w jego ramię po kłótni z Bradem o jego emocjonalną niedostępność, wszystkie telefony, kiedy narzekałam, jak nie potrafi się zaangażować i dać mi pierścionka, każde analizowanie przy drinkach tego, czego może mi brakować.

Ale teraz już koniec z tym. Przeszliśmy przez wszystko, przez co musieliśmy przejść, żeby dotrzeć do naszego szczęśliwego zakończenia tam, gdzie od początku było nasze miejsce.

Po ślubie wszystko będzie inne.

Właśnie mam powiedzieć to Jennerowi, kiedy organizatorka ślubu wpada do pokoju, wymachując rękami i ledwo łapiąc oddech. Jej ciemne włosy kręcą się przez sierpniową wilgoć.

– Już czas! Już czas! Wszyscy gotowi? – Dostrzega nas, zatrzymuje się i przykłada rękę do gardła. – Jasny gwint, wyglądasz olśniewająco.

– Dzięki, Mirando – mówię.

Zdaję sobie sprawę, że mówiła o Jennerze, kiedy mruga i dodaje:

– Och, yy… ty też!

Jenner śmieje się, gdy widzi moją kwaśną minę.

– Nie martw się, kochana, będę się garbić i krzywić, idąc z tobą do ołtarza, żebyś wyglądała jeszcze bardziej spektakularnie.

– Tak, tylko że garbienie się i wykrzywianie sprawia, że wyglądasz jeszcze lepiej, a nie gorzej. Nie mogę uwierzyć, że byłam na tyle głupia, żeby poprosić na drużbę modela. Przeklinam dzień, w którym cię poznałam – odpowiadam oschle.

– Miałaś *szczęście*, że mnie poznałaś. Gdybym nie udawał twojego chłopaka, żeby uratować cię przed tym neandertalczykiem, śliniącym się do ciebie w dziale z butami Neimana dziesięć lat temu, mogłabyś nadal tam być, próbując uprzejmie uniknąć jego włochatych łap.

– Cicho bądź i podaj mi te cholerne kwiaty.

Jenner wyjmuje bukiet z wazonu stojącego na stoliku pod oknem, ściąga wargi i przygląda się wiązance.

– Kalie? Dobry Boże! To kwiaty pogrzebowe.

– Jeśli powiesz cokolwiek choć odlegle przypominającego *jakie to odpowiednie*, wypatroszę cię jak rybę – ostrzegam.

Obdarza mnie pogardliwym spojrzeniem, co stanowi brytyjską wersję okazywania uczuć.

– Ach, jeszcze więcej gróźb o przemocy fizycznej. I to w dzień ślubu. Prawdziwy z ciebie Don Corleone. To pewnie twoja włoska krew daje o sobie znać.

– A żebyś wiedział. A teraz chodź, pokażemy tej nawie, na co nas stać. – Odwracam się do przebieralni i krzyczę: – Dziewczyny!

Pojawia się siostra Brada, Ginny – podobizna Grace Kelly – i Danielle, moja przyjaciółka od czasów szkoły średniej, która przyleciała na ślub z Ohio. Obie wyglądają ślicznie w szytych na miarę sukienkach w kolorze szampana, chociaż cycki Danielle usilnie próbują uwolnić się z gorsetu.

– Mogłaś zainstalować dla nich rusztowanie – mówi Jenner, przyglądając się z niepokojem klatce piersiowej Danielle.

Ona potrząsa swoim podwójnym „D” i posyła mu całusa.

– Próbowałam, ale dziewczynki muszą być wolne. Kazałam wyjąć całe usztywnienie.

Jenner wydaje się poruszony.

– To ma być ślub czy kabaret?

– To nie jakiś tam ślub, to *ten* ślub – mówi Ginny, nakładając warstwę błyszczyka na usta. Zakręca tubkę i odkłada ją na stolik, po czym z uśmiechem odwraca się do Jennera. – Każdy, kto jest kimś w San Francisco, znajduje się tutaj.

Drżę.

– Prasa. Boże, nie przypominaj mi.

– Wiem, że ci kretyni z brukowców chodzili za tobą krok w krok, ale ludzie, których tatuś wynajął na ślub, są całkowicie uczciwi. To będzie miało świetny wpływ na twoją firmę, Kimber. – Ginny wygładza swoją suknię w talii. – Te sukienki są cudne, a ty wyglądasz jak księżniczka. Kiedy pojawią się zdjęcia, twój nieznany, mały sklepik stanie się sławny.

– Odpukać.

– Wszyscy, proszę, ruszamy się! – krzyczy spanikowana Miranda.

Przyjmuję bukiet od Jennera i biorę głęboki wdech, żeby uspokoić skołatane nerwy. Nie pomaga za bardzo, ale czegoś muszę spróbować. Mój antyperspirant już zawodzi, żołądek mam zwinięty w supeł, a dłonie drżą mi tak bardzo, że kalie wyglądają, jakby miały padaczkę.

Danielle i Ginny biorą swoje bukiety i ruszają przed nami, a potem, ramię w ramię, Jenner i ja wychodzimy z pokoju.

– Przedstawienie czas zacząć, kochana – mamrocze Jenner, kiedy otaczają nas fotografowie, a flesze zaczynają szaleć. – Broda do góry. Plecy proste. Cycki do przodu.

Unoszę podbródek, prostuję ramiona i z całych sił staram się nie łapać powietrza jak karp. Kiedy wychodzimy za róg i wchodzimy do przedsionka kościoła przez ciężkie, drewniane drzwi, klasyczna melodia *Kanonu D–dur* Pachelbela wypełnia moje uszy. Miranda nerwowo rusza do przodu. Jenner ściska moją drżącą dłoń. Jeszcze kilka kroków i znajdziemy się w nawie.

Jest tak pięknie, że przez chwilę czuję się oszołomiona. Kwiaty. Świece. Ogromny tłum dobrze ubranych gości, stojących przy wejściu.

I Brad. Czeka na mnie przy ołtarzu, jest wysoki i ma szerokie ramiona. Nosi smoking z taką nonszalancją, jakby się w nim urodził.

Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, moje serce rośnie. On jest ucieleśnieniem amerykańskiego ideału. Kwadratowa szczęka, złocista opalenizna i falowane blond włosy, lśniące w świetle. Istota dumy i niedorzecznie dobrego wyglądu.

Mój książę z bajki. Jest piękniejszy niż wszystko inne razem wzięte i bardziej idealny niż moje najśmielsze sny.

Poza tym wyrazem bezbrzeżnego przerażenia, który ma na twarzy, co naprawdę kontrastuje z jego strojem.

Kiedy się potykam, Jenner znowu ściska moją dłoń.

– Spokojnie, kochana.

Rozpoczynamy wędrówkę nawą w powolnym tempie, które zostało nam wpojone przez Mirandę podczas niekończących się prób. Krok – przerwa. Kolejny krok – przerwa. To zwiększa dramaturgię, jak stwierdziła. Zdecydowanie miała rację, bo z każdym krokiem, z którym zbliżam się do Brada, jego twarz traci coraz więcej kolorów do tego stopnia, że z łatwością mógłby udawać zwłoki.

Czuję pod mostkiem, jak moje serce wiarygodnie naśladuje zdychającą rybę, szamocze się dziko i łapie powietrze.

– Twój rozpieszczony chłoptaś wygląda jeszcze bardziej irytująco niż zwykle – zauważa Jenner z wystudiowanym uśmiechem.

Sama uśmiecham się tak szeroko, że mam wrażenie, że twarz zaraz pęknie mi na pół. Dwaj fotografowie czają się na końcu alejki i robią zdjęcia, więc staram się nie poruszać ustami, kiedy odpowiadam:

– Wygląda, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym. Czy to normalne?

– Może na Szatana upuszczono kroplę święconej wody i teraz ze wszystkich sił stara się nie stanąć w płomieniach przed wyborcami tatusia.

Zabiję Jennera później. W tej chwili potrzebuję całej koncentracji, żeby utrzymać uśmiech.

Kiedy docieramy do ołtarza, wyraźnie widzę strużki potu, płynące po skroniach Brada, a w oczach czai się mu panika jak u dzikiego zwierzęcia schwytanego w potrzask. Jest trupio blady. Obok niego Trent, drużba, szczerzy się jak kretyn i gapi na piersi Danielle.

– Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie? – Pastor pyta tak głośno, że aż się wzdrygam.

– Ona sama siebie oddaje – odpowiada Jenner gładko, nie robiąc sobie nic z wyreżyserowanej przez Mirandę odpowiedzi: *Ja*. Potem oddaje moją dłoń Bradowi, który wyraźnie walczy, by zachować świadomość.

Występuję do przodu z drżącym uśmiechem i szepczę:

– Skarbie? Wszystko w porządku?

Mrugając jak pisklę, Brad przełyka. Wydaje z siebie skrzek, który ani trochę nie przypomina „tak". Widywałam ofiary wypadków samochodowych w lepszym stanie.

Rzucam zdesperowane spojrzenie jego rodzicom siedzącym w pierwszym rzędzie. Senator i pani Wingate są ubrani odświętnie jak wszyscy inni, ale – w przeciwieństwie do pozostałych – wyglądają na równie zdenerwowanych jak ich syn.

Coś jest koszmarnie nie w porządku.

Strach oplata i ściska moje serce.

Pastor mówi coś, czego nie słyszę przez łomotanie pulsu. Wszystko to tylko *słowa, słowa, słowa*, bezsensowne dźwięki, podkreślające dławiące poczucie zguby, kiedy patrzę na mojego wybranka, którego wyraźnie tylko oddech dzieli od zwymiotowania lub zemdlenia.

Albo jednego i drugiego.

Pastor kończy, cokolwiek mówił, i zwraca się do Brada:

– Bradleyu Hamiltonie Wingate, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę? Czy ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie, aż do śmierci?

Następuje głucha cisza, podczas której Brad wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Żyła na jego szyi pulsuje gwałtownie. Jest tak cicho, że klikanie fleszy aparatów brzmi jak wystrzały.

Kiedy cisza ciągnie się zbyt długo, pastor odchrząka.

– Synu? – ponagla go.

Brad porusza ustami, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo.

W powietrzu czuć napięcie. Wśród gości zaczynają nieść się szmery i szepty. Czuję, jak stróżka zimnego potu spływa mi między łopatkami. Przez ramię rzucam zdesperowane spojrzenie Jennerowi, który wpatruje się w Brada twardym, niebezpiecznym wzrokiem.

Senator Wingate, korpulentny i zaczerwieniony w swoim smokingu, pochyla się do przodu i syczy:

– Bradley!

Wydaje się, że to jedno słowo przełamało zaklęcie, pod wpływem którego znajdował się Brad, bo wreszcie udaje mu się wykrztusić:

– Ja… ja…

Gorączkowo kiwam głową, która podskakuje jak u lalki. Desperacja sprawia, że mój głos przybiera histeryczny ton.

– Tak, skarbie?

Bierze głęboki wdech, po czym wypuszcza powietrze z westchnieniem, jakby puściła tama, i zaczyna paplać nieskładnie:

– Nie mogę tego zrobić, po prostu nie mogę, przepraszam, to się nie stanie. Tato… – Odwraca się do ojca, który już podnosi się z ławki. – Nie mogę, nie dam rady ożenić się z nią!

Z rykiem, przypominającym wściekłego byka, jego ojciec rusza do przodu. Rzuca się na Brada. Upadają w plątaninie rąk i nóg, uderzając w marmurową podłogę kościoła. Słychać łoskot, kiedy przewracają mosiężne świeczniki, co wywołuje okrzyki zdumienia wśród tłumu.

Trzystu ludzi skacze na równe nogi.

Matka Brada wydaje z siebie zbolały skowyt.

Kamery wirują szaleńczo.

Ktoś prycha i mówi:

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o dziedzictwo Brada.

I wtedy przeszywający, zbolały wrzask, który wydaje się dobiegać zewsząd, rozlega się echem od ścian. Rozpada się na tysiąc mniejszych krzyków, odbijając się raz za razem od twardych, marmurowych powierzchni, i unosi się wysoko pod sklepienie niczym stado skrzeczących ptaków, które poderwały się do lotu.

To okropny dźwięk. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak potwornego.

Dopiero kiedy Jenner chwyta mnie i ściąga ze schodków ołtarza, zdaję sobie sprawę, że ten straszny głos wydobywa się ze mnie.

DWA

Kimber

Zdjęcia są katastrofalne.

– Cóż, spójrz na to z dobrej strony – mówi Jenner z mojej kanapy, gdzie wyleguje się na stercie poduszek i zajada niskotłuszczowe chipsy. – Ten szatański nos nigdy już nie będzie prosty.

Czerpię niewielką satysfakcję z tego, że kiedy już wyswobodziłam się z uścisku Jennera, rozbiłam Bradowi nos. Krew trysnęła z twarzy tej skrzeczącej łajzy jak fontanna. Nawet jego ojciec wydawał się być pod wrażeniem mojej celności.

– Tak – mówię gorzko. – Jego nos, moje serce. Taka sama miazga.

Przez trzy dni, które minęły od niedoszłego wesela, płakałam bezustannie, objadałam się lodami, potłukłam całą weselną zastawę i prawie ochrypłam, wrzeszcząc na ściany. Z rzeczy, których nie zrobiłam: nie wychodziłam z mieszkania i nie odbierałam telefonów. Będę musiała też odciąć się od internetu, bo zdjęcia mojego publicznego upokorzenia tam również wyciekły.

Jednak największą furorę robi to, na którym rozbijam Bradowi nos. Wydrukowałam je sobie i powiesiłam na lodówce.

Opadam na brzuch i układam sobie poduszkę pod głową. Leżę na podłodze, na samym środku mojego salonu, gdzie spędziłam większość czasu przez ostatnie trzy dni. Nie mogę przebywać w pobliżu sypialni, bo łóżko, które dzieliliśmy z Bradem, jakby szydzi ze mnie za każdym razem, kiedy przechodzę obok.

Wkrótce i tak już go nie będzie. Samej nie stać mnie na to miejsce. Kiedy nastanie pierwszy dzień kolejnego miesiąca, nie przeprowadzę się do uroczego domku w wiktoriańskim stylu w Ashbury Heights, który kupił dla nas Brad. Przeniosę się na zaplecze swojego sklepu,

aż znajdę jakieś studio. Coś taniego, poza miastem. Najchętniej pod ziemią, żebym nie musiała widywać ludzi.

Jeden z nagłówków w gazetach krzyczał: *Porzucona Krawcowa!*

Zostałam zredukowana do roli tandetnej, telewizyjnej rozrywki dla mas.

– Danielle napisała, że bezpiecznie dotarła do domu. Chciała wiedzieć, jak się trzymasz.

– I co jej powiedziałeś?

– Skłamałem, że wszystko w porządku. Wiedziałem, że gdybym tego nie zrobił, ona i jej cycki od razu znalazłyby się z powrotem w samolocie. – Wydaje z siebie odgłos, jakby miał odruch wymiotny. – Nie pojmuję, jak ktoś mógł przeprowadzić się do Cleveland po tym, jak wychował się w San Francisco. Ohio kontra Floryda Środkowego Zachodu.

– Okropny z ciebie snob.

– *Merci*[1]. Kiedy zadzwonisz do ojca?

Jęczę i chowam twarz w poduszce. Kiedy pomyślę o wszystkich pieniądzach, które ojciec przysłał mi na ślub, mam ochotę umrzeć. Sam koszt materiału na suknię to grube tysiące.

Mój głos jest stłumiony przez poduszkę, kiedy mówię:

– Myśli, że jestem na miesiącu miodowym. Mam jeszcze jedenaście dni, zanim będę musiała do niego zadzwonić.

– Chyba, że zobaczy zdjęcia w internecie – podpowiada Jenner.

Rozważam to, ale stwierdzam, że szansa na to, że mój niezaznajomiony z technologią ojciec znajdzie się na tyle blisko komputera, by zobaczyć dowody na to, że jego jedyne dziecko stało się pośmiewiskiem śmietanki towarzyskiej San Francisco, jest bliskie zeru. Kiedyś wysłałam mu Kindle'a na święta, a on chciał wiedzieć, jak się go otwiera. Myślał, że to wyjątkowo cienka książka.

– Przypomnij mi, dlaczego nie pojechaliśmy na miesiąc miodowy, jak dziewczyny z *Seksu w wielkim mieście*, po tym, jak Carrie została porzucona przed ołtarzem?

– Bo dwa tygodnie na ranczo w Montanie były idyllą w mniemaniu Brada, nie moim. A ty dobrze wiesz, że Carrie nie została porzucona

przed ołtarzem. Big zerwał z nią przez telefon jeszcze przed tym, jak była zmuszona pokonać drogę do ołtarza – sprostowałam.

Szczęściara.

Jenner wzdycha tęsknie.

– Wręcz przeciwnie. Dwa tygodnie na ranczo brzmią absolutnie jak raj, kochana. Pomyśl tylko… wszyscy ci kowboje… I ich lassa. Kurczę – mówi rozmarzonym głosem.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, jak wachluje twarz pustą paczką po chipsach.

– Nie. Żadnych kowbojów. Żadnych chłopaków w ogóle. Nie obchodzi mnie, jeśli do końca życia nie zobaczę żadnego faceta!

Jenner przestaje się wachlować i wykrzywia brew.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że jestem dumnym posiadaczem penisa, tak? – pyta.

– Ty się nie liczysz.

– Auć! – syczy.

– Wiesz, co mam na myśli! – Opadam na poduszkę, ale podnoszę się, kiedy słyszę pukanie do drzwi.

Jenner i ja patrzymy na siebie. Serce zaczyna mi łomotać. Pukanie rozlega się ponownie, tym razem głośniej.

W połowie przerażona i w połowie wściekła, szepczę:

– Myślisz, że to Brad?

Jenner odpowiada:

– Raczej wątpię, kochana, przecież ma klucz. Zresztą pewnie i tak jeszcze zbiera fragmenty zębów.

Kiedy pukanie nie ustaje, Jenner siada i patrzy w stronę drzwi.

– Chcesz, żebym otworzył? – pyta.

– Dlaczego ten ktoś puka, a nie użyje dzwonka? – Z jakiegoś powodu wydaje mi się to złym znakiem. Jaki człowiek woli uderzać pięścią w drzwi, niż do nich zadzwonić?

– Pójdę zobaczyć przez wizjer, kto to.

Zanim zdążę zaprotestować, Jenner już znika z pokoju. Po chwili słyszę jego głos dobiegający z korytarza:

– To kurier. Otworzyć?

Kurier? Bardziej prawdopodobne, że to kolejny paparazzo, próbujący zdobyć nowe zdjęcie biednej, niedoszłej synowej senatora, przebiega mi

przez myśl.

Ciekawość zwycięża. Drepczę na boso do drzwi, w poplamionych od lodów dresach i odpycham Jennera, żeby zerknąć przez wizjer.

Rzeczywiście, to kurier. Trzyma w dłoni małą kopertę i podkładkę.

– Myślisz, że to pułapka? Może to w rzeczywistości facet z *TMZ*[2], a w podkładce ma ukryty aparat? – szepczę.

– Och, tak – mówi Jenner, a jego głos ocieka sarkazmem. – Ten niesławny aparat w podkładce. Słyszałem, że ostatnio zbierają niezłe żniwo.

– A co z facetem z wczoraj, który zapukał do drzwi i powiedział, że jest z elektrowni, a okazał się dziennikarzem z *The Examiner*, chcącym dowiedzieć się, czy plotki o moim samobójstwie są prawdą?

– Coś w tym jest. – Jenner ściąga wargi.

– Wiem! – Przewracam oczami.

– Jeśli ten facet chce zrobić ci zdjęcie, które sprzeda potem brukowcom, urwę mu jaja. Zadowolona? – Odsuwa mnie z drogi i z westchnieniem otwiera drzwi. – Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

– Mam przesyłkę dla pani DiSanto. – Kurier mierzy Jennera spojrzeniem z góry do dołu. – To pani?

To pewnie byłoby niedorzeczne pytanie, ale zważywszy na fakt, że Jenner ma na sobie mój puchaty, fioletowy szlafrok i długą, czerwoną perukę, którą kupiłam kilka lat temu na Halloween, a on wygrzebał ją teraz z mojej szafy, pytanie kuriera jest bardzo uzasadnione.

Jenner jest ładniejszy niż większość kobiet, które znam. A co tam – niż *wszystkie* kobiety, które znam.

– Chociaż bardzo miło jest mi to słyszeć – mówi Jenner – z przykrością muszę stwierdzić, że w rzeczywistości nie jestem panią DiSanto. Oto rzeczona dama. – Wskazuje na mnie. – Chociaż terminu *dama* używam bardzo luźno.

Kurier wpycha mi do ręki kopertę. Kiedy ją biorę, podsuwa mi pod twarz podkładkę i mówi:

– Podpis przy dwunastce.

Podpisuję, kurier odchodzi, a Jenner zamyka drzwi. Wtedy rozrywam cienką, tekturową kopertę i zaglądam do środka. Wewnątrz znajduje się kolejna koperta, tym razem beżowa

i kwadratowa. Na niej widnieje moje imię i nazwisko, wypisane czarnym tuszem. Pismo jest pochyłe i pokręcone.

Jenner zagląda mi przez ramię i mówi:

– Ooo, ładne. Myślisz, że to zaproszenie na bal?

– Ha. – Rozrywam kopertę, wyjmuję kartkę grubego papieru i czytam na głos:

Nie mogłem się z tobą skontaktować. Przyjeżdżaj natychmiast. Twój ojciec jest śmiertelnie chory.

Kartka upada na podłogę, kiedy rzucam się przez korytarz w stronę telefonu.

***

Nawet w dobre dni San Francisco International Airport jest koszmarem. Jednak w dzień, kiedy desperacko pragniesz dostać się do Włoch, zanim twój ojciec umrze, to prawdziwe piekło.

Gdy wreszcie trafiam na swoje miejsce w klasie ekonomicznej, siedzę między stutrzydziestokilogramową kobietą z wrzeszczącym dzieckiem na kolanach, a zakatarzonym studentem z tatuażem na wierzchu lewej dłoni, głoszącym: *Jebać policję*.

Brałam udział w niewielkiej stłuczce, przez którą prawie spóźniłam się na lot, zostałam popchnięta przez zirytowanych podróżnych i uderzona bagażami tak wiele razy, że przestałam już liczyć, a także przetrwałam wyczerpującą kontrolę nieprzyjemnego pracownika Agencji Bezpieczeństwa Transportu, który wydawał się przekonany, że ukrywam kontrabandę w pewnym otworze ciała.

Najwcześniejszy lot, jaki udało mi się zabukować, miał przesiadkę w Nowym Jorku. Kiedy docieramy do lotniska JFK, wytaczam się z samolotu z zaczerwienionymi oczami, w poszukiwaniu kawy i silnego odkażacza rąk. Nie wiem, jakiego wirusa złapał ten student, ale produkował przez niego mnóstwo flegmy.

Właśnie mam stanąć na końcu kolejki do Starbucksa, kiedy dostrzegam dyskretną, srebrną tabliczkę na ścianie obok windy, po drugiej stronie korytarza. Napis głosi: *Salon Centurion*.

Słodki Jezu, to salon wypoczynkowy członków American Express.

Pędzę do windy tak szybko, że prawie tratuję przy tym czteroosobową rodzinę. Ignorując niezadowolone burczenie ojca, dźgam palcem guzik przywoływania windy. Aż ślinka mi cieknie na myśl o oazie luksusu i spokoju, z której zaraz skorzystam.

Dzięki ci, Szatanie, rzucam w myślach do Brada.

Moja lśniąca, nowa, platynowa karta kredytowa na nazwisko Hamilton Wingate, przyszła pocztą zaledwie tydzień temu.

Kobieta w recepcji uśmiecha się uprzejmie, przesuwa kartę przez czytnik, żeby potwierdzić moje członkostwo i mówi:

– Dziękujemy, że pani do nas dołączyła, pani Wingate. Jedzenie i napoje w salonie są darmowe. Może pani skorzystać z masażu i zabiegów na twarz w prywatnym spa na tyłach. To również jest darmowe.

Mam ochotę ją ucałować.

Życzy mi miłego pobytu, a ja opuszczam część recepcyjną i wchodzę do wielkiego, ładnie urządzonego pomieszczenia. Strefy do siedzenia, stoły i wygodne fotele rozstawione są na całej powierzchni pokrytej dywanem podłogi. Jeden koniec pomieszczenia zdominowany jest przez bar. Obok niego rozciąga się bufet, przy którym kilkoro podróżnych wybiera przekąski. Z ukrytych głośników płynie delikatnie muzyka klasyczna. Jestem w niebie.

Opadam na wielki, wygodny fotel przy przeszklonej ścianie, która wychodzi na pas startowy. Na krzesło obok odkładam bagaż, płaszcz i torebkę. Uśmiechnięta kelnerka podchodzi z tacą pełną drinków.

– Szampana, proszę pani?

– Tak, dziękuję. – Biorę kieliszek z jej dłoni z prawie nabożną wdzięcznością, jakby podawała mi Świętego Graala. Wychylam zawartość jednym haustem, po czym rozkładam się w fotelu, wypuszczając z siebie ogromne, zmęczone westchnienie.

I właśnie wtedy go zauważam.

Jego uroda zapiera dech w piersi do tego stopnia, że zaczynam podejrzewać się o halucynacje. To dosłownie moja pierwsza myśl, kiedy rzucam okiem na bóstwo zmierzające w stronę baru – *mam halucynacje*. Bez wątpienia, bo nie tylko jest ucieleśnieniem męskiego ideału, ale wydaje się poruszać w zwolnionym tempie.

Albo jego uroda odmieniła prawa fizyki, albo w tym szampanie coś było.

Jest wysoki i ma ciemne włosy, ma również tę niewymuszoną, arystokratyczną elegancję, z którą niektórzy mężczyźni po prostu się rodzą. Stwierdzam, że jest Europejczykiem. Nie jestem pewna, co jest piękniejsze – jego twarz czy strój. Stanowi ostry kontrast dla wszystkich podróżnych w salonie, którzy mają na sobie wygodne ubrania. Wygląda, jakby właśnie zszedł z wybiegu.

Szyty na miarę granatowy garnitur jest idealnie dopasowany do jego umięśnionej sylwetki. Kołnierzyk koszuli jest tak biały, że lśni, podkreślając cudowny, oliwkowy odcień skóry. Kaszmirowy płaszcz w kolorze kajmaku wisi na jego szerokich ramionach. Zauważam jedwabną poszetkę, masywny, srebrny zegarek i buty, które wyglądają, jakby były zrobione z tego rodzaju wypolerowanej skóry, do której ma się ochotę przytulić policzek.

Pragnienie rzucenia mu się do stóp i ocierania się o jego mokasyny obezwładnia mnie. Patrzę, jak podchodzi do baru i mówi coś do barmanki.

Kobieta poleruje szklankę, ale kiedy na niego spogląda, zamiera. Oczy wychodzą jej z orbit.

Adonisowi pewnie często się to zdarza.

Musi powtórzyć, zanim ona pozbiera się na tyle, żeby odpowiedzieć. Wtedy nalewa mu drinka, podaje go drżącymi dłońmi i z jeszcze bardziej rozedrganym uśmiechem, a potem zaczyna mrugać, jakby próbowała wezwać kogoś na pomoc.

Zaśmiałabym się, ale jest mi jej szkoda. Ten mężczyzna jest zbyt olśniewający, by określić to słowami, więc co tu mówić o racjonalnym zachowaniu. Bierze łyk bursztynowego płynu, a potem obraca się i omiata spojrzeniem pomieszczenie.

Szybko odwracam wzrok. Chociaż jestem żałosną, porzuconą panną młodą, która stała się pośmiewiskiem internetu, wciąż mam dość godności, żeby nie zostać przyłapaną na ślinieniu się na widok obcego faceta.

Żadna inna kobieta w zasięgu wzroku nie ma takich skrupułów. Nigdy w życiu nie widziałam tylu gapiących się ludzi. Nawet niektórzy mężczyźni patrzą w zachwycie.

Moja fascynacja Adonisem znika tak szybko, jak się pojawiła.

Ten facet sprawia, że Brad wygląda jak Homer Simpson – a Brad jest cudny. Więc jeśli ego i pewność siebie Brada sięgały poziomu stratosfery, to nie mogę sobie wyobrazić, jak pompatycznym, zarozumiałym dupkiem musi być Adonis. Najpewniej ma kobietę w każdym mieście na całej planecie.

Postanawiam, że go nienawidzę.

Jego i tych idealnych włosów, szczęki superbohatera i tego głupiego, kaszmirowego płaszcza.

Kto w ogóle jeszcze takie nosi? Kim on niby jest, hrabią? W zasadzie wygląda, jakby mógł być hrabią. Założę się, że ma jakiś tytuł. Na pewno ma dwanaście kochanek, jest skąpy dla służby i bije psa.

Jak zawsze, kiedy jestem poirytowana, moje usta ściągają się tak, że wyglądają niczym suszona śliwka, co doprowadzało Brada do szału. Kiedy ponownie podnoszę wzrok, Adonis patrzy niezwykle badawczo wprost na mnie.

Cholera.

Z całą nonszalancją, na jaką mnie stać, odwracam się do krzesła obok mojego miejsca i wyjmuję z torby szkicownik i ołówek. Nie podnosząc wzroku powyżej kolan, zaczynam szkicować. To coś, co robię, odkąd byłam małą dziewczynką i zawsze potrafi mnie to uspokoić i przywrócić koncentrację.

W kilka chwil piękna sukienka nabiera kształtów. Przypomina syrenę, sporo odsłania, ale ma szyk. Nisko wycięte plecy, misternie ułożone kryształki i perły ozdabiają ramiączka i gorset, a do tego długi tren z francuskiej koronki.

Przerywam gwałtownie, stwierdzając z przerażeniem, że rysuję własną suknię ślubną.

Słyszę za sobą męski głos:

– *Che bella*[3].

Boże, jego głos. Moje majtki stają w płomieniach.

Tak bogaty i miękki jak jego buty, jego głos również ma lekki, włoski akcent, który może brzmieć jednocześnie elegancko i seksownie. Założę się, że potrafiłby doprowadzić mnie do orgazmu szepcząc mi do ucha treść książki telefonicznej.

Ale przecież go nienawidzę, więc się nie liczy.

– Dziękuję – odpowiadam chłodno. Próbuję emanować niechęcią w stylu „nie przeszkadzaj mi ty idealny, głupi, bijący psa, boski kretynie". Nie działa.

– Jesteś artystką?

– Nie – odpowiadam krótko.

– Hmm…

Szkicuję dalej, ignorując go i czekam, aż odejdzie. Nie chwyta aluzji. Czuję się jeszcze bardziej niekomfortowo, kiedy tak stoi i obserwuje, jak moja ręka przesuwa się po kartce.

Dlaczego on nic nie mówi? Dlaczego sobie nie pójdzie? Czym, u diabła, jest ta przepyszna woda kolońska, którą pachnie? Jasna cholera, czy ja się ślinię?

Przeklinam samą siebie za głupotę, przełykam i szkicuję jeszcze szybciej.

– Przydałoby się marszczenie z tyłu. – Pochyla się nad moim fotelem i stuka długim, eleganckim palcem w szkicownik. – Tutaj.

Chociaż właśnie miałam dodać marszczenie – które prawdziwa sukienka posiada – jestem tak oburzona jego założeniem, że interesuje mnie jego zdanie, że rysuję zamiast tego dużą, brzydką kokardę.

Śmieje się.

To tak seksowny dźwięk, że wszystkie maleńkie włoski na moim karku stają dęba.

Wpycham szkicownik z powrotem do torby, biorę torebkę i płaszcz, po czym podnoszę się z fotela. Nie oglądając się za siebie, ruszam w stronę baru, usadawiam się na krzesełku i odkładam wszystkie rzeczy na podłogę. Zamawiam espresso u barmanki, która wcześniej straciła mowę przez Adonisa, potem opieram łokieć o blat baru i chowam obolałą głowę w dłoniach.

– Uraziłem cię.

Podrywam głowę. Włoski ogier stoi obok i wpatruje się we mnie oczami, których kolor jest identyczny z odcieniem wody u wybrzeży Bali, gdzie chciałam spędzić miesiąc miodowy z Bradem – przejrzysta, cudowna akwamaryna. Okala je gęstwina rzęs tak czarnych, że mam ochotę mu przyłożyć.

– Jak? – pyta.

Ściągam brwi i marszczę twarz, patrząc na niego, bo oślepia mnie jego głupia, idealna prezencja. Po chwili, kiedy się nie odzywam, powtarza, tak jakby moja macica właśnie nie eksplodowała:

– Jak cię uraziłem?

Twoja uroda mnie obraża. Twój wpływ na kobiety mnie obraża. Sam fakt, że posiadasz penisa, to już wystarczająca obraza. Ty, mój panie, jesteś mężczyzną – uosobieniem męskości – i właśnie dlatego nienawidzę cię bez reszty.

– Nie mówię po angielsku – oznajmiam i opuszczam głowę z powrotem na dłonie.

– Naprawdę? – Zamyśla się. – Dziwne, wydawało się, że kilka chwil temu świetnie mnie zrozumiałaś. Spróbuję jeszcze raz.

Powtarza pytanie po francusku, potem niemiecku, włosku i hiszpańsku. Kiedy nie odpowiadam, przechodzi na język, którego nie rozpoznaję, ale możliwe, że to holenderski.

Teraz po prostu się popisuje.

Podnoszę głowę i obrzucam go moim najbardziej morderczym spojrzeniem.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – syczę.

Nawet nie mruga.

– A, jesteś lesbijką – podsumowuje.

– Nie, Hrabio Egotistico, nie jestem lesbijką! Po prostu nie mam nastroju na rozmowy, dobra?

– Dobrze. – Jego spojrzenie przesuwa się na moje usta, a głos obniża się o oktawę. – A na co *masz* nastrój?

Chcę być wściekła. Chcę być oburzona. Mam ochotę go spoliczkować. Jednak przed chwilą między moimi nogami nastąpił wybuch termonuklearny, więc jedyne, co mogę zrobić, to wpatrywać się w niego przez chwilę, kiedy obezwładnia mnie fala gorąca, a sutki zaczynają mrowić.

W końcu, kiedy te pełne, wyrzeźbione wargi unoszą się w zmysłowym uśmiechu – bo ewidentnie dostrzega, jaki ma na mnie wpływ – pojawia się gniew, na który liczyłam.

Wytrzymuję jego spojrzenie i mówię przez zaciśnięte zęby:

– Ty arogancki, nadęty, zarozumiały, zadufany w sobie seksistowski pawiu! Chcesz wiedzieć, na co mam nastrój? – Pochylam się do niego. – Na morderstwo.

Jeśli miałam nadzieję, że to małe, psychotyczne przemówienie go zniechęci, to grubo się myliłam. Jego oczy zaczynają płonąć, zmysłowy uśmiech staje się sprośny, a śmiech, który po chwili rozbrzmiewa z jego ust sprawia, że barmanka, która właśnie przyniosła espresso, wydaje z siebie niewielki, pożądliwy jęk.

Patrząc mi intensywnie w oczy, Adonis mówi łagodnie:

– Tak, *bella*[4]. Ja też cię pragnę.

TRZY

Kimber

Przez chwilę mam zupełną pustkę w głowie. Gdyby ktoś zapytał mnie o imię, nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Ale potem zapala mi się lampka i już wiem, co się dzieje.

– Och, już łapię. – Mój śmiech jest tak przepełniony kwasem, że mógłby spalić stal. – Jesteś komiczny, koleś. Bardzo zabawny. – Zerkam na jego jedwabną poszetkę. – Gdzie ukryłeś kamerkę? Tam? A może w jednym z guzików marynarki?

Pochylam się do jego piersi i mówię wprost do górnego guzika koszuli:

– Pieprz się.

Nie ma nawet na tyle dobrych manier, żeby wyglądać na zażenowanego, że go przyłapałam. Po prostu przygląda mi się z rozbawieniem w tych piekielnych, błękitnych oczach, jakby czekał, żeby zobaczyć, jaką dziwną, ale uroczą rzecz zrobię za chwilę.

– Odejdź. Nie mam czasu na te bzdury. – Macham lekceważąco ręką.

– O jakich bzdurach mówisz? Chodzi o bycie pożądaną przez mężczyznę?

Obrzucam go gniewnym spojrzeniem. Teraz naprawdę mnie wkurzył.

– Słuchaj, już się zabawiłeś. Masz swoje zdjęcia, czy tam film, a teraz możesz wracać do dziury, z której wypełzłeś i wrzucić to do internetu, żeby wszyscy mogli jeszcze trochę pośmiać się ze mnie. I żeby była jasność, nie mogę uwierzyć, że upadłeś tak nisko, żeby odszukać mój plan podróży i śledzić mnie aż do Nowego Jorku. Przysięgam na Boga, jeśli któryś z twoich kumpli będzie czekał na mnie, kiedy wyląduję, rozwalę mu łeb.

Unosi głowę i obserwuje mnie.

– O, teraz nie będziesz się odzywać? Ostatni facet, który próbował tego ze mną, skończył ze złamanym nosem. Zostałeś ostrzeżony.

Biorę łyk espresso, piorunując przy tym wzrokiem barmankę, która nie odeszła. Stała tam przez cały czas i słuchała. Jest tak zbulwersowana moim odrzuceniem Adonisa, że czuję się w obowiązku jej wyjaśnić:

– To *paparazzi*.

– Słowo *paparazzi* to liczba mnoga – oznajmia spokojnie mój towarzysz.

Powoli nabieram powietrza i wypuszczam, ściskając filiżankę tak mocno, że może się roztrzaskać.

– Zupełnie jak słowo *pięści* – odpowiadam sucho.

Usadawia się na krześle obok mojego i zwraca do gapiącej się wciąż barmanki:

– Poproszę jeszcze jeden Glenlivet, a dla pani lampkę szampana.

Wyraz jej twarzy jest bezcenny. Serio, gdybym była Adonisem, robiłabym zdjęcia jej, nie mi.

Odwraca się i odchodzi, pozostawiając mnie samą z dławiącym gniewem i Włochem, który przyjął sobie za punkt honoru, żeby mnie upokorzyć.

– Czekaj. – Przyglądam mu się. – Ty pewnie nawet nie jesteś prawdziwym Włochem, co?

Uśmiecha się, ukazując idealne, białe zęby. Potem mówi coś po włosku.

– To żaden dowód. Gdybym zaczęła mówić teraz po mandaryńsku, to nie znaczyłoby, że jestem Chinką.

– Mówisz po mandaryńsku? – Unosi ciemne brwi.

– Nie o to chodzi.

– Więc chciałabyś innego dowodu?

Mrużę oczy na jego sugestywny ton.

– Skoro nie mamy testu DNA, nic nie może udowodnić, że jesteś Włochem.

– Oczywiście, że może.

Zaciskam szczęki i mówię:

– Dobra, zagram w tę twoją głupią gierkę. Jak udowodniłbyś, że jesteś Włochem?

Jego głos obniża się o oktawę, a błękitne oczy płoną.

– Kochałaś się kiedyś z Włochem?

Wywracam oczami i wypuszczam powietrze.

– Och, na litość boską.

Znowu obdarza mnie tym nieziemsko seksownym śmiechem.

– Dokładnie.

Wraca barmanka, ustawia nasze drinki i staje obok, patrząc na nas ochoczo. Aż dziwne, że nie podsunęła sobie krzesła. Kiedy rzucam jej spojrzenie, odsuwa się o dwa kroki i udaje, że poleruje kontuar.

– Więc – mówi Adonis, podnosząc szklankę. – Śledzą cię paparazzi.

Kolejne gierki. Ten facet jest niemożliwy.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu: to ścierwa – mówię ostro.

Podnosi szklankę do ust, odchyla głowę i przełyka. Patrzę, jak jego jabłko Adama podskakuje i muszę zwalczyć chęć polizania go.

– Nawet ścierwa mają swoje przeznaczenie – odpowiada, uśmiechając się lekko.

Parskam z odrazą.

– Boże, jak ty możesz spać w nocy? – pytam ironicznie.

– Jak dziecko, dziękuję bardzo.

Piorunuję wzrokiem jego idealny profil, pragnąc, żeby głowa mu eksplodowała. Niestety ostatnio nie zyskałam żadnych nadprzyrodzonych mocy, więc jego durny, choć śliczny, łeb pozostaje nietknięty.

Podsuwa mi lampkę szampana, dając przy tym dobry widok na swój zegarek, który ukazuje się, kiedy rękaw koszuli podjeżdża do góry. Brad jest maniakiem zegarków – „czasomierzy", jak każe nazywać swoją kolekcję – więc widziałam naprawdę sporo niedorzecznie drogich okazów.

Ten, który ma Adonis, sprawia, że te należące do Brada wyglądają jak zabawki, które dzieci dostają z gumą do żucia.

– Masz bardzo interesujący strój, hrabio. Kosztowny. Czy ty i twoi rodacy ciągniecie zapałki, kto będzie nosił kaszmirowe płaszcze

i zegarki Patek Philippe, a może macie grafik, kto przebierze się za bogatego playboya, kiedy idziecie śledzić niewinnych ludzi?

– Nie jestem hrabią – odpowiada bardzo poważnie.

– Serio?!

– Jestem markizem.

Ta zagrywka jest tak głupia, że nie mogę powstrzymać się od drwin z niego.

– A co to, jakiś rodzaj sera?

Jego spojrzenie przesuwa się po mojej twarzy, badając każdy szczegół i minę pełną pogardy. Zatrzymuje wzrok na moich ustach i mówi:

– To stopień wyżej niż hrabia.

– Ach tak. Stopień wyżej niż hrabia. Przypuszczam, że to całkiem dobra ranga – odpowiadam oschle.

– To również stopień niżej niż książę, jeśli to poprawi ci nastrój.

– Och, o wiele. – Kipiąc ze złości, wypijam łyk szampana.

Jaki tupet ma ten idiota, żeby udawać włoskiego supermodela. Powinnam kopnąć go w jaja.

– Jak w ogóle dostałeś się do tego salonu? Zrobiłeś maślane oczy do kobiety przy recepcji? Zakręciłeś nią tak, że jej mózg zamienił się w papkę? Boże, pewnie nadajesz się do każdej pracy. Hej, czy to ty wśliznąłeś się na imprezę noworoczną u Paris Hilton i zdobyłeś wszystkie te ujęcia spod jej spódniczki?

– Jesteś naprawdę urocza – mówi bardzo poprawną angielszczyzną i uśmiecha się. – Amerykański temperament. Moja matka zakochałaby się w tobie.

– Ha! Z pewnością! A gdzie ona teraz jest, w stanowym zakładzie karnym?

Po raz pierwszy jego twarz przybiera nieprzyjemny wyraz. Nagle patrzy na mnie onieśmielająco i mówi coś ostro po włosku.

– Przykro mi, nie zrozumiałam.

– Powiedziałem: *nie znieważaj mojej matki.*

Zdumiona wpatruję się w niego przez chwilę, po czym wybucham śmiechem.

– Cóż, widać, że jesteś oddany swojej pracy, muszę przyznać. Wiesz, powinieneś pomyśleć o aktorstwie. Albo modelingu!

Zarobiłbyś fortunę. Mój najlepszy przyjaciel jest modelem i to niedorzeczne, ile…

– Dlaczego jesteś smutna? – przerywa mi w pół zdania.

Patrząc, jak bardzo to zabolało, równie dobrze mógłby dźgnąć mnie prosto w serce. Śmiech zamiera mi na ustach, gardło zaciska się, a do oczu nabiegają gorące łzy.

– To po prostu okrutne – szepczę. – To jawna podłość z twojej strony.

– Przepraszam, nie rozumiem… – mówi i patrzy na mnie zdezorientowany.

– Zostaw mnie w spokoju. Odejdź.

Nie mogę na niego patrzeć, więc zamiast tego zaczynam wpatrywać się w bąbelki w kieliszku.

Po chwili cicho wypuszcza powietrze i wstaje. Mamrocze kolejne przeprosiny i odchodzi.

Nie mogę uwierzyć, że w ogóle z nim rozmawiałam. Zapewne wszystko nagrał. Te bezwzględne gnojki chodziły za mną od miesięcy, odkąd tylko zostały ogłoszone moje zaręczyny z Bradem. *Kopciuszek Kimber Ma Swojego Księcia* – drwiono w jednym z artykułów – *Harda krawcowa bez grosza przy duszy wżenia się do amerykańskiej arystokracji, wychodząc za złotego chłopca z politycznej dynastii* – głosił inny.

Tak, to prawdziwa historia Kopciuszka. Tyle że jej książę nie był zmuszany przez ojca do poślubienia jej pod groźbą utraty majątku, myślę.

Ale najgorszy, najbardziej łamiący serce i rozrywający duszę jest fakt, że wiedzieli o tym wszyscy, poza mną.

Każdy wiedział, że Brad uprawiał hazard, narobił długów na konto ojca i miał kobiety w całym mieście. Każdy wiedział, że był największym zagrożeniem dla politycznej kariery ojca i dobrego imienia rodziny i każdy wiedział, że tatuś postawił mu ultimatum.

Ożeń się i ustatkuj albo zostaniesz odcięty.

Jaka to wygoda dla Brada, że byłam taka łatwowierna i ślepa. I tak desperacko w nim zakochana. Bardzo mu wszystko ułatwiłam.

Jednak nie wszyscy byli przekonani o mojej niewinności. W kilku artykułach w internecie sugerowano, że wiedziałam o problemach

Brada i rzuciłam się jak sęp, żeby wyszarpać resztki jego beztroskiego życia, napychając sobie przy okazji kieszenie.

Tak jakby interesowały mnie pieniądze. Kiedy pomyślę o wszystkich tych chwilach, gdy mówiłam mu, że go kocham, a on mamrotał pod nosem „ja ciebie też", po czym odwracał wzrok, czuję mdłości.

Pieprzyć miłość. I pieprzyć mężczyzn. Od tej chwili skupiam się na pracy.

Ale najpierw muszę dotrzeć do Włoch.

***

– Nie. To na pewno pomyłka. Muszę dostać się na ten lot.

– Bardzo mi przykro, proszę pani. Niestety sprzedano więcej biletów niż miejsc, a pani miejsce otrzymał już inny pasażer. Naprawdę nie mogę zrobić nic więcej.

Kobieta w czerwonej kamizelce przy bramce wygląda, jakby rzeczywiście było jej przykro, to muszę jej oddać. Ale jeśli myśli, że pozwolę jej i liniom lotniczym wykopać się z tego lotu, to chyba zwariowała.

Pochylam się nad kontuarem i mówię z naciskiem:

– Pani mnie nie słucha. Muszę dostać się na ten lot.

– Możemy wpisać panią na listę rezerwową na następny lot, czyli… – Sprawdza na ekranie komputera. – Jutro o dziesiątej.

– Jutro? Żartuje pani?

Po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku minut, odkąd zostałam wezwana przez głośnik, żeby podejść do bramek, widzę, że kobieta zaczyna wyglądać niepewnie.

Sięga pod kontuar i mówi:

– Oto broszurka, w której może zapoznać się pani ze swoimi prawami…

– Nie chcę waszej ulotki. Chcę mojego miejsca.

Wyciąga przed siebie kartkę jak ofertę pokoju.

– Możemy wypłacić odszkodowanie w formie gotówki, czeku albo vouchera na przyszły lot, ale nie mogę umieścić pani na miejscu w tym locie, przykro mi.

Pot występuje mi na przedramiona. Serce zaczyna łomotać, a puls szaleje. Próbując zachować resztki spokoju, żeby nie aresztowała mnie ochrona lotniska, mówię:

– Nie rozumie pani. Mój ojciec umiera. Jeśli będę musiała czekać do jutra, żeby dostać się na lot do Włoch, on może już nie żyć, kiedy tam dotrę.

Traci do mnie cierpliwość i robi się oschła.

– Proszę pani, mam innych klientów, którymi muszę się zająć. Naprawdę nie mogę zrobić dla pani nic więcej ponad to, co zaoferowałam.

Myślę, że to zmiana tonu tak na mnie wpływa. A może wszystko, przez co przeszłam w ciągu ostatnich kilku dni. Tak czy inaczej, chwytam za brzeg blatu i wrzeszczę:

– Mój ojciec umiera! Muszę dostać się na ten lot!

– Rozumiem pani frustrację…

– Nie, nie jestem sfrustrowana, tylko wściekła! Jak możecie tak losowo wyrzucić mnie z samolotu? Zapłaciłam za bilet tak samo jak wszyscy. To niesprawiedliwe!

Jej twarz robi się czerwona. Jest mi jej żal, bo to nie jej wina, że linie lotnicze sprzedały za dużo biletów, ale do jej obowiązków należy zajmowanie się poirytowanymi klientami, a także znalezienie innych rozwiązań, kiedy zostają wydymani przez jej pracodawcę.

Poza tym sama wybrała sobie pracę w tych gównianych liniach. Jeśli chciała uniknąć niezręcznych sytuacji z rozdrażnionymi klientami, mogła zostać treserką psów.

– Niech pani wyrzuci z tego lotu kogoś innego. Na przykład kogoś, kogo ojciec nie doznał rozległego ataku serca w innym kraju! Chyba macie jakieś sposoby na uwzględnianie sytuacji wyjątkowych, prawda?

Kiedy jej spojrzenie staje się twarde, dodaję proszącym tonem:

– Prawda?

– Proszę odsunąć się od kontuaru – oznajmia ostro.

Staję się świadoma, że za mną czeka cała grupa ludzi, a także tego, że ochroniarz zaczął przyglądać mi się uważniej.

Mój gniew przechodzi w panikę.

Cholera. To nie może się dziać!

Głos mi drży, a oczy wypełniają się łzami, kiedy mówię:

– Proszę. Błagam panią. Nie widziałam ojca od pięciu lat. Jest moją jedyną rodziną. Muszę być przy nim. Muszę dostać się na ten lot. Jeśli on umrze, a mnie przy nim nie będzie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Kobieta już otwiera usta, żeby mnie uciszyć, kiedy za sobą słyszę głos:

– Ta pani może wziąć moje miejsce.

Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, kto to. Wszędzie rozpoznałabym ten akcent, który sprawia, że majtki same spadają.

A do tego moja rozmówczyni wygląda, jakby właśnie została poddana elektrowstrząsom.

– Och, s… sir – jąka się. – To bardzo miłe. Czy jest pan pewien? – Spogląda na mnie i marszczy brwi, wyraźnie sądząc, że nie zasługuję nawet, żeby stać w pobliżu Adonisa, a co dopiero dostąpić zaszczytu jego wielkoduszności.

– Jestem pewien.

Pojawia się w polu widzenia, okrąża mnie z lewej strony i staje obok. Ociera ramieniem o moje, a mi przechodzi po kręgosłupie dreszcz.

– Zobaczę, czy mogę to zorganizować. Rzeczywiście pozwalamy na zmiany w niektórych przypadkach. Czy mogę prosić pana kartę pokładową?

Zerka na mnie z lekkim uśmiechem, wyjmuje kartę z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podaje kobiecie, a wszystko to nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

Zduszonym głosem pytam:

– Lecisz tym samolotem? – On pochyla głowę z uprzejmym skinieniem. – I nie jesteś *paparazzi*?

– *Paparazzo* – poprawia. – Z tego, co wiem, nie.

– A, yy… ta cała sprawa z hrabią… – Odwracam się do niego.

– Markizem. – Jego oczy lśnią z rozbawienia. – Nie, to nie rodzaj sera.

Przykładam dłoń do piersi i oddycham gwałtownie.

– O mój Boże, bardzo przepraszam.

– Sir – świergocze pracownica linii lotniczych.

Spojrzenia, moje i Adonisa, łączą się na chwilę, która wydaje się wiecznością, zanim on odwraca wzrok, żeby skupić na niej uwagę.

– Tak?

– To bilet pierwszej klasy.

Gapię się na nią zszokowana. Ona odpowiada mi spojrzeniem spod uniesionych brwi, jakby mówiła: *obie dobrze wiemy, że nie zasługujesz na pierwszą klasę, siostro.*

– Tak, zgadza się – mówi Adonis pewnie. – Jakiś problem?

Kobieta patrzy na mnie, potem znowu na niego, a następnie przykleja wielki, sztuczny uśmiech do twarzy.

– Żaden problem, sir. Poproszę pański dowód.

Wyjmuje paszport z innej kieszeni i podaje go.

– Proszę pani, czy mogę jeszcze raz prosić pani kartę pokładową i dowód?

Niewiarygodne. Znowu można być dla mnie miłą.

Z totalnym niedowierzaniem patrzę, jak kobieta zaczyna stukać coś na klawiaturze, zmieniając rezerwację tak, żebym mogła dostać się na lot. Odwracam się i odkrywam, że Adonis wpatruje się we mnie z tą samą intensywnością, co wtedy, kiedy podniosłam wzrok znad szkicownika i przyłapałam go, jak się gapił.

– Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobił – mówię.

– Oczywiście, że możesz.

– To cudowny gest, ale ten bilet musiał kosztować fortunę.

Pracownica stwierdza, że to właściwy moment, żeby okazać się pomocną.

– Całkowity koszt lotu pierwszej klasy do Florencji to dziesięć tysięcy sześćset osiem dolarów.

Szczęka mi opada i zawisa gdzieś w okolicy klatki piersiowej.

Adonis widzi moje przerażenie i próbuje poprawić mi nastrój:

– To bilet w dwie strony.

– Przykro mi, ale nie ma możliwości, żebym zdołała ci za to oddać. Choć bardzo chciałabym przyjąć tę hojną ofertę, to nie mogę.

Przekręca głowę, jakby coś rozważał. Jego spojrzenie przesuwa się na mój bagaż podręczny.

– Twój szkicownik – oznajmia.

– Co? – Jestem tak zaskoczona, że mówię to zbyt głośno, aż kobieta za kontuarem podskakuje.

– Twój szkicownik. Wezmę go w zamian za bilet.

Mówi to tak, jakby czymś zupełnie racjonalnym było zamienienie go na bilet za dziesięć tysięcy i oczekuje, że oddam go bez zastanowienia. Jednak nie wie, że znajdują się tam nie tylko hobbystyczne bazgroły. Są tam wszystkie projekty mojej wiosennej kolekcji, nad którą miałam zacząć pracę zaraz po powrocie z miesiąca miodowego.

Miesiąc miodowy może i został odwołany, ale kolekcja nie, a ja nie zeskanowałam jeszcze rysunków do komputera.

A to znaczy, że jeśli dam Adonisowi mój szkicownik, te projekty przepadną na zawsze. Zaciskam palce na bagażu i odsuwam go za plecy.

– To niemożliwe.

Przebłysk irytacji sprawia, że jego oczy ciemnieją, ale szybko odzyskują swój błękitny spokój. Widzę, że nie przywykł do odmów, ale stara się to ukryć pod sztywnym uśmiechem.

– Rozumiem. Życzę powodzenia w sprawie ojca. – Odwraca się do pracownicy linii lotniczej, która śledziła naszą konwersację z taką samą gorliwością, co wcześniej barmanka. – Wygląda na to, że jednak nie będzie potrzeby zmiany rezerwacji na bilecie…

– Czekaj. – Spanikowana chwytam miękki rękaw jego płaszcza.

Spogląda na mnie z protekcjonalnie uniesioną brwią.

– Dlaczego chcesz ten szkicownik? Może mogłabym dać ci coś innego?

Kiedy znowu pojawia się jego lubieżny uśmiech, już rozumiem, jak źle to zabrzmiało. Szybko się wycofuję.

– To nie była propozycja.

– Nie? Szkoda.

Wpatrujemy się w siebie bez mrugnięcia. Żaru w jego spojrzeniu nie da się pomylić z niczym. Z bólem stwierdzam, że właśnie stanęłam przed wyborem: sprzedać siebie albo stracić wiosenną kolekcję.

Moja panika przeradza się w kompletną histerię.

Czuję, jak w środku wybucha wojna pomiędzy moimi hormonami, mózgiem i kompasem moralnym, który – jeśli mam być zupełnie szczera – jako pierwszy przegrywa tę walkę.

Czyli logika kontra hormony prowadzą bój na śmierć i życie, podczas gdy moja macica dopinguje z linii bocznej, macha pomponami i podskakuje radośnie.

Logika podpowiada, że latami oddawałam się Bradowi za darmo i nic z tego nie mam. Nie, czekaj – to te podstępne hormony, które wyraźnie wzięły stronę Adonisa. Logika mówi, że lot jest za kilka minut. Jeśli Adonis ma ochotę na bzykanko, zapewne zadowoli się szybką akcją w męskiej toalecie. Na nic innego nie ma czasu.

Moje hormony wrzeszczą z radości na tę myśl, ale logika oznajmia im oschle, że jeśli Adonis jest typem mężczyzny, który zgodzi się na szybki numerek z nieznajomą w toalecie na lotnisku, to zapewne ma jakąś chorobę weneryczną.

Drużyna Hormonów przypomina, że w łazience na pewno jest automat z prezerwatywami.

Drużyna Logiki zauważa, że mogłabym odtworzyć projekty z pamięci. Nawet jeśli nie idealnie, to wystarczająco.

Drużyna Hormonów mówi: ale tylko spójrz na niego. Jego penis jest prawdopodobnie tak niesamowity jak cała reszta ciała. Wyświadczy przysługę nam obojgu, skarbie i uda ci się wpakować swój żałosny tyłek do tego samolotu.

Drużyna Logiki wzdycha i przypomina mi, że chociaż kompas moralny wycofał się i tak poczuję się brudna i wykorzystana, a tego miałam już chyba ostatnio dość?

Wypuszczam ogromny haust powietrza, puszczam kaszmirowy rękaw Adonisa i otwieram torbę. Przekazuję mu szkicownik obiema dłońmi jak cenny skarb, którym jest.

– Proszę. Weź go. Nic nie jest warte przegapienia tego lotu.

Nawet widok twojego wspaniałego penisa.

Przez moment przygląda się mojej twarzy w ciszy, po czym wyjmuje szkicownik z moich rąk. Zaczyna przerzucać kartki. Z roztargnieniem zwraca się do pracownicy:

– Proszę kontynuować.

Kobieta potrząsa głową, jakby też nie mogła w to wszystko uwierzyć i zaczyna na nowo stukać na klawiaturze.

– Są niesamowite – mamrocze Adonis, podziwiając stronę z elegancką, czerwoną suknią z jednym ramiączkiem, taką, którą wyrafinowana kobieta założyłaby na oficjalne przyjęcie. Ciało modelki jest tylko delikatnie naszkicowane, ale szczegółom poświęciłam dużo czasu. Można odnieść wrażenie, że zaraz wyskoczy z kartki. Prawie słyszę szelest jedwabiu, kiedy sukienka przepływa między nogami modelki.

– Tak. Cóż, teraz są twoje, możesz się nimi nacieszyć – mówię.

Staram się powstrzymać gorzką nutę w głosie, bo przecież dostaję to, czego chciałam. Nie będę musiała czekać do jutra na następny lot i miejmy nadzieję, że dzięki temu dotrę do ojca, zanim zdarzy się to, o czym nawet nie chcę myśleć.

– A z czystej ciekawości, dlaczego chciałeś go mieć?

Adonis podnosi na mnie wzrok. Jego usta przybierają bezwzględny wyraz.

– Jestem zapalonym kolekcjonerem.

– Szkicowników? – Marszczę brwi.

Waha się przez ułamek sekundy, tak krótki, że pewnie sobie to wyobraziłam.

– Sztuki.

Czuję się zaszczycona, że uznał moje rysunki za sztukę, ale również załamana, że straciłam szkicownik, a także przepełniona wdzięcznością za to, że oddał mi swoje miejsce i zdezorientowana tym, jak bardzo chciałabym jednocześnie pocałować go i walnąć pięścią w twarz. Dlatego nie jestem w stanie zaoferować więcej niż zrezygnowane:

– Hmm…

– Dobrze, wszystko załatwione! – Pracownica uśmiecha się od ucha do ucha. Podaje mi dowód i nową kartę pokładową. – Potrzebuję podpisy obojga państwa na formularzu. I już panią odprawiłam, więc może pani od razu wejść na pokład. Prosto przez te drzwi. – Wskazuje właściwe wyjście.

– Dzięki. – Podpisuję dokument, biorę kartę pokładową i odwracam się do Adonisa. – Dziękuję. Szczerze. To naprawdę

niesamowite.

Patrzy na mnie intensywnie i milczy.

– I jeszcze raz przepraszam za moje zachowanie w saloniku – dodaję nieśmiało.

– Jeśli naprawdę chcesz mi to wynagrodzić, daj mi swój numer.

Zamieram. Obserwuje moje wahanie wzrokiem jastrzębia, jego niecierpliwość jest wyraźna. Jest mężczyzną, który nie tylko nie przywykł do odmów, ale najwyraźniej nie musi zwykle na nic czekać.

Ponieważ jest arystokratą. Włoski markiz, znany również jako Big Cheese.

Który prawdopodobnie ma dwanaście kochanek, jest skąpy dla służby i bije psa.

Wracam do nienawidzenia go jak za dotknięciem magicznej różdżki.

– Jasne – mówię uprzejmie, z uśmiechem. – Masz długopis?

Wyjmuje z kieszeni marynarki srebrne pióro Mont Blanc, a ja wygrzebuję z torebki jakiś świstek papieru. Potem szybko zapisuję na nim numer i imię.

Tyle, że nie moje. Nie wiem, do kogo należy numer, ale imię z pewnością opisuje kobietę, która potrafi pokazać takiemu latającemu za spódniczkami dupkowi, gdzie jego miejsce.

CZTERY

Matteo

Patrzę, jak przechodzi przez szklane drzwi i kieruje się na pokład samolotu, aż znika za zakrętem. Nie jestem zaskoczony, że nie obejrzała się za siebie.

Nie wiem, dlaczego jej niewyparzona buzia i lekceważące podejście tak bardzo mi się podobają, ale tak właśnie jest.

Pieprz się, tak mi powiedziała.

Nikt nigdy, w całym moim życiu, nie okazał mi takiego braku szacunku.

Wtedy myślała, że jestem *paparazzo*, ale to bez znaczenia. Jak dla niej mógłbym być nawet królem Hiszpanii w szatach koronacyjnych.

Che palle[5]. Ta kobieta ma jaja. Znam bardziej potulnych *mafiosi*[6].

Chociaż, kiedy ją zobaczyłem, nie wiedziałem o jej usposobieniu. To nie te niewyparzone usta sprawiły, że zaparło mi dech w piersi.

Sprawiły to jej włosy. Czarne, gęste, zupełnie proste, przerzucone falą przez jedno ramię. Te usta. Czerwone jak pieprzona truskawka. Ta mlecznobiała skóra. Jej kolory były tak wyraźne. Tyle kontrastów. Chwilę zajęło mi, żeby całą ją ogarnąć.

A potem podniosła wzrok, przyłapała mnie na gapieniu się i przyszpiliła w miejscu siłą swojego spojrzenia.

Nigdy wcześniej nie widziałem takich oczu. Zielone jak najznamienitszy jadeit i skośne w rogach, jak u kota.

Tak, dokładnie o to chodzi. Ona przypomina mi kota syjamskiego. Elegancka i wyniosła. Sprężysty krok, pazury ostre jak szpilki i zęby stworzone do kruszenia kości.

A to sprawiło, że ból, który widocznie odczuwała, stał się jeszcze bardziej interesujący.

Nie jestem mężczyzną, którego ciągnie do dam w opałach. Słabe kobiety są dla mnie wyjątkowo nudne. Jednak kombinacja twardej gadki i delikatnego wnętrza wywołała u mnie taką erekcję, jakiej nie miałem od lat. Opuszczenie jej przy barze, kiedy kazała mi zostawić ją w spokoju, było bolesne.

Dosłownie. Kutas pulsował mi tak mocno, że zastanawiałem się nad wezwaniem pomocy medycznej.

Wyobrażałem sobie, że moja dłoń to te truskawkowe usta, kiedy doprowadziłem się do niesatysfakcjonującego szczytu w męskiej toalecie.

Założyłem, że nasze krótkie spotkanie było ostatnim, więc poczułem ekscytację, kiedy dostrzegłem ją przy bramce do odprawy na mój lot. A potem, już nie tak podekscytowany, usłyszałem desperację w jej głosie, kiedy błagała rozgniewaną kobietę o pomoc.

Mój ojciec umiera. Muszę przy nim być. Jeśli umrze, a mnie przy nim nie będzie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Właśnie ta ostatnia część chwyciła mnie za serce i sprawiła, że zaproponowałem jej swoje miejsce. Ponieważ jeśli ktokolwiek zna ten ciągnący się wstyd tej konkretnej sytuacji, to właśnie ja.

Dlatego wkroczyłem.

A ona znowu obdarzyła mnie tym kocim spojrzeniem.

Jednak tym razem dała mi coś nawet potężniejszego.

Inspirację.

Kiedy samolot, na pokładzie którego miałem siedzieć, zaczyna powoli wycofywać spod bramki, wciskam guzik na swoim telefonie. Po kilku sygnałach moja prawa ręka, Antonio, odbiera telefon w atelier we Florencji.

– *Pronto?*[7]

Po włosku odpowiadam:

– Mam dobre wieści.

Przekleństwo przepełnione ulgą, a po nim długi wydech.

– Zatrudniłeś nowego projektanta?

Stukam palcem w okładkę szkicownika. Uśmiech satysfakcji podnosi kąciki moich ust. Samolot zmienia kierunek i rusza pasem startowym, nabierając prędkości.

– Coś w tym stylu – odpowiadam.

Milczenie Antonia przepełnione jest pytaniami, ale dobrze wie, że nie powinien pytać, jeśli sam nie mówię od razu.

– Powiedz wszystkim, że mają być gotowi do pracy, kiedy tylko wrócę. *Ciao*[8].

Rozłączam się, po czym wybieram numer, który już zdążyłem zapamiętać. Mam zamiar zostawić wiadomość głosową dla mojej czarnowłosej syreny, żeby odsłuchała po wylądowaniu, więc zaskakuje mnie, że połączenie odbiera mężczyzna z ostrym, brooklyńskim akcentem i uporczywym kaszlem.

– Halo? Kto mówi?

Nie podoba mi się jego głos. Ani to dziwne uczucie w żołądku. Warczę:

– Z tej strony Matteo, *signor*[9]. Markiz Moretti. Z kim rozmawiam?

Ze słuchawki dobiega mnie pijacki rechot.

– Kto, ja? Jestem baron von pieprzony Trapp, stary.

– Jest pan spokrewniony z panną Bobbitt? – pytam.

– Z kim?

Zgrzytam zębami.

– Lorena Bobbitt. Mieszka tam?

Mężczyzna po drugiej stronie staje się waleczny.

– Czy to jakiś pieprzony żart, stary? Robisz dowcipy przez telefon? Bo jeśli tak, to wsadzę rękę do słuchawki i wyrwę ci ten pieprzony…

– Sir! – warczę wściekły. – Zna pan tę panią czy nie?

Znowu zaczyna rechotać.

– Tak, znam ją. Każdy zna dziwkę, co obcięła mężowi fiuta, kiedy spał, stary. Hej… to jest nagrywane? Jestem w radio? Angie, jestem w radio! – krzyczy gdzieś za siebie.

Rozłączam się tak wściekły, że uszy mi płoną. Wpisuję nazwisko Lorena Bobbitt do wyszukiwarki internetowej w telefonie, a potem ze zdumieniem czytam artykuł w Wikipedii.

Najwidoczniej moja syjamska kotka obok niewyparzonej buźki ma też dość mroczne poczucie humoru.

Kiedy mija pierwszy szok, odrzucam głowę w tył i śmieję się w głos.

Potem rezerwuję następny lot do Florencji. Czuję, jak buduje się we mnie ekscytacja, więc staram się wyrzucić z głowy ponętną nieznajomą, której więcej nie spotkam. Muszę zająć się wiosenną kolekcją Domu Moretti.

Uśmiecham się, głaszcząc okładkę szkicownika.

Cóż to będzie za kolekcja.

PIĘĆ

Kimber

Kiedy tylko samolot ląduje we Florencji i odbieram swój bagaż, łapię taksówkę i zmierzam wprost do szpitala, popędzając kierowcę tyle razy, że zaczyna na mnie psioczyć. Po drodze sprawdzam pocztę głosową w nadziei, że nie znajdę tam wiadomości od Dominica. To najstarszy i najbliższy przyjaciel mojego ojca, właśnie on przesłał mi list kurierem, żeby przekazać okropne wieści i wiem, że gdyby zadzwonił ponownie, kiedy siedziałam w samolocie, to oznaczałoby złe wieści.

Na szczęście nie kontaktował się. Odsłuchuję wiadomości od Danielle i Jennera, oboje chcą, żebym do nich zadzwoniła, kiedy się rozgoszczę, a potem zamieram, kiedy w następnej wiadomości słyszę głos Brada:

Hej, Kimber. Yy… to ja. Czy mogłabyś, yy… zadzwonić do mnie, kiedy będziesz miała czas? Musimy porozmawiać.

Jasna. Dupa.

Kiedy słyszę jego głos, wpadam w taką wściekłość, że prawie wyrzucam telefon przez okno taksówki. Zamiast tego wychylam przez nie głowę i biorę kilka głębokich haustów ciepłego, włoskiego powietrza.

To pierwszy raz, kiedy spróbował skontaktować się ze mną od czasu naszego niedoszłego ślubu. Pewnie dzwoni, żeby dowiedzieć się, kiedy zabiorę swoje rzeczy z mieszkania. Może sobie poczekać. Jeśli nie wrócę do San Francisco przed pierwszym, zapłacę kolejny czynsz z jego przeklętej, platynowej karty.

W szpitalu przy stanowisku informacji proszę, wyglądającego na śpiącego, pracownika, żeby wskazał mi pokój mojego ojca. Macha ręką w stronę końca korytarza i ziewa, kończąc tym samym naszą

rozmowę. Objuczona bagażem i mrocznym jarzmem przeznaczenia, ruszam w stronę wskazanego pokoju.

Kiedy wparowuję przez drzwi, pierwszym, kogo widzę, jest Dominic, siedzący na krześle przy łóżku ojca. Głowę ma opuszczoną. Usta poruszają się bezgłośnie w modlitwie, a między palcami ma przełożony różaniec. Podnosi wzrok, dostrzega mnie i skacze na równe nogi z rozłożonymi ramionami:

– *Tesoro!*[10]

Nie widziałam go od pięciu lat, ale jego pomarszczona twarz jest mi tak znajoma jak moja własna. Włosy ma teraz zupełnie białe, ramiona zaokrąglone, ale nawet po osiemdziesiątce pozostaje radosny i energiczny.

Rzucam wszystkie bagaże i podbiegam, żeby przytulić Dominica, a on całuje moje włosy.

– Boże, dobrze cię widzieć – szepczę, ściskając go mocno. – Nie zmieniłeś się ani trochę.

Angielszczyzną okraszoną ciężkim akcentem odpowiada:

– Ech, okłamujesz starca. Ale wybaczam. Ciebie też dobrze widzieć. Gdyby tylko okoliczności były bardziej sprzyjające.

Kiedy odsuwamy się od siebie, przez moment przyglądamy się sobie nawzajem z uśmiechem. Potem kieruję wzrok w stronę ojca leżącego bez ruchu na łóżku. Jest szczupły, prawie tak blady jak biała pościel wokół niego i podłączony do takiej ilości aparatury, że aż trudno zliczyć.

Łzy napływają mi do oczu, zakrywam usta dłonią i chwytam ramię Dominica, szukając wsparcia.

– Mój Boże, wygląda jakby już nie żył!

Dominic oznajmia cicho:

– Myślę, że czekał tylko na twoje przybycie.

Zaczynam drżeć. Kwaśna gula podchodzi mi do gardła i muszę przełknąć, zanim się odezwę.

– Lekarze nic nie mogą zrobić? – pytam cicho.

Jasne oczy Dominica wypełnia smutek.

– Bardzo mi przykro, *tesoro*. Jego serce jest nieodwracalnie uszkodzone. Lekarze są zaskoczeni, że przetrwał tak długo. Mógł

odejść w każdej chwili.

Niewielki okrzyk przerażenia umyka spomiędzy moich ust. Nogi mi drżą, podchodzę do boku łóżka i chwytam zimną, bezwładną dłoń ojca. Szepczę ochryple:

– Tato? *Papà*[11], słyszysz mnie?

Jedyną odpowiedzią jest słabe pikanie monitorów. Dominic podsuwa dla mnie krzesło i pokazuje, żebym usiadła. Jestem mu wdzięczna, bo nie mam pewności, jak długo jeszcze zdołałabym stać. Opadam na siedzenie i staram się powstrzymać łzy, które chcą popłynąć. Ocieram je, zdeterminowana, by pozostać dzielną.

Teraz nie pora na płacz. Nie, kiedy jego serce wciąż bije. Później będzie na to mnóstwo czasu.

Dominic kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Jadłaś coś? – pyta łagodnie.

Potrząsam głową, nie odrywając wzroku od twarzy ojca.

– Coś ci przyniosę. – Mężczyzna na palcach wychodzi z pokoju. Po chwili wraca z zimną kanapką i kawą z automatu.

Odwijam papier z kanapki, ale zapach mięsa sprawia, że żołądek mi się wywraca. Odkładam jedzenie na stolik przy łóżku i mówię Dominicowi, że zjem później. Próbuję kawy, ale udaje mi się przełknąć tylko łyk. Potem siedzimy w ciszy, słuchając buczenia i pisków maszyn, aż w końcu Dominic odchrząkuje.

– Kimber, jest coś, co powinnaś wiedzieć.

Zerkam na niego. Ton głosu sugeruje, że mogę oczekiwać kolejnych złych wieści.

– O co chodzi?

– Twój ojciec… – Wygląda na winnego, jakby właśnie zamierzał zdradzić okropny sekret.

Moje zmartwienie zbliża się do paniki. Siadam prosto na krześle.

– Mój ojciec co?

Dominic bierze wdech i patrzy mi w oczy.

– Ostatnio ożenił się ponownie.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Wpatruję się w niego zszokowana, siedzę jak wmurowana. W końcu odzyskuję głos i mówię oskarżycielsko:

– Powiedziałby mi.

Dominic potrząsa głową.

– Nie chciał odciągać uwagi od twojego ślubu. Wiedział, jaka byłaś podekscytowana, jak długo na to czekałaś i jak bardzo absorbowały cię wszystkie plany.

Jestem tym przerażona.

– Mój Boże, naprawdę jestem tak zapatrzona w siebie? Mój własny ojciec uważa, że nie może podzielić się ze mną dobrymi wiadomościami, bo wpadłabym w szał?

– Nie, *tesoro* – mówi łagodnie Dominic. – W ogóle nie o to chodzi. Przecież wiesz.

Ma rację. Wiem. Mój ojciec uważa, że słońce świeci wprost z mojego tyłka. Jestem jego radością i dumą. Każdemu, kto chce słuchać, chwali się swoją córką w Ameryce: jakim jestem sukcesem, jak genialnie radzę sobie z igłą, jaką mam głowę do interesów.

Wszystko to potężna przesada, ale on zawsze był moim największym fanem. Nawet pomimo tego, że miłość jego życia umarła, rodząc mnie, on zawsze sprawiał, że czułam się jak najcenniejszy skarb świata.

– Czyli mam… macochę – wypowiadam to słowo z wahaniem. Ma w sobie spory bagaż. Podnoszę głowę i wpatruję się w Dominica. – Gdzie ona jest? Dlaczego nie ma jej tutaj?

Wyraz twarzy Dominica staje się zbolały.

– Jest w domu z dziewczynkami.

Jestem zszokowana.

– Dziewczynkami? Jakimi dziewczynkami? – pytam ogłupiała.

Dominic znowu odchrząka. Robi to zawsze, kiedy jest zdenerwowany. Wierci się na krześle.

– Cornelią i Fasolką.

Bum!

Spada na mnie kolejna bomba. Jest nawet bardziej szokująca niż ta w sprawie macochy. Zawsze chciałam mieć siostrę… a teraz mam dwie? A jedna ma na imię *Fasolka*?

Próbuję wymyślić, co mogłabym powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. W przeciągu kilku sekund zyskałam trzech

nowych członków rodziny. Zamykam oczy, pocieram skronie i biorę głęboki oddech, żeby zebrać myśli.

– W porządku. To dobrze. Dziwnie, ale dobrze. – Patrzę na Dominica. – Wiesz co? Naprawdę się z tego cieszę. Zbyt długo był sam. Świetnie, że w końcu kogoś znalazł. Żałuję tylko, że nie wiedziałam wcześniej. Przyleciałabym na ślub…

– To było nagłe – przerywa mi Dominic, rzucając spojrzenie na mojego ojca. – Nikomu o tym nie powiedział. – Ponownie przenosi wzrok na mnie, a w jego oczach widzę cichy gniew.

– Nawet tobie?

Dominic potrząsa głową.

– Wzięli ślub w ratuszu, bez przyjaciół i rodziny – mówi i widać, że nie podobało mu się to.

– Co? To szaleństwo! Gdzie on poznał tę kobietę?

– Przyszła do sklepu i przedstawiła się.

Słychać cyniczną nutę w słowach *przedstawiła się*, która sugeruje chłodną kalkulację z jej strony, jakby polowała na męża. Niechęć w jego głosie jest tak oczywista, że czuję się poruszona. Nie mogę sobie wyobrazić, że mój ojciec ożenił się z kimś, kogo Dominic nie lubił. Ci dwaj są tak podobni sobie charakterami, że mogliby być braćmi.

– Więc o co jej chodzi?

Dominic znowu zerka na mojego ojca. Waha się przez chwilę, po czym wstaje i podchodzi do niewielkiego biurka obok drzwi do łazienki. Znajduje tam kartkę papieru i coś na niej pisze, a potem w ciszy podaje mi ją.

Napis głosi: *ona jest jak barakuda*[12].

Kiedy podnoszę na niego wzrok, przykłada palec do ust i potrząsa głową.

Nie chce mówić niczego złego o mojej macosze przy ojcu, nawet jeśli jest nieprzytomny.

– Rozumiem. – Składam kartkę, a żołądek mi się zaciska. – Porozmawiamy o tym później.

Przytakuje, a potem gładko zmienia temat:

– Zameldowałaś się już w hotelu?

– Hotelu? Planowałam zatrzymać się w domu. – Kiedy Dominic robi grymas, nieprzyjemne uczucie w żołądku staje się jeszcze gorsze. – Ale tak było, zanim dowiedziałam się, że jest tam tak tłoczno.

Przez barakudę.

Cholera.

Moje zniesmaczenie przechodzi w gniew. Jeśli mój ojciec popełnił na tyle poważny błąd, żeby poślubić kobietę, która nie żywi wobec niego na tyle podstawowych uczuć, żeby być przy jego łóżku, kiedy on umiera, to z pewnością nie zamierzam dać się wypędzić z domu, w którym się urodziłam. W tym akwarium jest mnóstwo miejsca dla wszystkich rybek.

Co zjada barakudy? Orki? Tak, będę orką. No chodź tutaj, rybeńko.

Przyglądając się mojej mentalnej gimnastyce, Dominic uśmiecha się.

– Bardzo ją przypominasz – mamrocze.

– Kogo?

– Twoją matkę. – Wykonuje znak krzyża na piersi. – Świeć, Panie, nad jej duszą.

Łzy powracają do moich oczu. Ocieram je nerwowo i pociągam nosem.

– Żałuję, że jej nie poznałam.

– Była bardzo kochającą, cierpliwą kobietą, ale miała lwie serce. – Oczy Dominica błyszczą od łez. – Twoja babcia była taka sama. Lwie serce. A historie, które słyszałem o twojej prababci… – Śmieje się i całuje opuszki palców. – *Fantastico!*[13]

Skaczę na równe nogi i zaczynam chodzić przy nogach łóżka, otulając się ramionami, żeby powstrzymać nagły dreszcz.

– Muszę porozmawiać z lekarzem.

– Powiadomię pielęgniarkę. – Wstaje i puszcza do mnie oczko. – Zapraszałem ją na randkę chyba z pół tuzina razy, ale ciągle powtarza, że ma chłopaka. Panie po sześćdziesiątce to niezłe kokietki.

Wychodzi, klepiąc mnie w ramię. Kiedy tylko drzwi zamykają się za nim, słyszę cichy, ochrypły głos:

– Kimberly.

Okręcam się na pięcie. Ojciec ma otwarte oczy. Patrzy na mnie ze słabym uśmiechem i odległym spojrzeniem, jakby patrzył przez kryształową kulę z jakiegoś odległego, magicznego miejsca.

– *Papà*! – Podbiegam do łóżka i opadam na jego pierś. Wybucham płaczem, kiedy tylko jego dłoń spoczywa na mojej głowie.

– Ćśś… Cichutko, mój aniele. Wszystko w porządku.

Podnoszę głowę i zerkam na ojca, ale przez łzy nie widzę go wyraźnie.

– Tak mi przykro – szepczę.

Uśmiechając się sennie, głaszcze moje włosy.

– Nie ma potrzeby.

– Ale nie widziałam cię od tak dawna. Nie było mnie przy tobie… – łkam.

– Żyłaś własnym życiem, aniele – przerywa. – Tak, jak powinnaś. – Przymyka powieki i wypuszcza cichy, urywany oddech, jakby rozmowa go wyczerpała.

– Zawołam lekarza!

Zaczynam wstawać, ale ojciec chwyta mnie za nadgarstek z zaskakującą siłą. Otwiera oczy, a jego wzrok jest ostrzejszy, bardziej skupiony. Z jakiegoś powodu wywołuje to w moim sercu jeszcze większe przerażenie.

– Nie. Jest za późno na lekarzy. Posłuchaj mnie, aniele. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. – Przyciąga mnie bliżej, a oddech ze świstem opuszcza jego pierś.

– *Papà*, proszę, nie mów! Pozwól, że zawołam lekarza…

– Twoja matka była miłością mojego życia.

Załamuję się i zaczynam szlochać. Opieram czoło na wątłej piersi ojca i zaciskam pięści na zimnym prześcieradle. Nie mogę słuchać, bo gdzieś w głębi czuję, że cokolwiek powie, będą to ostatnie słowa, jakie od niego usłyszę.

– Od dnia, kiedy się poznaliśmy, nigdy nie spojrzałem na inną kobietę. Żadna nie mogła się z nią równać. Kiedy umarła, moje serce stało się pustkowiem, na którym nic nie mogło wykiełkować. Tylko ty dawałaś mi radość, aniele. Tylko dzięki tobie funkcjonowałem.

Płaczę i płaczę, nie jestem w stanie powstrzymać łez.

– Ale życie jest dziwne. – Jego śmiech jest słaby, tak słaby, że ledwo go słyszę. – Kiedy już myślisz, że masz wszystko poukładane, dostajesz podkręconą piłkę, żebyś zrozumiał, że to nie ty podejmujesz decyzje.

Odsuwa mi włosy z twarzy i uśmiecha się, widząc moje wilgotne policzki.

– Znowu odnalazłem miłość, aniele. Pod koniec życia ten starzec odnalazł miłość.

Podnoszę głowę i mrugam, żeby powstrzymać łzy, które płyną mi po twarzy i kapią z brody.

– Cieszę się twoim szczęściem, *papà*.

Przytakuje, a jego wzrok znowu staje się odległy.

– Wiedziałem, że tak będzie. I wiem, że pokochasz ją tak jak ja. – Bierze głęboki wdech i skupia energię, żeby wypowiedzieć kolejne słowa. – Tylko pamiętaj: nic, co wartościowe, nie jest łatwe. To tyczy się wszystkiego. Łatwo przychodzi, łatwo odchodzi. Prawdziwie wartościowe rzeczy i ludzie zawsze będą z początku testować siłę twojego charakteru, ale każda kropla bólu na koniec okaże się tego warta. Nie poddawaj się, kiedy coś jest trudne. Trzymaj się rękami i nogami.

Delikatny dreszcz przechodzi jego pierś. Zamyka oczy i wygląda, jakby zapadł się głębiej w materac, jakby wszystkie mięśnie przegrały walkę z grawitacją. Ściska mój nadgarstek po raz ostatni. Spomiędzy warg wydobywa się westchnienie. Usta mu wiotczeją, zupełnie jak palce na mojej ręce.

Przerażenie obezwładnia mnie.

– *Papà?* – szepczę.

Z monitora wydobywa się długi, ciągły dźwięk.

– *Papà?!* – krzyczę.

Dominic i lekarz wbiegają do pokoju, ale mojego ojca już nie ma.

SZEŚĆ

Kimber

Kilka godzin później, po tym, jak zabrali ciało ojca, a ja wypełniłam wszystkie potrzebne dokumenty, Dominic prowadzi mnie do swojego samochodu i wiezie do domu ojca, a ja szlocham przy szybie, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

Teraz jestem sierotą. Bez ojca, bez matki ani żadnej rodziny, poza dwiema przyrodnimi siostrami, które są dla mnie zupełnie obce i macochą, która nie pofatygowała się do ojca w jego ostatnich chwilach.

Kiedy Dominic mówi mi, że ani razu nie pojawiła się w szpitalu, mam ochotę zacisnąć palce na jej gardle i wydusić życie z tej nieczułej wiedźmy. Powinna była wyjść za Brada. Pasowaliby do siebie dużo lepiej niż ona i mój kochający, dobrotliwy ojciec.

Il Sogno[14], nasza rodzinna posiadłość, została wybudowana w piętnastym wieku przez nieustraszonego DiSanto, który zarobił małą fortunę na tkaninach, a potem nagle stracił wszystko, gdy budowa została ukończona. Każdy kolejny DiSanto, który odziedziczył posiadłość, miał takiego samego finansowego pecha, mój ojciec również. Jeśli nie znało się mojej rodziny, to patrząc tylko na okazałość naszej posiadłości, można by pomyśleć, że jesteśmy majętni.

Ale, jak to zwykle bywa, pozory mylą. Chełpiąc się klasycznymi, włoskimi ogrodami, lustrzaną sadzawką i spektakularnym widokiem na Florencję, *Il Sogno* leży na wzgórzu nad miastem i w ciszy popada w ruinę. Kiedy wyjeżdżamy za róg długiego, żwirowego podjazdu i dostrzegamy okazały, stary budynek, ściska mnie w piersi, kiedy zdaję sobie sprawę, że ojciec nie wybiegnie, żeby mnie przywitać, jak robił zawsze, kiedy przyjeżdżałam ze szkoły na letnie wakacje.

Przez chwilę ból jest tak ogromny, że nie mogę oddychać.

Potem Dominic parkuje samochód, wyłącza silnik i odwraca się do mnie z ponurą miną.

– Wejdę z tobą – mówi mrocznym głosem, jakby miał przy sobie broń, której moglibyśmy potrzebować.

Ta moja macocha musi być naprawdę wyjątkowa.

Żwir chrzęści nam pod stopami, brniemy wzdłuż rzędu cyprysów rosnących przy podjeździe, aż stajemy przed wysokimi, drewnianymi drzwiami. Stukam i czekamy w ciszy, niezmąconej niczym, poza ćwierkaniem ptaków i powiewem wiatru między gałęziami drzew.

W końcu z wnętrza domu dobiegają odgłosy kroków, które zbliżają się niespiesznie. Potem drzwi się otwierają i ukazuje się w nich mężczyzna, którego nigdy nie widziałam.

Jest wysoki, ma włosy przyprószone siwizną i jest nienagannie ubrany w ciemny garnitur i krawat. Wydaje się zupełnie rozbudzony, chociaż jest już po północy. Widać, choćby po ubraniu, że nie wyrwaliśmy go z łóżka.

Kłania się lekko i mówi:

– *Buonasera*[15], *signor* Dominic. – Zwraca wzrok na mnie. Jego oczy mają niezwykły odcień szarości, jak zachmurzone niebo. Omiata mnie spojrzeniem z góry do dołu. Potem, idealną angielszczyzną, dodaje: – A ty musisz być tą piękną córką, którą ojciec tak bardzo kocha.

Wybucham płaczem.

Dominic z westchnieniem obejmuje mnie ramieniem i ściska lekko.

– *Sì*[16], Lorenzo. To córka Luki, Kimber. Właśnie jedziemy ze szpitala.

Nawet mimo łez widzę, jak obaj mężczyźni wymieniają spojrzenia. Kiedy twarz Lorenzo staje się szara, postanawiam nie obdarzać go taką niechęcią, jaką od razu zapałałam do macochy.

Przeżegnał się, mamrocząc:

– *Mio Dio*[17]. – Potem wskazuje nam ręką, żebyśmy weszli do środka, odsuwa się czym prędzej i szerzej otwiera drzwi, żebyśmy mogli przejść. – Wejdźcie, wejdźcie. Pomogę z bagażem.

Kiedy Lorenzo bierze moją torebkę i płaszcz, on i Dominic wymieniają kilka szybkich zdań po włosku. To musi mieć coś wspólnego z noclegiem, bo na koniec Lorenzo oznajmia:

– Przygotuję sypialnię dla gości.

„Sypialnia dla gości" to taki rodzinny żart. *Il Sogno* ma dziesięć sypialni, które pierwotnie miały pomieścić całą ogromną rodzinę założyciela. Ostatnio, jak pamiętam, tylko trzy były używane – znajdujące się na pierwszym piętrze główna i dwie mniejsze, przylegające do niej. Wszystkie pozostałe są na drugim, które zostało zamknięte lata temu, żeby zaoszczędzić na sprzątaniu i ogrzewaniu. Poza tapicerowanymi kanapami i wieloma niewygodnymi fotelami, które przyprawiają tylko o ból pleców, w domu jest jeszcze tylko jedno miejsce do spania – mała, zagracona, nieposiadająca okien „sypialnia dla gości" z łóżkiem polowym.

Na poddaszu.

– Co? – pytam, wciąż oszołomiona rozpaczą. – Nie… prześpię się w mojej starej sypialni.

Kiedy Dominic i Lorenzo zamierają, już dobrze wiem, co się stało.

Lorenzo delikatnie odchrząka.

– Ekhm. Niestety, to niemożliwe, *signorina*[18], ponieważ ten pokój zajmuje teraz Cornelia.

Jestem zszokowana. Mój ojciec oddał komuś moją sypialnię.

Moją sypialnię.

Twarz oblewa mi rumieniec tak gorący, że czuję go aż u nasady włosów.

– Cóż, nie zamierzam spać na poddaszu. Daj mi jakieś koce i prześpię się w bawialni, a jutro pojadę do hotelu.

Lorenzo znowu kłania się uprzejmie i mamrocze przeprosiny. Kiedy wychodzi z moim bagażem, zmierzając do bawialni na tyłach domu, Dominic mówi:

– To nie jest wina twojego ojca. – Posyła mi znaczące spojrzenie. – Nie miał wyboru.

Zaciskam zęby tak mocno, że mogą w każdej chwili pęknąć.

Zła macocha znowu atakuje.

– Więc kim jest ten Lorenzo? Dozorcą? – pytam spokojnie.

– Majordomusem – odpowiada Dominic. – Przynajmniej tak mówi na niego markiza.

– Kim jest markiza? – zadaję kolejne pytanie.

– Żoną twojego ojca.

Jestem zaskoczona.

– Jest arystokratką? – Unoszę zszokowana brwi.

– Z tego, co zrozumiałem, pochodzi z utytułowanej, ale zubożałej rodziny. – Macha ręką lekceważąco. – Wiesz, jak to jest w Europie, *tesoro*. Ubogich baronów i hrabiów jest tak samo dużo, co kościołów. Wiele starych rodów arystokratów straciło swoje fortuny, ale niezależnie, jak biedny się staniesz, tytuł możesz zachować. To imponuje ludziom, którzy nie znają niczego lepszego – mówi gorzko.

– Wiem, że masz ochotę dodać „jak Amerykanie", ale muszę ci powiedzieć, że w Nowym Jorku spotkałam arystokratę i nie zrobił na mnie wrażenia.

Dominic klepie moją dłoń.

– To dlatego, że masz głowę na karku. A teraz chodź, musisz trochę odpocząć. Będziesz tego potrzebować.

Z tymi złowieszczymi słowami, dźwięczącymi mi w głowie, podążam za nim, wykończona i ze złamanym sercem, a on prowadzi mnie w głąb domu.

***

Kiedy się budzę, czuję gorąco i dezorientację. Strzyka mi w karku, a głowa pulsuje boleśnie. Przekręcam się na bok, otwieram oczy i znajduję się nos w nos z ogromnym, czarnym psem siedzącym przy kanapie.

Bez ruchu, bez mrugnięcia, wpatruje się we mnie głodnym wzrokiem, jakby właśnie zamierzał rozewrzeć swoją ogromną paszczę i mnie połknąć.

Wrzeszczę.

Pies odskakuje wystraszony, a potem cofa się zabawnie, jego wielkie łapy rozjeżdżają się i ślizgają na podłodze. Odwraca się i czmycha z pokoju, z położonymi uszami i schowanym ogonem, piszcząc.

Najwidoczniej przeraziłam go tak bardzo jak on mnie.

Z łomoczącym sercem odrzucam koc i siadam. Nadal jest wcześnie. Promienie słoneczne przedzierają się przez szyby, oświetlając drewnianą podłogę, aż lśni oślepiająco. Wstaję, pocieram twarz dłońmi i ruszam przez pogrążony w ciszy dom. Docieram do kuchni, gdzie znajduję Lorenza siedzącego przy dużym, drewnianym stole. Sączy espresso i czyta gazetę. Ma na sobie kolejny, nieskazitelny garnitur, tym razem stalowoszary. Zaczynam się zastanawiać, czy on w ogóle sypia czy po prostu zmienia ubrania i pracuje dalej.

– Dzień dobry. – Ziewam i zajmuję miejsce przy stole, naprzeciwko niego.

– Ach, dzień dobry, *signorina*. – Zamyka gazetę i odkłada ją na stół, obok filiżanki, a potem przygląda mi się tym samym, uważnym spojrzeniem, które sugeruje, że nigdy nic mu nie umyka. – Co podać? Espresso? Jajka? Może tosty z dżemem?

– Nie musisz zawracać sobie mną głowy, Lorenzo.

Podnosi się z uśmiechem.

– To dla mnie przyjemność. – Śmieje się. – A także moja praca.

– W takim razie poproszę espresso.

Obserwuję, jak przechodzi przez kuchnię w stronę lśniącego, czarnego ekspresu do kawy po drugiej stronie. Jego ruchy są w pewnym sensie ekonomiczne, jakby nie chciał marnować ani grama energii, żaden krok nie jest nieplanowany. Wręcz promieniuje wydajnością. Musiał być darem bożym dla mojego bałaganiarskiego, nieuporządkowanego ojca.

Papà.

Przygryzam wnętrze policzka, żeby nie wybuchnąć płaczem, a potem staram się pozbierać, zanim Lorenzo zaparzy espresso. Kiedy stawia przede mną małą, porcelanową filiżankę, udaje mi się odzyskać większość kontroli nad sobą, ale głos nadal mi drży.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, splata dłonie, a potem po prostu wpatruje się we mnie w ciszy.

– Co? – pytam po dłuższej chwili.

– Wybacz, że tak patrzę, *signorina*. Po prostu mam wrażenie, jakbym już cię znał. Twój ojciec tak często o tobie opowiadał, że czuję, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

Cholera.

Znowu czuję, że rośnie mi gula w gardle i muszę mocno mrugać, żeby pozbyć się łez z oczu. Przełykam espresso, krzywiąc się, kiedy parzy mnie w język.

– Jak długo pracowałeś dla mojego ojca, Lorenzo?

– Odkąd w czerwcu wzięli ślub z markizą.

Jest sierpień. Ojciec utrzymywał swój ślub w tajemnicy przez dwa miesiące. Wiem, że to nie espresso sprawia, że czuję gorzki posmak w ustach.

Lorenzo dodaje:

– Ale z markizą jestem od ponad trzydziestu lat.

To zaskakuje mnie tak bardzo, że prawie upuszczam filiżankę.

– Trzydzieści lat? – pytam oszołomiona.

Kiwa głową.

– Jeszcze zanim zmarł jej pierwszy mąż. To dla mnie zaszczyt, że służę w jej domu od tak dawna.

Więc ta tajemnicza markiza była wdową przez trzydzieści lat, zanim poślubiła mojego ojca. Prawie dokładnie tyle, ile on był wdowcem. Ta informacja wydaje się w jakiś sposób istotna, ale nie wiem, dlaczego. Wtedy inna ważna kwestia przychodzi mi do głowy.

– Powiedziałeś, że to dla ciebie zaszczyt służyć w jej domu?

Lorenzo odpowiada z dumą:

– Nigdy nie znałem znamienitszej osoby.

Przyglądam się jego twarzy, ale nie znajduję w niej ani śladu sarkazmu. Zdecydowanie nie podziela opinii Dominica. Nie wiem, jak rozumieć dwa tak sprzeczne punkty widzenia, zwłaszcza że powinnam jej nienawidzić za to, że nie przyciągnęła swojego znamienitego tyłka do szpitala.

– Powiadomiono ją o śmierci ojca?

Lorenzo przyjmuje mój ton bez mrugnięcia, choć jest on wyraźnie wrogi.

– Tak, oczywiście – odpowiada.

– I? – Patrzę na niego znacząco.

Lorenzo marszczy brwi z niezrozumieniem.

– Słucham, *signorina*?

– Cóż… czy była zmartwiona? Co powiedziała? Jak zareagowała? – Zasypuję go pytaniami.

W jego szarych oczach pojawia się iskierka emocji, ale natychmiast znika. Spokojnym, cichym głosem odpowiada:

– Markiza nie pokazuje emocji w obecności służby. I, proszę wybaczyć, nawet gdyby to zrobiła, nie zdradziłbym tego nikomu.

On jest w niej zakochany, olśniewa mnie myśl.

To wydaje się oczywisty powód, dla którego jest z nią od tak dawna, mówi o niej tak wzniośle i w jego oczach widać emocje, choć stara się je kontrolować. Lorenzo jest zakochany we wdowie po moim ojcu i to trwa od…

O cholera. Czy oni mają romans?

To wyjaśniałoby, dlaczego markiza nie pojawiła się w szpitalu. Była zajęta kimś innym. Może nigdy nie kochała mojego ojca. Może wyszła za niego tylko dlatego, że była przekonana o posiadaniu przez niego majątku. O pieniądzach, które utrzymałyby ją i jej kochanka, Lorenza.

Nagle tak się wściekam, że policzki mi płoną.

Obserwując mnie, Lorenzo mówi:

– Przepraszam, jeśli to, co powiedziałem, rozzłościło cię, *signorina*. Nie zamierzałem okazać braku szacunku, chciałem być tylko szczery.

Odstawiam filiżankę na stół i biorę głęboki oddech, próbując się uspokoić, bo nie mam dowodów, że moje przypuszczenia są prawdą. Mój ojciec nie żyje i przepełniają mnie emocje, więc tylko wszystko pogorszę, jeśli zrobię scenę i zacznę rzucać oskarżenia oparte tylko na przeczuciu. Ale maleńki głos w mojej głowie przypomina mi, że zignorowałam wszystkie sygnały ostrzegawcze w kwestii sekretów Brada i nie powinnam ponownie popełnić tego samego błędu.

– Doceniam twoją szczerość – mówię sztywno, patrząc na swoje palce zaciśnięte wokół delikatnego uszka filiżanki. – I jestem pewna, że zrozumiesz moje dzisiejsze zachowanie. – Podnoszę wzrok i napotykam jego spojrzenie, pozwalając mu dostrzec wszystkie kotłujące się we mnie emocje. Mój głos staje się surowy od bólu: –

Osoba, którą kochałam najbardziej na świecie, nie żyje i nie zamierzam przed nikim ukrywać tego, co czuję.

W oczach Lorenza pojawia się współczucie, ale zanim zdoła cokolwiek powiedzieć, szelest spódnicy sprawia, że odwracamy się w stronę drzwi. Oto ona, stoi tam z uniesioną brodą i prostymi plecami, władcza niczym cesarzowa.

Markiza.

Lorenzo wstaje i kłania się, ale ja nie potrafię oderwać wzroku od macochy. Nie dlatego, że jest taka piękna, choć rzeczywiście jest olśniewająca, ani z powodu wspaniałości jej ubioru czy też faktu, że sama jej obecność sprawia, że powietrze skrzy.

Chodzi o to, że nigdy nie widziałam osoby tak przeszywająco zimnej. Jest znakomitym, lodowym ideałem, od czubka blond głowy aż po brzeg srebrnej sukni *dupioni*[19]. Choć widać, że nie jest młoda, jej skóra jest jędrna i pozbawiona zmarszczek. Oczy mają nieludzki odcień błękitu, elektryczny, jak u cyborga.

Promienieje od niej ostra, lodowata intensywność. Jest górą lodową z oczami, odzianą w szyty na miarę jedwab.

– Lady Moretti – mamrocze Lorenzo w podłogę. – Proszę pozwolić, że przedstawię, *signorina* DiSanto. – Wskazuje w moją stronę.

Patrzymy na siebie z markizą. Żadna z nas nie wykonuje najmniejszego ruchu. Lorenzo prostuje się i spogląda na mnie.

– Kimber, to Lady Moretti.

I tyle? Mam się do niej zwracać w taki sposób? Nie jestem nawet godna używać jej imienia? I dlaczego właściwie Lady Moretti, a nie pani DiSanto? Nie przyjęła nazwiska ojca?

Za cholerę, nie.

– Cześć – mówię bez emocji.

– Witaj, Kimber – odpowiada markiza.

Jej głos jest taki, jak cała ona: oziębły. Skoro zwracam się do niej po angielsku, odpowiada tym samym. Mam wrażenie, że ten język wydaje jej się brudny, jak coś zarezerwowanego dla plebsu i nie użyłaby go w innej sytuacji.

Jakby ktoś trzymał broń przy jej głowie i zmuszał do mówienia, oznajmia lodowatym głosem:

– W końcu spotykam ukochaną córkę Luki. Twój ojciec nie mówił o nikim innym.

Werdykt zapadł: nie znoszę tej suki. Posyłam jej najbardziej jadowity uśmiech.

– Zabawne, o tobie nigdy nie wspomniał.

Jej mroźna perfekcja pozostaje nietknięta. Po prostu wpatruje się we mnie z niezachwianą intensywnością, ani śladu emocji w jej lodowatych oczach cyborga.

Lorenzo odchrząkuje.

– Może *signorina* DiSanto chciałaby poznać Cornelię i Fasolkę?

Pytanie zostało skierowane do góry lodowej, ale nie przywykłam, żeby ktoś podejmował za mnie decyzje, więc odpowiadam, zanim cokolwiek wydobędzie się spomiędzy jej lodowatych ust.

– Tak, chciałabym poznać moje przyrodnie siostry.

Przebłysk zaskoczenia pojawia się w oczach markizy. Unosi bladą dłoń do szyi. Jakiś bardzo daleki krewniak uśmiechu muska jej usta, ale czmycha, zanim uda mu się zadomowić na tak nieprzyjaznym gruncie.

– Siostry przyrodnie – mruczy. – To takie urocze.

Co w tym zabawnego? Czy powinnam zwracać się do nich per „jej wysokości" czy coś?

Jednak tajemnica wkrótce się wyjaśnia, kiedy Lorenzo przykłada dwa palce do ust i gwiżdże tak przeszywająco, że aż się wzdrygam.

Odgłos pazurów, uderzających o drewnianą podłogę, zbliża się coraz bardziej, aż wielki, czarny pies, którego wcześniej widziałam, wypada zza rogu z wywalonym językiem. Pędzi w stronę Lorenza. W połowie drogi zauważa mnie, zatrzymuje się gwałtownie, a potem biegnie schować się za nogami markizy.

– Cornelia! – Lorenzo śmieje się. – No chodź, niemądra dziewczynko, nie bój się!

Szczęka opada mi z szoku.

To moja przyrodnia siostra? Jest *psem?*

Widocznie wystraszona Cornelia nieśmiało zerka na mnie zza spódnicy markizy. Kobieta sięga w dół i pokrzepiająco głaszcze ogromny łeb psa.

– Oddałaś moją sypialnię psu?! – wrzeszczę.

Cornelia, która wysunęła się już zza swojej pani, wraca ze skowytem do kryjówki.

Markiza obdarza mnie ostrym spojrzeniem, ale rozprasza ją widok małej, brzoskwiniowej, włochatej kulki wkraczającej władczo do pomieszczenia. Nos ma uniesiony wysoko, a puchaty ogon podryguje z dumą. Różowa, nabijana ćwiekami obroża, którą ma na szyi, waży prawdopodobnie więcej niż ona. Zatrzymuje się przy prawej stopie markizy i piorunuje mnie małymi, czarnymi oczkami, migoczącymi złośliwością.

– Niech zgadnę – mówię bez emocji. – To musi być Fasolka.

Słysząc swoje imię, maleńka, brzoskwiniowa kulka obnaża kły i warczy.

– Tak – stwierdzam, rzucając jej wściekłe spojrzenie. – Znam to uczucie, siostro.

SIEDEM

Kimber

– Pierdzielisz. – Jenner jest wyraźnie zszokowany.

– Nie pierdzielę. Każda ma własną sypialnię i jedzą przy stole. Ta duża jest na tyle wysoka, że nie potrzebuje krzesła, po prostu siedzi na podłodze i chłepce jedzenie prosto z talerza, ale ta mała złośnica ma specjalne krzesełko, jakie dają dzieciom w restauracjach, tyle że jej jest wyścielane jedwabiem.

– Dobry Boże – mówi Jenner. Nie widzę go przez telefon, ale wiem, że zadrżał. – Psy, które jedzą przy stole? Odrażające.

– Odrażające jest dopiero to, że psy mają swoje szafy – dodaję.

– Nie mów. Twoja zła macocha ubiera je w sukienki?

– Jest jeszcze lepiej: zła macocha ubiera je w sukienki, które mój biedny ojciec uszył ręcznie.

Po chwili ciszy Jenner mówi:

– Och, skarbie. Ona musi mieć magiczną cipkę, skoro skłoniła faceta do zrobienia czegoś takiego.

– Mam ochotę kopnąć ją w tę magiczną cipkę, tyle ci powiem – mamroczę.

Po naszym katastrofalnym spotkaniu przy śniadaniu, markiza i ja wycofałyśmy się do przeciwległych końców domu. Razem z psami pojawiła się ponownie na lunchu, tym razem w pasujących strojach. Cała nasza czwórka jadła przy długim, dębowym stole w oficjalnej jadalni, a panującą tam ciszę przerywało tylko mlaskanie Cornelii. Markiza i Fasolka spożywały swój posiłek z takimi samymi, dystyngowanymi manierami i z taką samą królewską pogardą.

Kiedy Lorenzo przyszedł, by poinformować nas, że prawnik ojca przybędzie później, żeby omówić kwestie finansowe i odczytać testament, skorzystałam z okazji, żeby wyjść. Już rozeznałam się

w okolicznych hotelach i zarezerwowałam pokój w pobliżu, więc nie będę musiała spędzić kolejnej nocy na kanapie.

Albo w pobliżu ZM, jak zaczęłam w głowie nazywać złą macochę.

– Więc kiedy odbędzie się pogrzeb? – pyta mój przyjaciel.

– Za trzy dni. Zorganizowałam wszystko dzisiaj rano.

Z pomocą Lorenzo, ponieważ nie mówię po włosku, a zaślepiona miłością wdowa po moim ojcu schroniła się w sypialni na samo wspomnienie pogrzebu. Prawdopodobnie żeby odtańczyć taniec radości na myśl o tym, co odziedziczy.

Il Sogno może i jest stare i rozpada się, ale ziemia ma swoją wartość. Sam widok na Duomo[20] jest bezcenny. ZM z pewnością zamierza sprzedać ją temu, kto da najwięcej w chwili, gdy pogrzeb dobiegnie końca. Nie wiem nic na temat prawa spadkowego w tym kraju, ale zważywszy na sposób, w jaki mój ojciec o niej mówił, ZM dostanie wszystko, łącznie z wycieraczką.

Nie żeby mnie to obchodziło. Bez niego to tylko kolejna, stara posiadłość na wzgórzach. To on czynił ją wyjątkową. Nie dorastałam tutaj. Przyjeżdżałam tylko raz do roku – nie wiąże mnie z tym miejscem nic, poza bolesnymi wspomnieniami, a tych mam już dość na całe życie.

– A ty jak się trzymasz, Poppins? – pyta Jenner łagodnie. – Ten tydzień był dla ciebie koszmarny.

Zamykam oczy i odwracam wzrok od gorącego, popołudniowego słońca. Wyszłam na zewnątrz do zaniedbanego ogrodu na tyłach domu, żeby pobyć z motylami i ptakami, w nadziei, że dzięki spokojnemu spacerowi uda mi się uniknąć nadciągającego załamania nerwowego, ale upał dokucza mi tak samo mocno, jak zmiana strefy czasowej, a ptaków nigdzie nie widać.

Pewnie ZM ugotowała je w swoim kociołku.

– Jakoś żyję – wzdycham ciężko. – W zasadzie chyba jestem w szoku. To nadal nie wydaje się prawdziwe. Wszystko to. Brad, ślub, mój ojciec, jego tajemnicza żona… to wszystko jak sen.

– Bardziej jak koszmar – stwierdza Jenner ze współczuciem.

– Dość już o moich problemach. – Macham ręką, żeby odgonić ponury nastrój. – A co u ciebie? Co nowego w świecie modelingu?

– Wiesz, to co zwykle: kokaina, bulimia, fałszywi przyjaciele. Już nie mogę się doczekać, kiedy zacznę się marszczyć, żebym mógł przejść na emeryturę i zrobić coś znaczącego ze swoim życiem.

Dobrze wiem, że Jenner nie dotyka narkotyków, nie ma problemów żywieniowych ani fałszywych przyjaciół. Poznałam ich wszystkich i są prawie tak fantastyczni jak on. Stereotypy na temat modeli są przygnębiająco mylne. Można by pomyśleć, że piękni ludzie będą bardziej porąbani niż cała reszta nas, ale z tego, co widziałam, to nieprawda. Jenner po prostu lubi udawać, że tak jest.

– Jesteś zbyt piękny, żeby się pomarszczyć. Odkąd się poznaliśmy, wyglądasz tylko lepiej – komentuję.

Wzdycha, jakby jego uroda była okropnym problemem, który gnębi go od lat.

– Wiem. Porozmawiajmy o czymś innym. O, opowiadaj mi o tych wszystkich cudnych Włochach! – woła z entuzjazmem.

Uśmiecham się i wchodzę głębiej do ogrodu. Kluczę żwirową ścieżką w stronę kamiennej fontanny. Po wszystkich tych latach nadal jest piękna i wciąż stanowi jedną z moich ulubionych rzeczy. Przedstawia Afrodytę i jej kochanka, Aresa, w namiętnym uścisku. To ślubny prezent od mojego ojca dla matki. Pozostaje sucha od dnia, kiedy umarła dwadzieścia dziewięć lat temu.

– Poznałam tylko jednego cudnego Włocha, ale to było w Nowym Jorku. Cholera, był niezłym ciachem – przyznaję się Jennerowi.

– Nawet tutaj słyszę, jak się ślinisz, Poppins! Opowiadaj wszystko!

Opowiadam mu skróconą wersję historii, koncentrując się na szczegółach wyglądu Adonisa i tego, co miał na sobie, bo wiem, że to dwie kluczowe kwestie. Jenner sapie i wykrzykuje we wszystkich właściwych momentach, a potem z ekscytacją pyta, kiedy się z nim zobaczę.

– Nie podałam mu prawdziwego numeru, głuptasie.

– A niby dlaczego nie?

– Bo, *hello*, dopiero co zostałam porzucona przy ołtarzu! Nie pałam obecnie szczególnie ciepłymi uczuciami do mężczyzn! – wyjaśniam oczywistą kwestię.

– A kto tu mówi o uczuciach? Chodzi o seks dla zemsty! Cholera, prześpij się z każdym włoskim ogierem, jakiego spotkasz! Jaki jest

lepszy sposób, żeby pozbyć się Brada z myśli? Serio, przecież właśnie pływasz w oceanie testosteronu, kochana. Zanurz się w nim!

– Chyba nie o moim zanurzaniu mówisz – rzucam oschle.

– Nie czepiaj się. Korzystaj! Zanurz się! Zatrać w tym! Dobry Boże, gdyby chodziło o mnie, biegałbym nago po ulicach!

– Tak, widziałam te zdjęcia.

Jego ton staje się opryskliwy:

– Nie oceniaj, kochana. To był mój pierwszy pokaz w Paryżu. Miałem siedemnaście lat.

– Naprawdę? A jaką masz wymówkę na to, co wydarzyło się w ubiegłym roku na pokazie Issey Miyake w Tokio? – przypominam mu.

– To był mój pierwszy raz w Japonii! – odpowiada niewinnie.

– Rozumiem. Przypomnij mi, żebym nie jechała z tobą w żadne miejsce, w którym wcześniej nie byłeś.

– Przecież już widziałaś mnie nago.

– Ilość ludzi, którzy nie widzieli cię nago, to bardzo niewielka liczba, mój przyjacielu.

– Cóż – oznajmia nonszalancko. – Człowiek robi to, co musi, żeby szerzyć piękno w życiu tych, którzy mieli mniej szczęścia.

Śmieję się, bo wiem, że on naprawdę tak myśli.

– Czy ostatnio mówiłam ci, że cię kocham?

– Mówisz mi to niepokojąco często, skarbie. Jak na taką ostrą, twardą bizneswoman, jesteś okropnie ckliwa. – Stara się być protekcjonalny, ale znam go za dobrze.

– Phi. Uwielbiasz to i dobrze o tym wiesz – odparowuję.

Jego śmiech jest niski i ciepły.

– Uwielbiam *ciebie*, Poppins.

Przełykam, a łzy zbierają mi się pod powiekami. Z zaciśniętą piersią szepczę:

– Jesteś teraz moją jedyną rodziną.

Jenner wydaje się zaniepokojony.

– O Boże. Nie płacz. Zaraz i ja będę płakał, a właśnie nałożyłem tusz do rzęs za czterdzieści dolców.

Zaczynam się śmiać. Z nim nie da się inaczej.

– Już lepiej. A teraz posłuchaj mnie uważnie, kochana. – Jego głos jest pewny. – Jesteś najgorszą suką, jaką kiedykolwiek znałem. Przebrniesz przez to. Przez wszystko. I wyjdziesz jeszcze silniejsza. Słyszysz mnie?

– Tak – odpowiadam słabym głosem.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. Czy po drugiej stronie jest jakaś mała myszka?

– Powiedziałam: tak!

Wydaje się usatysfakcjonowany moim krzykiem i znowu się śmieje.

– Dobrze. Głowa do góry, Poppins. Łzy pozbawiają godności. I pamiętaj: seks z zemsty dobrze wpływa na cerę.

Rozłącza się, zanim znowu powiem mu, że go kocham, bo nie ma nic, czego Jenner nienawidzi bardziej niż konieczność przyznania, że naprawdę ma w piersi serce zamiast okrucha lodu, który udaje, że tam ma.

***

Kiedy kilka godzin później przyjeżdża prawnik, markiza zaprasza go do biblioteki i prosi Lorenza, żeby zajął się Cornelią. Z kolei Fasolka nie zostaje wykluczona ze spotkania i siada na kolanach swojej właścicielki, piorunując mnie wzrokiem, podczas gdy prawnik wyjmuje dokumenty z teczki i układa je na stoliku.

Mamrocząc do siebie, sprawdza kieszenie płaszcza. Odnajduje okulary, których szukał, umieszcza je na orlim nosie i zajmuje miejsce naprzeciwko nas, na skórzanej kanapie. Wskazuje dokumenty na stoliku kawowym pomiędzy nami i zaczyna strzelać jak z karabinu po włosku.

– Chwila. – Podnoszę dłoń.

Prawnik unosi na mnie wzrok.

– Po angielsku poproszę.

Kiedy krzywi się do mnie, mam złe przeczucia.

– Mówi pan po angielsku?

– Oczywiście, że mówię. Ale dlaczego miałbym to robić, skoro włoski jest o wiele lepszy?

Markiza uśmiecha się, głaszcząc Fasolkę, jakby była workiem diamentów.

Żar pełznie mi po szyi. Przypominam sobie, że morderstwo jest przestępstwem zagrożonym karą śmierci i mówię:

– Ponieważ ja nie mówię po włosku.

Teraz prawnik wygląda na zdezorientowanego. Zerka na markizę, potem na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Ale urodziłaś się w tym kraju, tak? I oboje twoi rodzice byli Włochami. Dlaczego miałabyś nie znać ojczystego języka? – pyta zdziwiony.

Na stoliku między nami stoi bardzo ładny, kryształowy przycisk do papieru, który zrobiłby piękne wgłębienie w czaszce tego idioty.

– Tak, urodziłam się tutaj, ale wychowywałam w Stanach. Przeniosłam się tam mając trzy lata, a ze szkoły wracałam tylko na letnie wakacje.

Kiedy prawnik wpatruje się we mnie, jakby to, co mówię, nie miało kompletnie żadnego sensu, wzdycham ciężko.

– Kiedy zamieszkałam z ciotką, ojciec chciał, żebym stała się „prawdziwą" Amerykanką, okej? Chciał, żebym dopasowała się do przyjaciół, a nie była wytykana palcami jako obca. Nigdy nie mówił do mnie po włosku – wyjaśniam.

Prawnik patrzy na mnie, jakbym poinformowała go, że strzeliłam jego matkę prosto w twarz.

– Nigdy nie mówił do ciebie po włosku? – Zszokowany wpatruje się w markizę. – Przecież to okrucieństwo wobec dziecka.

– Och, na litość boską, miejmy to już za sobą – ucinam te rozważania.

Fasolce nie podoba się mój podniesiony ton i warczy z głębi gardła.

Posyłam jej miażdżące spojrzenie.

– Jeszcze jeden dźwięk od ciebie, psie, a przerobię cię na torebkę – mówię do rozzłoszczonego kundla.

– *Per favore*[21]*, signor* Rossi, po angielsku – mówi markiza z chłodnym spokojem.

Nie patrzy na mnie, ale Fasolka wygląda, jakby miała zaraz eksplodować z furii. Może i nie mówię po włosku, ale najwidoczniej ten pies rozumie angielski. Gdyby nie dłoń markizy na jej grzbiecie, miałabym brzoskwiniową, włochatą kulkę zwisającą z nosa.

Mrużę oczy na Fasolkę, ona pokazuje mi kły, a *signor* Rossi chrząka z niedowierzaniem na moje okropne braki w wykształceniu.

– Dobrze, w takim razie po angielsku – oznajmia, wyraźnie urażony. – Zacznijmy. – Podnosi stertę spiętych dokumentów i zaczyna referować długą i okropnie nudną listę interesów mojego ojca, kont bankowych i przeróżnych innych, finansowych kwestii oraz wartości tego wszystkiego, czyli jakichś marnych groszy.

To żadna nowość. Chociaż był wyjątkowym projektantem, *papà* kompletnie nie miał smykałki do interesów. Bez przerwy pożyczał ludziom pieniądze, a oni nigdy ich nie oddawali. Zapominał płacić podatki na czas, więc kary były astronomiczne. Generalnie nie potrafił zarządzać pieniędzmi. Jedyne, co chciał robić, to szkicowanie, szycie i projektowanie. I chociaż jego dzieła były naprawdę piękne, nie wyceniał ich odpowiednio. Czuł się winny, że czerpie z tego korzyści finansowe. Był artystą, nie biznesmenem.

Wtedy *signor* Rossi mówi coś, co sprawia, że prawie spadam z krzesła.

– Teraz przejdźmy do nieruchomości. Dom i całą posiadłość niedawno wyceniliśmy na piętnaście milionów euro…

– Hola! Moment… czy powiedział pan piętnaście *milionów* euro? – przerywam mu.

– To około osiemnastu milionów dolarów, przeliczając na te wasze amerykańskie pieniądze – rzuca prawnik.

Wydaję z siebie dźwięk jak kot, który próbuje wykaszleć kłaczki i spoglądam na markizę. Odwzajemnia moje spojrzenie w nieprzeniknionej ciszy, a przez jej usta przebiega prawie niezauważalny uśmiech.

Ten uśmiech nie znika, kiedy prawnik dodaje:

– Oczywiście nie możesz sprzedać posiadłości, kiedy Lady Moretti wciąż żyje. To znaczy, bez jej pozwolenia.

Odwracam głowę tak szybko, aż jestem zaskoczona, że nie odpadła mi od szyi.

– Co? Ja? Sprzedać? Co? – plączę bezładnie.

Signor Rossi spogląda na mnie ponad oprawkami okularów i zaczyna mówić bardzo powoli, jak do kogoś z ograniczonymi możliwościami umysłowymi:

– Twój ojciec zostawił ci wszystko, Kimber. Interes, inwestycje, *Il Sogno*… wszystko. Jedynym zastrzeżeniem jest to, że musisz pozwolić Lady Moretti pozostać w domu aż do jej śmierci, jeśli wyrazi takie życzenie.

Wpatruję się w niego przez chwilę, a potem przenoszę wzrok na markizę, która pozostaje niewzruszona.

Patrząc na mnie tymi lodowatymi, niebieskimi oczami, oznajmia spokojnie:

– Wolałabym zostać w domu, ale jeśli moja pasierbica nie życzy sobie tego, oczywiście wyniosę się.

Mówi do niego, ale patrzy na mnie. Zagląda w głąb mojej duszy.

Rzuca mi wyzwanie.

– Mój ojciec zostawił mi ten dom? – szepczę.

– Tak – odpowiada *signor* Rossi.

– Ale… nie mogę go sprzedać, dopóki ona nie umrze? – dopytuję o szczegóły.

– Chyba, że Lady Moretti zgodzi się wyjechać, a to, jeśli dobrze rozumiem, skłonna jest uczynić, jeśli ją o to poprosisz – wyjaśnia prawnik.

– Zgadza się – oznajmia markiza.

W jej zimnym uśmiechu dostrzegam chyba szach-mat.

Cholera. Muszę jej to oddać. To odważny ruch.

Ona dobrze wie, że nigdy nie sprzeciwię się woli ojca. Niezależnie jak bardzo mogłabym jej nie lubić, niezależnie jak dobrze mogłabym spożytkować te pieniądze – *piętnaście milionów euro!* – nigdy nie poprosiłabym jej o wyprowadzenie się, skoro on chciał, żeby została.

To niesamowite ryzyko z jej strony, ale okazuje się przebiegłą kobietą. Prawdopodobnie rozgryzła mnie od pierwszego spojrzenia. Zapewne wiedziała, jak to wszystko się rozegra, aż do następnych słów, które właśnie opuszczają moje usta:

– Jeśli mój ojciec chciał, żebyś została tu aż do śmierci, to tak właśnie będzie.

Maleńki uśmiech markizy poszerza się dosłownie odrobinę.

Nie tak szybko, ZM.

– Ale nie mogę zagwarantować, że nie spotka cię jakiś nieszczęśliwy wypadek, który zmniejszy długość twojego życia o dobre kilka lat.

Satysfakcja, jaką czuję, kiedy chytry uśmiech znika z jej twarzy, to jedna z najwspanialszych chwil w moim życiu.

Prawnik przerywa nasz pojedynek na spojrzenia ostrym chrząknięciem.

– Jeśli chodzi o interesy twojego ojca, DiSanto Couture ma wspaniałą reputację ze względu na jakość. Jednak patrząc na księgi rachunkowe, przynosi straty. Nie ma obecnie równowagi pomiędzy przychodem, a zadłużeniem, więc oczywistym posunięciem będzie znalezienie kupca. – *Signor* Rossi podnosi wzrok znad dokumentów. – Chyba, że chciałabyś spróbować przejąć interes i postawić go na nogi.

– Nie. Nie zostanę tutaj. Muszę wracać do Stanów.

Przytakuje.

– Znajdziemy kupca. Zalecam spisać inwentarz i wycenić go konkurencyjnie, żeby podnieść cenę sprzedaży. Z tego, co widzę, jest tam spore pole manewru.

– Znam kogoś, kto będzie zainteresowany – mówi markiza.

Mogę się o to założyć, Cruella, myślę.

– *Bene*[22] – stwierdza prawnik, przytakując. Potem zerka na mnie. – To znaczy „dobrze”.

– Wiem, co to znaczy – burczę.

Ściąga wargi, jakby mi nie wierzył. Od razu ogarnia mnie wściekłość, ponieważ ogromne wahania nastroju to teraz moja nowa normalność.

– Skończyliśmy? Bo chciałabym zameldować się w hotelu przed kolacją – mówię, wcale nie ukrywając, że mam dość tej sytuacji.

Zanim zdąży odpowiedzieć, dzwoni mój telefon. Zerkam na numer i marszczę brwi, widząc, że to właściciel lokalu, w którym znajduje się mój sklep.

– Proszę wybaczyć na sekundę. – Wstaję i naciskam klawisz odbierania, wychodząc z biblioteki na korytarz. – Witam, panie Drummond. – Odbieram połączenie.

– Hej, Kimber.

Mężczyzna, od którego wynajmuję mój maleńki, ale horrendalnie drogi lokal na sklep, wydaje się niezwykle ponury, co od razu budzi alarm w mojej głowie.

Która godzina jest teraz w San Francisco? Szósta rano?

Spoglądam na zegarek i rzeczywiście, jest tam ledwo po świcie.

– Wszystko w porządku? Czynsz mam zapłacony, prawda? – pytam.

– Tak, czek jest w porządku. Nie dlatego dzwonię – odpowiada ponuro.

Kiedy bierze głęboki wdech, serce podchodzi mi do gardła.

– O co chodzi? Co się stało? – Jestem pełna niepokoju.

Po jego ciężkim wydechu poznaję, że to, co zaraz usłyszę, nie będzie dobrą wiadomością, ale nic nie może przygotować mnie na słowa, które padają z jego ust:

– Był pożar.

– Pożar? – Panika wybucha w mojej piersi.

– Przyczyna nie została określona, ale jest źle. Zajął się cały budynek. Stoję właśnie po drugiej stronie ulicy. Przykro mi, że ja muszę ci to powiedzieć, ale twój sklep i wszystko, co w nim było, nie istnieje. Zostały tylko popioły.

Stoję w miejscu jak wmurowana, nie mogę w to uwierzyć. Ostry wrzask odbija się echem w mojej czaszce. Moje dokumenty, komputer, wszystkie sukienki, które szyłam przez niezliczoną ilość godzin z taką pieczołowitością. Cały mój interes zniknął w ciągu jednej nocy.

To nie może się dziać naprawdę.

– Zgodnie z umową, musisz płacić czynsz, dopóki nie zostaniesz wykluczona z odpowiedzialności. Nie wiem, jak długo zajmie stwierdzenie, co się stało, więc – śmieje się z zażenowaniem – pierwszego będę oczekiwał kolejnego czeku od ciebie.

Nadchodzą kolejne ciosy.

OSIEM

Matteo

Nie wierzę w przeznaczenie, ale kiedy widzę ją wchodzącą do hotelowego baru, nie mogę opędzić się od myśli, że to coś więcej niż czysty przypadek.

Wygląda na wściekłą. Wkurzona, zajadła i piękna, jak bogini zemsty. Te czarne włosy, które chciałbym owinąć wokół nadgarstka, spływają kaskadami po jej ramionach. Policzki ma zaróżowione, oczy dzikie. Emanuje niebezpieczną, szaloną energią, jakby dopiero co uciekła z więzienia.

– Matteo? Słuchasz mnie?

– Przepraszam cię na chwilę, Antonio – zwracam się do mojego rozmówcy.

Bez wyjaśnienia podnoszę się od stolika – tego, przy którym zawsze siedzę, najlepszego, na tyłach sali – i ruszam w stronę baru.

Zajęła miejsce na samym jego końcu. Siedzi plecami do mnie. Przeczesuje włosy palcami, opiera łokcie o bar i opuszcza głowę na dłonie.

Zatrzymuję się za nią, podziwiając, jak światło wydobywa błękit z jej włosów.

– Jesteś zmartwiona – mówię.

Gwałtownie odwraca głowę. Kiedy mnie widzi, jej oczy otwierają się szeroko. Wpatruje się we mnie z rozchylonymi ustami i wyrazem niedowierzania na twarzy, który jednak szybko zmienia się w furię.

– Ty – mówi, jakby to było przekleństwo.

Uśmiecham się do niej, napawając każdą chwilą, łącznie z tym, jak wyraźnie chciałaby dźgnąć mnie w oko parasolką z drinka.

– *Buonasera*, panno Bobbitt. Odcięłaś komuś fiuta od naszego ostatniego spotkania? – pytam z ironicznym uśmiechem.

Patrząc na mnie, mruży swoje śliczne, zielone oczy.

– Wieczór jeszcze młody – mówię, powstrzymując śmiech i siadam obok niej.

– Co tu robisz? – pyta chłodno.

– Mieszkam tu – odpowiadam.

– W tym barze? – Unosi brwi.

– W tym mieście. Ale często przychodzę tu na drinka – wyjaśniam grzecznie.

Powoli wypuszcza powietrze, a potem mówi z cichym sarkazmem:

– Poczułeś się samotny w swoim pałacu?

– Nigdy nie jestem samotny – kłamię, wytrzymując jej zajadłe spojrzenie.

To dość niepokojące, jak szybko doszła do takiego wniosku i jak nieznośna jest dla mnie myśl, że mogłaby uznać mnie za słabego. Nie mogę sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy w ogóle obeszło mnie, co ktoś o mnie myśli.

Aż do teraz.

Zwilża wargi i mierzy mnie spojrzeniem, jak generał królestwo, które właśnie zamierza podbić. To elektryzujące.

– Chcę odzyskać swój szkicownik – oznajmia po chwili.

Uśmiecham się do niej.

– Szkoda, że wcześniej przehandlowałaś go za bilet lotniczy. – Wtedy przypominam sobie, dlaczego tak desperacko go pragnęła. – Co z twoim ojcem?

Kolory odpływają z jej twarzy. Krzywi się i odwraca wzrok.

– Przykro mi. – Poruszony jej bólem czuję, jak obezwładnia mnie nagła potrzeba wzięcia jej w ramiona. Muszę z całych sił walczyć, żeby utrzymać ręce przy sobie. – Jeśli mógłbym coś zrobić…

Odwraca głowę w moją stronę.

– Możesz oddać mi ten cholerny szkicownik! – mówi głośno, na co barman odwraca się i krzywi.

Kiedy widzi, że to na mnie wrzeszczy kobieta, uśmiecha się, kiwa głową i odwraca.

– Co dasz mi w zamian? – Uśmiecham się. – Skoro już tak bardzo lubisz handel wymienny.

Przez zaciśnięte zęby odpowiada:

– Wiesz co, nieważne. – Zakłada ramiona na piersi i potrząsa głową, mamrocząc coś o ludziach z głupimi tytułami i mężczyznach z przerośniętym ego, a także o innych rzeczach, aż jej przerywam:

– Jak długo zostajesz we Florencji?

– Nie twój interes – warczy wściekle.

Dio mio, jej podejście sprawia, że robię się twardy.

– Chciałbym zabrać cię na kolację.

Parska, ale w jakiś sposób brzmi to elegancko.

– Nie – odmawia mi. Tak po prostu.

To mnie szokuje. Nie tylko ostateczność tego stwierdzenia, ale samo słowo „nie".

Kobiety mi nie odmawiają.

Nigdy.

Mój kutas pulsuje i wydłuża się, próbując wydostać ze spodni.

– Śniadanie? – próbuję jeszcze raz.

– Nie.

– Hmm… W takim razie podejrzewam, że lunch też nie wchodzi w grę? – przypuszczam.

– Nie jestem zainteresowana spożywaniem posiłków z tobą, Hrabio Egotistico – wyjaśnia.

– Już ci mówiłem, że nie jestem hrabią.

– Tak, słyszałam. Wielkie mi halo. – Czarnowłosa piękność wzrusza ramionami.

Zniżam głos i pochylam się w jej stronę.

– Jeśli nie jesteś zainteresowana spożywaniem posiłków ze mną, *bella*, to co chciałabyś ze mną robić?

Kiedy odwraca gwałtownie głowę i piorunuje mnie wzrokiem, patrzę jej prosto w oczy.

– Bo oboje wiemy, że coś byś chciała. Ja również.

Rumieniec wypływa na jej policzki. Zagryza wargę. Coś wisi w powietrzu, ostrego i niebezpiecznego.

– Nie bawię się w przygody na jedną noc – parska z oburzeniem.

– A ile nocy zamierzasz tu zostać?

Patrzymy na siebie. Żyła pulsuje w zagłębieniu gardła ślicznotki. Oddech jej przyspiesza, a moja erekcja jest tak twarda, że w reszcie

ciała zapewne nie została już ani kropla krwi. Jakby niepewna, czy powinna odpowiadać, mówi:

– Pięć. Może sześć.

Gorąco, które mnie ogarnia, jest wyjątkowo intensywne. Nie pamiętam ostatniego razu, kiedy tak bardzo pragnąłem kobiety.

– Mnóstwo czasu, żeby pokazać mi dokładnie, jak nie lubisz mężczyzn z przerośniętym… ego – prowokuję ją.

Cisza przeciąga się, nie za długo, ale aż dudni przepełniona napięciem i niewypowiedzianą potrzebą. Wtedy, gardłowym głosem, mówi:

– Bardzo ich nie lubię.

To tak jawnie erotyczne, że prawie jęczę. Pochylam się bliżej, tak blisko, że czuję zapach jej skóry. Pachnie słońcem. Kapryfolium, cytrusami i jeszcze czymś, jakąś niezidentyfikowaną wonią, którą bardzo chciałbym pochłonąć. Mówię jej do ucha:

– W takim razie mnie naprawdę znienawidzisz. Będziesz mnie nienawidzić raz za razem. Upewnię się, *bella*, że znienawidzisz mnie bardziej, niż jakiegokolwiek innego mężczyznę w życiu.

Bierze głęboki wdech. Jej drżące palce spoczywają na moim ramieniu. Powoli wypuszcza powietrze.

– Dobra, gogusiu, wchodzę w to. Jestem w pokoju czterysta dwanaście. Daj mi dziesięć minut.

Odsuwa się i patrzy mi w oczy. W świetle świec jej skóra jest zarumieniona, oczy błyszczą, a usta mają odcień ciemnej czerwieni, kontrastując z bladą skórą.

Nigdy nie widziałem czegoś tak ślicznego.

Kiedy przytakuję, podnosi się z miejsca i wychodzi, nie odwracając się za siebie. Dopiero kiedy znika, zdaję sobie sprawę, że nadal nie znam jej imienia.

Poświęcam chwilę, żeby się pozbierać, potem wracam do stolika. Antonio najwyraźniej obserwował nasze spotkanie, bo pyta:

– Znasz ją?

Uśmiecham się, myśląc o wszystkich sposobach, na które zamierzam poznać tę uroczą istotę. Wszystkie te przepyszne, niegrzeczne sposoby…

– Skończmy na dzisiaj. Coś mi wyskoczyło.

Antonio zerka na wypukłość w moich spodniach i unosi brew.

– Ewidentnie – komentuje złośliwie.

Bez słowa wyjmuję pieniądze z portfela, zostawiam je na stole, żegnam się z Antoniem, a potem ruszam do lobby, bo chociaż powiedziała dziesięć minut, dla mnie to o dziewięć i pół za długo.

DZIEWIĘĆ

Kimber

Fakt, który ostatnio zrozumiałam: wszyscy kobieciarze są tacy sami. Aroganccy, samolubni i przekonani, że wyświadczają ci przysługę, kiedy kierują penisa w twoją stronę.

Mam tego dość.

Kiedy wracam do pokoju, nastawiam gorącą wodę na kąpiel i zaglądam do minibarku w czasie, kiedy wanna się napełnia. Uzbrojona w pokaźną ilość rumu i coli rozbieram się, związuję włosy w kok i z jękiem rozkoszy wślizguję się do gorącej wody.

Co za gówniany dzień. *Tydzień*.

Zamykam oczy i, co jakiś czas popijając drinka, pozwalam, żeby moje myśli odpłynęły.

Jak papà mógł ożenić się z tą kobietą? *Tą pozbawioną serca, lodowato zimną kobietą?* Myśląc o tym zaczynam się wściekać i wychylam resztę drinka. Potem moje myśli przenoszą się na Adonisa i wkurzam się jeszcze bardziej.

Jest taki piękny. I co z tego? Widać, że to rozpustnik. Jeśli ze mną poczyna sobie tak agresywnie, jestem pewna, że robi dokładnie to samo z każdą kobietą, którą spotka. Niech mnie piekło pochłonie, jeśli znowu okażę się tak naiwna jak w związku z Bradem.

Nie mam pojęcia, kto jest w pokoju czterysta dwanaście, ale mam nadzieję, że to ktoś porywczy i lubiący rękoczyny.

Wyobrażam sobie, jak Adonis dostaje w gębę od jakiegoś gościa hotelowego, który zirytował się, że ktoś mu przeszkadza, i złośliwy uśmieszek wypływa na moje usta. Ale wtedy czuję się winna, bo gdyby nie on, nie zdążyłabym dotrzeć do szpitala, żeby usłyszeć ostatnie słowa ojca.

Wtedy niespodziewanie zalewam się łzami.

Leżę w wannie i pozwalam, żeby ból wypływał ze mnie. Jest go tak wiele, że czuję, jakbym się dusiła. Muszę odstawić szklankę na brzeg wanny, bo ręce drżą mi tak bardzo, że nie mogę jej utrzymać. Siadam, obejmuję kolana ramionami i płaczę, aż nie pozostają mi już żadne łzy, a woda robi się zimna.

Potem osuszam się i robię sobie kolejnego drinka.

Wtedy dzwoni telefon.

– Halo?

– *Buonasera* – mówi ochrypły głos, który rozpoznałabym wszędzie.

– Jak zdobyłeś ten numer? – rzucam, a twarz zaczyna mi płonąć.

Słyszę śmiech, nawet seksowniejszy niż głos.

– Mam przyjaciół w recepcji. Najwidoczniej zrobiłaś niezłe wrażenie, meldując się tutaj. Wystarczyło, żebym powiedział „piękna Amerykanka", a od razu połączyli mnie z twoim pokojem. A mówiąc o pokojach, pani z czterysta dwunastki była bardzo miła, ale wolę, żeby moje kobiety miały własne zęby i potrafiły chodzić bez laski.

Widać prawo prywatności w tym kraju jest traktowane tak samo swobodnie jak przepisy ruchu drogowego.

– Naprawdę? A myślałam, że jeśli kobieta oddycha, to wystarczy – rzucam cierpko.

– Źle myślałaś. Jestem bardzo wybredny. Mój ostatni, poważny związek zakończył się trzy lata temu.

Wywracam oczami.

– Jasne. Słuchaj… jestem ci wdzięczna za bilet. Naprawdę jestem. I jeśli dasz mi swój adres, przysięgam, że znajdę sposób, żeby oddać ci pieniądze. Ale nie jestem zainteresowana sypianiem z tobą. – *Dobra, to maleńkie kłamstewko, ale co tam.* – Muszę pogrzebać ojca za kilka dni, nie jestem w nastroju na… czymkolwiek to jest.

Dlaczego mu to wyjaśniam? Rozłącz się, nakazuję sobie.

Ale nie mogę się rozłączyć, bo jestem rozdarta. Oddanie mi biletu było niesamowitym gestem hojności. Nawet jeśli rzeczywiście miał nadzieję na bzykanko w męskiej toalecie i tak była to hojność.

Nawet mimo tego, że musiałam oddać swój szkicownik z całą wiosenną kolekcją, to wciąż było hojne.

Jest też niewiarygodnie seksowny, a moja macica aż wrzeszczy, że nigdy mi nie wybaczy, jeśli pierwsza się rozłączę.

Więc nie robię tego. Czekam i oddycham płytko, słuchając trzasków na linii. Po długiej ciszy Adonis znowu się odzywa:

– Rozumiem. I jest mi przykro z powodu twojego ojca. Wiem, jak jest ciężko, kiedy tracisz kogoś, kogo kochasz.

Z delikatnym kliknięciem połączenie zostaje przerwane.

Stoję i wpatruję się w słuchawkę, zastanawiając się, dlaczego to wydaje mi się dziwne. To znaczy złe. Jakbym popełniła błąd.

– Ponieważ jesteś idiotką – mówię na głos do pustego pokoju. Potem przygotowuję się do snu i wyrzucam całą tę sytuację z głowy.

***

Wiercę się przez całą noc, śniąc o wrzących kociołkach i rechoczących wiedźmach, a także o przystojnych książętach na białych rumakach. Kiedy się budzę, jestem zdezorientowana. Przez kolejne trzydzieści sekund rozglądam się nieprzytomnie po pokoju hotelowym, aż przypominam sobie, gdzie jestem. Potem popadam w takie przygnębienie, że po prostu leżę, wpatrując się w sufit, mentalnie analizując odłamki swojego życia.

Gdzie będę mieszkać? Jak będę zarabiać? Jak mogłam stracić narzeczonego, ojca i biznes w ciągu kilku dni?

Przez dobre dziesięć minut napawam się wizją wyrzucenia ZM i jej niedorzecznych psów na zbite pyski i zamieszkania w *Il Sogno*, ale nie mogę zbyt długo wytrwać w gniewie i ostatecznie znowu płaczę.

Moja sesja użalania się zostaje przerwana nadejściem wiadomości:

Naprawdę musimy porozmawiać. Proszę, zadzwoń.

Odpisuję Bradowi, oznajmiając, że złamię mu szczękę, jeśli ponownie spróbuje się ze mną skontaktować, a potem blokuję jego numer.

Siedzę tam, pałając gniewem, aż nie mogę już dłużej tego znieść i zwlekam się z łóżka, żeby wziąć prysznic. Powinnam być z powrotem w domu przed południem, żeby spotkać się z potencjalnym kupcem DiSanto Couture, z którym markiza umówiła spotkanie, więc, mimo że w tej chwili nie chciałabym niczego bardziej, niż leżeć w łóżku i tonąć w rozpaczy, jestem zmuszona do

bycia dorosłą. Jadąc taksówką do *Il Sogno*, sprawdzam konto bankowe i śmieję się bez humoru, kiedy widzę saldo.

Gdy przyjeżdżam do domu, nastrój mam ponury. Lepiej, żeby ZM uważała, bo tego ranka jestem zdolna do morderstwa.

– *Buongiorno*[23] – mówi Lorenzo, otwierając drzwi. – Wyglądasz dzisiaj uroczo.

Sądzę, że wyglądam bardziej jak coś, co wykaszlał kot, ale postanawiam być uprzejma, skoro on okazał się tak miły.

– Dziękuję. A ty wyglądasz bardzo elegancko, jak zwykle.

Uśmiecha się, zadowolony z komplementu.

– Wejdź. Lady Moretti czeka w bibliotece.

Otwiera szeroko drzwi, pozwalając mi przejść, a potem prowadzi mnie przez dom do miejsca, gdzie oczekuje mnie markiza. W ślicznej, śliwkowej sukience i pasującej pomadce na ustach wygląda nieskazitelnie.

Kiedy wchodzę, podnosi wzrok. Odkłada książkę, którą czytała i wita mnie stłumionym:

– Dzień dobry.

Jestem zaskoczona, że nie mówi po włosku, ale po prostu kiwam głową w odpowiedzi.

– Kimber, co mogę ci podać? Kawę? Wodę? Coś do jedzenia? – pyta Lorenzo.

To takie dziwne, że jestem traktowana jak gość w domu, który do mnie należy. Ale on tylko wykonuje swoją pracę. Nie mogę mieć mu tego za złe.

– Nic, dziękuję.

Kłania się i wycofuje. Zajmuję miejsce naprzeciwko markizy i rozpoczynamy pojedynek na spojrzenia. Bez mrugnięcia i w kompletnej ciszy.

Ona łamie się pierwsza.

– Przykro mi, że twój mąż nie przyleciał razem z tobą. Bardzo chciałabym go poznać.

To jak policzek, bo piecze tak samo, jakby uderzyła mnie otwartą dłonią.

– Ślub został odwołany – informuję sucho.

– Odwołany? – Wydaje się zaskoczona, ale kiedy jedyną moją odpowiedzią jest mrożące spojrzenie, dodaje: – Zakładam, że twój ojciec nie wiedział, bo powiedziałby mi.

To jej sposób, żeby mi przekazać, że *papà* mówił jej wszystko, że nie mieli przed sobą tajemnic. W przeciwieństwie do gigantycznego sekretu, jaki miał przede mną – czyli *ją*.

Kolejny szach-mat dla markizy. Przełykam gulę w gardle i odwracam wzrok.

– To wydarzyło się zaledwie kilka dni temu – wyjaśniam niechętnie.

Cisza, która następuje potem, jest przepełniona napięciem.

– Odwołałaś ślub, ponieważ…

– Nie – przerywam jej ostro, rozumiejąc, że myśli, że rzuciłam Brada, bo tata był chory. – To nie ja go odwołałam.

Kiedy tylko te słowa opuszczają moje usta, zaczynam ich żałować. Zaciskam wargi i czekam na uśmieszek, którego jestem praktycznie pewna. Jednak z jakiegoś powodu markiza wydaje się poruszona tą nową informacją. Siedzi bez ruchu.

– Twój narzeczony zostawił cię, bo twój ojciec był chory? – pyta powoli.

Czy ona gra? Żartuje? Co to ma być? Przecież jej to nie obchodzi!

– To wydarzyło się wcześniej. Brad nie wiedział, że *papà* był chory. Nawet ja o tym nie wiedziałam. Dostałam list od Dominica kilka dni po naszym zerwaniu.

Na wspomnienie imienia Dominica markiza zaciska dłoń w pięść, jakby chciała kogoś uderzyć. Kiedy widzi, że to zauważyłam, prostuje palce i wygładza sukienkę.

Obserwuję to wszystko z zainteresowaniem, zastanawiając się, co to znaczy. Wygląda na to, że niechęć Dominica do niej jest odwzajemniona.

I dlaczego wydawała się zmartwiona z powodu Brada? Co mi tutaj nie gra?

Tajemnica dziwnych reakcji markizy będzie musiała poczekać, ponieważ Lorenzo właśnie wrócił i znowu się kłania. To wydaje się u niego odruchowe, tak jak niektórzy ludzie kichają, kiedy patrzą w słońce.

Zwraca się do markizy po włosku.

– *Bene. Grazie*[24] – odpowiada Lady Moretti.

Nie potrzeba geniusza, żeby domyślić się, że właśnie przybył potencjalny kupiec. Słaby, ledwo widoczny rumieniec wypływa na policzki markizy, świadcząc o jej ekscytacji. W niebieskich oczach cyborga dostrzegam błysk, wyrachowanie. Gdybym nie wiedziała już, że ojciec zostawił mi swój interes, założyłabym, że jej nagły dobry humor świadczy o przypływie pieniędzy. Jestem zdezorientowana i natychmiast staję się czujna.

Ale potem zaczynam wszystko rozumieć. Na pewno weszła w jakiś układ z tym kupcem, kimkolwiek jest.

Tak – o to chodzi! Na pewno dogadali się, że dostanie coś w zamian za załatwienie sprawy, może nawet procent!

Uśmiecham się ponuro.

Nie tak szybko, ZM. Może myślisz sobie, że jestem głupią Amerykanką, ale masz inne…

– *Ciao, mamma*[25]. – Słyszę głos.

Ten głos.

Zszokowana odwracam głowę. I oto stoi tam, taki przystojny, pewny siebie, sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu w całej okazałości, ubrany w cudny, granatowy garnitur i ze swoją zwykłą aurą arystokratycznej wyższości.

Adonis. We własnej osobie.

– *Ciao*, Matteo. Wejdź, synu – mówi markiza.

Och, dobry Boże w niebiosach, ale z ciebie chory skurczybyk.

Ponieważ mężczyzna, który stoi w wejściu jest nie tylko tym, który odebrał mi całą inspirację na wiosenną kolekcję. Nie tylko jest tym, który dał mi bilet, żebym mogła dostać się do tego kraju, zanim mój ojciec umrze. Nie tylko jest tym, który zaproponował mi seks – dwa razy – i wywołał we mnie pragnienie, którego nigdy wcześniej nie czułam.

Jest także moim przyrodnim bratem.

Dlaczego Bóg mnie nienawidzi?

DZIESIĘĆ

Kimber

Kiedy te akwamarynowe oczy patrzą w moje, widzę, że jest tak samo zszokowany jak ja. Odebrało mu mowę i stoi tam po prostu, wpatrując się we mnie z rozchylonymi ustami i szeroko otwartymi oczami, aż markiza odchrząka.

– Matteo, to jest Kimber, córka Luki.

Po chwili Matteo odzyskuje rezon.

– Poznaliśmy się.

Powoli podchodzi w moim kierunku, więżąc moje spojrzenie w swoim. Kiedy jest już blisko, na tyle, że mogę poczuć jego wodę kolońską, zatrzymuje się i niskim głosem mówi:

– Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

Przechodzi przeze mnie prąd.

O mój Boże. Oczywiście, że zna mojego ojca! Jego matka wzięła z nim ślub!

– Już się poznaliście? – pyta zdezorientowana markiza.

Matteo wpatruje się we mnie z tak palącą intensywnością, aż dziwne, że pokój nie stanął w płomieniach.

– Dzięki twojemu synowi udało mi się zobaczyć ojca przed śmiercią – szepczę.

Jak to możliwe? Jak coś takiego mogło być w ogóle prawdopodobne? Jaki wszechmogący czubek wymyślił taki scenariusz?

Markiza mówi coś do Matteo po włosku. Odpowiada jej uprzejmie, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Wydaje się myśleć, że to rzeczywiście tylko zwykły zbieg okoliczności, ale nie jestem pewna, czy jest wściekły, czy po prostu zaskoczony.

A potem dochodzi do mnie, że powodem, dla którego chciał mieć mój szkicownik, nie jest jego zamiłowanie do kolekcjonowania sztuki.

– Czekaj – mówię przerażona. – Wiedziałeś o marszczeniach. Powiedziałeś, żebym dodała marszczenia do projektu, który rysowałam. I twoje ubrania… – Gapię się na jego piękny, elegancki garnitur i wszystko łączy się ze sobą w mgnieniu oka.

On jest projektantem.

Wściekła skaczę na równe nogi i piorunuję go wzrokiem.

– Jeśli wykorzystasz którykolwiek z projektów, które ci dałam, pozwę cię tak szybko, że nie zdążysz nawet się odwrócić!

Jego płonące spojrzenie nie zmienia się, ale ponury uśmieszek wypływa mu na usta.

– Szybciej niż zmieniają się twoje nastroje? – pyta ironicznie.

– To są *moje* projekty!

– Błąd. Są moje. Jak sama stwierdziłaś, dałaś mi je.

– Pod przymusem! Z konieczności!

– Czyli uważasz, że to nieuczciwa wymiana? Wolałabyś mieć swój szkicownik, niż zobaczyć ojca przed śmiercią?

To tak okrutne, że aż sapię. Niskim, drżącym głosem mówię:

– Ty sukinsynu!

Markiza wkracza do akcji, zanim znajdę coś, czym mogłabym uderzyć jej syna.

– Nie bardzo rozumiem, co się dzieje, ale uspokójmy się wszyscy, dobrze? – proponuje pojednawczo.

– Paniusiu, jestem tak daleka od spokoju, że trzeba by wysłać ekipę poszukiwawczą, żeby go odnaleźć. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że kupcem ma być twój syn? – Wskazuję Matteo.

Pozostaje spokojna w obliczu mojej furii, opiera dłonie na talii i patrzy na mnie z chłodnym opanowaniem.

– A jaka to różnica? – pyta.

– Kurczę, od czego by tu zacząć? – rzucam uszczypliwie. – To całkiem sprytny sposób, żeby położyć łapy na części pieniędzy taty, muszę przyznać.

Jej usta zwężają się do cienkiej, śliwkowej linii, która wygląda jak rana po cięciu.

– Nigdy nie wspomniałabym Matteo o sprzedaży, gdyby nie był w stanie poradzić sobie z interesem i uhonorować artystycznej wizji Luki. Dom Moretti jest jednym z najbardziej szanowanych w świecie mody. Może o nim słyszałaś?

Jest pewna siebie, wiedźma, bo oczywiście, że o nim słyszałam. Do diabła, każdy w świecie mody słyszał o Moretti. Są obecnie najgorętsi w branży. Ale nie zamierzam dać tej satysfakcji żadnemu z nich.

– Nie za bardzo – mówię lekceważącym tonem.

Matteo krzyżuje ramiona na swojej szerokiej piersi i zerka na mnie spod przymkniętych powiek. Spoglądam pomiędzy nim i jego matką, która patrzy na mnie w ten sam, pozbawiony emocji sposób.

Wszystko we mnie krzyczy: *pieprzyć to!*

Ta transakcja się nie odbędzie.

– Nie, żeby cię to obchodziło – mówię głosem, który brzmi, jakbym połknęła garść żwiru – ale ostatnie słowa mojego ojca dotyczyły ciebie – zwracam się do markizy.

Mięsień w kącie jej powieki drga, ale tylko taką reakcję otrzymuję. Odwracam wzrok do Matteo.

– I przekazał mi radę, o której nie wiedziałam, że okaże się przydatna tak szybko. Powiedział, żebym nie poddawała się, kiedy zrobi się trudno. Dokładnie brzmiało to: *trzymaj się rękami i nogami*. Teraz właśnie to zamierzam zrobić. – Biorę głęboki wdech, zaskoczona tym, co zaraz ma opuścić moje usta. Ale co mi tam. Dosłownie nie mam już nic do stracenia. – Nie sprzedam firmy. Sama ją poprowadzę.

– Co? – rzuca markiza, ale moja uwaga jest skupiona na Matteo.

Piękny, okrutny Matteo, który przehandlował bilet lotniczy, choć mógłby sobie kupić takich milion, za szkicownik pełen inspiracji do nowych projektów jego linii odzieżowych.

Mówię ostro:

– Och, czekaj. Chyba rzeczywiście słyszałam o tobie. Wydaje mi się, że czytałam gdzieś o tym, jak Dom Moretti ostatnio stracił głównego projektanta?

Ma tik nerwowy oka, zupełnie jak jego matka.

– *Ja* jestem głównym projektantem – oznajmia sztywno.

Przejeżdżam wzrokiem po jego nieskazitelnym garniturze, platynowych spinkach, butach zrobionych ze skóry cieląt masowanych przez dziewice i szytych ręcznie w klasztorze przez mniszki w tybetańskiej świątyni na szczycie góry.

– Chyba nie bardzo brudzisz sobie rączki, z tego, co widzę. Nie potrafię wyobrazić sobie ciebie z podwiniętymi rękawami, upinającego tkaniny na manekinie i pracującego do późna w nocy. Przypuszczam, że jesteś zbyt zajęty prowadzaniem się z supermodelkami.

Markiza sztywnieje.

– Mój syn nie spotyka się z modelkami.

– Bieliznę też za niego wybierasz? – Unoszę brwi i patrzę na nią.

– Skończ z tym brakiem szacunku! – warczy Matteo.

Tracę panowanie nad sobą.

– Ani się waż mówić mi o braku szacunku! Twoja cudowna matka nie miała go wystarczająco, żeby być przy moim ojcu, kiedy umierał, wiedziałeś o tym?

Mój krzyk niesie się echem w powietrzu jak trujący gaz. Nikt nie odzywa się chyba przez wieczność. Wtedy markiza mówi cicho:

– Wybaczcie mi, proszę.

I wychodzi z pokoju z wysoko uniesioną głową.

Matteo obserwuje ją, mięsień w jego szczęce drga, ale nie próbuje jej zatrzymać. Kiedy odwraca do mnie wzrok, czuję pierwotną potrzebę ucieczki. Nigdy nie sądziłam, że niebieskie oczy mogą płonąć takim ogniem. Jakbym zaglądała do krematorium.

– Ty i twój język – mówi, podchodząc bliżej. Zawisa nade mną i piorunuje wzrokiem, jakby walczył z samym sobą, żeby nie owinąć palców wokół mojej szyi. Zbliża twarz do mojej. – I twoje podejście, twój egoizm…

Sapię wściekła.

– *Mój* egoizm?

– A do tego okropne maniery! – grzmi. – Przyszło ci w ogóle do głowy, że nie każdy chce, żeby cały świat wiedział o jego bólu?

Kiedyś brałam udział w bójce, raz, w szkole. Stanęłam w obronie dzieciaka, dręczonego przez grupkę dziewczyn, a jedna z nich miała

solidny prawy sierpowy. Słowa Matteo odczuwam dokładnie tak, jak tamten cios.

Stoję tam i wpatruję się w niego bez tchu, serce łomocze mi w piersi, a łzy zbierają się pod powiekami. Przełykam i mówię zgorzkniałym głosem:

– Przykro mi, że moja żałoba jest dla ciebie aż tak uwłaczająca. Mam taką rzecz, którą nazywa się sercem. Nie jestem osobą, która potrafi udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy ono krwawi.

Ruszam, żeby go wyminąć, ale zatrzymuje mnie, chwytając lekko za ramię.

– Czekaj.

– Zabieraj łapy. – Próbuję się wyswobodzić, ale on nie puszcza, przyciąga mnie nawet bliżej.

– Kimber, przestań. Przestań. Proszę.

Stoję sztywno, wibrując wściekłością. Wpatruję się w trzeci guzik jego białej, wyjściowej koszuli, oddycham przy tym głęboko i staram się nie rozpłakać. Powoli wypuszcza powietrze i rozluźnia uchwyt na moim ramieniu, ale nie puszcza.

– Spójrz na mnie – prosi.

– Idź do diabła – warczę przez zaciśnięte zęby.

– Przestań zachowywać się jak dziecko. Spójrz na mnie – powtarza.

Żar pulsuje na moich policzkach. Zamykam oczy i nabieram powietrza w płuca, a potem jeszcze raz, bo cała drżę i czuję, jakbym w każdej chwili mogła zemdleć.

On mamrocze pod nosem jakieś przekleństwa po włosku, potem umieszcza kciuk pod moim podbródkiem i unosi mi głowę. Otwieram oczy i widzę, że wpatruje się we mnie z zaciśniętymi wargami i szczękami, a termonuklearne oczy nadal mu błyszczą.

Dyszymy na siebie wściekle. Staram się go nie wąchać, ale to niemożliwe. To cudowna woń cedru, dymu i mężczyzny, z przebijającą przez to nutą czystych tkanin. Poddaję się i zaciągam głęboko, poruszając nozdrzami, żeby mój mały fetysz mógł zostać uznany za przejaw wściekłości.

Jeśli on jest dla mnie jak węchowe porno, to ja muszę być dla niego wzrokowym łakociem. Patrzy na mnie, jakby chciał zedrzeć ze mnie

ubrania zębami.

– Jesteś moim przyrodnim bratem. Nie powinieneś tak na mnie patrzeć. – Chciałam, żeby to zabrzmiało lekceważąco, ale zadyszka zapewne mnie zdradza.

Podejmuje wyzwanie i wpatruje się w moje usta, jakby zamierzał zrobić sobie z nich ucztę.

– Przyrodni brat. – Zamyśla się, a na jego twarzy widzę twardość i niebezpieczne spekulacje. Niespodziewanie zaczyna się śmiać, ale nie ma w tym ani krztyny humoru. – Cóż za interesujący awans.

Puszcza mnie nagle, jakbym go poparzyła i odwraca się ode mnie. Przesuwa palcami po włosach, a potem opiera ręce na biodrach i mamrocze coś pod nosem. Stoi plecami do mnie, podczas gdy ja desperacko staram się odzyskać kontrolę nad oddechem. Trzęsę się tak mocno, że prawdopodobnie powinnam trochę poleżeć na podłodze.

Zamiast tego siadam na kanapie. Wycieram spocone dłonie o uda i patrzę, jak Matteo krąży w tę i z powrotem po tureckim dywanie. Nawet wściekły jest elegancki. Jest tak zadbany i piękny, jakby był koniem czystej krwi, a ja żałuję, że nie mam przy sobie szpicruty, bo – cholera – dosiadłabym tego wierzchowca.

Chowam twarz w dłoniach i zgrzytam zębami.

– Gdzie jest twój mąż? – pyta zaciekawiony. – Twój ojciec chyba wspomniał, że bierzesz ślub. Nie masz obrączki.

Och, świetnie. Teraz wszystko sprowadźmy do tego.

– Nie ma żadnego męża – odzywam się w swoje dłonie.

Kiedy cisza się przeciąga, podnoszę wzrok i odkrywam, że wpatruje się we mnie, mrużąc powieki, jakby myślał, że kłamię. Przez to znowu jestem wściekła.

– Zepchnęłam go z klifu – oznajmiam, żałując, że to nieprawda. – Wziął coś mojego i nie chciał oddać. – Mówię o moim zaufaniu, ale równie dobrze może chodzić o szkicownik.

Uśmiech Matteo jest tak przesiąknięty kwasem, że mógłby wypalić dziurę w stali.

– Aa… więc to właśnie stało się z twoją godnością.

Krew napływa mi do szyi i w górę, na policzki, ale nie odwracam wzroku.

– Właśnie tak. Kompletnie mnie upokorzył. Ale zrobił to dlatego, że jest niedojrzały. Ty właśnie zrobiłeś to samo tylko dlatego, że dzięki temu poczułeś się dobrze. Co jest gorsze?

Nie jest szczęśliwy, słysząc to pytanie. Znowu zaczyna krążyć, oczy mu błyszczą, szczęki ma zaciśnięte, a jego idealne włosy są teraz rozczochrane od przeczesywania palcami.

Wolę go w takim wydaniu. Niewymuskanego. Nieidealnego. Wydaje się bardziej ludzki.

Skurczybyk bez serca.

– Nie mówisz poważnie o zachowaniu firmy – rzuca nagle.

– A to niby dlaczego? – Unoszę brew.

Matteo przesuwa po mnie spojrzeniem z góry do dołu, lekceważąco. Zanim zdąży otworzyć usta, dodaję:

– Jeśli zamierzasz rzucić wrednym komentarzem na temat mojej płci, mózgu albo stylu, wiedz, że wykastruję za to twój arogancki tyłek.

Jego oczy pałają gniewem. Wargi ma ściągnięte. To spojrzenie jest jak trafienie gradem strzał.

– O co chodzi z tą twoją wrogością? – pyta w końcu.

– A z twoją arogancją? – odpalam.

– Istnieje duża różnica między pewnością siebie, a arogancją.

– Tak, jasne, a każdy mężczyzna, który proponuje seks kobiecie spotkanej na lotnisku po trzydziestu sekundach rozmowy, dla mnie ląduje po stronie arogancji w tym równaniu.

– Nie proponowałem ci seksu. Powiedziałem, że cię pragnę – prostuje.

– Dzielisz włos na czworo. Intencja była jasna.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Myślisz, że robię tak przez cały czas, prawda?

– Naprawdę mam to w głębokim poważaniu – odpowiadam opryskliwie.

– Będziesz musiała nauczyć się lepiej kłamać, jeśli chcesz odnieść tutaj sukces w modzie, *bella*.

Uśmiecha się cwaniacko, a ja mam ochotę go znokautować. Ta potrzeba jest zaskakująco silna. Zwykle nie jestem porywczą osobą, ale ten facet budzi we mnie pierwotne instynkty.

– Nie potrzebuję porad biznesowych od ciebie.

– To nie Ameryka. – Wymawia słowo „Ameryka”, jakby mówił „fuj, kupa”. – Tu są Włochy. Modowa stolica tej planety…

– Powiedz to Francuzom. – Wzruszam ramionami.

Macha na mnie, jakbym mówiła coś niedorzecznego.

– A dziewczyna z San Francisco, nawet nie z Nowego Jorku, właścicielka słodkiego, małego sklepiku, nie jest w żadnym stopniu przygotowana na konkurencję tutaj – kontynuuje.

– Wow. Nie jestem pewna, co było gorsze: seksizm w tym stwierdzeniu czy może jawny snobizm. Czuję się urażona w imieniu mojej płci i mojego kraju. I niby skąd tyle o mnie wiesz?

Jego twarz staje się poważna.

– Twój ojciec często o tobie mówił.

– Ty… spędzałeś z nim czas? – Gardło mi się zaciska.

– Tak. Jadaliśmy razem kolacje, odwiedzałem ich tutaj, a oni mnie w moim domu. Staliśmy się sobie bliscy.

Usłyszenie tego jest tak bolesne, że muszę zamknąć oczy i przez chwilę skoncentrować się tylko na oddechu. Przez cały ten czas nie miałam pojęcia o nowej żonie mojego ojca, ani o jego pasierbie, a oni dobrze bawili się razem. Jak rodzina. „Stali się sobie bliscy”. A w tym czasie ja marnowałam czas na planowanie ślubu, który nigdy się nie odbył, z mężczyzną, który mnie nie kochał.

Dlaczego mi nie powiedziałeś, papà? Dlaczego?

Obezwładnia mnie tak silna zazdrość, że zaczynam drżeć. Przez ostatnie dwa miesiące ten arogancki kretyn spędzał czas z moim ojcem. Cenny czas, którego ja nigdy nie będę miała.

Łagodniejszym tonem Matteo mówi:

– Dam ci dobrą cenę za twoją firmę. Lepszą, niż zaoferowałby ktokolwiek inny.

– Żebyś potem mógł dać wszystkie pieniądze swojej matce? Nie, dzięki.

– Moja matka nie potrzebuje pieniędzy – mówi beznamiętnie, cała łagodność zniknęła.

Spoglądam na niego i widzę, że znowu go uraziłam. Dobrze.

– Słyszałam coś innego.

– Kto ci to powiedział? – warczy.

– To bez różnicy. I tak nie dostaniesz firmy. Wracaj do swojego zamku, żeby wrzeszczeć na służących. Skończyłam z tobą rozmawiać.

Rozpoczynamy kolejną rundę nienawistnych spojrzeń.

Przerywam pierwsza, bo to zabiera zbyt dużo energii, a cała ta wymiana już wystarczająco mnie wyczerpała. Podnoszę się z kanapy i głośno wypuszczam powietrze. Mam ogromną ochotę na drinka. Przydałby się też jakiś kamień, którym mogłabym rzucić w jego stronę.

– Czyli planujesz porzucić swoje życie w Ameryce tylko po to, żeby zrobić mi na złość? I mojej matce, której wyraźnie nie lubisz? Przeprowadzisz się tutaj, do kraju, którego języka nie znasz…

Odwracam się do niego.

– Skąd wiesz, że nie mówię po włosku?

– Twój ojciec mi powiedział. Mówił o tobie wiele rzeczy. Opowiadał o twojej uprzejmości, sile, inteligencji. W jego ustach byłaś jak Wonder Woman. – W jego oczach pojawia się ostry wyraz. – Zastanawiam się tylko, jak dobrze cię znał.

Zbliża się jak pantera do swojej ofiary. Cofam się z każdym krokiem, z którym on podchodzi, aż wpadam na stół i nie mogę już odejść dalej. Matteo nic nie robi sobie z przestrzeni osobistej i staje ze mną twarzą w twarz, tak że nasze ciała prawie się dotykają.

– Nigdy nie wspominał o twoim temperamencie. Ani o tym, że osądzasz ludzi, zanim ich poznasz. – Opuszcza wzrok na moje usta, a jego głos zniża się razem z nim. – Ani o tych ustach.

Sutki sztywnieją mi zdradziecko. Fala gorąca przepływa po mojej skórze. Gapię się na niego, z całych sił starając się nie dyszeć, a potem odsuwam go powoli, dotykając tylko opuszkiem jednego palca.

Jego klatka piersiowa jest tak twarda, że równie dobrze mógłby mieć na sobie kamizelkę z kevlaru.

– Przypuszczam, że pominął te gorsze części. Tak jak zrobiłaby Droga Mamusia, mówiąc o tobie – mówię, a jego oczy błyskają gniewem na wspomnienie o matce, ale jeszcze nie skończyłam. – Z radością cię wtajemniczę. Jestem uparta. Jak osioł. Bardzo angażuję się we współzawodnictwo. Moi przyjaciele już nie grają ze mną w scrabble, bo mieli dość krzyków. A kiedy umrę, będę

potrzebowała dwóch trumien: jednej dla mnie, a drugiej dla mojej niechęci. A jedyny powód, dla którego ty – dźgam go palcem w tę kuloodporną pierś – nie jesteś jeszcze na mojej permanentnej liście gównianych ludzi, jest ten bilet lotniczy. Za który ci oddam, nawet jeśli to miałoby mnie zabić, bo wolę stracić ostatniego centa, niż mieć dług u rywala w interesach.

Właściwie już jestem blisko utraty ostatniego centa, ale on nie musi o tym wiedzieć. Moim zamiarem jest wywrzeć na nim jak największe wrażenie, a nie zdobyć nagrodę za prawdomówność.

Matteo wpatruje się we mnie przez dłuższy czas. Ocenia, jak bardzo jestem wściekła i pozwala, żeby jego spojrzenie błądziło po mojej twarzy.

– Rywal w interesach – mówi z namysłem.

Brzmi to tak, jakby planował wojnę.

Powolny uśmiech, który pojawia się na jego ustach, jest jeszcze gorszy.

– W porządku, niech będzie. Rywale. Życzę powodzenia z nowym przedsięwzięciem. – Nachyla się do mnie tak blisko, że czuję jego ciepły oddech na szyi, kiedy szepcze mi do ucha: – I technicznie rzecz biorąc, skoro twój ojciec nie żyje, jestem twoim *byłym* przyrodnim bratem. Będę na ciebie patrzył, jak mi się podoba. – Z mrocznym śmiechem odwraca się na pięcie i wychodzi.

Słucham odgłosu jego kroków, niosącego się echem po drewnianej podłodze i tętna łomoczącego mi w uszach. Nienawidzę samej siebie za pulsowanie między nogami.

Czymkolwiek jest to pomiędzy nami, już teraz wiem, że zrobi się paskudnie.

JEDENAŚCIE

Kimber

– Dominic, potrzebuję podwózki do hotelu, a potem do sklepu taty. Jesteś wolny?

– *Certo*[26]. Kiedy?

– Teraz.

Chwila ciszy.

– Ee… teraz?

Spoglądam w górę, na włoskie niebo późnym latem. Ma niesamowity kolor błękitu, tak wyraźny, że patrzenie aż boli. Wszystkie barwy tego kraju są tak nasycone, tak żywe. Nawet niebo wygląda jak z filmu Disneya, bezkresne, elektryzujące i idealne.

– Przepraszam. Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili.

Jest też *riposo*[27], tradycyjna popołudniowa przerwa w działaniu wszystkich firm, włoska wersja sjesty. Po sennym głosie Dominica wiem, że go obudziłam. Włosi traktują *riposo* bardzo poważnie, ale to wyjątkowa sytuacja.

Toczę wojnę.

Wzięłabym samochód ojca, ale boję się, że rozbiłabym go po przejechaniu dwóch przecznic. Włosi jeżdżą jak psychopaci.

W słuchawce słyszę westchnienie, a potem Dominic mówi:

– Daj mi dwadzieścia minut.

– Dziękuję! Do zobaczenia!

Rozłączam się i dzwonię do Jennera. Kiedy tylko odbiera, mówię:

– Przeprowadzam się do Florencji.

Cisza.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – upewniam się po chwili.

– Tak. Właśnie próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda ten porywacz, który teraz trzyma broń przy twojej głowie. Zawsze

miałem taką fantazję, że jakiś brutal trzyma mnie w roli zakładnika, ma mnóstwo tatuaży i ubogie słownictwo.

– Nie bądź niemądry. Nie ma żadnego porywacza – parskam.

– W takim razie prochy. Jesteś naćpana – zgaduje Jenner.

– Wiesz, że nie tknę narkotyków.

Znowu cisza.

– Nie mówisz poważnie, Poppins.

Wydaje się urażony, jakby przeprowadzka do Florencji była niedorzecznym planem. Dobra, może jest to odrobinę dziwny pomysł, ale nie podałam mu jeszcze powodu.

– Jesteś gotowy, żeby usłyszeć coś naprawdę dziwnego? – pytam.

– Czekam z zapartym tchem – odpowiada sarkastycznie.

Praktycznie widzę, jak wywraca oczami.

– Pamiętasz tego faceta, o którym ci mówiłam, tego cudnego Włocha, którego poznałam w Nowym Jorku i dałam mu fałszywy numer?

– Tak. Przez twój opis jego garnituru miałem erekcję. Co z nim?

– Jest tutaj. We Florencji.

Jenner sapie.

– Widziałaś go znowu?

– Och, skarbie, to nawet nie jest najlepsza część – mówię wiele sugerującym tonem.

Muszę się uśmiechnąć, kiedy Jenner piszczy.

– Seks z zemsty? – pyta.

– Bardziej perwersyjnie.

Jego głos staje się niski i drżący.

– O mój Boże… czy mówimy o perwersji w stylu Christiana Greya?

– Duuużo bardziej perwersyjnie – nakręcam go.

– Mów, zanim umrę. Jest sadystą? Dominem? Geniuszem w robieniu węzłów? – wyrzuca z siebie Jenner.

– Jest moim przyrodnim bratem.

W przedłużającej się ciszy słyszę w tle wrzeszczącego na kogoś Gordona Ramsaya. Jenner uwielbia oglądać programy kulinarne.

– Powiedziałaś… przyrodni brat? – upewnia się ostrożnym tonem.

– Tak. Cóż, technicznie były przyrodni brat – dopowiadam.

– Czekaj. Niech się upewnię, czy dobrze rozumiem. – Jenner układa informacje. – Chcesz mi powiedzieć, że spotkałaś na lotnisku cudnego faceta, do którego od razu poczułaś pociąg seksualny, któremu dałaś fałszywy numer telefonu, a potem spotkałaś go znowu we Florencji… i okazało się, że jesteście spokrewnieni?

– Najlepsze zostawiam na koniec – oznajmiam.

– Jest więcej? – krzyczy Jenner.

– Nie powiedziałam ci, że wywalono mnie z lotu do Florencji… ale udało mi się na niego dostać, ponieważ on oddał mi swój bilet. W pierwszej klasie.

– Pieprzysz! – podsumowuje Jenner.

– To prawda!

– Dlaczego niby miałby oddać ci bilet? – pyta sceptycznie.

– Ponieważ podsłuchał, jak kłóciłam się z kobietą przy odprawie. Powiedziałam jej, że muszę dostać się na ten lot, ponieważ mój ojciec umiera. Wkroczył do akcji, żeby wyjść na bohatera.

– To chyba najbardziej romantyczna rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. – Jenner brzmi tak, jakby zaraz miał zemdleć.

Za to mój głos jest oschły:

– Jeszcze nie trać przytomności, ponieważ w zamian za ten bilet zmusił mnie, żebym dała mu…

– Co? Co musiałaś mu dać? – Jenner ostro wciąga powietrze.

Wiem, że już wyobraża sobie wszystkie możliwe obrazki przedstawiające namiętny, spocony seks z nieznajomym w jakimś składziku, więc czekam chwilę tylko po to, żeby go torturować. Potem mówię beznamiętnie:

– Zmusił mnie, żebym dała mu swój szkicownik.

Cisza ze strony Jennera wibruje od dezorientacji.

– Straciłem wątek – mówi w końcu.

– No wiesz, mój szkicownik. Ten, którego zawsze używam do projektowania sukienek…

– Tak, tak, oczywiście, że wiem. Wszędzie nosisz tę zdezelowaną rzecz, jakbyś dzięki temu czuła się bezpieczniej. Dlaczego chciał mieć ten okropny, zużyty zeszyt?

– Nadal siedzisz?

– Nie tylko siedzę, ale właśnie rujnuję sobie manikiur obgryzając skórki! Gadaj, suczko, gadaj!

– On jest projektantem. – Słyszę jakieś krztuszenie po drugiej stronie, jakby Jenner właśnie połknął język. – I nie jakimś tam projektantem. Rozpoznałbyś jego nazwisko. Sam masz kilka jego garniturów.

– Och! – Dyszy jak podekscytowany szczeniak. – Chyba mam wylew. A na pewno atak serca. Coś mi pękło w mózgu. Kto to jest, Poppins? Kto?

Zaczyna mi się to podobać i uśmiecham się okrutnie.

– Matteo Moretti.

Krótka cisza, a potem z gardła Jennera wydobywa się długi, przeszywający pisk, który mógłby obudzić martwego. Pada kolejne:

– Pierdzielisz!

– Naprawdę – mówię z przekonaniem.

– Ty… *kłamczucho!* – Jenner w ogóle mi nie wierzy.

– Przysięgam na Boga! – Sięgam po ostateczne potwierdzenie.

– Nie! – Jenner jest w absolutnym szoku.

– Tak, skarbie. Na sto procent tak. – Słyszę głośny huk i martwię się, że zabiłam najlepszego przyjaciela. – Jenner! Jesteś tam?

– Czy ty w ogóle masz pojęcie – zaczyna słabym głosem – jakiekolwiek pojęcie, ile razy masturbowałem się, myśląc o Matteo Morettim?

Marszczę nos.

– Stary. Za dużo informacji – informuję ostrożnie.

– Mój Boże, Poppins, on jest najpiękniejszym mężczyzną na całym *świecie*. Widziałaś, co pisali o nim we włoskim *GQ*, kiedy założył swoją firmę?

– Nie. Nigdy nawet nie widziałam jego zdjęcia. Nie miałam pojęcia, jak wygląda i dlatego nie rozpoznałam go na lotnisku!

Westchnienie Jennera jest ciężkie i pełne tęsknoty.

– Matteo. Och, mój drogi, słodki Matteo. *J'taime. J'adore. Tu es tout pour moi*[28] – jęczy Jenner.

– Proszę, powiedz, że nie dotykasz się teraz.

– Purytanka – burczy.

– Czy możemy wrócić do sedna sprawy? W tym wszystkim chodzi o to, że przenoszę się do Florencji!

Słyszę kolejne westchnienie, ale to jest inne. Jenner ma cały słownik westchnień, każde jest inne i każde coś wyraża. W tym konkretnym słyszę rozczarowanie matki wobec kandydata na męża, którego wybrała córka. Brzmi jak *Gdzie popełniłam błąd?* i *Jak ona może być tak głupia?*, a także *Zrujnowałam sobie pochwę dla czegoś takiego?*

– Kochana – zaczyna łagodnie – to nie najlepszy pomysł, żeby podejmować ważne, życiowe decyzje, kiedy jesteś w żałobie. Przeprowadzka do innego kraju, spowodowana kaprysem, nie jest w twoim stylu. Jesteś godna zaufania. Rzetelna. Twardo stąpasz po ziemi. W tej chwili potrzebna ci terapia, nie Włochy.

– Daj mi jeden powód, dla którego powinnam wrócić do Stanów – mówię.

– Ja – odpowiada bez sekundy namysłu.

Mówi to tak, jakby chciał powiedzieć: „kto potrzebowałby innego powodu?". Uśmiecham się.

– Mam skądinąd wiedzę, że dwa razy do roku przyjeżdżasz do Włoch na Fashion Week. Przecież to nie znaczy, że więcej się nie spotkamy. Będziesz tutaj w przyszłym miesiącu.

– Czy muszę ci przypominać, że już masz firmę tutaj? – Wydaje z siebie zniecierpliwiony dźwięk.

– A, tak. Jeszcze nie powiedziałam ci, co się stało.

Mój ponury śmiech sprawia, że Jenner rzuca:

– O-o.

– „O-o" to dobrze powiedziane. Widzisz, był pożar…

Kiedy nie kończę zdania, bo gardło mi się zaciska, Jenner mówi:

– Nie. To niemożliwe, żeby wszechświat aż tak cię nienawidził.

Siadam na betonowej ławce naprzeciwko fontanny i opieram głowę na dłoni.

– Najwidoczniej wszechświat umieścił mnie na szczycie listy najbardziej znienawidzonych. Wczoraj dzwonił do mnie właściciel budynku. Sklep spłonął doszczętnie, a z nim wszystko, co było w środku. Całe moje życie tam zniknęło. Nawet gdybym wróciła, to do czego? Wszystko, co mi pozostało, to mieszkanie, które nawet nie

jest moje i reputacja porzuconej byłej Bradleya Wingate'a. Kto by mnie chciał? Zawsze będę dziewczyną, która została porzucona przy ołtarzu. Nigdy nie pozbędę się tej łatki.

Milczymy przez kilka minut, kiedy Jenner przetwarza te informacje.

– Przypuszczam, że to moment równie dobry jak każdy, żeby powiedzieć ci, że go widziałem.

Podnoszę głowę. Serce eksploduje mi w piersi jak granat.

– Kiedy? Jak?

– Przyszedł do mojego mieszkania. Popełniłem błąd, bo otworzyłem drzwi, nie pytając, kto to.

Wstaję i zaczynam chodzić, żeby pozbyć się napięcia, które mną zawładnęło.

– Czego chciał?

– Porozmawiać z tobą.

Kiedy Jenner się waha, pytam stanowczo:

– Co przede mną ukrywasz?

Głośno wypuszcza powietrze.

– Zastanawiałem się, czy powinienem ci to powiedzieć, ale wyglądał na załamanego. Jakby nie spał w ogóle od czasu ślubu.

– Chyba „nieślubu" – odgryzam się, wściekła.

Jak Brad śmie nachodzić Jennera, żeby dostać się do mnie?

– I dobrze, cieszę się!

Kiedy Jenner nie odpowiada, zaczynam mieć złe przeczucia.

– Co jeszcze? – pytam.

– Płakał.

Gwałtownie staję w miejscu, odsuwam telefon, patrzę na niego, a potem przykładam z powrotem do ucha.

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że powiedziałeś, że Brad *płakał*.

– Tak było.

Parskam.

– Brad nie płacze! On chyba nawet nie posiada kanalików łzowych. Ziewał przez cały pogrzeb babci! Kiedy ich pies został potrącony przez samochód, Brad zasugerował matce, żeby wykorzystała go jako nawóz pod róże!

– Cóż, kochana, o ile ten facet ostatnio nie zrobił kursu aktorstwa, to te łzy wyglądały naprawdę autentycznie. Siedział na mojej kanapie i szlochał jak dziecko. Kiedy powiedziałem mu, że twój ojciec umarł, myślałem, że zemdleje. Nawet próbował mnie przytulić, kiedy wychodził, wyobraź sobie.

Jestem tak wściekła, że muszę stać nieruchomo i brać głębokie wdechy, żeby powstrzymać się przed kopaniem w ławkę tak długo, aż złamię sobie stopę.

– Dlaczego powiedziałeś mu o moim ojcu? Dlaczego mówiłeś temu dupkowi cokolwiek? Czemu w ogóle wpuściłeś go do mieszkania? – wściekam się ostro.

– Bo pierwsze słowa, jakie wyszły z jego ust, to stwierdzenie, że wszystko schrzanił. A następne, że jest największym idiotą na tej planecie i że na ciebie nie zasługuje. Skoro tak bardzo zgadzaliśmy się w podstawowych kwestiach, pomyślałem, że mogę go wysłuchać.

– Zostawił mnie przy ołtarzu! – wrzeszczę do telefonu, a twarz mi płonie. – Upokorzył mnie! Nienawidzę go i życzę mu śmierci!

– Tylko że to nieprawda – mówi Jenner łagodnie.

Kiedy się nie odzywam, bo odczuwam zbyt wielkie emocje, żeby mówić, kontynuuje:

– Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy oznajmiłem, że nigdy nie widziałem cię tak szczęśliwej, jak kiedy zaczęłaś spotykać się z Bradem? Stwierdziłaś: *za każdym razem, kiedy na niego patrzę, czuję się, jakbym zobaczyła słońce po raz pierwszy.*

– Byłam głupia – szepczę gorzko i nerwowo ocieram łzy, które zbierają się pod powiekami.

– Może. A może tak samo było z nim.

Kiedy warczę na tę zdradę, Jenner dodaje czym prędzej:

– Nie mówię, żebyś dała mu drugą szansę. Wiem, że to wiele. Może po prostu wysłuchaj, co on ma do powiedzenia. Dla własnego spokoju. Dla zamknięcia sprawy. Gdyby naprawdę nie obchodziły go twoje uczucia, nigdy nie siedziałby u mnie i nie pozwalał, żebym obrzucał go swoją niechęcią. Znosił to przez pół godziny, kochana, cały czas przy tym płacząc i przytakując.

Próbuję to sobie wyobrazić. Jestem pewna, że ktoś zawładnął ciałem Brada. Nie ma mowy, żeby w innym przypadku pozwolił, by

Jenner suszył mu głowę, albo żeby płakał, nawet za milion lat.

A jednak najwidoczniej tak było.

– Nie mogę teraz zajmować się tymi bzdurami. Mam tutaj złą macochę, futrzane siostry przyrodnie i aroganckiego, irytującego przyrodniego brata, z którym chciałabym robić wiele niegrzecznych rzeczy. Muszę wziąć udział w pogrzebie ojca, zająć się jego interesem i pożegnać swoje dawne życie. Nie mam pieniędzy ani dachu nad głową, poza tym, pod którym mieszka kobieta, która odmówiła odwiedzenia mojego ojca w chwili jego śmierci. – Czuję, że zaraz mogę się rozpłakać. – Nie mam teraz najlepszego czasu w życiu. Ostatnie, o czym chcę słyszeć, to pieprzony Brad i jego pieprzone żale. Jeśli znowu go zobaczysz, powiedz mu, że jeśli naprawdę chce mi to wynagrodzić, może odciąć sobie jaja, wrzucić je do blendera, a filmik z całej operacji udostępnić w internecie! Wtedy może zacznie rozumieć, jak się czuję!

Rozłączam się, zanim Jenner usłyszy moje załamanie.

Potem siadam na ławce i płaczę, aż słyszę samochód Dominica wjeżdżający na żwirową ścieżkę. Kiedy wstaję i ocieram twarz wierzchem dłoni, przypadkowo rzucam okiem na dom.

Markiza stoi w drzwiach swojej sypialni, zerkając na mnie z wyrazem intensywnej koncentracji. Kiedy widzi, że patrzę, odwraca się i znika, a zasłony powiewają za nią jak całun.

DWANAŚCIE

Kimber

Chociaż Dominic stara się zaangażować mnie w rozmowę, kiedy jedziemy do sklepu taty, już po zabraniu moich rzeczy z hotelu, ja ciągle milczę. Cała promieniuję gniewem. Dłonie zwinęłam w pięści na kolanach. Nie mogę przestać myśleć o Bradzie i jego wizycie u Jennera, nieważne, jak bardzo się staram.

Kiedy dojeżdżamy do sklepu, boli mnie głowa od zaciskania z całej siły zębów.

– Jesteś dzisiaj cicha – mówi spokojnie Dominic, otwierając drzwi.

To zaproszenie do rozmowy, ale jest ona ostatnim, na co mam teraz ochotę. W tej chwili potrzebuję pracy.

Dominic naciska włącznik na ścianie obok drzwi, a pokój zalewa światło. Frontowa część sklepu służy do prowadzenia sprzedaży, jest tu mnóstwo wieszaków z eleganckimi sukienkami we wszystkich kolorach tęczy, dwie małe przymierzalnie z zasłonami i kontuar ze staromodną kasą. Okna, z szybami oprawianymi w ołów, wychodzą na brukowaną uliczkę. Pachnie tu nowymi tkaninami i starym drewnem. Korzenna woda po goleniu, której używał *papà*, unosi się delikatnie w powietrzu, jak duch.

– Jest dokładnie tak samo, jak zapamiętałam – mówię, rozglądając się.

Jak on zdołał zrobić to wszystko sam?

Jakby potrafił czytać mi w myślach, Dominic mówi:

– Twój ojciec ostatnio zatrudnił pomocnice, trzy kobiety, które nauczył przyjmować zamówienia, zdejmować miarę i wycinać tkaniny. Oczywiście szył zawsze sam. – Podchodzi do lady, obracając klucze w dłoni. – Nadal bez automatycznej sekretarki. – Napotyka moje spojrzenie i uśmiecha się. – Ani komputera.

– I strony internetowej. Jakby nie wierzył, że dwudziesty pierwszy wiek rzeczywiście nadszedł.

Dominic śmieje się.

– Miał tylko e-mail, żeby móc komunikować się z tobą. Gdyby nie mieli komputerów do użytku w miejskiej bibliotece, nadal wysyłałby listy.

Podchodzę do bezgłowego manekina, ustawionego na podeście pomiędzy dwiema przymierzalniami. Jest na nim jasnoróżowa sukienka, spięta w talii i obficie rozkloszowana na biodrach, z dużym dekoltem i krótkimi rękawkami. Kobieca do granic możliwości, niezwykle szykowna. Kiedy zerkam na metkę, wzdycham z irytacją.

– Nic dziwnego, że był spłukany.

Przejrzenie kilku kolejnych sukienek ujawnia prawdę, której byłam świadoma przez całe życie: mój ojciec powinien mieć partnera w interesach. Niektórzy artyści potrafią z powodzeniem tworzyć i radzą sobie z pieniędzmi, ale on nie był jednym z nich.

– Wiele razy oferowałem pomoc, ale wiesz, jaki był uparty. – Dominic potrząsa głową widząc cenę jedwabnego szalika, zarzuconego na wieszak przy kontuarze. Zapewne brakuje tam kilku cyfr, jak przy wszystkich innych.

Rozglądam się przez chwilę, analizując sytuację.

– Dobrze. Po pierwsze muszę przejrzeć cały asortyment i ponownie go wycenić. Potem trzeba sprawdzić budżet na reklamę…

– Reklamę? – parska Dominic.

– Nie mów, że nadal polegał na ustnych poleceniach?

Dominic wzrusza ramieniem.

– Stary pies. Żadnych nowych sztuczek.

Przesuwam palcami po włosach, wiedząc, że to będzie długa noc.

– Mógłbyś podrzucić moje bagaże do domu? Nie wiem, jak długo tu posiedzę i będzie mi łatwiej wrócić bez tego wszystkiego.

Dominic waha się, wygląda na zdezorientowanego.

– Nie przenosisz się do innego hotelu?

– Nie. Wprowadzam się do markizy.

Wyraz jego twarzy jest tak komiczny, że nie mogę się nie zaśmiać.

– To długa historia, ale ogólnie chodzi o to, że nie sprzedam firmy ojca. Zostanę tutaj i poprowadzę ją.

Dominic mruga powoli, stojąc nieruchomo za kontuarem.

– Czy twój mąż przeprowadzi się tutaj?

Boże. Ile jeszcze razy będę musiała opowiedzieć tę historię?

– Zerwaliśmy.

Jest zdumiony. Najwidoczniej on też uważa, że musi odgonić wszelkie zło, które z sobą niosę, bo wykonuje znak krzyża na piersi.

Zirytowana mijam go i przechodzę do części produkcyjnej na tyłach sklepu. Tutaj panuje większy bałagan, na stołach roboczych leżą porozrzucane bele materiału i kolorowe szkice, tuziny manekinów w różnych stadiach gotowości stoją w całym pomieszczeniu jak bezgłowi goście na przyjęciu, a do tego stanowiska do szycia, szafki z dokumentami i pudła czekające na rozpakowanie.

Na tablicy korkowej nad miejscem do pracy widzę swoje zdjęcia na różnych etapach życia. Ostatnie to fotografia zrobiona polaroidem w trakcie mojej wizyty pięć lat temu. *Papà* rozśmieszył mnie jakimś fatalnym żartem i zrobił zdjęcie, zanim zdążyłam go powstrzymać. Głowę mam odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte, usta szeroko otwarte. Wyglądam na szczęśliwą.

Obezwładnia mnie okropne poczucie winy.

Pięć lat!

Spędziłam ten czas rozwijając swój interes i skacząc wokół Brada, a co robił mój ojciec?

Powoli popadał w bankructwo i zakochał się w harpii.

– Przykro mi to słyszeć. – Dominic wydaje się podenerwowany. Przyszedł tu za mną i teraz stoi w drzwiach z przejętą miną. – Chcesz o tym porozmawiać?

Potrząsam głową i tak to zostawiam.

Otwiera usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale przerywa nam głośne pukanie do drzwi frontowych. Ktoś chce wejść.

I to nie byle kto, jak zauważam, przechodząc obok Dominica.

On.

Uchylam drzwi i piorunuję Matteo wzrokiem.

– Co tu robisz? – pytam zimno.

Uśmiecha się i patrzy na mnie wygłodniałym wzrokiem, jakbym była babeczką na wystawie w piekarni, a on chciałby zlizać cały

lukier.

– Byłem niedaleko i zobaczyłem światła.

– Kłamca – rzucam oskarżycielsko.

Jego uśmiech poszerza się, ukazując dołeczki.

– Wiesz, jak to mówią, miej przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej.

– Mówi się też, że nie trzeba być specem od anatomii, żeby rozpoznać fiuta, kiedy się go widzi.

Jego oczy błyszczą.

– Masz obsesję na punkcie tylko mojego kutasa czy ogólnie wszystkich? – odcina się błyskawicznie.

– Nie schlebiaj sobie. A robiąc to, wyjdź.

Ściąga wargi, rozważając moje słowa, a potem rzuca zwyczajnie:

– Nie.

I wmaszerowuje do sklepu.

Zatrzaskuję drzwi i odwracam się do niego z rękami założonymi na piersi.

– Och, już rozumiem. Szukasz kolejnych projektów, które mógłbyś ukraść, tak? – Uśmiecham się słodko, ale obrzucam go miażdżącym spojrzeniem.

– Wydaje się, że masz jakąś mentalną blokadę wobec faktów, więc pozwól sobie przypomnieć, że dałaś mi ten szkicownik, *bella*.

Nienawidzę tego, jak na moich rękach pojawia się gęsia skórka, kiedy tak mnie nazywa. Jest w tym coś intymnego. Jakaś nuta sekretnej wiedzy, zmysłowy podtekst, jakby wiedział, jak brzmię, kiedy dochodzę.

– Nie będę tego z tobą znowu przerabiać. Wynoś się.

– *Ciao*. – Ignorując moje żądanie, Matteo zwraca się do Dominica, stojącego w drzwiach do pracowni.

Dominic patrzy pomiędzy nami ze ściągniętymi brwiami. Nie potrafię dokładnie odczytać jego wyrazu twarzy, ale jestem pewna, że nie widzę na niej szczęścia.

– *Ciao*. – Ton Dominica jest oschły. Zgaduję, że lubi mojego byłego przyrodniego brata tak bardzo jak moją byłą macochę.

Mężczyźni przez chwilę mierzą się wzrokiem, aż Matteo mówi mrocznym głosem:

– Miło cię znowu widzieć.

To zarówno kłamstwo, jak i lekceważenie. Dominic też to widzi, bo najeża się jak kot. Mówi coś ostro po włosku. Matteo odwarkuje odpowiedź. Potem stoją tak, obrzucając się wściekłymi spojrzeniami, jak dwaj rewolwerowcy, którzy zaraz wyjmą broń i zaczną do siebie strzelać.

– Cóż, to było zabawne. Cieszę się, że nie jestem jedyną osobą, którą irytujesz. Pa! – Wskazuję Matteo drzwi.

Jego wzrok przesuwa się na mnie. Jest jak jasne, pałające błękitem ostrza, które przecinają powietrze ze świstem. Zmuszam się, żeby nie zrobić kroku w tył z powodu elektrycznej siły tego spojrzenia.

– Naprawdę powinnaś nauczyć się mówić po włosku – rzuca sztywno.

Zaintrygowana zerkam na Dominica, który się krzywi.

– Zrobię to. Uczę się. To znaczy, wkrótce. – *Zamknij się, Kimber!* Prostuję ramiona i udaję nonszalancję, podczas gdy Matteo obserwuje mnie tymi skrzącymi, błękitnymi oczami. Zaledwie po chwili pod jego obserwacją mam ochotę wyskoczyć ze skóry.

Pokazuję solidarność z Dominikiem i podchodzę do niego, staję z nim ramię w ramię i omiatam Matteo chłodnym spojrzeniem.

– Chciałeś czegoś konkretnego? Bo mam dużo pracy.

Czuję, jak spojrzenie Matteo mnie pali. Jestem jak prosiak na rożnie, okręcany nad rozżarzonym węglem, aż skórka zrobi się chrupka.

– Tak – odpowiada, utrzymując moje spojrzenie. – Jest coś, czego chcę. A ty wiesz dokładnie, o co chodzi.

Wibrowanie. Chyba to najlepsze słowo. Tak, właśnie to robi teraz moja pochwa. Wibruje.

Kiedy przełykam, a żar wypływa mi na policzki, wzrok Matteo staje się okrutnie usatysfakcjonowany. Podnosi rękę, pokazując na wszystkie sukienki wkoło.

– Wiesz, że ten sklep powinien być mój.

Nienawidzę go. Nienawidzę go tak żarliwie, jakby płonęło tysiąc słońc. Nienawidzę go z siłą grawitacji na… *co to za planeta z miażdżącą grawitacją? Jowisz?* Tak. Nienawidzę go z siłą grawitacji Jowisza.

– Ten sklep nigdy nie będzie twój – mówię, akcentując każde słowo. I, tylko żeby odpłacić mu za przemienienie pewnych części mojego ciała w galaretę, dodaję: – Ani nic innego, co należy do mnie.

Z wyjątkową łagodnością Matteo odpowiada:

– Zobaczymy. – A potem się uśmiecha.

Ten pyszałkowaty skurczybyk *uśmiecha się*.

Jakby wyczuwał, że zamierzam porwać kasę z kontuaru i przy jej pomocy popełnić morderstwo, Dominic obejmuje mnie ramieniem i lekko ściska. Czerpiąc siłę z jego wsparcia, biorę głęboki oddech przez nos, a potem znowu wskazuję drzwi:

– Won!

Powinnam wiedzieć, że Matteo nie należy do tych, którymi można dyrygować. Podchodzi swobodnie do manekina w różowej sukience i dotyka spódnicy. Przesuwa palcami po szwach i mruczy do siebie:

– Ciekawe, co Luca powiedziałby, gdyby usłyszał, jak jego córka odzywa się do mnie?

Nie mógłby znaleźć bardziej wrażliwego punktu, nawet gdyby szukał z ogarami. Moją pierś przeszywa ostrze bólu, nie tylko dlatego, że Matteo użył imienia ojca tak swobodnie, pokazując, jak blisko byli ze sobą, ale także dlatego, że ma rację i dobrze o tym wiem.

Mój ojciec byłby zdegustowany moją wrogością. Wychował mnie na osobę uprzejmą wobec innych, nawet jeśli ich nie lubiłam.

Ale tak było, zanim zostałam publicznie upokorzona i postanowiłam nienawidzić wszystkich mężczyzn przed sześćdziesiątką. A zwłaszcza cudnych, aroganckich i bogatych, którzy traktują kobiety, jakby wszystko, co w nich dobrego, miały między nogami.

Odwracam się do Dominica.

– Wybaczysz nam na chwilę? Matteo i ja musimy porozmawiać na osobności.

Dominic obrzuca ponurym spojrzeniem mojego arcywroga, a potem obejmuje mnie. Mruczy mi do ucha:

– Widzę, że go nie lubisz. Mądra dziewczynka. – Odsuwa się, przygląda mi wymownie, odwraca plecami do Matteo i wychodzi.

Kiedy tylko drzwi zamykają się za nim, zwracam się do niego:

– Jestem ci winna przeprosiny.

Przygląda mi się w ciszy, ze zmrużonymi powiekami, oceniająco. Wiem, że będę musiała przełknąć gorzką pigułkę, ale ojciec tego właśnie by chciał. Zawsze mówił mi, że człowiekowi można wybaczyć wszystko, poza brakiem uprzejmości. Dlatego zaciskam zęby i chcę mieć to już za sobą.

– Za to, jak się do ciebie zwracam. Zwykle nie jestem taka… wściekła.

Po tym, jak wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, mówi:

– Cierpisz, a ja po prostu jestem dogodnym celem.

Cholera. Spodziewałam się ciętej riposty, nie zrozumienia. A już na pewno nie wnikliwości. Jeśli cały czas będzie taki spostrzegawczy, nie będę mogła przebywać blisko niego. Nikt nie lubi czuć się tak, jakby twoja dusza wisiała na widoku i każdy mógłby ją zobaczyć.

Nakładam na twarz maskę pozbawioną emocji i skupiam wzrok w punkcie na ścianie ponad jego ramieniem, żeby nie musieć mierzyć się z tym przeszywającym duszę wzrokiem.

– Pewnie masz rację. Ta sytuacja ze szkicownikiem nie pomogła, ale to była bardziej niż uczciwa wymiana. Ten bilet lotniczy to prawdopodobnie najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Muszę przerwać, bo głos mi się łamie, a do oczu napływają łzy. Odwracam się, zanim Matteo je zobaczy i wyszydzi mój brak godności. Nie zamierzam być niczyim popychadłem.

Ale on znowu mnie zaskakuje.

– Zazdroszczę ci – oznajmia cicho.

Kiedy odwracam się z zaskoczeniem, odkrywam, że Matteo wpatruje się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. To coś jakby tęsknota, tylko mroczniejsze.

– Co masz na myśli?

Znowu przenosi wzrok na różową sukienkę. Z profilu jest jeszcze bardziej pociągający, proste rysy, wyrzeźbione krzywizny, niemożliwie długie rzęsy rzucające cienie na jego złociste policzki.

– Mój ojciec zmarł, kiedy byłem bardzo młody.

Jego głos jest płytki, przepełniony żalem. Jest coś, czego mi nie mówi. Chociaż zżera mnie ciekawość, nie zapytam.

– Przynajmniej go poznałeś. Moja matka zmarła przy porodzie.

Odwraca głowę. Patrzy mi głęboko w oczy. Czuję się odkryta i bezbronna, aż muszę zwalczyć potrzebę ucieczki. Wpatrujemy się w siebie z dwóch końców małego pomieszczenia, a mój puls szaleje i ściany zaczynają się zbliżać.

– Twój ojciec pokazał mi kiedyś jej zdjęcie – mówi Matteo z wahaniem, jakby bał się mnie spłoszyć albo wywołać kolejną falę gniewu. – Wyglądasz zupełnie jak ona.

Czuję gorzki posmak w ustach. To pewnie wszystkie te łzy, które przełknęłam.

– Wiem. To znaczy widziałam na zdjęciach, że wyglądamy jak bliźniaczki. Kiedy dorosłam, czasem przyłapywałam ojca na wpatrywaniu się we mnie tym nieobecnym wzrokiem, jakby widział ducha.

Matteo przysuwa się. Powoli, jakby wstrzymywany przez jakąś siłę, z którą musi walczyć.

– Myślisz, że właśnie dlatego jedyne twoje zdjęcia w domu pochodzą z dzieciństwa?

Wow. Ten facet zauważa wszystko.

Wpatruję się w podłogę, ukrywając oczy i przytakuję. Myślę o polaroidzie przyczepionym do tablicy korkowej na tyłach sklepu i zastanawiam się, jak często *papà* patrzył na to zdjęcie i widział kogoś innego w mojej twarzy. Jak często je zdejmował i chował tylko po to, żeby wyjąć je i znowu przyczepić. Ile to musiało sprawiać mu bólu.

– Włosy czarne jak noc. Skóra biała jak śnieg. Usta czerwone jak krew. – Kiedy podnoszę wzrok zaskoczona, Matteo mówi: – Właśnie tak opisywał cię ojciec. Jak Śnieżkę, tylko zbyt mądrą, żeby przyjąć zatrute jabłko.

Jak ktoś może tak dobrze pachnieć? Jak może być taki piękny? Spójrzcie tylko na niego. Jest jak chodzące dzieło sztuki.

I wtedy, jakby ktoś włączył przycisk, przypominam sobie, jak pozwoliłam, żeby wygląd i pochodzenie Brada zaślepiły mnie i mój głos twardnieje:

– Jeśli baśnie czegoś mnie nauczyły, to tego, że najbardziej kuszące, idealne jabłko jest zgniłe od środka.

Zatrzymuje się, stoimy teraz krok od siebie. Jego ton, jeszcze chwilę temu łagodny, teraz staje się zgryźliwy:

– Pytanie: ile z twojej niechęci dotyczy konkretnie mnie, a ile twojego byłego narzeczonego?

Czuję się, jakby potrafił przejrzeć mnie na wylot, jakby każda moja myśl dryfowała w bańce nad moją głową, a z czubka mojego nosa wystawał miernik pokazujący temperaturę. Gorąco, zimno, wrzątek, lód, pragnę cię, nienawidzę cię, zaraz się rozpłaczę. On widzi wszystko i to doprowadza mnie do szaleństwa.

– Mój były nie ma z tym nic wspólnego.

– Naprawdę? – Jego oczy znowu ciskają promienie lasera. – Bo zaczynam myśleć, że postanowiłaś mnie nienawidzić, zanim jeszcze zamieniliśmy choćby słowo i że ten niesmak na twojej twarzy wtedy na lotnisku, kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy, nie miał nic wspólnego ze mną, a wszystko z tym, że zostałaś porzucona przed ołtarzem.

Przechodzi przeze mnie furia, jakby ktoś zdetonował bombę atomową. Gdybym była Wolverinem, to właśnie jest moment, kiedy moje długie, stalowe pazury uwolniłyby się z gwałtownym szczękiem.

– Nigdy nie powiedziałam, że zostałam porzucona przed ołtarzem.

Znowu to protekcjonalne uniesienie brwi. Mam ochotę przykleić do niej plaster z woskiem i zerwać go gwałtownie.

– Nie musiałaś. Jest o tym mnóstwo artykułów w internecie – informuje mnie.

Szczęka mi opada i wpatruję się w niego z przerażeniem.

– *Wygooglowałeś* mnie? – pytam zszokowana.

Jego wargi wykrzywiają się w tym firmowym, bezwzględnym uśmiechu.

– Lubię wiedzieć wszystko, co możliwe, o rywalach w interesach. „Nieszczęśliwa Szwaczka? Porzucona Krawcowa?". Tyle sprytnych nagłówków. Może wykorzystasz któryś z nich jako nazwę nowego sklepu?

Jestem tak zażenowana, że nie mogę mówić. Stoję tam, wpatrując się w niego, a policzki mi płoną. Znowu przeżywam tę okropną chwilę. Nie mogę przed tym uciec, mimo że jestem tysiące

kilometrów stamtąd. W innym kraju, na drugim końcu świata, wciąż jestem tą dziewczyną, która nie jest wystarczająco dobra.

Chyba zaraz mnie zemdli.

– Może i postanowiłam cię nienawidzić, zanim zamieniliśmy ze sobą choćby słowo, ale mogłam mieć dobry powód. To, jak się panoszysz, jakby świat powinien paść do twoich stóp. To, jak rzucasz każdemu uśmieszki z taką wyższością. To, jak patrzysz na kobiety…

– Na ciebie – przerywa mi, a jego głos jest szorstki. – Masz na myśli sposób, w jaki patrzę na *ciebie*.

– Znowu dzielisz włos na czworo. Z pewnością jestem tylko jedną z miliona kobiet, które obdarzyłeś tym spojrzeniem.

– Jakim?

Podchodzi bliżej. Teraz dzielą nas już centymetry. Czujemy swoje oddechy i ciepło ciał.

Ten facet ma poważny problem z uszanowaniem przestrzeni osobistej.

Zwilżam wargi. Jego wzrok śledzi ruchy mojego języka. Cwaniacki uśmieszek znika. Na jego twarzy pozostaje tylko ta paląca intensywność.

– Wiesz, o jakim spojrzeniu mówię. I odsuń się. Osaczasz mnie.

– Nie. Chcę porozmawiać o tym spojrzeniu, które tak cię ubodło. Chcę, żebyś mi powiedziała, co ono, według ciebie, znaczy.

Jestem zahipnotyzowana przez puls bijący w zagłębieniu jego gardła. Jest mocny, szybki i szokujący. Czy jego serce łomocze tak bardzo jak moje?

– Nie wiem, co ono znaczy – odpowiadam skromnie.

To wywołuje u niego śmiech, niski i gardłowy. Dźwięk, który z jakiegoś dziwnego powodu wysyła falę gorąca między moje nogi.

– Okropna z ciebie kłamczucha – mruczy. Chwyta w dwa palce pasmo moich włosów i pociąga.

To zaczepka. Jak uczniak, który ciągnie za kucyk, ale żar w jego spojrzeniu nie ma w sobie nic chłopięcego.

Nigdy żaden mężczyzna nie patrzył tak na mnie. Nigdy. Mam wrażenie, że chce mnie pożreć. Chyba pragnie ze mną zrobić *naprawdę* brzydkie rzeczy.

Myślę, że mój były przyrodni brat próbuje wyprać mi mózg.

Kiedy moja macica zaczyna robić gwiazdy, muszę jej przypomnieć, że to nie tylko obrzydliwe uprawiać seks z krewnym, ale to prawdopodobnie też nielegalne. Ona rzuca, że już nie jesteśmy krewnymi, więc nie ma żadnych przeszkód i wszystkie znaki pokazują, żeby w to wejść.

Podstępna suka.

– Bardzo chciałbym wziąć udział w rozmowie, którą teraz toczysz w swojej głowie, *bella* – mruczy Matteo.

Moja macica wzdycha i rozpływa się. Przynajmniej się zamknęła.

– Myślałam o tym, że mam dużo pracy. I o tym, że powinieneś już iść – mówię, starając się brzmieć stanowczo.

Przesuwa końcówkami moich włosów po policzku i szczęce, potem powoli schodzi na szyję, a jego wzrok podąża w te same miejsca. Puls mi przyspiesza o jakieś kilka tysięcy uderzeń.

– Nie przyjmuję twoich przeprosin. – Pochyla się niżej, a mój mózg zachodzi mgłą, jak zaparowana szyba samochodu. – Nie sądzę, żeby były szczere. Myślę, że powinnaś *pokazać* mi, jak bardzo ci przykro za to, co do mnie mówiłaś, *bella*. I według mnie powinnaś to zrobić właśnie tak.

Ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie.

TRZYNAŚCIE

Kimber

Jego usta to raj. Umarłam i poszłam prosto do nieba. Dryfuję na chmurce. Gdzieś w oddali słyszę, jak cherubiny grają na harfach i widzę jednorożce biegnące po tęczy.

Jest łagodny, ale pewny. Powolny, ale dominujący. Jego dłonie na mojej twarzy są prawie szorstkie, ale wargi tak miękkie jak wata cukrowa. Językiem rozchyla mi usta, a kiedy to robi, z gardła ucieka mu dźwięk, który sprawia, że momentalnie twardnieją mi sutki, a każdy nerw w moim ciele promieniuje pożądaniem.

Wszystkie myśli o przestrzeni osobistej lądują za oknem. Właściwie to wszelkie myśli o czymkolwiek, poza jego ustami i twardym ciałem przy moim, nie istnieją. Stoję tam i pozwalam, żeby obdarzał mnie najgorętszym pocałunkiem w życiu. W ogóle nie dbam, że kiedy się skończy, będę przerażona nami obojgiem.

Jest mi zbyt dobrze, żebym teraz się tym martwiła.

Przywieram do niego i łapię za marynarkę. Wsuwa mi jedną dłoń we włosy, zaciska palce na karku, przytrzymując głowę w miejscu i penetruje językiem moje usta. Drugą dłoń przesuwa z twarzy na tyłek. Chwyta go i przyciąga mnie bliżej.

Stoimy tam, przy kontuarze w sklepie mojego ojca i pożeramy się przez tak długi czas, że wydaje się jak całe godziny. Całuje mnie przez całą wieczność, liże i ssie, delikatnie przygryza dolną wargę, przyciska mnie do siebie ramieniem jak w imadle, kiedy przesuwam dłonie po jego piersi i obejmuję go ramionami, żeby być jeszcze bliżej.

Boże, potrzebuję tego. Jak mogłam uważać, że wcześniej byłam całowana? Ten pocałunek sprawia, że każdy inny wydaje się babcinym cmoknięciem w policzek.

Ten pocałunek sprawia, że czuję się jak kobieta.

Mówi coś ochryple po włosku, odrywa się od moich ust, by przywrzeć wargami do szczęki, a potem zsunąć się w stronę gardła. Odchyla mi głowę i przywiera ustami do pulsu na szyi, sprawiając, że wydaję z siebie jęk.

Czuję jego gorący oddech na uchu, kiedy szepcze:

– Chcę usłyszeć ten dźwięk, kiedy będę głęboko w tobie.

Oczy uciekają mi w głąb czaszki. Zaczynam się pocić. Serce łomocze mi tak mocno, że może wybuchnąć. Moje ciało promieniuje żarem, zwłaszcza to miejsce między nogami, które aż wyje z pragnienia.

Zataczamy się krok czy dwa i wpadamy na kontuar. Erekcja Matteo przyciska się do mojego krocza. Jęczę, dyszę, drżę i słyszę, że on wydaje z siebie zwierzęcy odgłos, warknięcie jak lew.

To najbardziej seksowny odgłos, jaki kiedykolwiek słyszałam.

I wtedy on otwiera usta, rujnując wszystko:

– Widzisz? Nie musimy być wrogami. Pozwól, że kupię tę firmę i zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

Zamieram. Cała krew, która tak szybko płynęła moimi żyłami, teraz zupełnie zastygła. Wpatruję się w niego, w tę piękną twarz tak blisko mojej i zastanawiam się, jak surowe są w tym kraju kary za morderstwo.

– Czekaj! Czekaj… Czy ty właśnie pocałowałeś mnie po to, żebym sprzedała ci firmę ojca?

Zerka na mnie spod ciemnych rzęs, ale nie odpowiada.

Odpycham go i ocieram usta wierzchem dłoni.

– Odpowiedz na pytanie – żądam.

Bierze powolny wdech, przesuwa palcami po włosach i poprawia marynarkę. Potem odchyla głowę i patrzy na mnie w ten znaczący sposób.

– O mój Boże! Ty… jesteś wyrachowany! – rzucam oskarżycielsko.

Mięsień w jego szczęce drga, a spojrzenie mogłoby sprawić, że kupka chrustu stanie w płomieniach.

– Lepiej, żeby firma znalazła się w moich rękach. Jeśli chcesz uhonorować pamięć ojca, pozwól poprowadzić ją komuś, kto osiągnie z nią sukces, na jaki zasługuje.

To już drugi raz, kiedy sprawił, że poczułam się, jakbym dostała cios w trzewia. Zamierzam dopilnować, żeby był ostatni.

Prostuję ramiona, unoszę brodę i zbieram resztki godności, które mi pozostały. Potem patrzę mu prosto w oczy i mówię, co myślę:

– Pieprzę cię, Matteo Moretti. Pieprzę ciebie i tego wysokiego konia, na którym jechałeś, pieprzę też twoje ego i twój sztuczny pocałunek.

– Który, tak przy okazji, bardzo ci się podobał – wtrąca.

– Do tego pieprzę ten twój głupi uśmieszek – mówię przez zaciśnięte zęby, modląc się, żebym nie straciła panowania nad sobą i nie zaczęła wrzeszczeć. – A teraz wynoś się z mojego sklepu. I nigdy nie wracaj, bo pożałujesz, że się urodziłeś.

Wpatruje się we mnie w palącej ciszy, przesuwając spojrzenie po mojej twarzy. Wygląda, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko potrząsa głową, odwraca się i wychodzi. Zatrzaskuje za sobą drzwi.

Opieram się o kontuar i oddycham ciężko, nadal zamroczona po pocałunku. Ile razy jeszcze pozwolę się upokorzyć, zanim pojmę tę lekcję?

Mężczyznom nie można ufać.

Mojej macicy też nie.

Od teraz pozwolę działać tylko logice.

Nadal drżąc, zamykam drzwi sklepu i zabieram się do pracy.

***

Dziewięć godzin później zakończyłam inspekcję ksiąg, skatalogowałam i wyceniłam ponownie asortyment, przeorganizowałam większość przestrzeni roboczej na tyłach sklepu i udało mi się przy tym nie myśleć o Matteo raz na jakieś cztery, pięć minut.

Mój umysł bez przerwy wraca do tego pocałunku. Poziom adrenaliny w krwiobiegu nadal nie wrócił do normalnego stanu.

Robię listę rzeczy do kupienia – przede wszystkim komputer – gaszę światła i zamykam drzwi. Potem ruszam ulicą w stronę placu, gdzie znajduję taksówkę, która zabiera mnie z powrotem do *Il Sogno*.

Kiedy przyjeżdżam, w domu jest ciemno. Nie mam kluczy, więc jestem zmuszona zapukać do drzwi, w nadziei, że Lorenzo nie śpi i nie będę musiała zakradać się przez okno. Czuję ulgę, słysząc zbliżające się szybkie kroki.

Drzwi otwierają się.

– Przepraszam, że jestem tak późno, Loren… – przerywam, bo mężczyzną, który otwiera drzwi, nie jest Lorenzo.

– Nie bądź taka zaskoczona moim widokiem. Moja matka tu mieszka, pamiętasz?

Uśmiechając się, Matteo opiera się o framugę. Jest ubrany zwyczajnie, w ciemne spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, które ukazują jego silne, opalone przedramiona. Wygląda jak supermodel miliarder, pozujący na rozkładówkę dla magazynu „Supermodel Miliarder".

Pałając gniewem, mijam go i wchodzę do domu.

Mojego domu¸ przypominam sobie, rozwścieczona.

Ruszam prosto do kuchni, bo umieram z głodu. Lorenzo siedzi przy dużym, drewnianym stole, kręcąc szklanką z bursztynowym płynem. Kolejna stoi na stole naprzeciwko niego. Podnosi wzrok i uśmiecha się.

– Ach, *signorina*. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Za moimi plecami wkracza do kuchni Matteo. Czuję, że staje w drzwiach, sprawiając, że wszystkie atomy w pomieszczeniu wibrują z niebezpieczną częstotliwością.

– Czyżby? – pytam zjadliwie. – Chyba świetnie się bawicie.

Lorenzo mruga, słysząc mój ton. Spogląda za mnie na Matteo, który zapewne pokazuje mi środkowy palec za plecami. Wstaje i podąża za mną do lodówki.

– Podać coś do jedzenia?

– Możesz podać mi broń – mamroczę pod nosem. Biorę jogurt, przypominam sobie, że ich nie znoszę, wrzucam go z powrotem, po czym chwytam kawałek salami i kostkę sera. Lodówka jest wypełniona różnymi rzeczami, ale chcę czegoś, co będę mogła zjeść w swoim pokoju, rozrywając to zębami.

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby pozbyć się Matteo z tego domu.

Bez słowa do żadnego z nich zostawiam Matteo i Lorenza w kuchni i ruszam do mojej sypialni. Dopiero kiedy otwieram drzwi i włączam światło, przypominam sobie, że już nie jest moja.

Cornelia leży rozciągnięta na całym łóżku i chrapie jak piła mechaniczna.

Ma lampkę nocną w kształcie żyrafy. Ma miskę z wodą, która wydaje się zrobiona z prawdziwej porcelany, ustawioną na srebrnym stojaku przy łóżku. Ma różowy kocyk z kicającymi króliczkami, który okrywa dolną część jej wielkiego, czarnego cielska.

Jej imię zostało wymalowane pieprzonymi literkami w kwiatki na ścianie.

– Wynocha z mojego pokoju, psie! – krzyczę.

Budząc się z westchnieniem, Cornelia podnosi się. Kiedy widzi mnie w drzwiach, zadziera łeb do góry i wyje ze strachu.

Królowa dramatu.

Odsuwam się i wskazuję na korytarz.

– Won!

Pies zeskakuje z łóżka, ale zaplątuje się w prześcieradło i pada na podłogę. Szamocząc się panicznie, kopie stojak z miską, która przewraca się, rozlewając wodę po całej podłodze.

O mój Boże. To jakiś cholerny cyrk.

Podchodzę do szamoczącej się masy koców i łap i chwytam materiał. Pociągam, a pies uwalnia się jak kamień z procy. Wypada z pokoju jak strzała i pędzi korytarzem, wyjąc jak zjawa.

Kładę salami i ser na komodzie, w której prawdopodobnie znajdują się ubrania Cornelii. Podchodzę do łóżka i zdejmuję pościel. Zwijam wszystko i rzucam w kąt. Wącham materac, pewna, że będzie śmierdział psem, ale nic nie czuję. Nie zauważam też żadnych podejrzanych plam. Zadowolona wyjmuję świeżą pościel z bieliźniarki w łazience i przygotowuję sobie łóżko.

Dopiero kiedy kończę, zauważam, że mam towarzystwo. Matteo opiera się o framugę i obserwuje mnie z uśmiechem.

– Proszę, kto się zjawił. Hrabia Egotistico. Przyszedłeś dać mi kolejnego fałszywego całusa? – pytam ironicznie.

– Jeśli mi pozwolisz. – Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

Kutas.

– Jednak odpuszczę, dzięki – odpowiadam z okrutnym uśmiechem.

Z wysoko uniesioną brodą podchodzę do niego, wypycham go na korytarz i zatrzaskuję drzwi przed nosem.

Momentalnie się otwierają.

Cholera. Nie ma zamka.

– Wiesz, nienawiść i miłość tak bardzo się od siebie nie różnią, *bella* – poucza mnie.

Teraz udaje filozofa, ściągając te śliczne usta i patrząc w sufit, jakby oglądał gwiazdy.

Mogłabym go zabić.

– Dlaczego tak lubisz mnie torturować? Jesteś jakimś sadystą?

Oczywiście ignoruje mnie i kontynuuje ten swój wywód w stylu Sokratesa:

– W zasadzie są dwoma stronami tej samej monety. Pasja, obsesja, spocone dłonie i galopujące serce. Bezsenność. – Przesuwa wzrok na salami i ser na komodzie. – Słaby apetyt.

– Chcesz zobaczyć słaby apetyt? Zaraz ci go pokażę, jak wepchnę ci to salami tak głęboko do gardła, że już nigdy nie będziesz w stanie jeść.

Uśmiecha się, rozbawiony moją furią.

– Pasja – przypomina mi, zadowolony z siebie jak cholera.

Rozglądam się za czymś, czym mogłabym w niego rzucić.

– Zawrzyjmy rozejm. – Rusza do przodu z rękami w kieszeniach, jakbym miała w ten sposób poczuć się bezpieczniej.

– Żadnego rozejmu. Nie ma mowy. I pamiętaj, że to ty zacząłeś tę wojnę.

Robi minę, jakby w to wątpił.

– Tak, ty. Czemu ja w ogóle z tobą rozmawiam? Pocałowałeś mnie na niby!

– Czyżby? – Matteo unosi wysoko brwi.

– Tak! Przyznałeś, że tak było!

– Hmm… nie przypominam sobie.

– Czyli dodajemy demencję do długiej listy twoich problemów – podsumowuję sucho.

Do tej pory zdążył już zapędzić mnie na brzeg łóżka, zbliżając się tak zwinnie, że ledwo to zauważyłam, co zapewne było jego niecnym

planem od samego początku.

Staję w miejscu i kładę dłoń na jego piersi, wyciągając rękę, żeby nie mógł podejść bliżej.

– Nie jestem żartem – mówię ostrym głosem. – Nie jestem zabawką.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

Czuję pod palcami, jak jego serce łomocze. Znowu dyszymy na siebie z nienawiścią, widocznie to zaczyna stawać się rutyną. Potem przechodzimy do nienawistnego pieprzenia się wzrokiem, co zdecydowanie zaczyna stawać się naszą rutyną.

– I ty wypominasz mi to, jak na ciebie patrzę? – mówi spokojnie. – Powinnaś widzieć teraz swój wzrok. – Jego głos obniża się o oktawę. – Taka sprośna, *bella*. Tak bardzo, bardzo sprośna.

– Nie sprzedam firmy, niezależnie jak bardzo będziesz starał się to ze mnie wypieprzyć.

Unosi brew.

– Wypieprzyć to z ciebie? – Patrzę z urywanym oddechem, jak zatapia zęby w pełnej, dolnej wardze. – To brzmi interesująco. Podyskutujmy.

– Jesteś świnią – obrażam go.

– A jednak mnie pragniesz – zauważa niezrażony obelgą.

– Jesteś niewiarygodny! – Kręcę głową w pełnym szoku.

– Tak, kobiety już mi to wcześniej mówiły. Zwykle zaraz po tym, jak dochodziły.

Nie mogę równać się z tym facetem!

I wtedy coś sobie przypomina. Rozgląda się i marszczy brwi.

– Co ty tutaj robisz?

– A na co ci to wygląda? Próbuję się ciebie pozbyć!

Patrzy na kłąb pościeli w rogu. Potem na świeżo posłane łóżko. Następnie znowu na mnie. Uśmiech, który pojawia się na jego twarzy, zapiera dech w piersi.

– Moja droga, była siostro przyrodnia. Czy ty się wprowadzasz?

Z rozmysłem przesuwam dłonią w górę jego piersi, aż docieram do szyi, na której zaciskam palce – lekko, ale wystarczająco, żeby wiedział, że nie żartuję.

Jego skóra jest gorąca, a gardło mocne. Grube. Od razu zaczynam myśleć o innych gorących, grubych częściach ciała.

Oficjalnie nienawidzę samej siebie.

Unosi brew, wyraźnie rozbawiony.

– Prowadzisz bardzo interesujące wewnętrzne konwersacje. Zamierzasz mnie udusić?

Warczę, ale brzmi to głupio. Jak kociak, który próbuje być przerażający.

Matteo pochyla się. Rękę nadal mam zblokowaną w łokciu, więc nacisk na jego gardle się zwiększa. Patrząc mi w oczy, mówi spokojnie:

– No dalej. Wiem, że tego chcesz.

Kurczę, naprawdę chcę. Zaciskam drugą dłoń na jego szyi tak, że trzymam go teraz w solidnym uścisku. Czuję jego puls, uderzający mocno przy mojej dłoni. To dziwnie podniecające.

Intensywnie wpatrując się w moją twarz, szepcze:

– Te oczy.

Wtedy od strony drzwi dobiega nas ostry głos:

– Co się tutaj dzieje?

– Nic, czym należałoby się martwić, tylko Kimber próbuje mnie udusić. – Matteo odwraca się i uśmiecha do matki, a ja szybko chowam ręce za plecami.

Lodowate spojrzenie markizy przesuwa się na mnie, a potem wraca do Matteo. Trzyma w ramionach Fasolkę, ubraną w białą koszulkę nocną, pasującą do tej, którą ma na sobie jej pani. Suczka pokazuje zęby.

– Ach. Widzę, że jak zwykle próbujesz wykorzystać swój urok – mówi markiza i znowu spogląda na mnie. – Jeśli naprawdę chcesz go zirytować, żartuj z jego włosów. Ma obsesję, że mógłby je stracić.

Odwraca się na pięcie i wychodzi, a koszula nocna powiewa za nią jak żagiel.

Gapię się na nią, a oddech ucieka mi z płuc jak powietrze z przebitej opony.

– Czy twoja matka właśnie z ciebie zadrwiła?

Matteo wykrzywia usta z niesmakiem.

– Nie.

– Właśnie że tak! O mój Boże, muszę kupić los na loterię. Są w ogóle jakieś loterie w tym kraju? Bo to musi być jakiś znak od wszechświata, że mój los się odwraca.

Cała twarz Matteo przybiera teraz kwaśny wyraz, a ja wręcz promienieję.

– Ooo, co się stało, Mattie? Mamusia zraniła uczucia małego Mattiego?

Spojrzenie, które mi posyła, kipi irytacją.

To najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Uśmiecham się do niego i trzepoczę rzęsami. Ta cała gra w przekomarzanie nie była zabawna, aż do teraz.

– Czyżbym znalazła rysę w twojej lśniącej zbroi, najdroższy przyrodni bracie? Znalazłam twoją piętę Achillesa? Mamuńcia gardzi tobą tak bardzo jak ja, tak?

– Uważaj – mówi mrocznym tonem.

Z jakiegoś powodu to słowo wypowiedziane właśnie w ten sposób sprawia, że zamieram.

– Och. Ty naprawdę myślisz, że tak jest? – zauważam, a uśmiech znika mi z twarzy.

Matteo nic nie mówi. Po prostu wpatruje się we mnie z zaciśniętymi pięściami, a mięsień w jego żuchwie drga.

Mam ochotę powiedzieć mu, jak jej oczy rozbłysły, kiedy Lorenzo zaanonsował jego przybycie, ale siedzę cicho. Nie zasługuje na pocieszenie. *Oszukał mnie przy pocałunku*.

– Cóż, było fajnie, ale jest późno, a ja muszę iść spać – mówię stanowczo.

Wzrok Matteo przesuwa się na łóżko. Wyobrażam sobie nas na nim razem, splątanych w uścisku, spoconych. Przełykam tak głośno, że brzmi to jak z kreskówki.

– *Certo* – rzuca Matteo szorstko, nadal wpatrując się w łóżko. Potem odwraca się i rusza w stronę drzwi. Już ma przez nie przejść, ale zatrzymuje się, opiera dłoń o framugę i spogląda na mnie. – Skoro zamierzasz teraz mieszkać we Włoszech, zakładam, że wybierasz się na Fashion Week w Mediolanie w przyszłym miesiącu?

Jego twarz jest niewzruszona, ale w oczach błyszczy coś, czemu nie ufam.

– Musiałabym dostać zaproszenie. Dlaczego pytasz?

Pozwala sobie na uśmiech, ale nie ma w nim ani śladu humoru.

– Myślę, że mogłaby zainteresować cię wiosenna kolekcja Domu Moretti. Mamy kilka naprawdę niesamowitych projektów.

Pozwala, żeby słowa przez chwilę zawisły w powietrzu. Kiedy pojmuję ich znaczenie i gwałtownie wciągam powietrze, jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

Stuka knykciami we framugę.

– Słodkich snów.

Potem wychodzi, zabierając ze sobą resztki mojej wiary w ludzkość.

CZTERNAŚCIE

Matteo

Luca mówił mi, że jego córka jest uparta. Ale jest upór i jest Kimber DiSanto.

Dzięki Bogu, że jej umiłowanie współzawodnictwa przewyższa nawet ten upór. Do tego, co dla niej zaplanowałem, przydadzą się obie te cechy.

Uśmiecham się, kiedy słyszę przekleństwa, którymi obrzuca mnie za plecami, gdy wychodzę z jej sypialni i wracam do kuchni. Wychylam resztę Frangelico z mojej szklanki, krótko żegnam się z Lorenzo i wychodzę.

Moje zadanie tutaj jest wykonane.

Na dzisiaj.

PIĘTNAŚCIE

Kimber

Wracam do sklepu, zanim jeszcze wzejdzie słońce, i szkicuję nową kolekcję.

Jeśli ten szmaciarz myśli, że poddam się bez walki, to zaraz dostanie największą niespodziankę swojego życia.

Dla nieznanego projektanta to praktycznie niemożliwe, żeby zarezerwować wybieg na Fashion Week w Mediolanie, ale istnieje *jeden* sposób, żebym stała się znana. Jeden ryzykowny, stawiający na wszystko sposób.

Jednak będę potrzebowała pomocy, żeby to zrealizować.

Kiedy już mam około tuzina wstępnych szkiców, robię sobie przerwę i dzwonię do Jennera. Odbiera po piątym sygnale, właśnie kiedy mam się rozłączyć.

– *Moshi moshi*.

– Mo… co?

– Tak odbiera się telefon w Japonii, kochana. Czy ty nigdzie nie byłaś? – pyta Jenner leniwym głosem.

– Jesteś teraz w Japonii?

– Niestety nie. Ale jestem aktualnie w łóżku z cudnym Japończykiem, a wcześniej byłem w nim, więc praktycznie na jedno wychodzi – informuje mnie bez żenady.

– O cholera. Która tam jest godzina? Ciągle zapominam o strefach czasowych.

– Nie szkodzi, i tak nie spałem przez całą noc. Jak się masz? Co tam u mojego ukochanego Matteo? Mów wszystko i to szybko.

W tle słyszę zaspany, męski głos, pytający o coś Jennera. Wyłapuję tylko słowa „proszę” i „ściśnij”, a potem przestaję słuchać.

– Uch. Twój „ukochany” jest okropny. Jesteśmy totalnymi wrogami. Zamierzam zgnieść go jak robaka!

– O, kurczę! – Jenner śmieje się. – Znowu grałaś w scrabble?

– Nie. Mam tu na głowie większą rozgrywkę. O dużo wyższą stawkę – przechodzę do konkretów.

– Hmm… Brzmi interesująco. Mów dalej – zachęca mnie Jenner.

Biorę oddech i wypuszczam go z westchnieniem.

– Rozwalę mu pokaz na Fashion Week – informuję bez owijania w bawełnę.

Następuje chwila ciszy, a potem Jenner mówi:

– Wszystko przez to śródziemnomorskie słońce. Uderzyło ci do głowy.

– Nie wychodziłam na słońce! – bulwersuję się.

– W takim razie wino. Pijesz je na śniadanie, obiad i kolację, tak? Wmuszają je w ciebie, jakby to były witaminy.

– Jestem zupełnie trzeźwa.

– Cudownie – rzuca oschle. – To oznacza, że mówisz poważnie, czyli masz poważny problem z głową.

– Nie mam problemów z głową! – denerwuję się wszystkimi jego insynuacjami.

Ignoruje mnie i wzdycha.

– Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić, kochana. Najpierw przeprowadzka do Florencji, teraz chcesz wbić się na ekskluzywne wydarzenie tylko dla zaproszonych, pełne ochroniarzy. Kolejną rzeczą, jaką mi powiesz, to że chcesz, żebym zaprezentował jedną z twoich sukienek na wybiegu albo inna temu podobna bzdura.

Kiedy nic nie odpowiadam, Jenner rzuca:

– O nie. Nie, nie, nie!

– Jeśli mnie kochasz, zrobisz to dla mnie – próbuję go przekonać.

– To szantaż emocjonalny!

– Potrzebuję cię, Jenner. Nie tylko jesteś profesjonalnym modelem, i to niesamowitym, ale też najpiękniejszym człowiekiem, jakiego znam. Nikt nie ma takich kości policzkowych i nie robi takich min jak ty.

Burczy coś pod nosem, ale wiem, że przyciągnęłam jego uwagę. Pochlebstwa działają za każdym razem.

– Wiem, jak uwielbiasz spektakularne wejścia, a to, co zaplanowałam, będzie *super* spektakularne. – Jeszcze niczego nie zaplanowałam, ale apeluję do jego umiłowania dramatu i uwielbienia reflektorów. Później zajmę się szczegółami. – A przecież i tak będziesz w Mediolanie w przyszłym miesiącu, więc wszystko pasuje.

Śmieje się.

– Och, Poppins, jesteś uroczo szurnięta.

– Więc zrobisz to?

– Mam paradować w jednej z twoich wyjątkowo niesamowitych, zwiewnych kreacji, zrobić z siebie kompletnego kretyna, a przy okazji narazić swoją karierę przez wmieszanie się w nieprzemyślany, najpewniej nielegalny i niedorzeczny plan, żeby zakłócić jeden z najbardziej prestiżowych pokazów mody na tej planecie? Oczywiście, że nie. Jedno z nas nadal jest poczytalne – kończy, odpowiadając samemu sobie na zadane pytanie.

– Danielle zrobiłaby to dla mnie – jęczę.

– Proszę cię. Nikt nie dopuściłby tej kobiety nawet w pobliże wybiegu z tymi jej gigantycznymi cyckami. Nie jestem nawet pewien, czy przeszłaby przez drzwi frontowe. Zawróciliby ją i pokierowali do najbliższego baru Hooters! Serio, jak wy w ogóle możecie chodzić z tym czymś dyndającym z przodu? Nigdy tego nie pojmę.

– Muszę ci powiedzieć, że cycki są moją ulubioną częścią ciała.

– To dlatego, że masz uroczą, małą miseczkę B, kochana. Wciąż będą jędrne, nawet kiedy trafisz do domu starców. Już cię widzę, jak potrząsasz nimi przed twarzami wszystkich tych dziadków na wózkach! Och, nie mogę się doczekać. Powinniśmy od razu wybrać dla ciebie pseudonim, żebyśmy byli gotowi. Może imię twojego pierwszego zwierzaka i nazwa ulicy, przy której mieszkałaś, dorastając? Tak, to będzie dobre. – Śmieje się zadowolony. – Mój pseudonim artystyczny to Frisky Broadmoor!

W rozmowach z nim tak jest zawsze. Moglibyśmy dyskutować o polityce albo bieżących wydarzeniach, a skończyć na cyckach i dymaniu. To jak jego supermoc.

– Wracając do właściwego tematu… Potrzebuję też kilkoro twoich przyjaciół modeli. – Cisza. – Zanim odmówisz, musisz wiedzieć, że

zapłata będzie świetna.

Znowu cisza, tylko w tle słyszę przyjaciela Jennera, który właśnie cicho się śmieje. Słyszę jakieś szamotanie i staram się nie wyobrażać sobie, co może się dziać pod kołdrą.

– No dobra, może nie *super* świetna, ale… yy… w zasadzie, ile model zarabia na godzinę?

– Nie stać cię na mnie – mówi beznamiętnie, a potem zwraca się do swojego towarzysza. – Przestań go trącać, to nie zabawka. Patrz. O tak. – Wraca do rozmowy ze mną, używając praktycznego tonu. – Posłuchaj mnie uważnie. Wiem, że to dla ciebie okropny czas. Okropny i bardzo wymagający. To normalne, że jesteś nieco rozchwiana.

Załamana zamykam oczy.

Z wszystkich ludzi na świecie, ty jesteś ostatnim, o którym pomyślałabym, że będzie mnie traktować protekcjonalnie.

– Wiem, co sobie myślisz – mówi, kiedy milczę zbyt długo.

– Nie wiesz.

– Uważasz, że traktuję cię protekcjonalnie.

No dobra. Wie. Wielkie mi rzeczy.

– I może masz rację. Przepraszam cię za to, ale tak niezgrabnie staram się przekazać ci, że martwię się o ciebie i zrobię dla ciebie cokolwiek, co nie oznacza zrujnowania mojej kariery. – Jego głos staje się cichszy. – Chcesz, żebym przyleciał na pogrzeb?

Na wspomnienie pogrzebu cała energia ucieka z mojego ciała. Opadam na najbliższe krzesło i przykrywam oczy ramieniem.

– Nie. Tak. Nie wiem.

– Mogę być w samolocie w ciągu trzech godzin. Powiedz tylko słowo.

W tle słyszę, jak towarzysz Jennera narzeka na możliwość jego wyjazdu, ale zostaje ostro uciszony.

– Nie – mówię pewniej. – Nic mi nie jest. Ale dzięki za propozycję. Doceniam to.

Ostatnie, czego chcę, to być dla niego ciężarem. Jest szczęśliwy i dobrze się bawi, a ja rujnuję wszystko swoimi problemami.

– Wiesz co? Masz rację. Pogubiłam się. Nie myślę jasno. To był naprawdę dziwny, pełen emocji tydzień, wszystkie zwoje w mózgu

mi się poplątały. – Śmieję się, ale brzmi to mniej więcej tak radośnie, jakbym podcięła sobie żyły. – Muszę kończyć. Przepraszam, że zadzwoniłam tak wcześnie. Albo późno. Nie wiem, która tam jest godzina.

– Hej. Ty. Greta Garbo.

– Nie jestem Gretą Garbo – mamroczę. – Jestem Katharine Hepburn.

– Racja. Tą zawziętą i niezależną, a nie humorzastą, która chce być sama.

– Dokładnie.

– Myślę, że po trochu jesteś każdą, ale zanim przerwano mi tak niegrzecznie, zamierzałem powiedzieć, że cię kocham.

– Wiem – szepczę, próbując nie brzmieć, jakbym była załamana i bliska łez. – Ja też cię kocham.

– Och, Poppins. Będzie lepiej. Obiecuję.

– Brzmisz jak jeden z tych terapeutów od nastolatków po próbach samobójczych.

– Zadzwoń, jeśli będziesz chciała pogadać, dobrze? I mówię serio w kwestii pogrzebu. Powiedz słowo, a będę tam.

Żegnamy się i rozłączamy.

Potem wracam do moich szkiców. Jeśli Jenner nie pomoże mi ukraść całej chwały Matteo, po prostu muszę znaleźć kogoś, kto to zrobi.

***

Kiedy o ósmej wieczorem wytaczam się z taksówki i ruszam do domu, ledwo widzę i umieram z głodu. Drzwi są otwarte, więc wchodzę bez pukania.

Akurat w sam środek rodzinnej kolacji.

Przy stole w jadalni siedzi markiza, Cornelia i Fasolka. Wszystkie podnoszą wzrok, kiedy wchodzę.

– *Buonasera* – mówi markiza, odkładając widelec.

Wygląda nieskazitelnie w czarnym, jedwabnym kostiumie, który podkreśla jej jasne włosy i skórę, a oczy cyborga wyglądają jak u Terminatora. Sprawia wrażenie, jakby zaraz miała przeprowadzić

na kimś egzekucję. Po jej lewej Fasolka siedzi w swoim krzesełku, aż drżąc z wściekłości. Po prawej Cornelia wygląda spod stołu wielkimi, przerażonymi oczami, starając się udawać niewidzialną.

Po drugiej stronie stołu siedzi Matteo, rozparty na krześle jak król wszechświata.

Uśmiecha się, mierzy mnie z góry do dołu wzrokiem przepełnionym erotyzmem i puszcza mi oczko.

To wyzwanie. Podpuszcza mnie. Chce zobaczyć, jak sobie tutaj poradzę. Założę się o milion dolców, że ma nadzieję na atak szału.

Bez cienia emocji w głosie ani na twarzy, zwracam się do markizy:

– Właśnie uświadomiłam sobie, że ci nie powiedziałam.

– Czego? – Kobieta wydaje się być zdziwiona.

– Wprowadzam się.

Delikatnie ociera usta serwetką, nie naruszając pomadki, a potem rozkłada serwetkę na kolanach.

– Domyśliłam się po tym, jak Dominic przywiózł tu wczoraj twoje bagaże.

I to tyle? Czekam, aż powie coś jeszcze, ale tylko patrzy na mnie z tym swoim niezmąconym spokojem.

Kątem oka widzę, jak Matteo zakrywa usta dłonią. Próbuje się nie roześmiać. Jestem pewna, że widać, jak para ucieka mi uszami, ale zmuszam się do zachowania kontroli.

– Zajęłam swój pokój. Cornelia będzie musiała zamieszkać z Fasolką.

Słysząc swoje imię, Cornelia piszczy cicho pod stołem. Przysięgam, że ten wielki pies jest niczym więcej, jak tylko wielką beksą.

– Jestem pewna, że sobie poradzimy. – Markiza podnosi widelec i wraca do jedzenia.

Kiedy staje się jasne, że to koniec rozmowy, rzucam:

– Dobra. Fajnie się gadało.

Kipiąc ze złości opuszczam jadalnię i ruszam prosto do kuchni. Wiem, że są tam zupy, gulasze i mnóstwo innych potraw przyniesionych przez przyjaciół taty, ale w tej chwili potrzebuję czegoś innego. Przeszukuję szafki, aż znajduję to, czego szukałam. Biorę butelkę whisky i nalewam sobie drinka.

Co papà w niej widział? Jest taka zimna! Sypianie z nią to jak leżenie przy bloku lodowym! W igloo! W środku śnieżycy na Antarktydzie!

Kończę drinka i nalewam sobie kolejnego. Nie mogę uwierzyć, że nie zadała mi ani jednego pytania. Żadnego *jak długo zostajesz?* Żadnego *jakie masz plany względem firmy?* Nic!

W zasadzie może to i lepiej. Rozważam to i stwierdzam, że tak, rzeczywiście będzie lepiej, jeśli nie zacznie zadawać pytań. Wyraźnie nie chce mnie poznać, a ja zdecydowanie nie chcę poznać jej. Po prostu będziemy trzymać się od siebie z daleka. Ja będę robić swoje, a ona swoje.

Czymkolwiek to jest. Prawdopodobnie rzuca uroki na mieszkańców wioski.

– Pracowałaś do późna? – Matteo, uśmiechnięty, wkracza do kuchni. Wygląda jak bóg w idealnie dopasowanym garniturze o barwie nocnego nieba i białej koszuli z odpiętym kołnierzykiem.

– Nie twój interes. – Żałuję, że nie znam kilku klątw jego matki. Zafundowałabym mu włochatą kurzajkę na czubku nosa i garb, żeby obniżyć jego ego o kilka stopni.

Stojąc przy drewnianym stole, powoli rozpina guziki marynarki i swobodnie rozchyla poły. Zsuwa ją, zarzuca na oparcie krzesła, rozpina spinki przy mankietach, odkłada je na stół i podwija rękawy, przez cały czas wpatrując się we mnie. Nie mogę odwrócić wzroku. To jak porno. Wiesz, że nie powinieneś oglądać, ale nie możesz przestać patrzeć. Szyte na miarę garnitury są stworzone na takie ciała. Wszystko w nim jest eleganckie, proporcjonalne, świetnie zrobione. Jest umięśniony, ale nie przesadnie, silny, ale nie zwalisty. Jego skóra jest złocista i bez skazy. Wygląda jak po retuszu. Ma kości policzkowe, których pozazdrościłby mu nawet Jenner i linię szczęki tak ostrą, że mogłaby ciąć szkło.

Ten mężczyzna jest jak *haute couture*[29].

I mój Boże, te oczy. Palący błękit, przeszywająco zmysłowy, takich oczu kobieta nigdy nie zapomina. Można w nich utonąć.

Takie oczy mogą zniszczyć ci życie.

Wychylam resztę drinka i kaszlę, kiedy opary uderzają mi do nosa.

– Powinieneś przenieść te radosne, rodzinne kolacyjki do *swojego* domu – sugeruję mu.

– Czyżby? Właśnie to powinienem zrobić? – dopytuje się z niedowierzaniem.

Uśmiechając się, jakby skrywał jakąś tajemnicę, Matteo podchodzi do szafki, wyjmuje szklankę i nalewa sobie whisky. Potem opiera się o blat i patrzy na mnie, lord na włościach i król wzgórza, doprowadzając wszystkie moje nerwy na granicę wytrzymałości.

– Nie chcę musieć rozprawiać się z tobą za każdym razem, kiedy wrócę do domu po pracy – wyjaśniam.

– Rozprawiać się? Interesujący dobór słów. Sugeruje jakiegoś rodzaju karę.

Kiedy jego uśmiech staje się promienny, mam dość.

Odstawiam szklankę na blat z głośnym brzękiem i obrzucam go swoim najbardziej morderczym spojrzeniem.

– Nie chcę cię tutaj, rozumiesz? Czy to dla ciebie wystarczająco jasne? Nie lubię cię, nie ufam ci i chcę, żebyś trzymał się z dala od mojego domu.

Marszczy brwi, ale ten grymas szybko zastępuje szeroki uśmiech. Jak u rekina. Matka byłaby z niego dumna.

– Może moglibyśmy negocjować – proponuje.

Wzdycham ciężko, przytłoczona taką ilością różnych emocji, że nie mogę znaleźć jednej, na której mogłabym się skupić. Jak kocioł pełen roztopionych odczuć. Gęsta breja.

– Proszę. Po prostu idź. Nie mam teraz na to siły.

Jego spojrzenie wyostrza się.

– Co się dzieje? Coś się dzisiaj stało?

Żartuje sobie?

– Wyjdź – mówię pewnie, patrząc na niego z góry.

– Nie wysłuchałaś jeszcze mojej propozycji.

Już mam zapytać głupio „Jakiej propozycji?”, ale powstrzymuję się na czas. Zakładam ręce na piersi i zaciskam usta.

Matteo przysuwa się, kołysząc swojego drinka.

– Ale jeśli nie jesteś zainteresowana odzyskaniem swojego szkicownika, możemy o tym zapomnieć – mówi obojętnie.

Zamieram. Czuję gorąco na szyi, które powoli pełznie w górę, na twarz.

– Już powiedziałeś, że wykorzystujesz moje projekty w nowej kolekcji, więc to bez różnicy, czy go odzyskam czy nie.

– To właśnie powiedziałem? – Jego spojrzenie jest przeszywające. Słaby uśmieszek igra mu w kącikach ust.

Bawi się ze mną, jak kot z myszą.

Tylko, że ja nie jestem myszką. Jestem pieprzoną lwicą.

– Nie zamierzam grać z tobą w tę grę – mówię, patrząc mu prosto w oczy. – Mam już dość twoich bzdur. Chcę, żebyś wyniósł się z mojego domu i nie wracał. Jeśli tego nie zrobisz, wezwę policję. To moja posiadłość. Nie twojej matki, *moja*. Jeśli nie chcę cię tutaj, to znaczy, że jesteś intruzem.

Przez chwilę stoi bez ruchu, wpatrując się we mnie, a potem wypuszcza powietrze. Z głęboką intensywnością oznajmia:

– Masz pojęcie, jaka jesteś piękna?

Mój śmiech jest cichy i zgorzkniały.

– Mam spore doświadczenie z kłamliwymi playboyami. Możesz wziąć sobie te fałszywe komplementy i wsadzić w dupę, razem z tym sztucznym pocałunkiem.

Zaciska szczęki. Mówi coś po włosku ochrypłym głosem, nie odrywając wzroku od moich warg.

Chciałabym, żeby moje serce przestało robić te dziwne rzeczy, które robi zawsze, kiedy on patrzy na mnie w ten sposób. Jestem zdeterminowana, żeby go nienawidzić i wszystkie te bzdurne, trzepoczące w brzuchu motylki naprawdę zaczynają mnie irytować.

– Coś ci powiem. – Podchodzi do blatu naprzeciwko, gdzie obok telefonu leży notes i stoi kubek z długopisami. Pisze coś na kawałku papieru, składa go na pół, a potem podchodzi do mnie i wyciąga go w moją stronę. – Jeśli stwierdzisz, że chcesz wysłuchać mojej propozycji, oto mój numer. Jeśli nie – wzrusza ramionami – więcej o tym nie wspomnę.

Patrzę na kartkę w jego dłoni, marszcząc nos, ale nic nie mówię.

Odkłada ją na blat, podchodzi do krzesła, na którym zostawił marynarkę, podnosi ją i zakłada.

Zmierzając w stronę drzwi, rzuca przez ramię:

– Dla jasności, to nie był komplement, tylko pytanie.

– Kiedy wreszcie wyświadczysz wszystkim przysługę i rzucisz się z dachu? – krzyczę za nim.

Jego mroczny śmiech to drugi najbardziej irytujący dźwięk, jaki słyszałam w życiu.

SZESNAŚCIE

Kimber

Budzę się etapami. Jest wcześnie, prawdopodobnie zaraz po świcie. Szare światło przesącza się przez szparę w zasłonach. W pokoju jest cicho i chłodno, co sprawia, że ciepło, które czuję na plecach, wydaje mi się jeszcze dziwniejsze.

Odwracam głowę i znajduję wielki, czarny łeb na poduszce obok mnie.

Cornelia ma otwarty pysk. Chrapie delikatnie, a długi, różowy język leży na poduszce. Jedną z łap zarzuciła na mnie.

Ten cholerny pies leży ze mną na łyżeczki!

Próbując jej nie przerazić, żeby mnie przypadkiem nie stratowała, mówię cicho:

– Hej, psie.

Nie budzi się. Szturcham ją łokciem w brzuch.

Nic. Ten zwierzak śpi, jakby zdechł.

Próbuję trochę głośniej:

– Pobudka, Cornelio.

Jej wielkie, czarne oczy otwierają się lekko. Mruga powoli, a potem rozwiera masywną szczękę i ziewa mi prosto w twarz.

Uch. Psi oddech. Z grymasem macham ręką przed nosem.

– Dziękuję ci bardzo.

Leży bez najmniejszego ruchu. Oczy ma szeroko otwarte. Wpatruje się we mnie z wyrazem przerażenia, jakby dopiero zdała sobie sprawę, kim jestem i gdzie się znajduje.

– Nie panikuj – mówię łagodnie. – Nie będę na ciebie wrzeszczeć.

Zerka na swoją łapę, przerzuconą przez moją talię, potem ze skruchą patrzy na mnie i powoli wycofuje kończynę.

To urocze, więc oczywiście czuję się winna.

– Fasolka wykopała cię z pokoju? – pytam psa.

Cornelia chowa pysk w poduszce.

– Tak. Niezła z niej złośnica – wzdycham.

Końcówka ogona Cornelii zaczyna się poruszać, na początku nieśmiało, ale już po chwili uderza w materac tak mocno, że całe łóżko wibruje.

Mam okropne przeczucie, że będę budzić się obok tego kucyka co rano.

– Dobra, psie. Będziemy przyjaciółkami. Ale nie śpimy razem. Zorganizuję ci porządne posłanie. Zgoda?

Cornelia wpada w taki zachwyt, że w każdej chwili może się posikać. Skacze na równe nogi, wiercąc się jak szczeniak, sapie i łapami drapie w kołdrę, ochlapując mnie śliną.

– Ohyda. – Wycieram twarz w pościel i wychodzę spod kołdry.

Cornelia zeskakuje z łóżka i czeka w rogu, obserwując mnie ze zmartwieniem, kiedy ziewam i przeciągam się. Tak rozpiera ją ekscytacja, że nie wie, co z sobą zrobić.

Patrzę na nią poważnie i wskazuję na podłogę:

– Siad.

Pada na bok i udaje martwą.

– Może być. Dobry pies.

Idę do łazienki i biorę prysznic, zastanawiając się, jak przetrwam ten dzień.

Pogrzeb jest o jedenastej.

Jedyna czarna rzecz, jaką z sobą przywiozłam, to spodnie. Nie myślałam o pogrzebie, kiedy pakowałam się w San Francisco. Mam szary, kaszmirowy sweterek, który będzie musiał wystarczyć, ale butów nie mam, a nie będzie już czasu, żeby jechać coś kupić.

Wzięłabym jedną z sukienek ze sklepu, ale żadna nie była czarna. Tata zawsze mawiał, że kobieta nie powinna nosić czerni, chyba że jest w żałobie, bo czerń wysysa wszystkie kolory z jej skóry.

Papà.

Ból przechodzi przeze mnie tak silną falą, że zapiera mi dech. Muszę oprzeć się o ścianę prysznica, żeby zachować równowagę. Przełykam ciężko, raz za razem, aż szloch, który chce wyrwać się z mojego gardła, odpuszcza. Potem obiecuję sobie, że będę się

trzymać, aż do chwili, kiedy znowu zostanę sama. Nie zamierzam się załamać przy ZM.

Ani przy *nim*.

Zakręcam wodę i wycieram się. Kiedy kończę suszyć włosy, wracam do sypialni. Cornelii nie ma, ale pojawiło się coś, co sprawia, że staję zszokowana.

Na łóżku leży sukienka. Jest czarna, uszyta ze sztywnej, jedwabnej organzy, ozdobiona koronkami. Sięga do kolan, z łagodnym dekoltem. Drapowana w talii, z rozkloszowaną spódnicą i pasującą marynarką.

Nie muszę patrzeć na metkę, żeby wiedzieć, że to Dior.

– Pomyślałam, że możesz potrzebować jakiegoś stroju.

Markiza stoi w drzwiach sypialni. Jest blada i ponura, ma na sobie szlafrok i kapcie, wszystko czarne. Włosy ma rozpuszczone i nie nałożyła jeszcze makijażu. Ma wyraźne cienie pod oczami.

Pierwszy raz widzę, żeby wyglądała jak istota ludzka.

Nie wiem, co więcej mogłabym powiedzieć, poza:

– Dziękuję.

Zerka na sukienkę.

– Należała do mojej matki. Dior, lata pięćdziesiąte.

– New Look – mamroczę, nie wiedząc, jak się zachować. Ona jest dla mnie miła!

– Tak. Moja matka uwielbiała francuską modę. Tylko to nosiła. Tę sukienkę miała na sobie tylko raz. – Przenosi na mnie wzrok. – Na pogrzebie mojego ojca.

Dobra, to jest cholernie dziwne.

– Yy… – próbuję coś wykrztusić, ale nic mi nie wychodzi.

– Nosisz szóstkę, prawda? – pyta markiza, a ja przytakuję. – Powinna pasować idealnie. Macie bardzo podobne figury.

Wypuszczam powietrze, chociaż nie wiedziałam, że je wstrzymuję.

– Jesteś pewna, że nie chcesz jej założyć? – mówię w końcu. – Ma dla ciebie wartość sentymentalną, więc…

– Mam zbyt szerokie ramiona, a talia nie odzyskała dawnego rozmiaru po urodzeniu Matteo. – Jej wzrok staje się odległy, jakby zagubiła się w starych wspomnieniach. – Kiedy umarła, przekazałam

wszystkie jej ubrania na wystawę *haute couture* w *Palais Galliera*[30]. Miała naprawdę niesamowitą kolekcję. Praktycznie bezcenną na dzisiejsze standardy. Tę zatrzymałam, bo kiedy miała ją na sobie, to był jedyny raz, kiedy widziałam, żeby płakała.

Jej głos staje się cichy i smutny.

– Nienawidziła okazywać emocji. Mówiła, że to uwłacza godności. Pokazuje słabość. Kiedy płakałam jako dziecko, dostawałam lanie – kończy Lady Moretti.

Nasze spojrzenia spotykają się. Cisza pomiędzy nami jest ogłuszająca.

Potem odwraca się na pięcie i znika.

Siadam na brzegu łóżka i kładę dłoń na sukience, która w zasadzie nie jest sukienką, ale gałązką oliwną.

Już wiem, że to będzie cholernie ciężki dzień.

***

Jestem w kuchni z Lorenzo, nerwowo czekając na limuzynę, kiedy przybywa Matteo. Wchodzi do pomieszczenia, wysysając z niego całe powietrze.

To niesprawiedliwe, że ktoś może być taki piękny. Światło traktuje go inaczej, niż całą resztę nas, pieści kości jego twarzy, dodaje uroczego blasku włosom. Ma na sobie cudowny, czarny garnitur i krawat, czarne buty wypolerowane na błysk i masywny, srebrny zegarek, który prawdopodobnie kosztował więcej niż moja edukacja w college'u.

Wyraz jego twarzy jest poważny. Tak samo jak głos, kiedy się wita.

Patrzę na swoje paznokcie desperacko potrzebujące manikiuru. Postanawiam, że to ostatni raz, kiedy wpuszczam go do tego domu, nie dzwoniąc na policję, i prawie w to wierzę.

Lorenzo mamrocze powitanie, a potem wszyscy milkniemy. W końcu Matteo pyta:

– Zeszła już?

– Nie – odpowiada Lorenzo. – Nie jest gotowa.

Patrzę akurat w chwili, kiedy wymieniają między sobą dziwne, znaczące spojrzenia, co mnie irytuje, bo nic z tego nie rozumiem.

– Jedziesz z nami limuzyną, Lorenzo – mówię.

On otwiera szeroko oczy.

– O nie, *signorina*, to byłoby niewłaściwe. Pojadę za wami.

– Rodzina jedzie limuzyną. Ty jedziesz limuzyną – odpowiadam beznamiętnie.

Mam wrażenie, że nie chce mi odmawiać, więc spogląda na Matteo, szukając pomocy, ale ten po prostu przytakuje.

Lorenzo nagabuje go po włosku, ale w odpowiedzi Matteo tylko lekceważąco macha ręką. Potem rzuca w moją stronę nieprzeniknione spojrzenie i kilka szorstkich słów.

Naprawdę muszę nauczyć się tego przeklętego języka.

Kiedy słyszę dzwonek do drzwi, wstaję z łomoczącym sercem.

– Już czas – mówi Lorenzo. – Pójdę po Lady Moretti.

Matteo szybko go powstrzymuje.

– Nie. Poczekajcie na nas na zewnątrz.

Wychodzi z pomieszczenia, zostawiając mnie samą z Lorenzo, który podaje mi ramię.

– *Signorina*.

Na zewnątrz wita nas kierowca limuzyny, niski mężczyzna z czarnymi włosami i nosem wielkości główki kapusty. Wsiadam, ale Lorenzo zostaje na zewnątrz i czeka.

I czeka.

Mija dziesięć minut, zanim markiza pojawia się wraz z Matteo, a do tej pory uszy pieką mnie z wściekłości. Nie mogę uwierzyć, że kazała nam wszystkim na siebie czekać i to właśnie dzisiaj. Co ona robiła tyle czasu? Piła szampana? Wtedy Matteo pomaga jej wsiąść i widzę jej twarz, a cały mój gniew ulatuje.

Wygląda na poruszoną. Jest blada jak ściana, a jej dłonie drżą. Przełyka i wygląda przez okno, unikając mojego wzroku.

Matteo nakazuje Lorenzo, żeby usiadł obok niej, a sam zajmuje miejsce przy mnie, naprzeciwko nich. Czuję, że na mnie patrzy, ale nie odwzajemniam spojrzenia. Kiedy kierowca zamyka drzwi, Matteo chwyta moją dłoń i ściska lekko.

Nie puszcza przez całą drogę do kościoła.

***

Kościół ma trzysta lat, ksiądz jakoś podobnie.

Siedzę obok markizy w pierwszym rzędzie, wpatrując się w trumnę ojca. Po mojej drugiej stronie siedzi Matteo, a obok niego Lorenzo. Dominic klęczy w nawie po drugiej stronie, głowę ma pochyloną w modlitwie.

Wszystkie ławki są pełne, co nie jest zaskakujące. Mój ojciec wszędzie był najpopularniejszą osobą, gdziekolwiek poszedł. Towarzyski, uprzejmy, zawsze z uśmiechem na twarzy, łatwo znajdował przyjaciół.

Kiedy odwiedzałam go podczas wakacji, dom zawsze był pełen ludzi. Sąsiedzi wpadali bez zapowiedzi. Były improwizowane kolacje i popołudniowe pikniki w ogrodzie. W niedziele po kościele zawsze organizował wielki brunch z szampanem i każdy był zaproszony.

Myśląc o tym teraz, zdaję sobie sprawę, że może wcale nie miał kiepskich umiejętności w zarządzaniu pieniędzmi. Może oszczędzanie i zarabianie nie było dla niego tak ważne, jak sposób ich wydawania.

Może po prostu miał inne priorytety.

Wiekowy ksiądz podchodzi do mównicy na drżących nogach, sygnalizując rozpoczęcie mszy. Kiedy zaczyna mówić po włosku, przestaję słuchać słów. Zamiast tego zamykam oczy i wsłuchuję się w rytm. W odpowiedzi tłumu. Bolesne uderzenia mojego serca.

Odprawia pełną mszę, wraz z komunią. Rozbrzmiewają psalmy i słuchamy fragmentu Biblii, ludzie wstają, siadają i klękają w odpowiednich momentach.

Ja robię to samo, cały czas świadoma obecności Matteo po mojej prawej i jego matki po lewej stronie. Świadoma jego stałej, niewzruszonej obecności. Świadoma jego spojrzenia, które nie odrywa się ode mnie na zbyt długo.

Nie ma mowy pogrzebowej, bo mój ojciec nie uważał za stosowne mówienia o zmarłych. Potem wszystko się kończy.

Przetrwałam. Ledwo. Wrzask w mojej piersi wytrzymał, chociaż nadal niecierpliwie stara się wydobyć z mojego gardła.

Pozwolę mu na to później, kiedy zostanę sama.

Matteo, Dominic i Lorenzo są trzema z sześciu mężczyzn, którzy niosą trumnę ojca do oczekującego karawanu, a potem na cmentarz.

Nabożeństwo na cmentarzu pamiętam jak przez mgłę. Kojarzę tylko, że w pewnym momencie zachwiałam się, a Matteo złapał mnie, zanim upadłam. Obejmował mnie ramieniem do końca, co okazało się dla mnie wybawieniem. Wątpię, czy zdołałabym stać bez wsparcia.

Rzucam garść ziemi na trumnę ojca, a potem wszystko się kończy.

Nie pamiętam powrotu do limuzyny.

Nie pamiętam drogi do domu.

Nie pamiętam niczego, aż podnoszę wzrok, kiedy limuzyna się zatrzymuje i dostrzegam znajomą postać, krążącą niespokojnie tam i z powrotem przed drzwiami *Il Sogno*.

Kiedy sapię z przerażenia, Matteo odwraca głowę i patrzy na mnie, a potem podąża za moim spojrzeniem i mruży oczy.

– Kto to?

Chociaż w ustach mam sucho jak na Saharze, udaje mi się odpowiedzieć:

– To Brad. Mój były.

Kiedy Matteo wydaje z siebie przerażający odgłos – jak warknięcie niedźwiedzia, tylko bardziej mordercze – zaczynam się zastanawiać, czy czeka nas dzisiaj jeszcze jeden pogrzeb.

SIEDEMNAŚCIE

Kimber

Jako pierwsza wydostaję się z limuzyny, bo wyskakuję z niej jak z procy.

Brad mnie zauważa i zamiera. Jest równie przystojny jak zawsze, w spranych dżinsach i granatowej bluzce, chociaż wygląda na wyczerpanego. Siniaki pod oczami i plastry na nosie również nie pomagają.

Z błagalnym spojrzeniem, łamiącym się głosem mówi:

– Kotku.

Zrywam prawy but ze stopy i rzucam w niego.

Trafia w sam środek jego czoła z satysfakcjonującym trzaskiem, a potem upada w krzaki.

Naprawdę żałuję, że nie miałam na sobie szpilek. Teraz mógłby już nie mieć oka.

– Au! – Łapie się za czoło, zatacza w tył i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. – Kotku!

– Nazwij mnie kotkiem jeszcze raz, ty kłamliwa, zdradziecka, gigantyczna kupo gówna! No spróbuj! – wrzeszczę.

Matteo wysiada z samochodu tuż za mną. Chwyta mnie za rękę i powstrzymuje przed dopadnięciem Brada i wydrapaniem mu oczu. Najbardziej niebezpiecznym tonem, jaki słyszałam u kogokolwiek, poza Clintem Eastwoodem, Matteo mówi:

– Masz dziesięć sekund, żeby opuścić tę posiadłość, albo cię zabiję.

Mrugam zaskoczona. Czy on staje w obronie mojego honoru? Ale zaraz przypominam sobie, że to ten sam człowiek, który ukradł wszystkie moje projekty i chce wykorzystać je w swojej kolekcji, więc potrząsam głową, żeby oczyścić myśli. Matteo nie interesuje mój honor. On sam go nie ma. Interesuje go tylko uniknięcie sceny na

oczach mamuni. Tak czy inaczej, jeśli skończy się śmiercią Brada, wchodzę w to.

– Co ty tu robisz, do cholery? – wyrzucam z siebie, rozsierdzona.

– Nie odbierałaś moich telefonów. Musiałem się z tobą zobaczyć… ja… musimy porozmawiać.

Lorenzo i markiza wysiedli z limuzyny i stoją teraz obok kierowcy. Przyglądają się naszej małej wymianie zdań z wyrazem twarzy od uprzejmego zainteresowania ze strony kierowcy, po ogromną odrazę u markizy.

Dla kogoś, kto nie znosi okazywania emocji, musi to być podobne do operacji bez znieczulenia.

Ale zaskakuje mnie, mówiąc:

– Więc to jest mężczyzna, który porzucił moją pasierbicę przy ołtarzu. – Mierzy go spojrzeniem z góry do dołu i prycha. – Powinieneś zostać zastrzelony.

Z Lorenzo depczącym jej po piętach, unosi wysoko głowę, mija Brada i wchodzi do domu.

Wow. To było coś pięknego. Brad patrzy na mnie, zraniony.

– Jest wredna.

Ze śmiertelnym spokojem Matteo oznajmia:

– Twoje dziesięć sekund minęło.

Patrzę na Brada i nie potrafię powstrzymać złośliwego uśmieszku, który wypływa na moje usta:

– Naprawdę nie chcesz źle się wyrażać o matce tego faceta.

– Proszę, Kimber, pomyliłem się. Byłem głupi i popełniłem błąd, spanikowałem, to była totalna pomyłka i… czy możemy porozmawiać chociaż przez minutę? Przyleciałem aż tutaj. Mam ci tyle do powiedzenia.

Na początku myślę, że ten przerażający warkot wydobywa się z mojej piersi, ale potem uświadamiam sobie, że to Matteo. Zaraz wybuchnie. Jego twarz jest tak poważna, że wygląda, jakby została wykuta z kamienia.

Morderczo kamienna.

Kiedy puszcza moje ramię i robi krok do przodu, chwytam go za rękaw.

– Czekaj.

Obrzuca mnie spojrzeniem. Nozdrza mu drgają. Ten mięsień w jego szczęce podskakuje. Na całym obliczu maluje się agresja i zaczynam mieć delikatne wątpliwości, czy rzeczywiście chodzi o mamuśkę, czy jednak może o mnie. To znaczy, przecież jej już tu nie ma.

Co on wyprawia?

Ciężko wypuszczam powietrze, przez chwilę obrzucam Brada morderczym spojrzeniem, a potem mówię ściszonym głosem:

– Znam tego idiotę. Jeśli nie dam mu szansy, żeby powiedział to, co musi, nigdy nie zostawi mnie w spokoju.

– Jeśli wyrwę mu język, będzie po sprawie. – Odpowiedź Matteo jest cicha i błyskawiczna.

To nawet bardziej przerażające, niż gdyby ją wykrzyczał. Mówi poważnie. Gdybym powiedziała jedno słowo, rozerwałby Brada na strzępy tuż przed drzwiami.

Nie mam pojęcia, dlaczego to dla mnie takie podniecające.

– Będę miała to na uwadze.

Robi niewielki gest, wskazując wzgórza i las wkoło.

– Dużo tutaj miejsca.

– Myślisz o ukryciu ciała? – pytam.

– Powiedz słowo, a przekonasz się – syczy Matteo.

Wpatrujemy się w siebie, jakbyśmy byli w jakiejś okrutnej, intensywnej, wypełnionej nienawiścią do Brada bańce, aż ten wreszcie odchrząka głośno.

– Hej, wciąż tu jestem.

Matteo mówi przez zaciśnięte zęby:

– Naprawdę zamierzałaś wyjść za tego idiotę?

Odwracamy głowy w stronę Brada i obrzucamy go morderczymi spojrzeniami.

Robi krok w tył.

– Yy… dobra, ja tylko… – Wskazuje na koniec podjazdu. – Poczekam na ciebie tam.

Rusza żwawym krokiem. Patrząc na niego, kierowca limuzyny stwierdza:

– Ale ma dobre włosy. Jak Robert Redford. Znacie Roberta Redforda? To moja ulubiona, amerykańska gwiazda filmowa. Dobry

aktor. Dobre zęby. Świetne włosy.

Jego oczy rozszerzają się, kiedy widzi spojrzenie, które posyła mu Matteo. Wskakuje z powrotem do limuzyny i czym prędzej rusza podjazdem, przyspieszając obok Brada.

– Jeśli nie wrócisz za pięć minut, przyjdę po ciebie i nie biorę odpowiedzialności za to, co się wtedy stanie.

Unoszę brwi, analizując wyraz twarzy Matteo. Nie spuszcza wzroku z Brada. Boże, ależ jestem chora. Uznaję ten pokaz męskiej opiekuńczości za niesamowicie seksowny.

– Hej, psycholu – mówię do niego i Matteo odwraca wzrok na mnie. – O co chodzi z tym zachowaniem w stylu jaskiniowca?

– On cię zranił – oznajmia tak, jakby to wszystko tłumaczyło.

– No i? Niby czemu ciebie to obchodzi?

Jego szczęka porusza się w przód i w tył, jakby rozgniatał orzechy pomiędzy trzonowcami. W końcu odpowiada:

– Jesteśmy rodziną.

– Byłą rodziną – poprawiam, obserwując jego twarz. – Zresztą to ty byłeś uprzejmy mi o tym przypomnieć.

Wciąga powietrze przez nos, prostuje się, zakłada ręce na piersi i patrzy na mnie z góry.

– O, znowu to samo? Snobistyczne milczenie? Świetnie. Po prostu świetnie. Właśnie tego teraz potrzebuję.

Nienawidzę się za to, jak mój głos drży, ale jeszcze bardziej za to, jak jego poczynania na mnie wpływają. To nie powinno mieć znaczenia.

To nie ma znaczenia!

Więc dlaczego ma?

– Idź do matki – mówię po chwili, kiedy on nadal milczy. – Ona potrzebuje cię teraz bardziej niż ja.

Powstrzymując łzy, które napływają mi do oczu, odwracam się i zaczynam iść. Matteo chwyta mnie za ramię i odwraca.

Opuszcza głowę tak, że stoimy nos w nos.

– Czy ty właśnie powiedziałaś, że mnie potrzebujesz?

Próbuję przypomnieć sobie słowa, których użyłam, ale kiedy jest tak blisko i czuję ten jego przeklęty, pyszny, roztapiający mózg

zapach, a do tego ten krzyk w gardle i łzy pod powiekami, po prostu nie mogę.

– Nie wiem, co powiedziałam. To najgorszy dzień w moim życiu. W zeszłym tygodniu miałam drugi najgorszy dzień, spowodowany przez kretyna, który stoi na końcu podjazdu. Mój mózg nie funkcjonuje teraz jak należy – mówię zduszonym głosem.

Wpatrujemy się w siebie, aż w końcu on wypuszcza powietrze. Patrzy na moje usta, a potem na chwilę zamyka oczy. Kiedy odzywa się ponownie, brzmi, jakby był wykończony:

– Pozwól, że podam ci drugi but.

Zostawia mnie na miejscu i wyjmuje mój but z krzaków. Kiedy wraca i klęka przede mną na żwirze, muszę uważać, żeby nie upaść na twarz. Delikatnie ujmuje moją kostkę i wsuwa but na stopę. Potem podnosi na mnie wzrok.

Moje serce zatrzymuje się, tak po prostu. Jak w opowieściach, w których ludzie po raz pierwszy zobaczyli miłość swojego życia… albo jak w chwili, gdy schodzi się z krawężnika i człowiek zdaje sobie sprawę, że zaraz zostanie potrącony przez autobus.

Tak, bardziej to drugie.

Matteo klęczy u moich stóp, jego duża, ciepła dłoń obejmuje moją małą, zimną kostkę i po prostu patrzy na mnie, a ja na niego. Z niedziałającym sercem i ledwo działającym mózgiem próbuję przypomnieć sobie, jak się oddycha.

Ochrypłym głosem mówi:

– Niezależnie, co powie, pamiętaj, kim jesteś.

Zanim zdążę zapytać *Kim jestem?*, Matteo podnosi się i rusza przed siebie, ze sztywnymi ramionami i rękami zaciśniętymi w pięści.

Obserwuję go, aż znika w domu, a potem odwracam się i podchodzę do miejsca, w którym czeka Brad. Znowu spaceruje, kopiąc żwir jak czterolatek. Zatrzymuję się kilka kroków od niego, zakładam ręce na piersi i posyłam mu mordercze spojrzenie.

Głośno wypuszcza powietrze.

– Dobra. Dobra, yy… jesteś wściekła. Wiem, że jesteś wściekła. I pewnie już nigdy nie będziesz chciała ze mną rozmawiać. – Nadal chodzi i wykręca ręce, co zupełnie do niego nie pasuje.

Zerka na mnie, szybko odwraca wzrok, potem potrząsa głową i śmieje się – to okropny śmiech, taki, który w ogóle nie ma w sobie humoru. Taki, który wydobywa się z ciebie jako jęk, warknięcie albo dźwięk, jaki wydaje z siebie ranne zwierzę.

Szczerze mówiąc, trochę mnie tym przeraża.

– Brad, przestań.

Zatrzymuje się i patrzy na moje stopy. Wciąga powietrze, jego pierś unosi się, a potem znajduje w sobie odwagę, żeby spojrzeć mi w oczy.

Nigdy nie widziałam kogoś z tak dzikim, okropnym spojrzeniem. Wygląda podobnie do tego, które u niego zobaczyłam, kiedy szłam do ołtarza, ale jest w nim coś więcej niż tylko czysta panika. Widzę teraz ból, strach, dogłębne przerażenie, jak u kogoś torturowanego.

Jak u kogoś, kto ma zaraz umrzeć.

– Mogłeś po prostu napisać list – odzywam się znowu.

– Podarłabyś go – odpowiada.

Tu mnie ma. Na pewno bym go podarła. A potem podpaliła, podeptała prochy, wrzuciła je do pudełka i odesłała mu z napisem: *Ostrożnie. W środku jest złamane serce.*

– Masz sześćdziesiąt sekund, żeby powiedzieć to, co masz do powiedzenia. Potem już nigdy więcej nie będziemy rozmawiać. Dawaj.

Przełyka, jabłko Adama podskakuje mu wyraźnie. Wciska dłonie w przednie kieszenie dżinsów. Spogląda na słońce, zamyka oczy i wypuszcza stłumiony oddech. Potem patrzy mi w oczy ze śmiertelną powagą i szepcze:

– Jestem gejem.

Nie dociera to do mnie od razu. Stoję tam i czekam aż coś powie, aż uświadamiam sobie, że właśnie to zrobił… ale co to było?

Powtarzam powoli:

– Jesteś gejem.

Przytakuje.

– Gejem? – pytam ponownie.

Kiedy ponownie przytakuje, jestem o krok od zabicia go gołymi rękami. Ale nie chcę iść do więzienia, więc zamiast tego wykończę go sarkazmem.

– Takim gejem, który przespał się z połową żeńskiej populacji San Francisco za moimi plecami, tak? W ten sposób upewniałeś się, że nie kręcą cię cipki? Nie dopuszczałeś do siebie tej myśli?

– Słuchaj…

– Takim gejem, który nieustannie drwił sobie z Jennera i jego chłopaków? Takim gejem? – przerywam mu.

– Kimber… – próbuje coś powiedzieć, ale robię krok w jego stronę, a całe moje ciało drży od furii.

– Takim gejem, który musiał zmyślać wszystkie te historyjki o swoim niesamowitym seksie z czasów, zanim się poznaliśmy? Wszystkie te szalone trójkąty z czasów college'u, wszystkie zboczone rzeczy, które chciałeś, żebym wypróbowała, wszystkie te razy, kiedy przez ciebie myślałam, że nie dorównuję twoim oczekiwaniom w łóżku?! – Ostatnią część wykrzykuję mu w twarz. Jestem tak wściekła, że czuję puls w każdej komórce ciała.

Pokonanym szeptem Brad oznajmia:

– Tak.

Mrugam.

– Co mam rozumieć przez tak?

– To znaczy… – Zaciska na chwilę usta, a jego oczy błyszczą od łez. Zszokowana stwierdzam, że on się za chwilę rozpłacze. – To znaczy tak. Zrobiłem to wszystko. Sypiałem z kobietami, bo desperacko chciałem ukryć prawdę. Mówiłem te wszystkie rzeczy na temat Jennera i jego chłopaków, wymyślałem historyjki o seksualnych podbojach w college'u i robiłem cokolwiek tylko przyszło mi do głowy, a właściwie wszystko, co wymyśliłem, żeby nie musieć przyznawać tego przed samym sobą.

Krztusi się szlochem akurat w chwili, kiedy pierwsza łza spływa mu po policzku. Zduszonym głosem dodaje:

– Ale głównie dlatego, żeby nie musieć mówić tego ojcu.

Potem chowa twarz w dłoniach i zaczyna ryczeć. Ramiona mu się trzęsą, a ciało drży. Wyje i zanosi się w taki sposób, którego po prostu nie da się udawać.

Jestem tak oszołomiona, że opadam na tyłek na żwirowym podjeździe, w mojej szykownej sukience od Christiana Diora i siedzę tam z wyciągniętymi nogami, wpatrując się w swoje buty.

– Ale przecież już nikt nie pozostaje w ukryciu – mówię do swoich stóp, skonsternowana. – Nie jestem ekspertem, ale, to znaczy… robią tak? Przecież to dorosły mężczyzna… mieszkający w San Francisco, stolicy LGBTQ wszechświata. Dlaczego, u diabła, miałbyś udawać, że jesteś hetero?

– Przepraszam. Tak bardzo przepraszam! – Brad jęczy z zakrytą twarzą. – Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić!

– No tak, świetna robota, Wingate. – Jestem zbyt oszołomiona, żeby w tej chwili się wściekać, więc wychodzi z tego sarkazm, rzucony oschłym tonem.

Brad opada na ziemię obok mnie i krzyżuje nogi. Płacze i zawodzi w takiej pozycji, a ja czuję, że zaraz dopadnie mnie migrena.

– Jeśli ktoś powinien tutaj wyć, to ja, ty dupku. Masz w ogóle pojęcie, jak bardzo mnie skrzywdziłeś? Jak to, co zrobiłeś, kompletnie mnie zniszczyło? I że nie pozbieram się po tym do końca życia?

Zawodzi jeszcze głośniej. Przy takim hałasie za chwilę zjawi się policja, żeby zobaczyć, kto został zamordowany.

– Dobrze – wzdycham, wykończona. – Hej, uspokój się, będzie w porządku.

Obejmuje mnie i ukrywa twarz w mojej szyi, przywierając do mnie jak zagubione dziecko, czkające między szlochami.

Patrzę w przejrzyste, błękitne niebo. Chcę zapamiętać tę chwilę. Chcę, żeby we mnie wsiąkła, zanim ogarnie mnie otępienie. Chcę być w stanie przywołać ją później, spojrzeć na nią, przeanalizować, spróbować zrozumieć, co to znaczy i jak w ogóle się w to wplątałam. Może, jeśli zrozumiem, znajdę w tym jakieś głębsze znaczenie. Coś, co sprawi, że nie będę czuła się tak bezwartościowa i mała.

– Dzisiaj pochowałam ojca – mówię i patrzę, jak pierzasta chmurka przelatuje nad nami. Ptaki śpiewają w gałęziach drzew.

– Boże, tak mi przykro. – Łkanie Brada przeszło w ciche pociąganie nosem. Osusza twarz dłońmi i wyciera je w spodnie. – Wiem, ile dla ciebie znaczył.

Patrzę na niego, na mężczyznę, z którym chciałam spędzić resztę życia. Naprawdę na niego patrzę. Jak mogłam być tak ślepa?

– Spędziłam z tobą trzy lata życia. *Trzy lata*. A ty mówisz mi, że to było kłamstwo?

– Nie, nie było! – Jest zdesperowany, chwyta moją dłoń i patrzy błagalnym wzrokiem. – Kochałem cię! Naprawdę! Nadal kocham! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jedyną osobą, przy której czułem się bezpieczny.

Wpatrujemy się w siebie. Jego twarz jest upstrzona plamami. Rzęsy ma mokre i posklejane. To najbardziej wynędzniała wersja Brada, jaką kiedykolwiek widziałam. Wymizerowany, pozbawiony nadziei i zagubiony.

– Nie rozumiem. Mogłeś powiedzieć mi na samym początku. Okazałabym ci wsparcie. Nie musiałeś kraść mi trzech lat życia. Bo jeśli to, co mi mówisz, jest prawdą, właśnie to zrobiłeś. Ukradłeś mi trzy lata życia, bo byłeś zbyt wielkim tchórzem, żeby żyć własnym. Nigdy nie odzyskam tego czasu ani miłości, którą ci dałam… a ty odpłaciłeś mi brakiem lojalności i publicznym upokorzeniem. A teraz czego oczekujesz? Wybaczenia?

Znowu zaczyna płakać, tym razem cicho. Łzy płyną po jego policzkach i skapują z brody.

– To niewybaczalne, wiem.

Jest taki żałosny, że po prostu nie umiem go nienawidzić. To znaczy nienawidzę go jak cholera, ale jakiejś części mnie jest go żal. Ta część pamięta, jaki z jego ojca oceniający palant i jak nic, co Brad kiedykolwiek zrobił, nie było wystarczające.

Ogarnia mnie dziwne odrętwienie, jakby moja dusza opuściła ciało. Czuję spokój. Zaniepokojenie, a jednocześnie spokój. Siedzę tam i patrzę na niego, jakby był obcym człowiekiem, aż ciekawość przejmuje inicjatywę.

– Jak mogłeś uprawiać ze mną seks? Musiałeś wyobrażać sobie, że mam kutasa, żeby ci stanął?

Wzdryga się.

– Nie, ja tylko… – Kiedy przełyka z westchnieniem, nie jestem już dłużej pewna, czy chcę to słyszeć. Ale potem wypuszcza powietrze i mówi ściszonym głosem. Jest zażenowany. – Z tobą nie było trudno. Jesteś ładna. I zawsze ładnie pachniesz. Naprawdę dobrze całujesz…

Zaczyna wyglądać na przerażonego. Nie mam pojęcia, co w tej chwili wyraża moja twarz i nie obchodzi mnie to. Coś okropnego przyszło mi do głowy. Chwytam go za ramię.

– Proszę, powiedz mi, że się zabezpieczałeś. Przy tych wszystkich ludziach, z którymi uprawiałeś seks…

– Zawsze używałem zabezpieczenia, przysięgam.

Przyglądam się jego twarzy, szukając jakiegokolwiek śladu fałszu, ale wydaje się szczery. Z drugiej strony tak świetnie potrafił ukrywać prawdę, że byłabym głupia, gdybym teraz uwierzyła mu tak po prostu.

Nie jestem pewna, na kogo bardziej się wściekam, na siebie, czy na niego. Tak bardzo chciałam wierzyć w tę bajkę, że wmówiłam sobie, że żaba, którą całuję, naprawdę jest księciem. Wiedziałam to już wtedy, kiedy przeczytałam wszystkie te okropne artykuły o laskach, które miał na boku, ale rozproszyła mnie żałoba po ojcu. Teraz rzeczywistość dopada mnie z całą intensywnością: muszę się przebadać na obecność chorób przenoszonych drogą płciową. Brad mógł zafundować mi coś dużo gorszego niż złamane serce. Skaczę na równe nogi. Brad również się podnosi, wpatrując się we mnie wielkimi, przerażonymi oczami, jak jeleń w świetle reflektorów. Kiedy celuję w niego palcem, kuli się w sobie.

– Trzymaj się ode mnie z daleka. Nigdy więcej nie chcę widzieć twojej twarzy, rozumiesz?

– Proszę, Kimber, wysłuchaj mnie…

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć twojego głosu. Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Nic nie naprawi sytuacji. Nic nie zmieni tego, co zrobiłeś. Trzymaj się ode mnie z daleka, Bradley albo, Bóg mi świadkiem, nie ręczę za swoje czyny.

Odwracam się i odmaszerowuję, pierś mam tak ściśniętą, że aż pali. Oczy też mnie pieką. Chyba zaraz zwymiotuję.

– Nadal chcę się z tobą ożenić! – woła za mną Brad.

Zamieram. Pierś faluje mi od wściekłych oddechów, odwracam się w miejscu i patrzę na niego z niedowierzaniem. Ostrożnie podchodzi bliżej, krok po kroku.

– Możesz mieć życie, jakiego zawsze pragnęłaś. Dam ci wszystko, czego chcesz, kotku, cokolwiek.

– Oszalałeś? – wrzeszczę. – O czym ty, do cholery, mówisz? Powiedziałeś, że jesteś gejem!

Zaczyna pospiesznie wyrzucać z siebie słowa:

– Jesteś jedyną osobą, której powiedziałem. Nikt inny nie musi wiedzieć! Możemy mieć wszystko, pomyśl tylko! Dom, życie, pieniądze!

Wiem, że mam otwarte usta. Czuję podmuch wiatru na zębach.

– Sugerujesz, żebyśmy udawali prawdziwą parę?

Unosi ręce w geście bezradności.

– Bylibyśmy bogaci. A ty mogłabyś robić, co zechcesz. Pomyśl o życiu, które moglibyśmy mieć, o możliwościach. – Podchodzi bliżej. Jego głos staje się konspiracyjnym szeptem. – Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale moja polisa na życie zakłada, że dostanę pokaźną sumkę pięciu milionów dolarów, kiedy się ożenię. Mogłabyś zrobić z tymi pieniędzmi, co zechcesz. Pomyśl o tym, kotku… pięć milionów. Pomyśl, jak to mogłoby zmienić twoje życie.

Mówi poważnie. On naprawdę nie żartuje. Ten człowiek w ogóle mnie nie zna. Głosem drżącym od gniewu stwierdzam:

– Widzę, że wszystko sobie przemyślałeś.

Przytakuje, przełykając, a na jego twarzy pojawia się pierwszy przebłysk nadziei.

– Nadal bylibyśmy przyjaciółmi. Mieszkalibyśmy razem, robili różne rzeczy, poza…

– Poza tym, co małżeństwa powinny robić razem, czyli pieprzyć się – przerywam mu drwiąco.

Wydaje się nieco urażony moim beznamiętnym, wrogim tonem.

– Przecież mogłabyś mieć tylu chłopaków, ilu zechcesz.

To dzieje się, zanim jestem świadoma podjęcia decyzji. W jednej chwili słucham jego oburzającej propozycji, żebym porzuciła wszelkie myśli o prawdziwym życiu z mężczyzną, który mnie kocha, a w następnej moja otwarta dłoń solidnie zderza się z jego twarzą.

Trzask!

Zatacza się w tył, zszokowany, trzymając się za policzek, a oczy ma tak okrągłe, jak otwarte usta.

– Tym razem potraktowałam cię łagodnie, bo wygląda na to, że twój nos ciągle dochodzi do siebie – mówię, walcząc o każdy oddech.

– Ale Bóg mi świadkiem, jeszcze jedno słowo, a wybiję ci wszystkie zęby. A tak przy okazji, nie jestem prostytutką!

– Nigdy tak nie powiedziałem! – broni się Brad.

– Porzuciłeś mnie już przy ołtarzu! Myślisz, że jestem dość szalona, żeby wejść w to drugi raz?!

– Spanikowałem! Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy! Teraz, kiedy już wiesz, wszystko może być inaczej!

Mój śmiech jest gorzki, chociaż słychać w nim nutkę histerii.

– Wiesz co, prawie się na to złapałam. Przez całą minutę było mi ciebie żal. Ale teraz mam tylko ochotę wypruć ci flaki przez nos.

Przestaje mówić. Mądrze z jego strony, bo aż mnie palce świerzbią, żeby dorwać się do jego układu pokarmowego.

Odwracam się i biegnę całą drogę do domu.

OSIEMNAŚCIE

Matteo

Wpada do kuchni z impetem godnym eksplozji ładunku wybuchowego.

– Nalej mi drinka – nakazuje ostrym tonem. Siada przy kuchennym stole i uderza w niego pięścią. Raz. Mocno.

Jest zaczerwieniona. Usta ma ściągnięte w bladą kreskę. Jest tak wściekła, że cała drży.

Zaniepokojony Lorenzo zerka na mnie, po czym wychodzi bez słowa. Nie ma doświadczenia w radzeniu sobie z kobiecym gniewem. Moja matka opanowała utrzymywanie emocji na wodzy do perfekcji.

Zmuszam się, żeby nie wypytywać Kimber o to, co zaszło na podjeździe. Nie mogę zadać tych wszystkich pytań, które aż cisną mi się na usta. Zamiast tego spełniam jej życzenie i nalewam do szklanki solidną porcję whisky. W ciszy ustawiam przed nią drinka, siadam naprzeciwko i czekam. To jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek robiłem.

Od chwili, kiedy zobaczyłem tego wymuskanego blond skurczybyka, miałem ochotę popełnić morderstwo. Niestety wiem, co to znaczy. Mianowicie, że mam przerąbane. Ale już to wiedziałem. Od chwili, kiedy zobaczyłem ją siedzącą na kanapie w salonie i zdałem sobie sprawę, kim ona jest, miałem przerąbane.

Nie. To też nie to. Miałem przerąbane od chwili, kiedy ujrzałem ją na lotnisku.

Wychyla whisky jednym haustem. Kiedy odstawia szklankę na stół, ręka jej drży. Wpatruje się w swoją dłoń, jakby chciała ją odciąć.

– Jeszcze jeden – poleca.

Kiedy się waham, spogląda na mnie. Całe planety płoną w jej oczach.

Nalewam kolejnego drinka.

Tego też wychyla na raz. Potem siedzimy w ciszy, słychać tylko tykanie zegara wiszącego na ścianie, a ja walczę z sobą, bo mam ochotę odrzucić stół na bok i wziąć ją w ramiona.

W końcu Kimber oznajmia:

– Chce, żebym wróciła z nim do San Francisco i za niego wyszła. Nadal chce, żebym była jego żoną.

Śmieje się – to słaby, udręczony śmiech, który sprawia, że gniew jak płomienie pełznie w górę mojego gardła.

– Co mu odpowiedziałaś?

Oblizuje wargi, potrząsa głową i zamyka oczy. Tak bardzo cierpi, że ból wylewa się każdym porem jej ciała. Dyszy, jakby zionęła ogniem.

– Zrobię mu krzywdę, jeśli chcesz – proponuję na serio.

– Tak, chcę tego – odpowiada szybko, bez sekundy namysłu.

Jestem na nogach, zanim jeszcze moje serce uderzy kolejny raz, ale chwyta mnie za nadgarstek i pociąga. Zatrzymuję się, oddycham ciężko i czekam.

– Naprawdę byś to zrobił, prawda? – pyta cicho, spoglądając na mnie tymi lśniącymi, kocimi oczami.

Powoli, głosem twardym i pełnym przemocy, oznajmiam:

– Z przyjemnością.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę. Jestem świadomy jej dłoni zaciśniętej na moim nadgarstku, tej małej, drżącej dłoni. Tak bardzo chcę ją pocałować, że prawie wyrywa mi się jęk.

– Usiądź. – Znowu ciągnie mnie za nadgarstek, ale nie puszcza go.

Ciężko wypuszczam powietrze i zajmuję miejsce naprzeciwko niej. Nadal trzyma mnie za nadgarstek. Wydaje mi się, że mierzy mi puls, który wyczuwa pod kciukiem. Po chwili wzdycha i zabiera rękę. Wsuwa dłonie pod pachy i wpatruje się w blat stołu.

– Muszę się stąd wydostać – szepcze.

Kiedy patrzy na mnie błagalnym wzrokiem, moje serce zamiera na chwilę. Zaczyna galopować, gdy Kimber dodaje:

– Proszę.

Krew płynie przez moje ciało jak szalona, a zakończenia nerwowe zaczynają śpiewać.

– Dokąd chcesz iść? – pytam ochrypłym głosem.

– Gdziekolwiek… po prostu gdziekolwiek indziej.

Jej głos jest cichy. Wydaje się taka zagubiona, zatracona w bólu. Czuję się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch.

Wstaję i delikatnie ciągnę ją za sobą. Kiedy się chwieje, podtrzymuję ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – mówię. – Spójrz na mnie.

Podnosi na mnie wzrok, jej kocie oczy są tak zielone i okrągłe. Ledwo mogę oddychać, kiedy szepczę:

– Obiecuję.

To obietnica. Przysięga. Nic na tym świecie, ani poza nim, nie sprawi, żebym ją złamał. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją ochronić.

Mruga powoli, jakby oczyszczała umysł. Potem mówi z zimną, cichą pasją:

– Wy, mężczyźni i wasze obietnice. A przy okazji, jak tam twoja nowa kolekcja?

Piorunuje mnie wzrokiem, strąca moją dłoń i wychodzi.

Jak już mówiłem: przerąbane.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Kimber

W pokoju ostrożnie zdejmuję sukienkę od Diora i odwieszam ją do szafy, strzepując kurz z czarnej tkaniny. Przebieram się w dżinsy i koszulkę, zarzucam na siebie skórzaną kurtkę, a potem wychodzę.

Zaalarmowana dziwnym dźwiękiem, zatrzymuję się w korytarzu i nadstawiam ucha.

Co to?

Słyszę cichy odgłos. Urywany. Dopiero po kilku chwilach przysłuchiwania się pojmuję, że to stłumiony płacz. Wpatruję się w drzwi na końcu korytarza, zszokowana do głębi.

Za tymi drzwiami jest pokój markizy. *Ona płacze*. Przykładam dłoń do łomoczącego serca i potrząsam głową, zaciskając wargi, żeby nie zacząć szlochać. Nie mam dzisiaj siły na nic więcej. Nie wydaje mi się, żebym zdołała przetrwać kolejną niespodziankę. Moje biedne serce rozpadnie się na milion maleńkich, krwawych kawałków i padnę trupem tam, gdzie stoję.

To mogłoby być błogosławieństwo, teraz, kiedy o tym myślę. Oczy mnie pieką, biegnę przez dom, otwieram drzwi i natychmiast staję w miejscu.

Na podjeździe stoi Matteo, opierając się o czarne maserati. Ręce ma założone na piersi. Wpatruje się we mnie spod ściągniętych brwi.

Drzwi od strony pasażera są otwarte.

Pieprzyć to.

Z wściekłością przemierzam podjazd, rzucam się na siedzenie pasażera i zatrzaskuję drzwi. Osuwam się nisko na siedzeniu, zakładam ręce na piersi, nie zawracając sobie głowy zapinaniem pasów i dyszę tak mocno, jakbym biegła.

Żwir chrzęści, potem Matteo otwiera drzwi kierowcy i wsiada. Bez słowa pochyla się nade mną i zapina mi pas. Potem odpala silnik, zamyka drzwi, wrzuca bieg i rusza.

Jedziemy. Nie mam pojęcia, dokąd. Po prostu jedziemy w ciszy, krajobraz rozmazuje się za szybą, a ja tak mocno walczę, żeby nie płakać, że wbijam sobie paznokcie w dłonie do krwi.

Przez cały czas Matteo tak mocno zaciska ręce na kierownicy, że ma białe knykcie. Patrząc w okno, mówię słabym głosem:

– Zawsze chciałam wyjść za mąż. Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam, jak to będzie. Kwiaty. Muzyka. Moja suknia ślubna. Miałam w głowie ułożoną wizję tego idealnego, pięknego dnia… i idealnego, pięknego mężczyzny, którego poślubię. Miał być we mnie tak szaleńczo zakochany, że byłby gotów umrzeć dla jednego pocałunku…

Tak jak ojciec był zakochany w matce. Tylko tego zawsze chciałam – mężczyzny, który kochałby mnie tak mocno, że nie widziałby świata poza mną. Mam ochotę sama kopnąć się w tyłek za swoją ślepotę.

Kiedy pierwsza łza spływa mi po twarzy, biorę drżący wdech i szepczę:

– Tak mi wstyd.

– Nie bądź głupia. – Słyszę ostrą odpowiedź. – Nie masz czego się wstydzić.

Zamykam oczy, pozwalając łzom płynąć, bo wiem, że już teraz nie zdołam ich powstrzymać.

– Głupio ufałam. Głupio marzyłam. Głupio uwierzyłam w bajkę – szepczę jakby sama do siebie.

– Mógłbym zabić go choćby za to – mamrocze Matteo, zbyt szybko wchodząc w zakręt. – Tylko za to, że doprowadził cię do łez.

Warczy coś po włosku. Brzmi to wyjątkowo morderczo i sprawia, że czuję się lepiej.

– Słyszałam płacz twojej matki. Za zamkniętymi drzwiami sypialni.

Jego spojrzenie jest palące.

– Myślałaś, że nie będzie płakała?

Myślałam, że nie potrafi tego robić, ale wolałam zachować to dla siebie. Zaczynam sobie uświadamiać, że o wielu rzeczach nie mam pojęcia.

Przez kolejne kilka minut jedziemy w ciszy, aż podjeżdżamy do wysokiego, kamiennego muru, porośniętego bluszczem, który kończy się masywną, stalową bramą, oskrzydloną wielkimi, kamiennymi lwami. Obok bramy znajduje się mała, metalowa skrzynka na stojaku, w której Matteo wstukuje kod. Brama otwiera się powoli i wjeżdżamy na brukowany podjazd. Po prawej, w głębi, znajduje się krużganek z formalnymi, włoskimi ogrodami. Po lewej widzę podświetlone fontanny i równo przystrzyżone trawniki.

Dokładnie naprzeciwko nas stoi ogromny, neogotycki zamek, zwieńczony blankami. Patrzę przez przednią szybę i pytam:

– Co to za miejsce?

– *Castello di Moretti*[31] – odpowiada spokojnie.

Odwracam się do niego powoli, kiedy szok obezwładnia moje ciało. Uśmiecha się, widząc wyraz mojej twarzy.

– Nie ma jak w domu – dodaje.

Mówi to tak, jakby opisywał przyczepę kempingową.

– Mieszkasz tutaj? – pytam, nadal w szoku.

– Dorastałem tu. To siedziba rodziny Moretti od ponad ośmiuset lat.

– Mhm… – Wpatruję się w niego.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – pyta w końcu.

– To wiele wyjaśnia. – Wskazuję monstrualny zamek.

Kręci głową, wjeżdża na dziedziniec i zatrzymuje auto. Wysiada, obchodzi samochód i otwiera mi drzwi. Coś, czego Brad nigdy nie zrobił, przez tyle wspólnych lat. Mrugam zawzięcie, żeby pozbyć się łez, które cisną mi się do oczu.

Nie zaczynaj znowu płakać. Ani się waż.

– Chodź – mówi Matteo łagodnie. – W środku jest mnóstwo starych, bezcennych rzeczy, które na pewno z chęcią rozbijesz.

Wyciąga do mnie rękę. Nie powinnam tego robić, ale czuję się bezradna. Dlatego ujmuję jego dłoń i pozwalam, żeby pomógł mi wysiąść. Zamyka za mną drzwi, ale nie puszcza dłoni.

Prowadzi mnie przez kamienny łuk na kolejny, mniejszy dziedziniec. Nie znam wszystkich fachowych nazw tego, co widzę, ale wystarczy powiedzieć, że wszystko jest bardzo zamkowe. Ufortyfikowane, kamienne mury, wieże, te małe szczeliny, z których średniowieczni łucznicy mogli strzelać, to wszystko wokół.

Kiedy wchodzimy przez małe, boczne, drewniane drzwi do głównej części budynku, niespodziewanie wybucham śmiechem, który niesie się echem po pomieszczeniu.

Matteo odwraca się do mnie.

– Totalna dziura – mówię z poważną miną.

Odwraca się, ale wcześniej widzę jego uśmiech.

Idziemy, idziemy i idziemy. To miejsce jest labiryntem marmuru, kamienia i wiszących gobelinów, ostro ciosanych mebli i pozłacanych luster, a w każdej porcelanowej wazie stoją świeże kwiaty. Mijamy coś, co postanawiam nazwać Ścianą Śmierci, bo znajdują się na niej najróżniejsze średniowieczne topory, miecze, włócznie i inne narzędzia zaprojektowane, żeby pozbawić człowieka życia w najbardziej bolesny sposób. Część z nich umieszczono w wielkiej, szklanej szafce, podświetlonej od spodu tylko po to, żeby całość wyglądała jeszcze bardziej upiornie.

– Dorastałeś *tutaj*? – mamroczę pod nosem, nie mogąc wyobrazić sobie małego dziecka spacerującego po tym miejscu. To cud, że przypadkowo się nie zabił, wbiegając na jedno z tych wszechobecnych ostrzy, ani nie rozbił sobie czaszki na śliskich, niezwykle twardych, marmurowych schodach.

– Kiedy nie byłem w szkole z internatem.

W jego głosie słychać mroczną nutę, sugerującą, że szkoła z internatem wcale nie była świetną zabawą. Chcę go o to zapytać, ale rozprasza mnie zapach pieczonego chleba. Chyba zmierzamy w stronę kuchni. Słyszę kobiecy śmiech i stukot garnków. Potem wchodzimy przez otwarte drzwi do ogromnego pomieszczenia, które sprawia, że słowo *kuchnia* wydaje się niewystarczające.

Są tam piece do chleba i dwa kominki opalane drewnem, a także długi zlew, wbudowany w grubą, kamienną ścianę. Centralną część wypełniają trzy wielkie, dębowe stoły. Palenisko jest tak wielkie, że

mogłoby pomieścić kilka kotłów, a długie rzędy półek wypełnione są wszelkimi składnikami do gotowania.

Dwie kobiety, których śmiech słyszałam, milkną, kiedy wchodzimy do środka. Pulchne, z babcinym wyglądem, mają na sobie identyczne uniformy, czarne z białymi fartuszkami. Mogłyby być siostrami.

Dygają jednocześnie.

– *Mio signore*[32].

Ledwo znam włoski, ale wiem, że właśnie zwróciły się do Matteo „mój panie".

Kiedy parskam, rzuca mi poirytowane spojrzenie. Mówi coś do kobiet, wskazując na lodówkę ze stali nierdzewnej po drugiej stronie pomieszczenia. Potem żegna się z nimi i wyprowadza mnie, a one wpatrują się w nas z zaskoczeniem.

Kiedy tylko wychodzimy poza zasięg słuchu, prycham:

– Dokąd mnie prowadzisz, *mój panie*?

Nadal trzyma mnie za rękę i wykorzystuje to, żeby wciągnąć mnie za róg. Potem obraca mnie i przyciska do ściany. Zszokowana, wpatruję się w niego. Oczy mu pociemniały, a mięsień szczęki podskakuje.

Mam kłopoty.

Mówi ostrym tonem:

– Gdyby to zależało ode mnie, właśnie prowadziłbym cię do łóżka, gdzie zrobiłbym dużo lepszy użytek z twojego języka. Teraz widzę, dlaczego masz tak złe podejście. Nie ma żadnej możliwości, żeby ten chłoptaś, za którego zamierzałaś wyjść, potrafił zadowolić taką kobietę jak ty.

Jego palące spojrzenie przesuwa się na moje usta. Na pewno słyszy ten wrzask czystej radości, który wydaje z siebie moja macica. Jest tak donośny, że na chwilę mnie ogłusza.

Moje ciało staje w płomieniach. Nie potrafię złapać oddechu. Moje pachy robią się mokre, majtki również. Ściana jest chłodna i twarda za moimi plecami, ale z przodu żar bijący od Matteo skutecznie mnie rozgrzewa. Ten żar, mięśnie i ewidentne pożądanie.

Jakimś sposobem moje dłonie znajdują się na jego brzuchu, a jego opierają się płasko na ścianie po obu stronach mojej głowy. Żadne

z nas się nie porusza, poza naszymi piersiami, które falują równocześnie.

– Myślisz, że ty potrafiłbyś zrobić to lepiej?

Te słowa opuszczają moje usta, zanim w ogóle zdaję sobie sprawę z tego, że chcę je wypowiedzieć. Ochrypły szept, który brzmi, jakbym brała udział w przesłuchaniu do filmu porno. Najwidoczniej macica przejęła kontrolę nad całym ciałem, bo chociaż powinnam go odepchnąć, to tak naprawdę chcę pozwolić, żeby pokazał mi dokładnie to, co mówią jego oczy.

Wszystkie te sprośne, cudowne rzeczy.

Opuszcza głowę i zbliża usta do mojego ucha.

– *Bella* – beszta mnie. – Wiesz, że potrafię. – Potem bierze płatek ucha do ust i zasysa go delikatnie, jakby był moją łechtaczką.

Prawie umieram z powodu fali pożądania, która zalewa mi ciało. Jego wargi są wilgotne i miękkie, oddech na szyi gorący, a brzuch pod moimi palcami twardy jak stal. Niewielkie sapnięcie, które ucieka z moich ust, wywołuje jego cichy śmiech.

– Prawda? – szepcze i gryzie mnie w szyję. Nie mocno, nie dość, żeby przebić skórę albo zostawić ślad, ale wystarczająco, żeby pokazać dominację. Żeby pokazać mi, że jest mężczyzną. Przejmuje kontrolę nad wszystkim, co dzieje się w łóżku i upewni się, że cholernie spodoba mi się każda sekunda.

Całe szczęście, że moje kolana są zablokowane, bo inaczej nie ma mowy, żeby utrzymały mnie w pionie. Zmienił moje kości w żelatynę. Przyciska się do mnie, żebym wiedziała, że jest tak samo podniecony, jak ja. Czuję każdy długi, gruby centymetr i wypuszczam oddech, który niestety bardzo przypomina jęk.

Matteo ujmuje moją twarz w dłonie. Zaciskam pięści na jego koszuli. Trzyma mnie przy tej ścianie, z twardym fiutem przyciśniętym do mnie i patrzy mi głęboko w oczy.

– Prawda – powtarza.

Tym razem to nie pytanie. To obietnica, wyzwanie, a ponad wszystko zaproszenie, żebym powiedziała tak, przyznała, że jeśli uprawiałabym z nim seks, zniszczyłby mnie dla innych mężczyzn. Że zwracałby szczególną uwagę na każdą krzywiznę mojego ciała, każdy jęk i drgnięcie, że czytałby z mojego ciała jak z książki i grał na nim

jak na skrzypcach, dzięki swoim cierpliwym, zwinnym dłoniom. Że złamałby mnie i zmusił do błagania, zanim dałby mi wszystko, czego nawet nie wiedziałam, że potrzebuję.

Kiedy milczę zbyt długo, mówi ostrzegawczo:

– Kimber.

Moja macica ostatecznie przejmuje kontrolę nad mózgiem.

– Tak – sapię, wspinam się na palce i całuję go.

Pozwala na to na tyle długo, że sutki mi twardnieją i zaczynają boleć, zanim przejmuje kontrolę i odsuwa się. Trzyma moją twarz w jednej dłoni. Drugą ułożył płasko na mojej piersi. Rozkłada szeroko swoją dużą rękę tak, że podstawa spoczywa u szczytu piersi, a palce zawłaszczają całą przestrzeń.

Kiedy całuje kącik moich ust, zamykam oczy i poddaję się temu doznaniu. Skubie dolną wargę, chwyta ją zębami i delikatnie podgryza. Wsuwa język do moich ust z delikatnym, przepysznym ssaniem, używając dłoni na mojej piersi, żeby utrzymać mnie w miejscu, kiedy staję się niecierpliwa, napierając na niego, bo chcę więcej. Chcę pogłębić pocałunek.

Mruczy przy moich ustach:

– *Sei cosí dolce*[33].

Między nogami czuję wilgoć i pulsowanie. Chcę, żeby powtórzył to, co robił z moim uchem, tylko tam na dole. Niecierpliwie zaciskam uda, a on śmieje się cicho.

– *Voglio mettere la mia faccia tra le tue gambe*[34].

– Czy ty… mówisz do mnie sprośne rzeczy? – pytam, a on rzuca mi palące spojrzenie i uśmiecha się lekko.

Och, słodki panie w niebiosach! Czy ten zapach oznacza, że moje majtki stanęły w płomieniach?

Znowu dopada moich ust. Tym razem pocałunek jest głębszy, taki, jak chciałam. Badawczy. Pożądliwy. Przesuwam dłonie w górę jego piersi, na ramiona, a potem wplatam palce w te wspaniałe, gęste włosy i przyciągam go jeszcze bliżej. Oboje oddychamy ciężko przez nos.

Przesuwa dłoń w dół, na żebra. Kiedy jego kciuk trąca twardy sutek, wysyła prąd w dół mojego ciała. Jęczę mu w usta.

Przerywa pocałunek i zatapia nos w moich włosach.

– Chcę je ssać – szepcze, oddychając urywanie, przesuwając leniwie kciukiem po sutku. – Chcę je szczypać, ssać i lizać. Chcę testować je zębami, żeby zobaczyć, ile zniesiesz, zanim zaczniesz się wić.

Teraz już dyszę. Dosłownie, jak pies. Cornelia nie może się ze mną równać.

Ale Pan Gorący i Sprośny jeszcze nie skończył.

Prosto do mojego ucha, głosem zarówno twardym, jak miękkim, mówi:

– Chcę zdjąć z ciebie wszystkie ubrania, żebyś leżała naga pode mną, rozłożyć cię na łóżku, żebym mógł widzieć całą tę piękną skórę. Chcę schować twarz między twoimi nogami i pożerać słodką cipkę, aż ochrypniesz od krzyku i opadniesz z sił po tych wszystkich razach, kiedy dojdziesz. Potem chcę wsunąć kutasa głęboko w ciebie i pieprzyć cię, *bella*. – Zaciska dłoń na mojej piersi. Porusza biodrami, przesuwając materiał moich majtek po nabrzmiałej łechtaczce, aż cała drżę. Jego głos staje się ochrypły. – Chcę cię pieprzyć, aż zapomnisz o wszystkim i wszystkich, poza mną. Aż będziesz spełniona. Aż będziesz moja.

Nasz pocałunek jest obezwładniający, mocny i namiętny, niechlujny, nasze zęby się zderzają i oboje wydajemy z siebie zwierzęce odgłosy, kiedy szarpiemy się z pożądania.

– Czekaj… czekaj! – Dysząc, odpycham go.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, kiedy mój mózg zaczyna odzyskiwać kontrolę i znowu jestem w stanie racjonalnie myśleć.

– Używasz moich projektów – mówię.

Oblizuje wargi i lekko potrząsa głową, jakby chciał oczyścić umysł.

– Co?

– Moje projekty. Ze szkicownika. Używasz ich w nowej kolekcji. Prawda? – uściślam.

Następuje chwila ciszy, kiedy po prostu na mnie patrzy i oddycha chrapliwie. Potem, przez zaciśnięte zęby, rzuca:

– Tak.

Odpycham go, ocieram usta wierzchem dłoni i klnę. Głośno, aż echo odbija moje słowa od kamiennych ścian.

– Nie chcę, żebyś to robił – mówię.

Poprawia krawat, przygładza włosy i pyta zwyczajnie:

– Negocjujemy?

Z nim i Brademto jakiś cud, że jeszcze nie popełniłam morderstwa.

– Wiesz, że w którymś momencie będziesz musiał położyć się spać, ale nie powiedziane, że się obudzisz – syczę.

Matteo ignoruje groźbę.

– Oto moja oferta, której nie chciałaś wcześniej wysłuchać: pocałunek za każdą zwróconą stronę. – Kiedy nie odpowiadam, bo zaparło mi dech, uśmiecha się szelmowsko. – Ale nie całus w policzek. Taki pocałunek jak przed chwilą.

Fala bólu sprawia, że do oczu napływają mi łzy.

Jak on mógł? Jak mógł mi to zrobić? Dzisiaj, ze wszystkich dni, kiedy jestem bardziej bezbronna niż kiedykolwiek?

– Kiedy opowiem mojemu najlepszemu przyjacielowi o chwili, kiedy przeszłam od nielubienia cię i braku zaufania do nienawiści, to właśnie będzie ten moment – szepczę.

Jego oczy błyszczą od emocji, ale szybko odzyskuje kontrolę nad swoimi uczuciami. Przystojna twarz staje się lodowatą maską. Mówi beznamiętnie:

– W szkicowniku jest dwadzieścia sześć projektów. Mogę zaliczyć ci dzisiejszy pocałunek i ten w sklepie. Zostają dwadzieścia cztery. Pozostawię ci decyzję, kiedy zaczniemy, ale musimy skończyć do nocy przed pokazami w Mediolanie.

Wpatruję się w niego z otwartymi ustami.

– To za trzy tygodnie – mówię.

– Więc lepiej się pospiesz. – Kącik jego ust unosi się kpiąco.

Jakimś sposobem jednocześnie czuję zimno i gorąco. Pocę się i drżę zarazem, chociaż drżenie może być spowodowane furią.

– Powiem wszystkim. Dopilnuję, żeby wszyscy dowiedzieli się, że to nie twoje projekty. Powiadomię prasę…

– Naprawdę? Nie masz jeszcze dość prasy? – Patrzy na mnie bez emocji.

Na samą myśl o historiach, które krążyłyby po internecie, robi mi się niedobrze. On dokładnie wie, gdzie uderzyć, to pewne.

– To nie ma znaczenia. Mogę udowodnić, że są moje – oznajmiam twardo.

– Jak? W szkicowniku nie ma twojego nazwiska.

Cholera. Ma rację. Nigdy nie podpisałam się na wewnętrznej stronie okładki. Nie sądziłam, że jest taka potrzeba.

– Nie podpisałaś też żadnego ze szkiców, więc… – Wzrusza ramionami.

Twarz aż mnie pali. Wściekła, obrzucam go morderczym spojrzeniem.

– Mam kopie wszystkiego. W San Francisco. W komputerze. Zawsze robię kopie wszystkiego, nad czym pracuję.

Uśmieszek, który obejmował tylko jeden kącik ust, teraz zmienił się w pełny, szeroki uśmiech.

– Pewnego dnia nauczysz się kłamać przekonująco, ale to nie dzisiaj.

Mam ochotę go uderzyć. I dźgnąć. A także podpalić mu twarz. Spędzenie reszty życia w więzieniu byłoby uczciwą ceną za pozbycie się tego bezwzględnego kutasa raz na zawsze.

– Powiedziałam, że oddam ci za ten bilet i naprawdę tak myślę. Kiedy tylko sklep stanie na nogi…

– Nie chcę twoich pieniędzy, *bella* – przerywa mi.

Jego głos jest tak delikatny, jakby przesuwał opuszkami palców po moim policzku. Nie ma żadnych wątpliwości co do przekazu. Zaczyna dopadać mnie desperacja, więc próbuję innej taktyki:

– Nie potrzebujesz moich projektów. Twoja firma i tak jest najlepsza na rynku. Same linie męskie są jednymi z najbardziej dochodowych. – Patrzę na niego zimno.

– Rozszerzamy linie damskich strojów wieczorowych – informuje takim samym, chłodnym tonem.

Jestem pewna, że ma odpowiedź na wszystko, co powiem. Podejrzewam, że spędził sporo czasu na analizowaniu różnych wersji.

Jak Brad i jego genialny plan na nasze życie w kłamstwie.

Głos drży mi ze złości, kiedy mówię:

– Mój ojciec znienawidziłby cię za to.

Wzdryga się. Szybko odzyskuje panowanie nad sobą i choć znowu przykleja uśmiech na twarz, wiem, że tu go mam. Jednak on zagina mnie bez wysiłku:

– Nie. Twój ojciec byłby zawiedziony, że próbujesz wycofać się z danego słowa.

Wciągam głośno powietrze. To zabolało tak bardzo, że równie dobrze mógłby kopnąć mnie w jajniki. Odzywa się ponownie, zanim zdążę obrzucić go przekleństwami:

– Zawarliśmy układ. Uczciwy. Zgodziłaś się na niego dobrowolnie. – Jego głos staje się cichszy. – Układ, który uznałaś za najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałaś, jeśli mogę ci to przypomnieć.

Nie mogę dłużej na niego patrzeć. Po prostu nie mogę patrzeć na tę okropną, piękną twarz ani chwili dłużej.

Odwracam się i biegnę.

DWADZIEŚCIA

Kimber

Problem z zamkami polega na tym, że zbudowano je po to, by utrzymać najeźdźców na zewnątrz, a mieszkańców bezpiecznie w środku.

A to znaczy, że jest tu irytująco mało drzwi.

Te kilka, które znajduję, są wielkie, zrobione z grubego drewna, wzmocnionego żelazem i zamknięte. Mogłabym zabrać jeden z toporów ze Ściany Śmierci i spróbować przebić sobie drogę do wyjścia, ale nie mam na to dość energii. Klatka schodowa wychodzi na szeroki korytarz z palmami w doniczkach i zdobnymi konsolami, co kawałek stoją zbroje, ukryte w niszach w ścianie, tak dla poczucia ciepła domowego ogniska.

Pierwszy pokój, na który natrafiam, to biblioteka. Stoją tam wyścielane kanapy i krzesła, na każdej ścianie pomieszczenia jest ogromny kominek, a także ciężkie, drewniane regały ze szklanymi przodami, sięgające aż do sufitu. Wygląda to na równie dobre miejsce jak każde, żeby ukryć się na jakiś czas, więc opadam na wielki, skórzany fotel, który mógłby pomieścić olbrzyma i ponuro wpatruję się w swoje stopy. Ten głupi mebel jest tak wielki, że zwisają z brzegu, jak u dziecka, nawet nie dotykają podłogi.

Nie siedzę tam nawet pięciu minut, kiedy jedna z kobiet w uniformie, którą widziałam wcześniej, wchodzi do środka z tacą. Podchodzi, uśmiecha się do mnie i mówi coś po włosku.

– Och, przepraszam. Ja nie, yy… *no comprende italiano*[35]. – Uświadamiam sobie, że to była jakaś koślawa wersja hiszpańskiego, ale mam nadzieję, że pojmie sens.

Wzrusza ramionami, jakby w ogóle jej to nie obchodziło i ustawia tacę na stoliku przede mną. Kiedy czuję zapach świeżo pieczonego chleba, podnoszę się na siedzeniu.

Miła pani podnosi serwetkę, którą przykryto tacę z pysznościami, żebym mogła rzucić okiem na zawartość. Pokazuje mi różne rodzaje chleba, mięs i serów, zerkając na mnie co chwilę, czy nadążam. Zupełnie zagubiona, tylko kiwam uprzejmie głową.

Naprawdę muszę się nauczyć tego przeklętego języka.

Kiedy kończy, pyta mnie o coś, co ma związek ze słowem *vino*[36]. No wreszcie mówi do rzeczy.

– Yy… Chianti?

To jedyne włoskie słowo, które kojarzy mi się z *vino*, bo z pewnością chodzi o wino, ale widać, że to wystarczy, bo kobieta przytakuje ochoczo, mówi coś, co interpretuję jako informację, że zaraz wróci, i wychodzi.

Wpatruję się w tacę i cieknie mi ślinka.

Skoro już tu jestem, mogę przecież pozwolić, żeby ten dupek mnie nakarmił.

Zanim zdążę zabrać się za jedzenie, zaczyna dzwonić telefon, stojący przy moim gigantycznym fotelu. Waham się, zerkając na niego. Zauważam wyświetlacz, który pokazuje napis *Stanza di sicurezza*[37].

Sicurezza? Ochrona?

W mgnieniu oka postanawiam odebrać. Może to ktoś ważny, próbujący skontaktować się z Matteo, a ja będę mogła uprzejmie i bardzo pomocnie poinformować, że Matteo nie jest obecny z uwagi na to, że trafił na rehabilitację. Albo do więzienia.

– *Moshi moshi* – rzucam do słuchawki.

Następuje chwila ciszy, a potem dobiega mnie głos Matteo:

– Widzę, że byłaś w Japonii.

Oczywiście, że wie, jak odbiera się telefon w Japonii. Tam pewnie też ma swój zamek, palant.

– Przykro mi, ale Matteo nie może teraz podejść. Jest zajęty byciem okropnym człowiekiem. Jeśli chcesz go złapać, kiedy nie jest

totalnym dupkiem, musisz zadzwonić, gdy świnie zaczną latać, a piekło zamarznie.

– Powinnaś wypróbować fotel obok kominka. Rozmiar bardziej by ci pasował – mówi Matteo, zupełnie ignorując mój wywód.

Rozglądam się podejrzliwie, ale nie widzę, żeby czaił się za którymiś drzwiami.

– Gdzie jesteś?

– W pokoju ochrony. Oglądam cię na ekranie – odpowiada.

Zerkam na sufit. Rzeczywiście są tam dwie kamery, umocowane w przeciwległych rogach pomieszczenia. Odkładam słuchawkę.

Telefon zaczyna dzwonić prawie natychmiast. Patrzę w sufit i potrząsam głową. Po chwili telefon milknie.

Dobrze. Załapał aluzję.

Odwracam się do talerza z mięsem i serem. Wygląda fantastycznie. Są tam też suszone owoce, orzechy i inne, pyszne…

Telefon znowu zaczyna dzwonić.

Uświadamiam sobie, że on tak może przez dłuższy czas. Umieram z głodu, więc odpuszczam i podnoszę słuchawkę.

– Czego? – warczę.

Niskim, serdecznym głosem mówi:

– Nienawidzę patrzeć, jak jesteś nieszczęśliwa.

– Czy ty masz chorobę dwubiegunową? To właśnie jest główny problem?

– Nie. Mówię prawdę… nienawidzę patrzeć na twoje nieszczęście – powtarza przekonująco.

– Możesz to powtarzać do usranej śmierci, ale nie zmieni to faktu, że chętnie przyczyniasz się do mojego nieszczęścia. Cóż, jesteś jedną z przyczyn.

Słyszę, jak wypuszcza powietrze. Lżejszym już tonem, dodaje:

– Jak myślisz, skąd pochodzi to powiedzenie?

Zdezorientowana, robię dziwną minę.

– Co?

– Do usranej śmierci – uściśla.

Wzdycham ciężko, przesuwając ręką po twarzy.

– Przebywanie w twoim towarzystwie wystarczy, żeby każdy kompletnie zwariował, wiesz o tym?

– Wiem. Przepraszam. – Jego głos znowu staje się cichy.

– Naprawdę? – Ściskam słuchawkę tak mocno, że może pęknąć. – Więc przestań!

– Nie mogę.

Rozłączam się i zdejmuję słuchawkę z widełek, żeby nie mógł znowu zadzwonić. Po kilku minutach miła kobieta wraca z otwartą butelką wina i napełnionym już kieliszkiem. Ustawia butelkę na stoliku obok tacy i podaje mi kieliszek.

– *Ecco a lei*[38].

– Dziękuję. Yy… *grazie*.

Układa dłonie na fartuszku, przechyla głowę i przygląda mi się. Zaczyna mówić, długo i z pasją, ale nie wiem, o czym, bo wszystko jest po włosku.

Na sam koniec wzdycha i mówi po angielsku:

– Ale jest tego wart.

Klepie mnie po plecach, odwraca się i wychodzi.

Wychylam cały kieliszek wina i nalewam sobie następny.

***

Nie pamiętam niczego więcej, aż budzę się z bólem głowy, a w ustach czuję smak, jakby jakiś bezdomny zrobił sobie z nich śmietnik.

Podniesienie głowy powoduje falę bólu w tyle czaszki. Otwieram jedno oko i rozglądam się po pomieszczeniu.

Gdzie jestem? I jak się tu dostałam?

Przestronny, ale przytulny pokój byłby odpowiedni dla króla. Sufit został obłożony ciemnym drewnem, a w poprzek umieszczono grube belki. Na środku wisi okrągły, żelazny żyrandol. Kamienne mury ocieplają kolorowe gobeliny i olejne krajobrazy w grubych ramach. Podłogę pokrywają grube dywany z frędzlami. Meble są zrobione z ciemnego drewna, ciężkie i męskie, a kominek jest tak wielki, że można by w nim spalić SUV–a. Ogromne łóżko z czterema kolumienkami, w którym leżę, jest ozdobione scenami z polowania na lisy. Uważam to za dziwnie niepokojące.

Jeszcze bardziej niepokojący jest widok Matteo śpiącego w fotelu przy łóżku. Śpi na siedząco, w pełni ubrany, włącznie z butami.

Poluzował krawat, ale to jedyny dowód na próby zapewnienia sobie wygody. Głowę ma odrzuconą do tyłu, ukazując silną linię gardła. Włosy są lekko rozczochrane, jakby przeczesywał je palcami.

Na stoliku nocnym dostrzegam szklankę wody i dwie aspiryny.

Jakby wyczuł, że na niego patrzę, powoli otwiera oczy. Odwraca głowę i spogląda na mnie. Jego twarz jest zaspana i łagodna, a wzrok ciepły i zamglony.

Więc tak wyglądasz, kiedy się obudzisz.

Kiedy się uśmiecha, serce boli mnie nawet bardziej niż głowa. Pyta ochrypłym od snu głosem:

– Jak się czujesz?

– Gównianie. Co się stało? – odpowiadam i pytam.

Wstaje, rozciąga szyję, a potem podnosi aspiryny i podaje mi je.

– Wypiłaś całą butelkę wina w mniej niż pół godziny, później odpłynęłaś. Weź je.

Pozwalam położyć tabletki na mojej otwartej dłoni. Potem podaje mi wodę.

– Pij.

Wrzucam aspirynę do ust i wypijam trochę wody, potem oddaję mu szklankę. Potrząsa głową.

– Tyran – burczę i przełykam jeszcze kilka łyków wody.

Tym razem, kiedy podaję mu szklankę, zabiera ją. Wypija resztę, odstawia naczynie na stolik i zdejmuje marynarkę. Zawiesza ją na oparciu fotela, na którym siedział, odpina spinki do mankietów i podwija rękawy.

Dlaczego uważam to za tak cholernie seksowne?

Wściekła na nas oboje przekręcam się na drugi bok i nakrywam kołdrą.

Po chwili materac ugina się. Potem czuję silne ręce na ramionach, ugniatają moje obolałe mięśnie. To takie dobre uczucie, że aż jęczę.

Przesuwa palcami pomiędzy moimi łopatkami, rozciągając napięcia, aż wszystko się rozluźnia. Potem uciska szyję i kciukami pociera nasadę czaszki. Znowu jęczę, tym razem słabiej.

– Dobrze ci?

– Nienawidzę cię – mamroczę w poduszkę.

– Wiem – odpowiada łagodnie.

Jego palce przesuwają się w dół kręgosłupa. Nie jest to erotyczny dotyk, tylko kojący, ale oczywiście moje organy rozrodcze zaczęły już całą imprezę, włącznie z perkusją i śpiewami. Głowa pulsuje mi do taktu z tym bębnieniem.

– Jak się tu dostałam? – dopytuję o istotną kwestię.

– Przyniosłem cię.

Próbuję sobie to wyobrazić, ale nie mogę. Nie wydaje się, żeby miał jakieś większe zakwasy, więc może przez „przyniosłem" miał na myśli „przywlokłem". Może jedna z tych miłych pań z kuchni przyprowadziła wózek, żeby mógł…

Czekaj. O, nie!

– Czy to twoje łóżko?

Musiał wyczuć nagłe napięcie moich mięśni, bo się śmieje.

– Mogę zaprzeczyć, jeśli poczujesz się z tym lepiej.

O mój Boże. Jestem w łóżku przyrodniego brata. Byłego przyrodniego brata. Wrednego byłego przyrodniego brata. Paląco gorącego, niedorzecznie seksownego, aroganckiego byłego przyrodniego brata ZŁODZIEJA.

Cholera.

Powinnam była wiedzieć. Poduszka pachnie nim. Głupia poduszka.

Wciskam w nią twarz i oddycham głęboko. *Przepysznie*.

Materac znowu się ugina. Ramię wsuwa się pod moją szyję. Szeroka klatka piersiowa ogrzewa plecy, a silne uda układają się za mną.

– Nie panikuj – mówi, kiedy zaczynam to robić. – Nie wykorzystuję nieprzytomnych kobiet. Po prostu muszę na chwilę zamknąć oczy. Nie spałem przez większość nocy, żeby upewnić się, czy nie umarłaś.

Nie spał, żeby mnie pilnować? To albo najsłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam, albo niesłychana bzdura.

Od moich rozmyślań odciąga mnie silne, równe bicie jego serca, które czuję między łopatkami. Potem jego druga ręka obejmuje mnie wpół i delikatnie przyciąga do jego ciała. Jesteśmy tak idealnie dopasowani jak rosyjskie matrioszki. Moje przełknięcie musi być głośne, bo Matteo zaczyna się śmiać.

– *Bella*. Za dużo myślisz.

– Próbuję określić, jak dziwna jest ta sytuacja – odpowiadam.

– Masz na myśli w skali od jednego do dziesięciu? – pyta Matteo sennym głosem.

– Tak.

– Zero – odpowiada pewnie.

– Ale jestem na ciebie wściekła – mówię.

Jego westchnienie owiewa mi szyję ciepłym powietrzem. Dostaję od tego gęsiej skórki.

– Nie jesteś wściekła, ale zraniona. To różnica – prostuje.

– Uwierz mi, Hrabio Egotistico, jestem *wściekła*.

Znowu zaczyna delikatnie masować moją szyję. Gnojek.

Kiedy burczę w poduszkę, mówi cicho:

– Wszystko się ułoży. Obiecuję.

– Nie mów do mnie więcej słowa na „o". Następny mężczyzna, który powie do mnie słowo na „o", musi liczyć się z poważnymi obrażeniami ciała.

– Taka agresywna – szepcze. W jego głosie słyszę śmiech.

– Powinieneś mi wierzyć. Jestem super przerażająca – zapewniam go.

– Och, wiem. Widziałem, co zrobiłaś z twarzą blondasa. – Jego głos staje się mroczniejszy. – Teraz wygląda lepiej.

Milczymy przez chwilę. Kiedy nie robi nic niepokojącego, powoli zaczynam się rozluźniać. Dziwnie tak przytulać się z Matteo, z bardzo wielu przyczyn, z których jedną jest moja determinacja, by uznawać go za wroga. Nigdy nie dałabym mu tego szkicownika na lotnisku, gdybym wiedziała, kim jest. A teraz szantażuje mnie, żebym mogła go odzyskać, na miłość wszystkiego, co święte.

Moja macica uznaje, że to dobry moment, żeby przedstawić przeciwny punkt widzenia: *Ale popatrz, jak cię wspierał podczas pogrzebu! I jaki był opiekuńczy, kiedy Brad się pojawił!*

I pilnował cię, kiedy spałaś, żebyś nie umarła!, dołączają jajniki.

– To westchnienie brzmiało bardzo smutno. Chcesz o tym pogadać? – odzywa się cholerny markiz.

Zaczynam skubać koc, który w dotyku przypomina jedwab, aksamit i pupę niemowlaka. Nigdy wcześniej nie dotykałam czegoś tak miękkiego. Zaciskam powieki i biorę oddech dla kurażu.

– Co do twojej oferty w kwestii odzyskania mojego szkicownika…

Dłoń Matteo zamiera na moim ramieniu. Zauważam w nim nowe napięcie, ale tłumi je i zmusza się do odprężenia. Czeka cierpliwie, udając spokój, ale ciało go zdradza. Czuję miedzy łopatkami, jak jego serce zaczyna łomotać jak oszalałe.

Myślę, że naprawdę *bardzo* chce, żebym przyjęła jego propozycję. Żar wypływa mi na policzki.

Kiedy milczę zbyt długo, pogania mnie:

– Co z nią?

W jego tonie słychać nutkę niecierpliwości i teraz ten żar z policzków przechodzi na inne części ciała, bardzo daleko od twarzy.

Odchrząkuję.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie wykorzystasz projektów, nawet jeśli zgodzę się na twoje… warunki?

Dwadzieścia cztery pocałunki. Gorące jak cholera, roztapiające majtki, podwijające palce u stóp pocałunki. Staram się nie zadrżeć na samą myśl.

– Oddam ci jedną stronę przy każdym – mówi.

Marszczę brwi na myśl o tym, jak oddaje mi wyrwane i wymięte kartki ze szkicownika.

– Mogłeś już zrobić kopie wszystkiego.

– Nie zrobiłem i nie zrobię. Zniszczę też wszystkie sukienki, które zrobiliśmy, kiedy oddam ci szkice – obiecuje.

Wywracam oczami.

– I niby mam w to wierzyć?

– Skoro nie mogę użyć słowa na „o”, jak mam cię przekonać?

Próbuję wymyślić coś, co dotknęłoby go tak bardzo, jak mnie wykorzystanie przez niego moich projektów. Czym naprawdę mogłabym mu dopiec? Co sprawiłoby, żeby poczuł się tak samo zdradzony, wściekły, zraniony i bezsilny?

Wpadam na to w chwili olśnienia.

– Powiem o wszystkim twojej matce – informuję beznamiętnie.

Cisza.

– Może mi nie uwierzyć, ale…

– Uwierzy – przerywa mi jednym słowem.

Mówi to tak, jakby to było oczywiste, że postawi moje słowo ponad jego, mimo że poznała mnie zaledwie kilka dni temu i nieszczególnie

się zaprzyjaźniłyśmy. Intuicja podpowiada mi, że wdepnęłam w lepką, śmierdzącą, starą, rodzinną kupę tak głęboko, że będę potrzebowała koparki, żeby się z tego wygrzebać.

Oczywiście od razu mnie to intryguje i chcę zgłębić całą sprawę. Udając nonszalancję, rzucam:

– Szantażowałeś już inne projektantki, co?

– Nie. Ona po prostu nie spodziewa się po mnie niczego, poza rozczarowaniem – wyjaśnia spokojnie.

To tak niespodziewane, że nie mam żadnej odpowiedzi.

Rozczarowanie? Jej przystojny, pełen szacunku, odnoszący sukcesy syn jest dla niej rozczarowaniem?

Nabieram przekonania, że Matteo ma jakiś okropny, mroczny sekret, który matka musiała zatuszować. Może jakiś śmiertelny wypadek albo uzależnienie od narkotyków. Na pewno ukryli jakiś skandal, żeby dalej mogli chodzić z wysoko podniesionymi głowami w swoich arystokratycznych kręgach.

Może właśnie dlatego tak zawzięcie broni jej honoru! Ona ma klucz do jego szafy z trupami.

A może to coś bardziej prozaicznego. Może przypomina Brada bardziej, niż sądziłam. Nie w kwestii orientacji seksualnej – nie ma mowy, żeby Matteo grał w przeciwnej drużynie. Nie, bardziej chodzi o hazard, długi, zbezczeszczenie nazwiska rodzinnego jakimś durnym zachowaniem.

O Boże. Może dlatego tak mnie do niego ciągnie. Może mam swój *typ*. Facet Wygląda Jak Super Partia, ale w rzeczywistości To Wielka, Kłamliwa Kupa Gówna.

Czuję się, jakbym właśnie odkryła, że Święty Mikołaj to kłamstwo.

Może powinnam zostać lesbijką?

– O czym myślisz? – Pada pytanie.

Mój język wyprzedza mózg:

– Rozważam zostanie lesbijką.

– Byłabyś okropną lesbijką – ocenia Matteo.

– Uważam, że byłabym świetną lesbijką! – odpowiadam urażona.

– Za bardzo lubisz kutasy – podsumowuje.

Twarz mnie piecze.

– Wcale nie lubię kutasów bardziej niż każda inna dziewczyna – prycham.

Zaciska ramię wokół mnie. Mówi ochrypłym głosem do mojego ucha:

– A właśnie, że tak. Po prostu nie ujeżdżałaś jeszcze właściwego.

Mam ochotę się powachlować, ale jestem zbyt zajęta chowaniem twarzy w poduszkę. Nie mam pojęcia, jak tak szybko przeszliśmy od odkrywania bolesnych rodzinnych kwestii do ujeżdżania kutasów, ale oto jesteśmy.

Podkreśla swoje stwierdzenie delikatnym pocałunkiem nasady mojej szyi. Powoduje tym dreszcz, który przechodzi przez całe moje ciało, a którego jest świadomy, bo jego śmiech jest tak arogancki, że mam ochotę go udusić.

– Jesteś okropnym człowiekiem.

– A jednak mnie pragniesz – odpowiada z satysfakcją.

– I znowu wracamy do tego? Twoje ego ma własną atmosferę, wiesz o tym? Boże, żałuję, że próżność nie jest bolesna.

– Nie jestem próżny, tylko stwierdzam fakty.

– Proszę, przestań już mówić. Sprawiasz, że mam ochotę popełnić morderstwo.

Jego pierś drży od śmiechu, który próbuje powstrzymać.

– Pamiętaj, co mówiłem ci o miłości i nienawiści, *bella*. Dwie strony tej samej monety.

Zaczyna masować moją czaszkę, więc moja elokwencja staje się bezużyteczna. To raj. Jego dłonie są duże i silne, a przyjemność sprawia, że zamykam oczy. Znowu wzdycham, rozdarta pomiędzy chęcią, by wstać i udusić go poduszką, a pragnieniem, by zostać w tym łóżku do końca życia.

– Nie musisz iść do pracy? Jest poniedziałek – próbuję pozbyć się go w ten sposób.

– Pójdę. W końcu. W tej chwili mam ważniejsze rzeczy na głowie – odpowiada po prostu.

– Hmm…

– Idź spać – szepcze.

– Jakbym tylko mogła – burczę z sarkazmem.

– Czemu nie?

– Kurczę, pomyślmy. Jesteśmy w łóżku, to tak na początek.

– W pełni ubrani. I tak zostanie. – Wymowna cisza. – Chyba, że planujesz mnie rozebrać.

– Zamknij się – nakazuję.

Przesuwa palce i zaczyna masować mi skronie. Wydaję z siebie dźwięk jak świnia szukająca trufli.

– Przynajmniej pozwól, żeby aspiryna zaczęła działać. Kiedy poczujesz się lepiej, odwiozę cię do domu. A później, albo jutro, dasz mi znać, jaka jest twoja decyzja w sprawie mojej propozycji.

To może być moja wyobraźnia, ale coś w jego głosie podpowiada mi, że on już wie, że się zgodzę.

Cóż, nie tylko on ma tutaj nikczemny plan.

Wiedziałam, że zrobi się naprawdę wstrętnie.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Kimber

Kiedy budzę się ponownie, kąt padania światła na kamienną ścianę mówi mi, że to już nie poranek. Z moją głową jest już lepiej, ale w ustach nadal czuję okropny posmak i bardzo muszę siusiu.

Wstałabym, ale ciężka ręka przytrzymuje mnie w miejscu.

Matteo i ja leżymy w tej samej pozycji co wtedy, gdy znowu zasnęłam, tylko że teraz on też śpi. Jego oddech jest równy i głęboki. Nie chrapie, co sprawia, że nienawidzę go jeszcze bardziej.

Przyjdzie w końcu dzień, kiedy odkryję, jakie jeszcze posiada wady, poza egocentryzmem i tendencją do kradzieży własności intelektualnej.

Delikatnie chwytam go za nadgarstek i zaczynam przesuwać jego rękę, żeby móc wstać.

– Zapomnij o tym. Nie wymkniesz się. – Jego głos jest głęboki i ochrypły od snu. Matteo przyciska mnie mocniej do siebie.

– Muszę iść do łazienki.

Z jego piersi wydobywa się niski pomruk, oznaczający odmowę.

– Bardzo – dodaję.

Jeszcze raz lekko ściska mnie w talii, zabiera rękę i delikatnie mnie popycha.

– Jeśli nie wrócisz za trzy minuty, przyjdę po ciebie.

– Irytujące – mamroczę i odrzucam kołdrę. Wyskakuję z łóżka i ruszam w stronę otwartych drzwi po drugiej stronie pokoju, w nadziei, że to łazienka. Z ulgą stwierdzam, że tak rzeczywiście jest i szybko zamykam się na klucz.

Jestem przerażona, kiedy widzę swoją twarz w lustrze. Mam podpuchnięte oczy, a to, co znajduje się na mojej głowie, wygląda jak potrącone zwierzę. Załatwiam się, myję ręce i próbuję okiełznać

włosy. Opryskuję twarz zimną wodą i znajduję w szufladzie pastę do zębów. Nie zamierzam używać szczoteczki Matteo, więc wyciskam trochę pasty na palec i próbuję pozbyć się tego okropnego posmaku z ust.

Kiedy kończę, otwieram drzwi i widzę Matteo stojącego przed wielką, drewnianą szafą na ubrania, zdejmującego z wieszaka świeżą, białą koszulę.

Jest nagi od pasa w górę.

Zamieram, jak jeden z tych psów, który znalazł martwego ptaka, zastrzelonego przez właściciela. Oczy wychodzą mi z orbit. Wypuszczam długi, drżący oddech.

Jest tak olśniewający, że nie jestem pewna, czy będę mogła dłużej stać, jeśli nie przestanę na niego patrzeć.

Jest dziełem sztuki. Męski, umięśniony, piękny. Te wyraźne mięśnie na plecach. Te bicepsy, twarde i mięsiste. Ten zadbany, płaski brzuch. To wyrzeźbione V, prowadzące od mięśni brzucha, poniżej paska spodni.

Cholera. Chyba właśnie głośno jęknęłam.

– Gapisz się – mówi Matteo, wyraźnie rozbawiony. Zarzuca koszulę na ramiona i spogląda na mnie. Chcę odwrócić wzrok, kiedy wsuwa w rękaw najpierw jedno ramię, a potem drugie, ale jestem w trybie pointera i nie mogę ruszyć się ani centymetr.

We wspaniałym przejawie inteligencji odpowiadam:

– Nieee… – I gapię się dalej.

– Och. Mój błąd. – Odwraca się w moją stronę, pozostawiając niezapiętą koszulę.

To dar. Właśnie daje mi prezent. Możliwe, że najprzyjemniejszy, jaki kiedykolwiek dostałam. Nawet jego pępek jest idealny. I, mój Boże, ta klatka piersiowa! Michał Anioł mógłby ją wyrzeźbić.

Moja macica klaszcze powoli, a potem mdleje.

Po czasie, który mógł być kilkoma tygodniami, udaje mi się przesunąć wzrok z jego wspaniałego ciała na twarz. Przygryza dolną wargę. Jego cudowne, błękitne oczy jaśnieją od śmiechu.

Cholera!

– Ani słowa, Moretti, chyba że chcesz zarobić limo pod okiem – ostrzegam, odzyskując głos.

Unosi ręce w geście poddania i potrząsa głową, ale jego brzuch zaciska się od cichego śmiechu. Oczywiście przez to każdy mięsień uwydatnia się jeszcze bardziej, więc teraz wpatruję się w opalony sześciopak, jakiego nigdy nie widziałam. Zważywszy na wpływ, jaki ma na moje ciało, powinien być nielegalny.

To cholerstwo jest czymś, czego nie da się kontrolować. Jego brzuch to bardzo niebezpieczny narkotyk. Mam ochotę przycisnąć do niego twarz i zaciągnąć się zapachem.

– Pójdę do domu – oznajmiam z płonącą twarzą i głową zwróconą w stronę drzwi.

– Będziesz szła kilka godzin. I nie znasz drogi – informuje mnie model do starożytnych posągów.

– Zadzwonię po taksówkę – rzucam przez ramię. Zatrzymuję się przy drzwiach i wpatruję w swoje gołe stopy.

– Twoje buty są obok łóżka. – Słyszę.

Unoszę podbródek i ruszam na poszukiwanie butów, które rzeczywiście są tam, gdzie mówił. Wsuwam je na stopy, unikając roześmianego spojrzenia Matteo i ponownie ruszam do drzwi.

Zatrzymuje mnie słowami:

– A jak zamierzasz zadzwonić po taksówkę, skoro nie masz ani telefonu, ani pieniędzy?

Uśmiecha się, kiedy odwracam głowę i patrzę na niego.

– Nie wzięłaś torebki – informuje mnie.

– Dobrze się bawisz, prawda? – pytam cierpko.

– Poczekaj chwilkę. Odwiozę cię – mówi lekko.

Zapina guziki koszuli, ale wygląda to, jakby uprawiał z nią miłość przy użyciu palców, pieszcząc każdy guzik powolnymi, zmysłowymi ruchami, kiedy przekłada je przez dziurki z prędkością miodu spływającego po ścianie. To pornograficzne przedstawienie, za które mógłby dostać Oscara w kategorii „najgorętsze”.

Przez cały czas patrzy na mnie. Tym spojrzeniem, które sprawia, że miękną mi kolana.

– Te oczy – mruczy z uśmiechem.

Odwracam się i wychodzę, zanim moja macica odzyska przytomność i narobi jeszcze więcej problemów.

***

Żadne z nas nie odzywa się po drodze do *Il Sogno*. Kiedy tylko zwalnia i zatrzymuje samochód, od razu wysiadam. Nie odwracam się za siebie. Ruszam do środka i kieruję się wprost do mojej sypialni, gdzie opadam twarzą w dół na łóżko i analizuję sytuację.

Nie ma sensu zaprzeczać. Chciałabym dosiąść Matteo.

Jestem sobą rozczarowana, bo on jest – a właściwie był – krewnym, więc *fuj*. Jest też kolejnym przystojnym, utytułowanym egocentrykiem, podobnym do Brada, a ja poprzysięgłam, że będę od takich trzymać się z daleka. Do tego jest palantem bez serca, który chce przedstawić moje projekty jako swoje. Niestety na żadną z tych rzeczy nic nie mogę poradzić. Jedynym, co mogę kontrolować, to sposób poradzenia sobie z całą tą katastrofą.

Głównym problemem jest bliskość. Jeśli zamierzam mieszkać w tym domu z jego matką, aż kopnie w kalendarz, będę widywać go często. Może pomysł przeprowadzki do Florencji był jednak nieco pochopny.

Może mogłabym postawić firmę ojca na nogi i wtedy poszukać kupca. W ten sposób przynajmniej miałabym gwarancję, że otrzymam odpowiednią cenę, zamiast sprzedawać po kosztach, ze względu na obecne długi. W ten sposób miałabym pieniądze, żeby opłacić lot do domu, czynsz, który jestem winna za tę kupkę popiołów, które były moim sklepem oraz pierwszy i ostatni czynsz za nowe mieszkanie.

To wydaje się solidny plan, aż przypominam sobie, co na mnie czeka w San Francisco.

Potężne upokorzenie.

Jak długo będę w stanie pokazywać się publicznie? Czy mam dość siły, żeby wytrzymać te szepty i śmiechy, które będę słyszeć, stojąc w kolejce w Starbucksie, czekając na poranne latte?

Ale może przesadzam. Przecież żadna ze mnie celebrytka. Tak, *paparazzi* uganiali się za mną, ponieważ w tamtym momencie byłam gorącym tematem, ale na pewno niedługo pojawi się nowy skandal i wszyscy zapomną, kim jestem. W zasadzie możliwe, że już jestem nieaktualną wiadomością.

Podekscytowana tą myślą, skaczę na równe nogi i wyjmuję torebkę z szafy. Wyciągam telefon i piszę wiadomość do Jennera:

W ciągu miesiąca już nikt nie będzie o mnie mówił w San Francisco, prawda?

Odpisuje po minucie:

Przykro mi to mówić, kochana, ale wydawca z Lifetime channel dzwonił do mojego agenta, żeby zdobyć kontakt do ciebie. Chcą nakręcić film.

OMFG. Proszę, powiedz, że żartujesz, odpisuję szybko.

Chciałbym. Jak się masz?, pyta Jenner.

Jestem zajęta przeżywaniem załamania nerwowego. Zadzwonię do ciebie później.

Opadam z powrotem na łóżko i z niechęcią wpatruję się w sufit. Skąd mogłabym wziąć nową tożsamość? W filmach to wygląda tak łatwo, ale nie znam nikogo nawet odlegle powiązanego z przestępczością. Może powinnam po prostu wejść do biura paszportowego, debatując głośno na temat ucieczki z kraju, machając jednocześnie plikiem pieniędzy?

Może Lorenzo kogoś zna. Albo Dominic. Jestem pewna, że ma powiązania z mafią, on zna wszystkich. A do tego jest Sycylijczykiem. Oni są bardzo staroświeccy.

Jestem pogrążona w myślach, kiedy dzwoni mój telefon. Nie rozpoznaję numeru.

– Słucham?

– Proszę, nie rozłączaj się.

To Szatan. Ciśnienie od razu mi podskakuje.

– Szukasz śmierci? – pytam nienawistnie.

Ignoruje pytanie i wyrzuca z siebie słowa z finezją buldożera:

– Pięć milionów w gotówce i akt własności nowego domu.

– W zamian za moją duszę i resztki szacunku do samej siebie? Nie – odpowiadam stanowczo.

– Dorzucę mieszkanie. Jest opłacone do końca miesiąca, ale będę płacił dalej. Możesz wykorzystywać je jako studio. – Brad podbija ofertę.

– A może kupisz mi studio w Fillmore na Pacific Heights, jak zawsze chciałam? – pytam ironicznie.

– Tak! Jasne! Wybierz tylko miejsce! – wykrzykuje radośnie.

Wzdycham, zdumiona jego głupotą.

– To był żart, kretynie.

– Och. Dobra. – Ma czelność być zawiedziony.

– Skąd dzwonisz? Chcę się upewnić, że zablokuję ten numer.

– Zatrzymałem się w hotelu w centrum. I zostanę tutaj tak długo, aż wymyślę, jak ci to wynagrodzić.

Przypominam sobie wyraz jego twarzy, kiedy szłam do ołtarza, te przerażone oczy, aż muszę ścisnąć mocno nasadę nosa, żeby nie zacząć płakać.

– Mam pomysł: podpal sobie spodnie – proponuję. Następuje chwila ciszy, jakby to rozważał. Podnoszę się z łóżka. – To był kolejny żart! – uświadamiam go.

Ciężkie westchnienie.

– Och. Dobra.

– Co, u diabła, jest z tobą nie tak? – pytam.

Cichym, żałosnym głosem mówi:

– Bez ciebie jestem zagubiony. Nie zdawałem sobie sprawy, ile dla mnie znaczysz, dopóki cię nie straciłem.

Rzucam poduszką przez pokój i wrzeszczę do telefonu:

– Cóż za niespodzianka, frajerze! A tak przy okazji, jesteś *gejem*!

Gdzieś z dołu słyszę skowyt Cornelii.

Brad milczy przez chwilę, a potem bierze kolejny, ciężki wdech.

– Tak. Naprawdę ciężko było ukrywać to przed wszystkimi. Czuję się dużo lepiej, odkąd ci powiedziałem.

Mrużę oczy.

– Przysięgam na Boga, koleś, urwę ci łeb, jeśli nie skończysz z tymi bzdurami.

– To prawda! Wiedziałem, odkąd miałem jakieś sześć lat, ale wiesz, co mój ojciec zawsze mówił o wartościach rodzinnych i homoseksualizmie pochodzącym od Szatana, no wiesz, takie tam.

Rzeczywiście wiem. Przy każdym spotkaniu senator Wingate pouczał mnie przez dobre dwadzieścia minut na temat zła, jakie niosą z sobą „postępowi” oraz o ich „opacznym” podejściu do małżeństwa. Myślę, że nadal nie może się pogodzić z prawem kobiet do głosowania.

– Jest mnóstwo ludzi, których rodzice są krytykującymi wszystko dupkami, ale oni nie rujnują życia niewinnym osobom tylko dlatego, że są zbyt przerażeni, żeby postawić się mamusi i tatusiowi i żyć tak, jak chcą.

– Wiem – szepcze.

Och, do jasnej cholery. Dlaczego w ogóle go słucham?

– Jeśli naprawdę chcesz mi to wynagrodzić, powiedz prawdę rodzicom.

W jego milczeniu słychać przerażenie.

– Nie… nie, mówię tylko…

– Słyszę, co mówisz, a ty musisz posłuchać, co *ja* mówię. To się nie stanie. Nie będę twoją przykrywką. Potrzebuję miłości, Brad. *Prawdziwej* miłości. Kogoś, z kim będę dzielić życie, na kim będę mogła się oprzeć, z kim będę mogła zbudować przyszłość. Założyć rodzinę. Zestarzeć się. Chciałam tego wszystkiego z tobą, ale okradłeś mnie. A naprawdę gównianą częścią, tym, czego nie mogę przeboleć, jest fakt, że przez ciebie uwierzyłam, że też tego chcesz. – Głos mi się łamie. – Pozwoliłeś mi wierzyć, że kochasz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

– Kocham cię – rzuca czym prędzej. – Przysięgam.

– Nawet jeśli, to nie to samo i dobrze o tym wiesz.

Milczymy przez chwilę. Kładę się i zamykam oczy. Mam ochotę się rozłączyć, ale wiem, że musimy to wyjaśnić, bo on ciągle będzie mnie nagabywał. Podobnie do innej irytującej osoby, którą znam, nie przywykł do słowa „nie”.

– Więc kim jest to ciacho? – Pada nagle.

– Co?

– Ten ciemnowłosy facet, z którym byłaś wczoraj, ten z niesamowicie błękitnymi oczami, wyglądający jak supermodel morderca – opisuje Brad.

Jednym, co zawsze mi umykało u Brada w moim szaleńczym pędzie po szczęśliwe zakończenie, był jego totalny brak inteligencji emocjonalnej. Wiem, że nie próbuje mnie zranić umyślnie, a jednocześnie wiem też, że trzeba mu dokładnie wyjaśnić, dlaczego to robi.

– Odpuść sobie! Dosłownie wczoraj powiedziałeś mi, że jesteś gejem! Nie weszliśmy jeszcze na etap, kiedy zaczynamy opowiadać sobie o seksownych facetach.

– Racja. Wybacz. – Milknie na maksymalnie trzy sekundy, zanim rzuca: – Ale kim on jest?

I to tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia.

– Nie żeby to powinno cię obchodzić, ale to mój przyrodni brat.

– Jest sam? – dopytuje się dalej.

– Udam, że tego nie słyszałam, kretynie.

– Chodzi mi tylko o to, że to chyba najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu widziałem. I taki zasadniczy. – Cicho wypuszcza powietrze. – Nie masz pojęcia, jak dobrze jest móc powiedzieć to na głos.

Zakrywam oczy dłonią i zrzucam buty.

– Możemy już o tym nie rozmawiać, proszę?

– Czekaj… przyrodni brat? Twój tata ożenił się ponownie? – odkrywa nagle Brad.

– Oho! Wróciłeś do rozmowy! Jezu, to wygląda tak, jakbyś miał selektywny słuch. Tak, ożenił się ponownie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo nie wiedziałam – odpowiadam. – Z tego, co wiem, wszystko odbyło się po cichu, bo ojciec nie chciał odciągać uwagi od naszego ślubu. Chciał powiedzieć mi po naszym powrocie z miesiąca miodowego.

– To nie ma żadnego sensu.

– Wreszcie coś, w czym się zgadzamy.

Słyszę szelest plastikowej torebki i dźwięk chrupania. Najwidoczniej Brad uznał, że pora na przekąskę.

– Więc jaka jest jego żona?

– Gdyby siostra Ratched[39] i góra lodowa, która zatopiła Titanica, miały dziecko, to byłaby ona. To ta blondynka, która wczoraj powiedziała, że powinieneś zostać zastrzelony.

– Ups. Dziwi mnie, że twój tata ożenił się z kimś takim. Wydawał się taki miły.

Brad nigdy nie spotkał mojego ojca, ale kilka razy rozmawiali przez telefon. Planowaliśmy przylecieć do Włoch po podróży poślubnej, żeby się z nim zobaczyć, ale jak wszystko inne, ten plan też spalił na panewce.

– Wychodzi na to, że zakochiwanie się w okropnych ludziach jest u nas rodzinne.

– Nie jestem okropny! Jestem tylko… – Wydaje się zraniony sarkazmem w moim głosie.

– Samolubny? Niedojrzały? Tchórzliwy? Płytki? – podpowiadam.

Przez chwilę słychać tylko chrupanie, kiedy przeżuwa to, co właśnie je. Potem przełyka i wzdycha.

– Tak, wychodzi na to, że jestem okropny.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Potrzebuję twojej pomocy!

– Jeśli nie mówisz o kastracji, to ja odpadam. Jesteś dużym chłopcem. Sam napraw swoje cholerne życie – informuję suchym tonem.

– A może…

– Nie – przerywam mu stanowczo.

Musiał usłyszeć w moim tonie coś jednoznacznego, bo zamyka się. Potem, cichym głosem, mówi:

– Przepraszam. Wiem, że namieszałem. Wiem, że cię zraniłem. Zapętliłem się w tym wszystkim. Planowanie, twoja ekscytacja, radość rodziców. Cieszyłem się, że wszyscy inni się cieszą, ale potem poczułem się, jakbym jechał w pędzącym pociągu, z którego nie da się wysiąść.

– Mogłeś wyskoczyć i zaoszczędzić wszystkim wielu kłopotów – mówię ostrym tonem.

– Gdybym mógł cofnąć czas i to zmienić, uwierz mi, że wszystko zrobiłbym inaczej.

Brzmi tak szczerze, że mu wierzę. Zasmuca mnie to jeszcze bardziej.

– Proszę, jeśli jest cokolwiek, co mogę dla ciebie zrobić… – Bierze kilka głębokich oddechów. Kiedy znowu się odzywa, jego głos jest przepełniony emocjami. – Naprawdę mi na tobie zależy. Naprawdę cię kocham, na swój sposób. Bardziej niż czegokolwiek na świecie chciałem być tym, czego pragniesz. Nigdy nie myślałem, że ktoś zechce mnie takiego, jakim jestem.

Znowu łzy. Ciche, jakby próbował je stłumić.

Pomimo gniewu jest mi go żal. Nie ma nic smutniejszego niż płacz dorosłego mężczyzny.

Może poza panną młodą porzuconą przy ołtarzu w dzień ślubu, na oczach trzech setek gości, w sukni, którą sama uszyła z tkaniny przysłanej przez jej nieżyjącego ojca.

Co za szmaciarz.

– Słuchaj, jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, zorganizuj spakowanie i przechowanie wszystkich moich rzeczy z mieszkania. Nie dam rady wrócić przed zakończeniem umowy najmu.

– Załatwione. Co jeszcze?

– Powiedz prawdę rodzicom.

– Nie mogę! – jęczy teatralnie, jakby ktoś dźgnął go nożem.

– Więc jaki masz plan, geniuszu? Wkręcisz jakąś inną kretynkę, żeby się w tobie zakochała, żebyś mógł dalej udawać kogoś, kim nie jesteś? Bo jeśli dowiem się, że coś takiego zrobiłeś, sama cię wydam.

Następuje chwila ciszy przepełnionej zaskoczeniem. Potem mówi drżącym szeptem:

– Nie zrobiłabyś tego.

– Sprawdź mnie – mówię mściwie.

– Kimber!

Ma czelność czuć się urażony.

– Masz szczęście, że nie zrobię tego tak po prostu, dupo wołowa. Nie uznaję zemsty, ale nie pozwolę, żebyś komukolwiek innemu zrobił to, co mi.

– Ale jeśli się nie ożenię, ojciec przykręci mi kurek i skąd wtedy wezmę pieniądze? – W końcu wyjawia swoje prawdziwe powody.

– Spróbuj znaleźć pracę, jak wszyscy!

– I co miałbym robić? Wiesz, że jedyne, w czym jestem dobry, to trenowanie i planowanie wakacji.

Myślę o wszystkich tych razach, kiedy razem chodziliśmy na siłownię i wyszukiwaliśmy wycieczki, na które w końcu nie pojechaliśmy, przez co znowu popadam w depresję.

Czasem coś, co uznaje się za związek, w rzeczywistości jest tylko spędzaniem wolnego czasu razem.

– Jesteś też dobry w robieniu drinków i rozmawianiu z nieznajomymi. Mógłbyś znaleźć pracę na statku wycieczkowym.

– Ha! – prycha z niezadowoleniem.

– Mam rozwiązanie, ale nie spodoba ci się.

– Jakie? – pyta ożywiony.

– Weź ślub z facetem.

Prycha znowu.

– Proszę cię – mówi płaczliwym tonem.

– Mówię poważnie. Zapytaj prawnika, jak dokładnie sformułowany jest zapis. Zdobądź kopię i przeczytaj uważnie. Założę się, że twój ojciec nie zaznaczył w nim konkretnie, że musisz poślubić *kobietę*. Taka myśl nigdy nawet nie przyszłaby do głowy Panu Wartości Rodzinne.

Brad milczy przez chwilę, a potem znowu zaczyna przeżuwać, szybko i zajadle.

– Tak, przemyśl to sobie. A w trakcie, jak będziesz dumał, wróć do Stanów – podpowiadam.

– Zanim się rozłączysz, chcę cię zapytać o jeszcze jedną rzecz – mówi ostrożnie.

– O co chodzi?

Brad bierze głęboki wdech.

– Myślisz, że twój przyrodni brat lubi facetów? – wypala w końcu.

Co za idiota. Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać.

– To cud, że przeżyłeś tak długo i nikt cię nie zamordował. Jesteś najbardziej bezrozumnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

Rozłączam się, zanim poprosi o numer Matteo.

DWADZIEŚCIA DWA

Matteo

Dwa dni później nadal nie zadzwoniła.

Czterdzieści osiem godzin. Dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt minut. Sto siedemdziesiąt dwa tysiące osiemset sekund. Ten pocałunek odtwarzam w głowie przez cały czas. Moja erekcja stała się permanentna.

Do środy czuję się już tak zraniony, że mógłbym kogoś pogryźć.

– Co się z tobą dzieje? – narzeka Antonio, marszcząc brwi nad oprawkami okularów. – Od wczoraj krążysz jak tygrys w klatce!

Jesteśmy w atelier i pracujemy nad nową kolekcją. Poprawka. Setka pełnoetatowych mistrzów krawiectwa pracuje nad nową kolekcją – ja wydeptuję dziurę w podłodze.

– Mam dużo na głowie – odpowiadam krótko.

Antonio obserwuje, jak kolejne trzy razy przemierzam odległość przed jego biurkiem. Ma na sobie swój standardowy strój: czarny golf, czarne spodnie i śnieżnobiałe buty sportowe. Z szyi zwisa mu centymetr krawiecki, zawinięty na końcach. Przy nadgarstku ma poduszeczkę na szpilki, pełną błyszczących igieł. Rozpiera się na siedzeniu i patrzy na mnie uważnie.

– Jak ma na imię? – pyta.

Nawet nie zadaję sobie trudu dociekaniem, skąd wie, że mój nastrój spowodowany jest przez kobietę. Szósty zmysł Antonia jest nieomylny. Jego matka była cygańską wróżbiarką. Podejrzewam, że przejął to w genach.

– Kimber.

Krzywi się na mnie.

– Z *ly* na końcu? – docieka.

– Używa skróconej formy.

Jeszcze bardziej się krzywi.

– W jej grupie w przedszkolu było pięć dziewczynek o imieniu Kimberly.

Któregoś razu przy kolacji jej ojciec opowiedział mi historię, jak jego sześcioletnia córka oznajmiła pani w przedszkolu, że od tego dnia wszyscy mają się do niej zwracać Kimber. Jak stwierdziła, Kim są wszędzie, a ona postanowiła skrócić imię tylko o dwie litery, żeby zaznaczyć odmienność.

Śmiałem się z jej wczesnej dojrzałości, nie przypuszczając, że wkrótce na własnej skórze poznam siłę jej woli.

Antonio z rozmysłem pozwala, żebym przemierzył kilka kolejnych długości jego biurka. Potem zdejmuje okulary i zakłada ręce na piersi.

– To tamta kobieta z baru – stwierdza.

– Tak.

– Naprawdę piękna – mamrocze. A potem czeka, wiedząc, że cisza to najlepszy sposób, żeby skłonić mnie do mówienia.

Zatrzymuję się, opieram ręce na biodrach i patrzę w sufit. Przez chwilę słucham odgłosu maszyn do szycia i techników rozmawiających przyciszonymi głosami, zanim oznajmiam:

– Nowe projekty są jej.

Pstryka palcami, podekscytowany tą wiadomością.

– A! Dobrze! Muszę ją zapytać o pióra przy dwudziestym projekcie. Valentina zamówiła odbarwione pawie pióra, ale delikatne falowanie przy skraju może sugerować, że to struś… – Milknie i przez chwilę mi się przygląda. – Co to za mina? Wyglądasz, jakbyś zjadł cały talerz nieświeżych małży.

Patrzę na niego znacząco.

– Te projekty są *jej*.

Podnosi się i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie kupiłeś ich od niej? – pyta w szoku.

– Nie.

– Nie dała ci pozwolenia na wykorzystanie ich? – Następne pytanie pada jeszcze bardziej zdumionym głosem.

– Nie.

Wpatruje się we mnie z niedowierzaniem. Z jego twarzy odpływają kolory.

– To kradzież! Ona cię pozwie! Zniszczy ci reputację! – panikuje.

– Nie zrobi tego, kiedy już z nią skończę – uspokajam go.

– Zamierzasz wprowadzić ją w seksualną śpiączkę? – Śmieje się z niedowierzaniem.

Chciałbym.

– Zamierzam przekonać ją, że lepiej mieć we mnie przyjaciela niż wroga.

To zbija Antonia z tropu. Na jego twarzy pojawia się seria interesującym min, w tym dezorientacja i podejrzliwość, aż w końcu pozostaje tylko niechęć.

– Groziłeś tej biednej kobiecie? – pyta ze zgorszeniem.

Mówi to zbyt głośno. Kilka osób przy najbliższych stanowiskach przerywa szycie, podnosi głowę i zerka na nas. Piorunuję ich wzrokiem i szybko wracają do pracy.

– Oczywiście, że nie! Przecież mnie znasz.

– Więc nie rozumiem, co masz na myśli – odpowiada, wyraźnie oczekując wyjaśnienia.

– To skomplikowane.

Antonio jest głęboko zaaferowany.

– Kradzież nie jest sposobem na zrekompensowanie straty projektów, które ten gad Riccardo zniszczył, kiedy odchodził. To coś niegodnego Domu Moretti. To niegodne *ciebie*. Ograniczymy pokaz…

– Musimy mieć pięćdziesiąt kreacji – przerywam mu, znowu zaczynając chodzić. – Zawsze pokazujemy pięćdziesiąt kreacji!

– Ale *własnych* – odpowiada oschłym tonem.

Nie chcę wyjawiać mu swoich dokładnych planów, więc po prostu macham lekceważąco ręką.

– Pomyśl o tym jako o współpracy.

– Nie ma mowy! – stwierdza oburzony. – My z nikim nie współpracujemy!

– Interesujący wniosek w tej sytuacji.

Sapie i opada na krzesło.

– Wniosek. Mój wniosek jest taki, że postradałeś rozum. Teraz muszę zacząć rozglądać się za nową pracą, zanim rozniesie się, że

pracuję w dziupli złodziei i pozostanę bezrobotny – prycha i mamrocze do siebie. – Po tych wszystkich latach lojalnej pracy. Taką nagrodę dostaję za swoje oddanie. – Rękami wykonuje gest rezygnacji, jakby zbliżała się policja, żeby go zamknąć. – Umrę okryty hańbą. Och!

Zarzuca ramię na oczy i jęczy.

Skłonność do melodramatów zapewne również ma po matce.

Przysuwam krzesło naprzeciwko niego, opadam na nie i przesuwam palcami po włosach.

– Zapytałeś, co jest ze mną nie tak. Odpowiedziałem.

– Najlepiej zrzucić wszystko na mnie! Można by pomyśleć, że to ja jestem tu złodziejem! – wykrzykuje zza ramienia.

– Nigdy nie powiedziałem, że ukradłem te projekty, ty jęcząca, stara babo. Wymieniliśmy się.

Wygląda zza ramienia i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Wymieniliście?

– W zamian za bilet lotniczy.

– No to czemu od razu tak nie powiedziałeś? – Odgania widmo zagłady, prostuje się i uśmiecha szeroko. – Wymiana! To jest interes! Dobrze!

Zapomniał, że przecież nie dostałem pozwolenia, więc muszę wyjaśnić sprawę.

– Ale obiecałem jej, że nie wykorzystam tych projektów podczas pokazu.

Wyraz jego twarzy przechodzi od radości do przerażenia.

– To źle. To bardzo źle.

– A co, gdybym powiedział, że ona jest moją przyrodnią siostrą?

Nie reaguje przez chwilę. Potem widzę, jak przypomina sobie, w jakim byłem stanie, kiedy w barze wróciłem do naszego stolika po rozmowie z nią, jak przód moich spodni był wyraźnie wypchany, i blednie. Wykonuje znak krzyża na piersi.

– Przepraszam… *byłą* przyrodnią siostrą – uściślam.

– Ale… ona ci się podoba – mówi zdezorientowany.

– Oczywiście, że tak. Tylko ślepemu by się nie podobała.

Te słodkie, truskawkowe usteczka. Kurwa.

Widzę, że Antonio myśli intensywnie, bo zawsze przy tym wygląda, jakby miał zaraz dostać wylewu. Wreszcie oznajmia:

– To nadal wydaje się grzechem.

– To nie grzech – mówię ze złością. – Dlaczego wszystko musi być grzechem?

Patrzy na mnie, jakbym był idiotą.

– To nie ja ustalam zasady. Porozmawiaj z papieżem. – Wzrusza ramionami.

Zirytowany, skaczę na równe nogi i znowu zaczynam chodzić.

– Nie potrzebuję rozmawiać z papieżem. To nie grzech. Nie jest też nielegalne. To w ogóle nic.

– Skoro to nic, to czemu tak się przejmujesz? – Unosi brwi.

Dobre pytanie.

Krawat ciśnie mnie jak stryczek. Szarpię go wściekle, udaje mi się poluzować go na tyle, żebym mógł oddychać i dalej krążę w tę i z powrotem.

– Ona mnie ignoruje.

Po chwili Antonio mówi niby współczująco:

– Och!

Rzucam mu spojrzenie z ukosa. To „och” nie było zwykłym „och”.

– Co?

– Ha! – rechocze, uderzając dłonią w oparcie krzesła. – Ha, ha! Nigdy nie sądziłem, że doczekam tego dnia!

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

Skacze na równe nogi, wskazuje mnie palcem i krzyczy:

– Zakochałeś się!

Jakby ktoś nacisnął wyłącznik, wszyscy w atelier przerywają to, co robili i gapią się na mnie.

Zabiję go.

– Wracać do pracy! – rozkazuję.

Słuchają od razu, ale spojrzenia latają po pomieszczeniu jak strzały. Mam okropne przeczucie, że to stanie się tematem plotek na najbliższe miesiące.

Antonio odwraca się do ludzi i z szeroko rozłożonymi ramionami krzyczy:

– Zakochał się w przyrodniej siostrze!

Setka ludzi jednocześnie odwraca głowy i patrzy na mnie bez mrugnięcia, w kompletnej ciszy, jak armia osądzających sów.

– Byłej! – krzyczę, purpurowy na twarzy. Mam ochotę coś kopnąć. Zwłaszcza gruby zadek Antonia. – Byłej przyrodniej siostrze! I wcale nie jestem w niej zakochany! Nikt nie jest w nikim zakochany!

Nikt nie śmie nawet pisnąć, poza Antonio, który odwraca się do mnie z małymi, czerwonymi serduszkami w oczach. Wzdycha i przykłada dłonie do piersi.

– Ach, Matteo! Cudna z was para. A dzieci… och! Będą piękne. Tak długo martwiła mnie twoja samotność. Tylko pracujesz, nigdy nie miałeś czasu, żeby poznać miłą kobietę i ustatkować się. Jestem pewien, że kiedy napiszesz do papieża list, w którym wyjaśnisz całą sytuację, nie pozwoli, żeby twoja dusza spłonęła w czeluściach piekielnych.

Wypuszczam ciężki oddech.

– Jezu Chryste!

– Dokładnie – przytakuje Antonio.

Od dalszej rozmowy ratuje mnie dzwoniący telefon. Wyjmuję go z kieszeni, uderzam przycisk „odbierz” i warczę:

– *Pronto!*

– Uch… tobie też *pronto*. Chyba.

Czuję dziwną ulgę, słysząc jej głos, ale nie zastanawiam się nad tym zbyt intensywnie. Już wiem, co to znaczy.

– Kimber.

– Matteo. Skoro już potwierdziliśmy, że znamy swoje imiona, możemy porozmawiać? Czy potrzebujesz kilku minut, żeby skończyć skórować kota, czy cokolwiek tam robisz, przez co jesteś taki zadyszany?

Przez zaciśnięte zęby odpowiadam:

– Nie. Jestem. Zadyszany.

– Naprawdę? Hmm… Bo tak właśnie brzmisz – dziwi się chyba naprawdę.

Muszę zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu, zanim jestem na tyle spokojny, żeby odpowiedzieć.

– Rozwiązuję problemy z pracownikami. – Z mordem w oczach patrzę na Antonio.

Posyła mi całusa.

– Dobra. Pogadamy innym razem – mówi Kimber.

– Czekaj! Nie rozłączaj się! Muszę z tobą porozmawiać! – rzucam szybko.

Kątem oka dostrzegam uśmiech Antonia. Jest tak wielki, że prawdopodobnie widać go z przestrzeni kosmicznej. Odwracam się na pięcie, wymaszerowuję z części produkcyjnej i wkraczam do swojego biura, zatrzaskując za sobą drzwi.

– Co to za dźwięk? – pyta Kimber.

– Zamknąłem drzwi.

– Zamknąłeś? Brzmiało, jakbyś wysadził je w powietrze – stwierdza.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Co zdecydowałaś w sprawie oferty? – pytam o to, co interesuje mnie najbardziej.

Kiedy się waha, czuję, jakby moja pierś miała zaraz eksplodować.

– Cóż… – przeciąga, torturując mnie. Potem jednak odpuszcza. – Przypuszczam, że zdołam przetrwać dwa tuziny pocałunków w zamian za odzyskanie projektów.

Powoli opadam na krzesło przy biurku. Poluzowuję krawat o kolejne kilka centymetrów, ale nadal nie mogę oddychać, więc zrywam go i rzucam na biurko.

– Mam jutro trochę czasu. Powiedzmy od piątej do piątej zero jeden – oznajmia Kimber.

– Nie. Dzisiaj. I będę potrzebować więcej niż minutę – oświadczam.

– Nigdy nie mówiłeś nic o czasie – zaczyna. Głos ma oschły, ale przerywam jej:

– Porządny pocałunek trwa dłużej niż minutę.

– Brzmi złowieszczo. Myślę, że powinniśmy omówić szczegóły, zanim ruszymy dalej – negocjuje moja kotka.

Szczegóły. Mój mózg raczy mnie pornograficznym przedstawieniem każdego „szczegółu”, jaki przyjdzie mi do głowy. Rozpinam dwa górne guziki koszuli, rozsuwając kołnierzyk, bo zaczyna mnie dławić.

– Więc omawiamy.

Irytuje ją moja krótka odpowiedź, bo mówi:

– Ten ton mnie wkurza, Hrabio Egotistico.

Naprawdę nienawidzę, kiedy mnie tak nazywa. Jestem pieprzonym *markizem*.

– A co cię nie wkurza? – pytam ironicznie.

– Lista jest długa. Zawiera najróżniejsze fajne rzeczy, jak tęcza, szczeniaczki, faceci, którzy nie są dupkami…

– Bardzo zabawne. Nie jestem dupkiem.

– Wszyscy tak mówią – mamrocze.

Muszę zmusić się, żeby brzmieć nonszalancko i z pełną kontrolą, chociaż czuję się dokładnie odwrotnie.

– Wróćmy do tematu – proponuję.

– Jasne. Minuta i ani sekundy dłużej. To moja ostateczna propozycja.

– Pięć minut – mówię natychmiast.

– Co? Kto całuje przez pięć minut bez przerwy? – bulwersuje się Kimber.

– Chciałbym cię całować przez pięć godzin bez przerwy, ale musimy od czegoś zacząć – warczę. To ucisza ją na chwilę.

Potem jęczy:

– To jest takie dziwne.

– Nie zapominaj, że możesz naskarżyć mojej matce, jeśli nie dotrzymam swojej strony umowy.

– Tak, jest jeszcze to.

Wyobraża sobie wszystkie sposoby, na które może upokorzyć mnie przed matką, słyszę to w jej głosie. Korzystam z okazji, żeby popchnąć swoją sprawę.

– Cztery minuty.

– Fuj. Nie mogę nawet patrzeć na twoją twarz przez pięć minut bez przerwy, a co dopiero przyssać się do niej na tak długo.

Przypominam sobie, jak się gapiła, kiedy zmieniałem koszulę w mojej sypialni i pozwalam sobie na uśmiech.

– Może wolałabyś patrzeć na moją klatę.

Słyszę dźwięk przypominający syk.

– Wiesz, zawsze, kiedy już myślę, że nie jesteś kompletnym kutasem, robisz coś, żeby wyprowadzić mnie z błędu – oznajmia.

Uśmiech mi się rozszerza.

– I wracamy do mojego kutasa.

– Nigdy nie powiedziałam nic o twoim kutasie! – syczy rozwścieczona.

– Powiedziałaś. Wtedy.

– Wcale, że nie! – Jej głos mógłby podpalić stos.

Może ma rację. Może jestem dupkiem. Ale irytowanie tej kobiety sprawia mi mnóstwo przyjemności.

– Jakoś odlegle kojarzę, że powiedziałaś…

– Dwie minuty – prycha. – I tyle. Ostatnia, *najostateczniejsza* propozycja.

Dwie minuty. Dwadzieścia cztery pocałunki. A to znaczy, że jej piękne, truskawkowe usta będą tylko moje przez całe czterdzieści osiem minut.

To więcej, niż oczekiwałem.

Gdybym był super złoczyńcą, właśnie w tej chwili zacierałbym ręce i śmiał się złowieszczo.

– Przyjmuję twoją ofertę. Do zobaczenia w twoim sklepie punktualnie o piątej.

– Nie dzisiaj! Matteo…

Rozłączam się. Potem poprawiam twardego już fiuta, podnoszę aktówkę i wyjmuję z niej stronę, którą już wcześniej usunąłem z jej szkicownika.

Kolorowa kopia wisi przypięta do ściany w pracowni, razem z wszystkimi innymi.

Czasami trzeba nagiąć prawdę dla większego dobra.

DWADZIEŚCIA TRZY

Kimber

Wpatruję się w telefon z szeroko otwartymi ustami, a moje serce właśnie tańczy taniec hula.

Jest trzecia. Matteo będzie tutaj za dwie godziny.

Cholera.

– Panienko Kimber?

Clara stoi w drzwiach mojego gabinetu. To jedna z trzech szwaczek, które ojciec zatrudnił do pomocy i jest naprawdę niesamowita. Odkąd ją poznałam dwa dni temu, przyniosła mi *stromboli*, *lasagne*, *gnocchi*[40] i jakieś cztery tysiące deserów, wszystko domowej roboty, tylko dlatego, że jest cudowną istotą.

Ma sześcioro dzieci, czternaścioro wnucząt, dziewięcioro prawnucząt i zbudowana jest jak *Castello di Moretti*. Może mieć jakoś między sześćdziesiąt a sto lat, ale nie pytam. Mam przeczucie, że od Clary można dostać po głowie równie łatwo, jak dostać posiłek.

– Wejdź – mówię.

Opadam na krzesło i zapraszam ją do środka, próbując wyrzucić Matteo z głowy. Chociaż na minutę. Jestem pewna, że wrócę do myślenia o nim, kiedy tylko Clara opuści pomieszczenie, bo właśnie to robiłam przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

Clara przeciska się przez drzwi i staje przed biurkiem. Jest prawie tak szeroka jak ono.

– Plisy są gotowe.

– Już? Wow. Jesteście niesamowite.

– Musimy być. – Uśmiecha się zadowolona.

Ona i dwie pozostałe szwaczki – Amelia i Sofia, które nie mówią po angielsku – pracują jak błyskawica, odkąd wezwałam je do sklepu w poniedziałek, żeby się przedstawić i dowiedzieć, czy będą w stanie

pomóc mi dokończyć sukienki na pokaz. Jako że każdej trzeba poświęcić około stu pięćdziesięciu godzin, nie byłam pewna, czy będą chciały zaangażować się w to, ani w ogóle potrafiły wykonać takie zadanie. Jednak zaskoczyły mnie nie tylko swoim entuzjazmem, ale też dużo większymi umiejętnościami, niż ktokolwiek, z kim pracowałam w Stanach.

Te kobiety szyją *na poważnie*. Więcej niż raz widziałam, jak któraś z nich odmawia modlitwę przed rozpoczęciem pracy.

Miejmy nadzieję, że wypracują swoją wypłatę, ale musimy najpierw do tego dojść, żeby wiedzieć, na czym stoimy.

– Dobrze. Zerknijmy na to.

Przechodzimy do części produkcyjnej, w której panuje temperatura podobna jak na słońcu. Stary budynek nie posiada klimatyzacji, więc powietrze tutaj jest jak zupa. Pracuje kilka wiatraków, ale to powoduje tylko, że zupa jest zamieszana. Jakimś cudem tylko ja się tutaj pocę, mimo że pozostałe trzy kobiety mają na sobie wełniane sukienki.

Na wielkim stole z tyłu leży długi fragment materiału, stworzony z ręcznie farbowanych pasów taśmy z rypsu, przyszytych do pasma tiulu. Ostatecznie to stanie się wierzchnią warstwą obszernej spódnicy. Pochylając się, by unieść koniec, sprawdzam szwy, które są bez zarzutu, tak samo jak ciągłość plis, a farbowane taśmy mają idealnie jednolity kolor.

– Perfekcyjne – mruczę zdumiona. Ten kawałek materiału sam w sobie jest dziełem sztuki.

Clara nie musi tłumaczyć Amelii i Sofii, co powiedziałam. Przytakują uroczyście, jakby perfekcja była standardem w drodze do osiągnięcia celu.

Chciałbym całować cię przez pięć godzin bez przerwy, ale od czegoś musimy zacząć. Cholera, Matteo znowu siedzi w mojej głowie. Nie mogę pozbyć się tego gnojka. Ale, Boże, jego usta! Pragnę ich. Nienawidzę go za to, że tak świetnie całuje. A także za to, że tak pysznie pachnie i smakuje, że nie wspomnę o jego pięknie. Po prostu ogólnie go nienawidzę.

– Panno Kimber, masz twarz jak pomidor – mówi Clara, patrząc na mnie z niepokojem. – Gorąco ci nie służy. Może powinnaś usiąść.

Wszystkie patrzą na mnie z babciną troską i teraz jestem zażenowana.

– Nic mi nie jest, nie martwcie się. Damy radę dokończyć podpięcia w najbliższe kilka godzin?

– *Certo* – odpowiada Clara, machając ręką, jakbym zadała niemądre pytanie. – To nic dużego.

Chyba ma na myśli nic wielkiego, ale nie będę jej poprawiać.

Przez następne półtorej godziny udaje mi się nie myśleć o Matteo. Kiedy podnoszę wzrok znad materiału, który ozdabiam cekinami i perełkami, ze zdziwieniem widzę, która jest godzina. Idę do łazienki, żeby się odświeżyć, okłamując samą siebie, że zrobiłabym to, nawet gdybym nie miała umówionego spotkania, żeby pocałować Matteo.

To tak, jakbym próbowała reanimować zwiędłą sałatę. Jestem sfatygowana i niepociągająca, włosy mam poskręcane, a całą resztę pokrywa pot. Puszczam wodę w kranie przez całe wieki, zanim wreszcie leci zimna. Ochlapuję twarz w nadziei, że część kolorów zniknie z mojej twarzy, zanim on się tu pojawi.

Dzięki Bogu, że jest ciepło. Nie chcę, żeby Hrabia Egotistico pomyślał, że temperatura mojego ciała ma cokolwiek wspólnego z nim.

Nawet jeśli ma z nim wspólne *wszystko*.

Mogłabym leżeć nago na lodowej krze na samym środku Oceanu Arktycznego i nadal cała bym płonęła. A to tylko z powodu myśli o jego ustach.

Nienawidzę go. Nienawidzę. Nienawidzę.

Powtarzam to jak mantrę, osuszając twarz i wygładzając włosy. Kiedy wracam do przedniej części sklepu, teraz chłodniejszej, bo okna są otwarte i do środka wpada bryza, mam wrażenie, że już się pozbierałam.

Do momentu, kiedy zajeżdża przed sklep w eleganckim, czarnym, sportowym samochodzie. W chwili, gdy otwiera drzwi i wysiada, od razu napotyka moje spojrzenie. Jego oczy są jak radary, śledzące konkretny punkt przy sklepowym kontuarze. Wygląda spektakularnie w gołębioszarym garniturze, ale ledwo to zauważam, bo jego oczy mną zawładnęły.

Wszystkie komórki mojego ciała krzyczą: *już tu jest!* i zaczynają imprezę.

Nienawidzę go. Nienawidzę. Nienawidzę.

Zamyka drzwi samochodu, nie odrywając ode mnie wzroku. Patrząc mi prosto w oczy, powoli odpina guziki marynarki. Muszę chwycić się brzegu kontuaru, bo moje kolana znowu przyjmują formę galarety.

Zanim przechodzi przez ulicę i otwiera drzwi sklepu, mój mózg jest już jajecznicą. Cała reszta stała się jedną wielką, pulsującą, palącą kupką pożądania.

Nienawidzę go. Nienawidzę. Nienawidzę.

Wchodzi do sklepu, a powietrze robi to, co zawsze, kiedy on wkracza do pomieszczenia. Ucieka ze świstem, zabierając z sobą mój oddech.

– Kimber.

Wypowiada moje imię ochrypłym, zaborczym tonem, jakby już znajdował się we mnie.

Dobry Boże, co robi moja macica? Wydaje mi się, że próbuje uciec i rzucić się przez całe pomieszczenie wprost na jego twarz.

– Hej – mówię z kompletną nonszalancją. – Co słychać?

Uśmiecha się. To tajemniczy uśmiech, kompletnie wytrącający z równowagi. W dłoni trzyma aktówkę, gdzie – jak podejrzewam – znajduje się jeden z moich skradzionych szkiców.

– Przyniosłeś go?

– Oczywiście.

Pieprzymy się wzrokiem przez chwilę, aż mam ochotę uciec stamtąd z wrzaskiem.

– Zobaczymy.

Przemierza przestrzeń dzielącą go od kontuaru, jakby miał cały czas świata, ten lekko onieśmielający uśmieszek igra na jego ustach. Układa aktówkę na blacie, odpina zamki, wyjmuje złożoną kartkę papieru i podaje mi ją.

Kiedy tylko dostaję ją w swoje ręce, zalewają mnie emocje. Czuję się, jakbym odzyskała porwane dziecko. Rozkładam kartkę, przyciskam ją do piersi i wypuszczam drżący oddech.

– Czerwona sukienka.

Matteo przekrzywia głowę i patrzy pytająco.

– To jedna z moich ulubionych – wyjaśniam.

Wtedy czuję wściekłość, ponieważ ją złożył! Marszczy brwi, widząc moją twarz.

– O co chodzi?

Oskarżycielsko pokazuję zagięcia na papierze.

– To. O to chodzi.

Widzę, że ma ochotę wywrócić oczami, ale zamiast tego zatrzaskuje aktówkę. Potem przybiera pozę, jak zawsze, kiedy zgrywa ważniaka. Krzyżuje ramiona na piersi, rozstawia nogi na szerokość ramion i patrzy na mnie z góry.

– Chodź tutaj i dawaj mi ten mój cholerny pocałunek – mówi.

Serce mi zamiera. W ustach czuję suchość. Szkic zaczyna drżeć mi w dłoniach.

Skurczybyk znowu się uśmiecha.

– Nie tutaj. Na tyłach mam pracownice – mówię drżącym głosem, za co się nienawidzę.

Jego usta przybierają okrutny wyraz.

– Przeciągasz sprawę – komentuje.

– Wcale nie. Po prostu nie chcę, żeby wszyscy widzieli – wyjaśniam.

– Skoro są z tyłu, to niby jak miałyby zobaczyć? – pyta sceptycznie.

– Mogą przyjść tutaj! – panikuję.

Wciąga powietrze przez nos, potem powoli wypuszcza, jakby zmuszał się do spokoju.

– Kimber.

– Przestań wymawiać tak moje imię!

Unosi brew.

– Jak?

– O mój Boże. Jesteś najbardziej irytującym facetem na tej planecie, wiesz o tym? – pouczam go.

– Masz dziesięć sekund, żeby przyciągnąć tutaj swój tyłek i wreszcie mnie pocałować, albo uznam naszą umowę za nieważną i podpalę resztę szkiców – warczy.

Sapię z przerażenia.

– Nie zrobiłbyś tego!

Jego uśmiech pokazuje mi, że zdecydowanie zrobiłby.

Pałając żądzą mordu, delikatnie odkładam szkic na blat. Potem prostuję ramiona, unoszę podbródek i obchodzę kontuar, przypominając samej sobie, jak bardzo, z głębi duszy go nienawidzę.

Gdy tylko pojawiam się w zasięgu ręki, Matteo chwyta mnie i przyciąga do swojej piersi. Patrzy mi w oczy płonącym wzrokiem.

– Wiem – burczy. – Nienawidzisz mnie. A teraz daj mi te usta. Tylko o nich potrafiłem myśleć przez ostatnie dwa dni.

Czy wykonuje się przeszczepy macicy? Bo moja totalnie wymknęła się spod kontroli.

– Dobra. Masz. – Wspinam się na palce i przyciskam usta do jego warg w klinicznej, bardzo aseksualnej wersji pocałunku, nawet ich nie otwierając. Stuletni dziadek uznałby to za uwłaczające.

Matteo i moja macica razem mogą iść do diabła.

Odwraca głowę na tyle, żeby oderwać moje oschłe usta od swoich. Posyła mi niebezpieczne spojrzenie.

– Zrób tak jeszcze raz, a oprę cię o ten kontuar i sprawię, że tego pożałujesz.

Feministyczna strona mojej natury jest oburzona. Ignorując pozostałe, które wręcz błagają, żeby zademonstrował, co ma na myśli, warczę:

– Ani się waż mi grozić! Nie jestem dzieckiem! Nie jestem twoją własnością, którą możesz pomiatać, ty seksistowski, szowinistyczny…

Wtedy jego usta lądują na moich i nimi, najpewniej wysmarowanymi kokainą, tłumi cały mój gniew. To upojenie, które czuję, musi być wywołane narkotykami. Nie ma innego racjonalnego wytłumaczenia.

Przytrzymuje mnie, kiedy opadam w jego ramionach, skołowana i zdezorientowana, otumaniona jego smakiem. Trzy sekundy i już jestem uzależniona. Jestem beznadziejną, zboczoną ćpunką, a co gorsza, wcale mnie to nie obchodzi.

Zawsze śmiałam się, kiedy w powieściach romantycznych czytałam, jak główny bohater „zawładnął” ustami bohaterki. Teraz już wiem, jak trafne jest to stwierdzenie. Całuje mnie do

nieprzytomności, niszcząc nie tylko mój opór, ale i umiejętność racjonalnego myślenia. Bierze to, czego chce, bez wahania.

Plądruje. Jak pirat albo najeźdźca.

Jak szef.

– Właśnie tak, *bella* – mruczy, kiedy drżę. – Poczuj to.

Czuję jak jasna cholera.

Znowu przywiera do moich ust, ale tym razem szybko się odsuwa, pozostawiając mnie dyszącą i mrugającą z zaskoczenia. Marszczy brwi i spogląda na zegarek. Wciska na nim guzik, a potem patrzy na mnie z uśmiechem.

– Przykro mi. Powiedziałaś dwie minuty.

– Włączyłeś stoper?

– Nie chcemy, żebym przekroczył limit, prawda? – Udaje tak bardzo trzymającego się ustalonych zasad.

– Jak można być tak irytującym? – wrzeszczę.

Uśmiecha się szeroko, aż zapiera mi dech.

– Chyba po prostu mam szczęście.

Potem jego usta znowu lądują na moich i zapominam o gniewie. Gnojek na pewno wiedział, że będzie miał na mnie taki wpływ, bo z jego gardła wydobywa się ten głęboki dźwięk, cichy pomruk satysfakcji.

Zabiję go później. W tej chwili jestem zbyt głęboko zanurzona w Jeziorze Podniecenia, żeby popełniać morderstwo.

Jedną dłonią obejmuje moją twarz, a drugą ręką ciasno oplata ciało. Zakładam mu ramiona na szyję. Coś, co zaczęło się jako pocałunek, przeszło w niesamowitą spiralę zmysłów, kiedy nasze ciała instynktownie zaczynają współgrać, oddechy nabierają harmonii, a serca wybijają ten sam, gwałtowny rytm.

Jego oddech jest moim.

Moja skóra płonie.

Nie chcę, żeby to się kończyło, *nigdy*.

Mówi przy moich ustach:

– Myślę, że potrzebowałaś tego tak bardzo, jak ja.

Z zamkniętymi oczami szepczę:

– Wciąż cię nienawidzę, ale mam jeszcze czas, więc proszę, zamknij się, do cholery.

Jego śmiech jest mroczny i posyła wiązkę czystego pożądania prosto między moje nogi. Matteo zaciska palce na moich włosach i lekko odciąga głowę, przekrzywiając ją tak, żeby dać sobie lepszy dostęp do szyi, po czym szybko z tego korzysta.

Jego usta są jak jedwab. Językiem przesuwa tam, gdzie na gardle czuć puls. Wytycza ścieżkę w dół szyi, całuje i delikatnie ssie, aż dociera do rozpiętego kołnierzyka bluzki. Kiedy wsuwa tam język, czuję się, jakby podłączono mnie do elektrod.

Zatapiam palce w jego ramionach i jęczę cicho.

I, o Boże, on zaczyna szeptać po włosku, przesuwając usta na drugą stronę szyi, powoli wracając do góry, aż trąca nosem wrażliwe miejsce pod uchem. Szepcze coś jeszcze i przesuwa lekko moje ciało tak, że przyciska biodra do moich i czuję jego podniecenie.

Przechodzi przeze mnie dreszcz jak bryza przez łąkę.

Kiedy nasze usta spotykają się ponownie, wplatam palce w jego włosy i przyciągam go tak blisko, jak jestem w stanie, zachłannie ssąc język, niezawstydzona tymi desperackimi odgłosami, które z siebie wydaję, nie myśląc o niczym poza nim. Jaki jest wielki. Jaki ciepły. Jak jego klatka przyciska się do moich piersi. Jaki jest dla mnie twardy…

Jak bardzo chciałabym zobaczyć wyraz jego twarzy, gdybym opadła na kolana, rozpięła mu spodnie i wzięła go do gardła tak głęboko, jak byłabym w stanie.

Pik. Pik. Pik.

Matteo odsuwa się tak gwałtownie, że aż sapię.

Zerka na zegarek.

– Czas minął. – Podnosi na mnie wzrok i mówi: – Było przeciętnie. Jeśli nie zamierzasz włożyć w to serca, możemy o wszystkim zapomnieć.

Sięga za mnie po aktówkę, odwraca się i wychodzi.

Nawet nie zawraca sobie głowy zamykaniem drzwi.

Nie jestem pewna, ale myślę, że wiązanka przekleństw, którą za nim posyłam, jest słyszalna nawet na końcu przecznicy.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Kimber

Nie wracam do domu prawie do północy. Do tej pory udało mi się przekonać samą siebie, że morderstwo jest przestępstwem zagrożonym dożywociem, a ja naprawdę nie chcę spędzić reszty swoich dni we włoskim więzieniu.

Ale, kurczę, gdyby to nie było wbrew prawu, mielibyśmy jednego rozczłonkowanego markiza zakopanego w lesie.

Zatrzymuję się w kuchni, żeby wziąć sobie coś do jedzenia, a potem ruszam do swojej sypialni. Kiedy włączam światło, znajduję Cornelię pochrapującą w prowizorycznym posłaniu, które dla niej skonstruowałam ze starych koców i poduszek. Przytula jedną z moich koszulek, którą zapewne wyciągnęła z otwartej walizki.

Nie miałam ani czasu, ani energii, żeby się rozpakować.

Starając się zachowywać cicho, żeby nie obudzić psa, odstawiam torebkę na komodę. Potem siadam na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, talerzem i laptopem, zajadam i szukam lokalnej kliniki, gdzie mogłabym zrobić test na choroby weneryczne.

Znajduję miejsce niedaleko, przy pomocy tłumacza Google wyświetlam stronę po angielsku, żebym zrozumiała, co czytam, a potem umawiam się na spotkanie. Kiedy kończę już to okropne zadanie, postanawiam wpisać w wyszukiwarkę swoje nazwisko, skoro i tak mam już kiepski nastrój.

Powinnam zastanowić się dwa razy.

Po zapoznaniu się z pierwszymi czterema stronami wyników już wiem, że nie mogę wrócić do San Francisco, a na pewno nie bez zmiany nazwiska i poważnej operacji plastycznej. Te zdjęcia nigdy nie znikną. Nigdy. Kiedy będę miała sto lat, po sieci nadal będą

krążyły fotografie, jak rozbijam Bradowi nos przy ołtarzu Katedry Grace.

Każdy mężczyzna, z którym umówię się w przyszłości, będzie mógł je zobaczyć, a także przeczytać każdy szczegół najgorszego upokorzenia w moim życiu.

– Nie będę chodzić na randki – oznajmiam komputerowi ze łzami w oczach. – Zostanę zakonnicą. Poślubię Jezusa. Jego nie będzie obchodziło to, że stałam się pośmiewiskiem San Francisco, ani że jestem uszkodzonym towarem.

Mogłoby go obejść, że jestem mniej więcej tak religijna, jak główka sałaty, ale co tam.

Zatrzaskuję komputer i opadam na łóżko. Po minucie lub dwóch wpatrywania się w sufit, jestem tak wściekła, że już nie daję rady leżeć spokojnie. Odstawiam talerz, zeskakuję z łóżka i wygrzebuję telefon z torebki. Potem dzwonię do Szatana.

Odbiera po pierwszym sygnale. Brzmi na rozbudzonego i pełnego nadziei.

– Kotku?

– Już nie wolno ci tak do mnie mówić! – warczę.

– Och. Yy… wybacz. – Milczy przez chwilę, słuchając jak sapię niczym smok. – Nic ci nie jest?

– Nie. Nadal jesteś we Włoszech?

– Tak – potwierdza.

– Dobrze. Wymyśliłam, jak możesz mi wszystko wynagrodzić.

– Nie mogę powiedzieć prawdy rodzicom – mówi błagalnym tonem. – Cokolwiek, byle nie to!

– To nie ma nic wspólnego z twoimi rodzicami – sarkam.

Z ulgą wypuszcza powietrze.

– Dobrze. Więc o co chodzi? – pyta uspokojony.

– Przyjdź do DiSanto Couture punktualnie o ósmej rano. – Podaję mu adres. – Nie spóźnij się – ostrzegam.

– Na pewno! Będę na czas! – Po chwili pyta z wahaniem: – Co będziemy robić?

– Zdejmować z ciebie miarę. – Rozłączam się z uśmiechem.

Będzie wyglądał niesamowicie w plisowanej sukni.

***

Zgodnie z obietnicą, Szatan pojawia się punktualnie o ósmej. Jego nos wydaje się goić szybko. Opuchlizna zeszła, podobnie jak zasinienie pod okiem. Do pokazu powinien już być w formie. Proszę Clarę, żeby zdjęła z niego miarę, bo nie ma mowy, żebym zbliżyła się z taśmą do jego krocza. Patrzę, jak Brad wije się z zażenowania, kiedy Clara rządzi się i przestawia go. Mam przy tym taki ubaw, że każę jej sprawdzić wszystkie pomiary dwa razy.

Kiedy wszystko jest skończone, a on pyta, co to miało być, mówię mu prawdę. Poniekąd.

– Masz być moim modelem.

– Modelem? Do ubrań? – pyta głupio.

Z kamienną twarzą odpowiadam:

– Nie. Wypycham zwierzęta. To moje nowe hobby.

Krzywi się, zdezorientowany.

– I miałbym je trzymać, czy jak?

– Koleś, to był żart. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

– Och, racja. Ha, ha. Dobre.

Nadal wygląda, jakby nic nie rozumiał. Wpatruję się w niego i zastanawiam, jak mogłam nie zauważyć jego tendencji do przyjmowania wszystkiego dosłownie.

Uderza mnie z pełną mocą, że byłam tak skupiona na ślubie, że nie poświęciłam wystarczająco czasu na zastanowienie się, jak będzie wyglądało codzienne życie z Bradem. Zmarnowałam całe lata, marząc o jednym magicznym momencie, nie przykładając wagi do tego, kim w rzeczywistości jest mężczyzna, kryjący się za tą piękną twarzą.

Ten, kto wymyślił powiedzenie „miłość jest ślepa”, miał rację tylko w połowie. Jest też głucha i głupia.

Ale czy to możliwe, że istnieje jaśniejsza strona upokorzenia, którego doświadczyłam z jego strony? Może wcale nie zrujnował mi życia, ale wyświadczył kolosalną przysługę. Może dał mi najważniejszą lekcję w życiu.

To nie ślub się liczy. Kawałek papieru i uroczyste wypowiedzenie przysięgi nie naprawi tego, co od podstawy jest złe.

Uderza we mnie kolejna rewelacja: może wcale nie byłam zakochana w samym Bradzie… a tylko w idei? Może byłam zakochana w uczuciu zakochania, a to najgorszy możliwy fundament dla małżeństwa.

Może to nie Brad mnie zniszczył. O Boże. Chyba zrobiłam to sobie sama.

Obserwując mnie, Brad ściąga ze zmartwienia swoje blond brwi i przestępuje z nogi na nogę.

– To, jak na mnie patrzysz, jest trochę, yy… przerażające. Powiedziałem coś nie tak? – dopytuje ostrożnie.

To jeszcze dzieciak. Wielki, durny, egocentryczny dzieciak, który boi się swoich rodziców i nie umie być sam.

Wpatruję się w niego, zaskoczona, jak oczywiste to się nagle wydaje. Bradley Hamilton Wingate III nie jest mężczyzną. Jest dzieckiem w ciele dorosłego, udającym, żeby zyskać akceptację i miłość w jedyny sposób, jaki zna, zbyt niepewny, żeby stanąć na własnych nogach. Wszystko, co kiedykolwiek robił, napędzane było strachem. To naprawdę żałosny sposób na życie.

O cholera. A miałam nienawidzić go na wieki.

Wstrząśnięta swoim objawieniem, mówię:

– Nadal jestem na ciebie wściekła za nieuczciwość. Ale to nie tylko twoja wina. Nie mogę zrzucać całej winy na ciebie, bo ja też byłam idiotką, tylko w inny sposób. – Biorę głęboki wdech. – Więc jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się powiedzieć prawdę rodzicom, pójdę z tobą. Nie będziesz musiał przechodzić przez to sam. Dobrze?

Jego oczy robią się okrągłe. Dolna warga drży. Wpatruje się we mnie pobladły z szoku przez bardzo długi czas, potem przełyka. Cicho, patrząc na swoje buty, mówi:

– Dobrze.

A potem zalewa się łzami.

Nie jestem jedną z tych osób, które mogą spokojnie patrzeć na czyjeś łzy, bez przytulenia go. To niekontrolowany impuls. Dlatego, wzdychając, obejmuję Brada ramionami i pozwalam mu ryczeć w swoje ramię, aż jego łzy zmieniają się w pociąganie nosem, a twarz czerwienieje z zażenowania.

– Przepraszam – mamrocze, ocierając nos wierzchem dłoni.

– W ostatnim tygodniu widziałam cię płaczącego więcej razy niż przez cały nasz związek.

– Twardzi faceci nie powinni płakać – szepcze. Zagryza dolną wargę i znowu pociąga nosem, wyglądając żałośnie, ale też uroczo.

Zawsze jest uroczy. To jedna z jego najlepszych cech. Jest wesoły, przyjazny i beztroski, zawsze chce, żeby ludzie wokół niego dobrze się bawili. Niestety, w rzeczywistości to naprawdę przyzwoity człowiek.

Kiedy jęczę, Brad podnosi na mnie wzrok, marszcząc czoło ze zmartwienia.

– Co się dzieje?

– Niezbyt fajnie czuć się empatycznie wobec kogoś, kogo niedawno postanowiło się nienawidzić.

Chwyta moją dłoń, a wzrok ma przepełniony desperacją i nadzieją.

– Czyli to znaczy, że mnie nie nienawidzisz?

Owładnięta falą wyczerpania, wypuszczam powietrze i patrzę w sufit.

– Dlaczego tak wygląda moje życie, Boże? Czy zrobiłam coś, czym cię uraziłam?

Brad jest zbyt zajęty ekscytowaniem się postępami w konwersacji, żeby zauważyć moje błagania kierowane do wyższego bytu.

– Bo zrobiłbym wszystko, żeby pozostać twoim przyjacielem, nawet jeśli nie chcesz pieniędzy i tego wszystkiego. Mówiłem prawdę, że tylko przy tobie kiedykolwiek czułem się bezpiecznie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nie ma nic, czego bym nie zrobił…

– Nie wymienimy się teraz bransoletkami przyjaźni i nie będziemy nosić pasujących ubrań, gościu – przerywam mu sarkastycznie. – Poczekajmy, aż dostanę wyniki testów na choroby weneryczne, a wtedy zobaczymy, jak będzie.

– Jestem czysty!

Zaskakuje mnie głośność i stanowczość tego stwierdzenia.

– Brzmisz, jakbyś był całkiem pewny – zauważam.

– Jestem. Badam się co miesiąc! – zapewnia.

Widząc wyraz mojej twarzy od razu zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd. Wzdryga się, jak szczeniak, który ma zaraz dostać po

głowie za zjedzenie nowych butów i przygryza wargę. Ale nie obchodzi mnie to. Przeskoczyłam od empatii do chęci mordu w dwie sekundy. Wpatruję się w niego podejrzliwie.

– Jeśli się „zabezpieczałeś", jak twierdzisz, dlaczego potrzebowałeś badań co miesiąc?

Spogląda na moje zaciśnięte pięści.

– Boję się, że jeśli powiem ci prawdę, to mnie znokautujesz.

– Możliwe, że zrobię to tak czy inaczej. Mów! – nakazuję.

Rozważa to przez chwilę, bierze wdech dla odwagi, a potem wyrzuca z siebie wszystko na jednym wydechu:

– Nic nie daje stuprocentowej pewności, nawet jeśli używa się zabezpieczenia i obawiałem się, że mogę czymś cię zarazić, więc badałem się często, żeby upewnić się, że jestem czysty i niczego ode mnie nie złapiesz.

Przerywa, żeby złapać oddech, przygotowując się na cios, ale mój umysł pracuje zbyt szybko, żebym miała się na niego zamachnąć.

– Chcesz mi powiedzieć, że próbowałeś mnie chronić? – niedowierzam.

Przytakuje.

– Przed chorobą przenoszoną drogą płciową, którą mogłeś mi nieświadomie przekazać? – upewniam się.

Ponownie przytakuje, ale musi się nad tym najpierw zastanowić.

Zaczynam mówić głośniej:

– Dlatego, że sypiałeś z tak wieloma ludźmi, że ryzyko złapania czegoś paskudnego było naprawdę wysokie i musiałeś badać się co miesiąc?!

Odpowiada obronnym tonem:

– Czasami nawet częściej, żeby mieć pewność. – Potem rozpromienia się. – Ale jestem zupełnie czysty, więc wszystko w porządku.

Wpatruję się w niego z otwartymi ustami, bo po prostu nie mam na to słów.

Nie. Mam. Słów.

Stwierdza, że to będzie dobry moment na kolejny uścisk i zarzuca na mnie ręce.

W tej chwili od strony drzwi dobiega nas ostry, męski głos:

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wyglądam przez ramię Brada i dostrzegam Matteo, stojącego w otwartych drzwiach sklepu. Plecy ma sztywne, a oczy ciskają gromy, jakby zamierzał zaraz spalić to miejsce do gołej ziemi.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Matteo

Ona obejmuje go ramionami.

Przytulają się.

On jej dotyka.

Żołądek zaciska mi się w supeł. Fala gorąca rozlewa się po ciele. Pokój zwęża się, aż jedyne, co widzę, to jego dłonie na jej plecach i jej piękne, zielone oczy, spoglądające na mnie znad jego ramienia. Te oczy rozszerzają się, kiedy mnie dostrzega, a potem zwężają.

Nie cieszy się, że mnie widzi. Jest w *jego* ramionach i nie cieszy się, że mnie widzi.

Zaraz coś połamię. Najpewniej jego nogi.

Kimber odsuwa się od swojego byłego. Wygląda to dość niepewnie. On spogląda przez ramię i dopiero pojmuje, co się dzieje.

Wyraz jego twarzy jest bardziej niejednoznaczny niż jej. Jest zaskoczony, że mnie widzi, ale też przestraszony, to oczywiste. Jednak jest tam coś jeszcze, czego nie rozumiem. Coś jak… ekscytacja?

Może chce się ze mną bić. Jeśli o to chodzi, to zamierzam wytrzeć podłogę gębą tego gogusiowatego *pezzo di merda*[41].

– Co tutaj robisz? – Ton Kimber jest tak nieprzyjazny, jak wyraz jej twarzy.

– Byłem w drodze do pracy. – Tylko tyle wyjaśnienia udaje mi się wydusić, zanim w moim głosie zaczyna pojawiać się warczenie i muszę przerwać.

Brad staje obok Kimber, nerwowo wycierając dłonie o przód dżinsów. Wpatruje się we mnie dzikim wzrokiem, jakby nie był pewien, czy uciec, czy zacząć zadawać ciosy.

Patrzę gniewnie raz na jedno, raz na drugie.

Co to ma być? Wrócili do siebie?

Przez tę myśl trudno mi oddychać.

Kimber przekrzywia głowę, wpatrując się w wyraz mojej twarzy.

– Więc ruszaj dalej w drogę – mówi beznamiętnie.

Obok niej Brad wierci się jak dziecko czekające na słodycze.

– Nie chcesz, żebym został? – pytam jeszcze.

Dokładnie w tym samym momencie ona mówi „nie", a Brad „tak". Z naciskiem.

– Ciebie nie pytałem! – warczę do niego.

Brad ostro wciąga powietrze i przykłada dłoń do gardła. Kimber patrzy na jego twarz i parska, jakby zobaczyła coś zabawnego. Resztki mojej cierpliwości znikają.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – wybucham.

Z szeroko otwartymi oczami Brad sapie:

– Taki intensywny.

Drwi ze mnie. Ten sukinsyn ze mnie *drwi*.

Robię krok do przodu, gotowy go znokautować, ale Kimber wywraca oczami i wyrzuca ręce w powietrze.

– Opanuj się, hrabio, on właśnie wychodził! – Popycha Brada lekko. – Porozmawiamy później. Wracaj do hotelu.

W tej chwili już cały wibruję z gniewu. Nie wiem, co się dzieje, ale ani trochę mi się to nie podoba. Po pogrzebie chciała go zabić. A teraz się przytulają.

– Matteo.

Słysząc swoje imię, przenoszę na nią wzrok. Wpatruje się we mnie z brwią uniesioną w pogardzie.

– Odsuń się.

Patrzy znacząco na drzwi, które blokuję. Udaje mi się zrobić trzy kroki w prawo. Potem piorunuję wzrokiem Brada, kiedy powoli przemierza sklep. Przyspiesza kroku, przechodząc obok mnie tyłem, jak krab, a potem znika.

Napięcie nie opuściło mojego ciała, ale przynajmniej jego już tu nie ma.

– Twoja kolej – rzuca Kimber, odprawiając mnie.

Zamiast tego zamykam drzwi i przekręcam klucz w zamku. Kiedy odwracam się do niej, stoi z ramionami założonymi na piersi

i zaciśniętymi szczękami.

– Nie zrobię tego z tobą teraz – mówi.

– Czego? – Zbliżam się powoli.

– Nie pogrywaj ze mną – ostrzega, obrzucając mnie gniewnym spojrzeniem.

Och, kochana. To nie jest gra.

Kiedy nic nie mówię, nerwowo nabiera powietrza i stuka stopą w podłogę.

– Czego ode mnie chcesz?

Wszystkiego. Chcę od ciebie wszystkiego. I to teraz.

Zatrzymuję się o krok przed nią i patrzę jej w oczy.

– Czas połknąć tę żabę.

– Słucham? – Marszczy czoło.

– Tak zwykle mawiał mój ojciec. Jeśli połknięcie żaby to najgorsze, co musisz zrobić w ciągu dnia, nie odkładaj tego. Odhacz na początku i ruszaj dalej.

Jej cudne, zielone oczy błyszczą gniewem.

– Porównujesz całowanie mnie do połknięcia pieprzonej żaby? – syczy wściekła.

Boże, uwielbiam jej temperament. Uwielbiam to, że jej nie onieśmielam. Uwielbiam to, że nigdy nie stara się zrobić na mnie wrażenia, nigdy nie gryzie się w język ani nie wycofuje. Uwielbiam to, że nie dba o moje pieniądze, tytuł czy nazwisko rodowe. Nigdy nie poznałem kobiety, której nie interesowała przynajmniej jedna z tych rzeczy. A najbardziej ze wszystkiego uwielbiam, że chociaż wolałaby umrzeć, niż to przyznać, to nasza umowa podoba jej się tak bardzo jak mi. Te policzki zaróżowiły się nie tylko z gniewu.

– To metafora. Ale rzeczywiście mówiłem o tobie – oznajmiam, wpatrując się w jej usta wygłodniałym wzrokiem. – *Ja* jestem tą żabą, którą *ty* musisz połknąć. Równie dobrze możemy załatwić to wcześnie rano, żebyś nie musiała o tym myśleć przez cały dzień.

– Nie musimy zawsze spotykać się tutaj. Nie możesz wpadać tak bez zapowiedzi i domagać się pocałunków. – Zaciska wargi.

– Tak, mogę. Właśnie to zrobiłem. I zrobię znowu. Całuj.

Odpowiada lodowatym tonem:

– Jak na faceta, który powiedział, że przeciętnie całuję, coś zbyt chętnie chcesz wepchnąć mi język do gardła.

Powiedziałem to, bo wiem, że nie ma niczego, co nakręca ją bardziej, niż wyzwanie, ale teraz widzę, że to był błąd. Posunąłem się za daleko. Zraniłem jej uczucia.

Kurwa.

– Przepraszam. To było głupie i więcej się nie powtórzy.

Mruga zdezorientowana. Cień wrogości znika z jej postawy, ale nadal jest dotknięta.

– Więc dlaczego to powiedziałeś? – drąży.

– Chciałem cię podpuścić.

Zaczyna wyglądać na zdezorientowaną, zaciska zęby na dolnej wardze i marszczy brwi.

– Więc nie uważasz, że źle całuję?

To, że obchodzi ją, co myślę, sprawia, że pierś mi się zaciska, a puls zaczyna szaleć. Nie mogę jej powiedzieć, że wczoraj w nocy doszedłem trzy razy, myśląc o jej ustach. Jej ciele. Tych cichych dźwiękach, które wydaje, kiedy jest w moich ramionach. Nie mogę jej powiedzieć, że jest moim pieprzonym, mokrym snem i że nie mogę wyrzucić jej z głowy, niezależnie, jak bardzo się staram.

Jeszcze nie mogę powiedzieć jej żadnej z tych rzeczy. Nie chcę jej odstraszyć ani przytłoczyć. Gdybym powiedział jej, czego naprawdę od niej chcę, uciekłaby, gdzie pieprz rośnie.

To kobieta ze złamanym sercem. Chociaż nie ma niczego, co chciałbym zrobić bardziej, niż przerzucić ją przez ramię, zabrać do domu i sprawić, że będzie moja, muszę postępować stopniowo.

Dobre rzeczy spełniają się tym, którzy cierpliwie czekają. Dlatego mówię:

– Gdybym sądził, że źle całujesz, nie starałbym się tak usilnie cię pocałować, prawda?

Przygląda mi się podejrzliwie. Nie potrafię stwierdzić, czy mi uwierzyła, ale nie mam czasu zapytać, bo wyrzuca z siebie:

– Dobra, miejmy to już za sobą.

Ujmuję jej twarz w dłonie i dopadam do ust, zanim zdąży się rozmyślić.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Kimber

Tym razem nie nastawia stopera, więc nie mam pojęcia, jak długo to trwa, kiedy stoimy na środku sklepu i zasysamy sobie twarze. Możliwe, że nie skończylibyśmy nigdy, gdyby nie czyjeś głośne odchrząknięcie.

Dysząc ciężko, odrywam się od Matteo i patrzę przez ramię. Clara stoi w drzwiach na tyły sklepu, wpatrując się w nas z uniesionymi brwiami i ściągniętymi wargami. Jedną rękę oparła na swoim pokaźnym biodrze.

Nie podoba jej się to.

– Clara. Uch. Co się dzieje?

Jestem tak zdezorientowana przez pożądanie, że ledwo mogę mówić. Matteo łapie mnie za ramię, kiedy się zataczam i słyszę jego usatysfakcjonowany śmiech, gdy widzi, do jakiego stanu mnie doprowadził.

Przynajmniej tak mi się wydaje, że to jest powodem jego śmiechu. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie jestem przekonana o niczym, poza tym, że będę musiała zacząć przynosić do pracy majtki na zmianę, jeśli on zamierza ciągle się tu pojawiać.

– Potrzebuję twoich wskazówek odnośnie gorsetu niebieskiej sukni – mówi Clara i spogląda na Matteo. Obrzuca go spojrzeniem z góry do dołu i udaje jej się ukryć zachwyt jego pięknym garniturem, a nawet jeszcze piękniejszym obliczem, dzięki widocznej irytacji, że obściskuję się z mężczyzną, zamiast pracować.

Clara wierzy, że mężczyźni nadają się tylko do dwóch rzeczy: koszenia trawników i naprawy samochodów.

– Och… Mhm… – Kiwam głową jak piesek pod szybą auta. – Dobra.

Wywraca oczami i odmaszerowuje, kręcąc głową. Kiedy tylko znika z pola widzenia, Matteo odwraca się i rzuca na mnie.

– Hola! Spokojnie, tygrysie! – Odpycham go w obawie, że jeśli tego nie zrobię, wkrótce będę zrywać z niego ubrania i ujeżdżać go jak byka. – Nie. Nie ma mowy. Więcej nie będzie. Muszę wracać do pracy. Clara mnie potrzebuje. Słyszałeś kobietę. – Chichoczę szaleńczo, jakbym dopiero co uciekła ze szpitala psychiatrycznego. – Wycofujemy się do okopów!

Jego uśmiech jest tak piękny, że mógłby zakańczać wojny.

– Na pewno jesteś w stanie wrócić do pracy? Wydajesz się zdezorientowana – zauważa.

– Nic mi nie jest.

Poza tym, że brzmię jak pijana.

Prostuję plecy i unoszę podbródek w nadziei, że nie zauważy, jak przez adrenalinę, która szaleje w moich żyłach, drżą mi ręce. Czuję się tak, jakbym właśnie wygrała wyścig Formuły Jeden. Mój system nerwowy otwiera szampana i rozchlapuje go wszędzie.

– Nic? – Obserwuje mnie, a te pałające, jastrzębie oczy błyszczą wesołością. – Następnym razem będę musiał się bardziej postarać.

Jeśli postara się bardziej, mogę eksplodować. Myślę, że właśnie doznałam spontanicznej owulacji.

– Musimy zrobić jakiś grafik – mówię stanowczo, starając się brzmieć jak racjonalna istota ludzka, a nie kobieta, której łechtaczka ma własny puls. – Nie możesz się pojawiać tak po prostu, przeszkadzając mi, kiedy ci się podoba.

Przytakuje poważnie, ale podejrzewam, że stara się tylko nie wybuchnąć śmiechem.

– To rozsądne. A może codziennie po kolacji? Powiedzmy, o ósmej? Wpadnę do domu.

To dość późno i dokładnie odwrotnie od tego, co powiedział wcześniej o połykaniu porannej żaby, czy co to tam było. Nie mam argumentów do negocjacji, więc mamroczę tylko:

– Tak. Dobrze. Do zobaczenia. Pa.

Odwracam się na pięcie, ale woła za mną:

– Dlaczego spotkałem tutaj twojego byłego?

Powoli odwracam się do niego. Śmiech zniknął z jego oczu. Wrócił do tego niebezpiecznego spojrzenia, które miał, kiedy tutaj wszedł. Ciemne, burzowe chmury zawisły nad jego głową.

Jest zazdrosny?

Maleńki, rysunkowy aniołek pojawił się na moim ramieniu.

– Powiedz mu prawdę – szepcze, delikatnie trzepocząc skrzydełkami. – Powiedz mu, że Brad jest gejem i między wami nic się nie dzieje.

Czerwony, rysunkowy diabełek wskakuje na moje prawe ramię.

– Przeciągnij tego pyszałkowatego dupka po rozżarzonych węglach – warczy, plując ogniem. – Myślisz, że jesteś jedyną laską, do której podbija? Nie bądź naiwna. Ma panny w całym mieście. Nie możesz znowu być taka głupia. A tak przy okazji, pierdoło, miałaś myśleć głową, nie pochwą, pamiętasz?

Po chwili przerwy, w celu przeanalizowania mojego zdrowia psychicznego, postanawiam zdecydować się na coś pomiędzy prawdą a fikcją – niczego nie przyznawać, ale też nic nie zmyślać.

– Poprosiłam, żeby przyszedł.

Matteo podchodzi krok bliżej, sprowadzając z sobą te burzowe chmury.

– Dlaczego?

– Mamy niedokończone sprawy.

Jeszcze kilka kroków i znowu narusza moją przestrzeń osobistą, drażniąc zakończenia nerwowe.

– Niedokończone sprawy – powtarza, wzrokiem żądając dodatkowych wyjaśnień.

Między aniołkiem a diabełkiem rozpętuje się walka. To kompletna krwawa łaźnia – diabeł wygrywa, nie roniąc nawet kropli potu.

– Błagał, żebym mu wybaczyła. Przeprosił i wierzę, że naprawdę mu przykro. A teraz… próbujemy coś z tego wypracować.

Policzki Matteo pąsowieją. Nozdrza mu drgają. Wydaje się, jakby rósł, jak napompowany i to sprawia, że jestem podłą suką, bo czuję się najszczęśliwsza od jakiegoś czasu.

– Co dokładnie wypracowujecie? – pyta.

Potrafię poznać okazję do targowania, kiedy ją widzę, więc od razu korzystam.

– Oddaj mi wszystkie szkice, to ci powiem. – Posyłam mu uśmiech, który, mam nadzieję, wygląda spektakularnie. Ponury nastrój zawisa nad nim jak chmura. – Nagle stałeś się naprawdę zrzędliwy, hrabio. Dobrze się czujesz? Wyglądasz na skołowanego.

Niski odgłos przetacza się przez jego pierś, a usta zwężają w cienką linię, co znaczy, że zaraz powie coś, za co będę miała ochotę mu przyłożyć.

Pochyla się i szepcze szorstko:

– Nie jestem tak skołowany, jak ty przed chwilą, *bella*. Mogłem przyprzeć cię do ściany i wziąć na stojąco, taka byłaś gotowa.

To oczywiście prawda, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli przyznam mu rację. Po prostu wzruszam ramionami, jakbym mówiła: „może byłam, może nie" i uprzejmie ukrywam ziewnięcie.

Na jego ustach pojawia się uśmiech, który wywołuje u mnie gęsią skórkę, taki jest niebezpieczny.

– Wyzwanie przyjęte. Do zobaczenia o ósmej – oznajmia.

Patrzy, jak przełykam, uśmiecha się chytrze i wychodzi.

Wracam do pracy i resztę dnia spędzam, starając się nie liczyć minut do momentu, kiedy znowu go zobaczę, jednocześnie wmawiając sobie, że przecież to tylko gra.

Problem z grami jest jednak taki, że zawsze ktoś przegrywa.

***

Pracuję aż do kolacji i docieram do domu w tym samym czasie, co Matteo. Właśnie wysiada z samochodu, kiedy moja taksówka zatrzymuje się przed drzwiami. Płacę kierowcy, zbieram torebkę i odwagę, a następnie wysiadam.

Matteo obserwuje taksówkę z konsternacją.

– Nie umiesz prowadzić?

– Tutaj ludzie jeżdżą jak psychole. Nie chcę mieć wypadku.

Podchodzi bliżej. W jednej ręce ma aktówkę i uśmiecha się, jakby uważał mnie za zabawną.

– Z przyjemnością będę wozić cię do pracy, wystarczy poprosić – mówi uprzejmym tonem.

– Żebyś mógł mnie szpiegować i podglądać projekty? Nie, dzięki – odpowiadam, wcale nie uprzejmie.

Jego uśmiech zmienia się w grymas.

– Myślisz, że dlatego przyszedłem dzisiaj rano? Żeby cię szpiegować?

– Ciężko mi uwierzyć, że zadałbyś sobie tyle kłopotu tylko dla pocałunku.

Zatrzymuje się o krok ode mnie, a jego grymas łagodnieje, kiedy wpatruje się w moje wargi. Kiedy patrzy mi w oczy, powietrze między nami iskrzy.

– To żaden kłopot – szepcze.

Mój puls przyspiesza. Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, a ciepła bryza owiewa gałęzie drzew, przynosząc woń jaśminu i świeżo pieczonego chleba. Wmawiam sobie, że ślinka mi cieknie właśnie przez chleb, a nie mężczyznę stojącego przede mną.

– W porządku – rzucam biznesowym tonem. – Miejmy to za sobą. – Zarzucam torebkę na ramię, prostuję plecy i unoszę podbródek.

Matteo patrzy, jak przygotowuję się do pocałunku i znowu się uśmiecha.

– Wejdźmy do środka. Jeszcze nie jadłem.

– Ja też nie, ale to nie randka – uświadamiam go.

Zbliża się tak, że czuję jego ciepło i zapach skóry. Niskim głosem pyta:

– W takim razie co?

– Umowa biznesowa – odpowiadam.

Jeśli chodzi o moje hormony, to bardziej jak gra wstępna, ale muszę znaleźć sposób, żeby przebrnąć przez kolejne dwadzieścia kilka pocałunków z nietkniętą godnością, więc decyduję się na nonszalancję.

– Chcesz załatwiać interesy na podjeździe? – Matteo zerka znacząco na okna posiadłości, rzucające złociste światło na żwir, na którym stoimy. W mojej głowie pojawia się obraz jego matki, patrzącej z przerażeniem, jak się całujemy i stwierdzam, że ma rację.

– W środku też nie możemy – mówię spłoszona.

Rozumie, bez konieczności tłumaczenia i rzuca sugestię:

– Ogród.

Wyobrażam nas sobie w namiętnym pocałunku w świetle księżyca, przy fontannie Afrodyty. Matteo popycha mnie na trawę i usadawia się pomiędzy moimi nagimi udami, a sutki mi twardnieją. Między nogami czuję tępy ból, który krzyczy o ukojenie.

W co ja się, do cholery, wpakowałam?

– To tylko pocałunek – mruczy Matteo, patrząc jak moja twarz zalewa się rumieńcem. – Dwie minuty. Włączę stoper, żebyś czuła się bezpieczniej.

Mam okropne przeczucie, że nigdy nie będę przy nim bezpieczna, ale przełykam strach i przytakuję, a potem odwracam się i ruszam w stronę ogrodu, nie oglądając się za siebie.

Nie muszę patrzeć, żeby czuć, że idzie za mną. Jestem tak świadoma jego obecności, jak swojego łomoczącego pulsu. Przez wszystkie lata spędzone z Bradem przy żadnym pocałunku nie czułam takiego zniecierpliwienia. A może to lęk?

Pewnie jedno i drugie. Pragnę go, ale nienawidzę się za to, że pozwoliłam, żeby zaszedł mi za skórę. Za wszystkie sposoby, w jakie potrafi mnie rozbroić zaledwie spojrzeniem.

Blask księżyca przesącza się przez korony drzew, kiedy zmierzam kamienną ścieżką w stronę fontanny. Świerszcze pokazują pełnię swoich możliwości, grając zapamiętale, kiedy je mijamy. Powietrze jest ciepłe, ale moja skóra jeszcze cieplejsza. Jestem zarumieniona i brakuje mi tchu.

Zatrzymuję się gwałtownie i odwracam do niego, przekonana, że nasza umowa jest kolosalną pomyłką. Już mam złamane serce. Byłabym głupia, gdybym pozwoliła sobie uwierzyć, że Matteo zrobi cokolwiek innego, poza roztrzaskaniem go na dobre.

– Nie mogę tego zrobić – oznajmiam, wpatrując się w jego buty. Są skórzane, czarne, lśniące i o wiele mniej niebezpieczne niż jego oczy. Patrzę, jak jego buty zbliżają się, aż czubki naszych stóp się stykają.

Stawia aktówkę na ziemi, potem zsuwa torebkę z mojego ramienia i ją również odkłada. Wtedy wkłada kciuk pod moją brodę i unosi mi głowę.

Przez chwilę milczy, przyglądając się mojej twarzy, z namysłem głaszcząc palcem moją szczękę. Stoję tak, drżąc i pragnąc znaleźć się

gdziekolwiek indziej. Żałuję, że nie jestem kobietą, za jaką miał mnie ojciec – silną, odważną i kompetentną.

Ale nie jestem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była czy miała być. Jestem po prostu dziewczyną, która widzi serduszka przed oczami za każdym razem, kiedy przystojny mężczyzna zwraca na nią uwagę. Jeśli to nie jest żałosne, to nie wiem, co jest.

Matteo pyta łagodnie:

– To mnie nie ufasz, czy sobie?

Przełykam i zamykam oczy, zniesmaczona tym, jak łatwo mnie rozgryzł. Przez trzy lata z Bradem musiałam wszystkie uczucia wykładać jak kawę na ławę, żeby w ogóle pomyślał, że coś jest na rzeczy, ale Matteo jakimś cudem prawidłowo interpretuje każdy niuans moich reakcji.

Przypuszczalnie to dlatego, że zawsze przygląda mi się z bliska.

– Jedno i drugie – przyznaję żałośnie.

Duże, ciepłe dłonie obejmują moją twarz.

– Dziękuję za szczerość – szepcze i delikatnie muska ustami moje wargi.

Przebiega przeze mnie błyskawica, jakby ktoś podłączył mnie do gniazdka. Wciągam drżący oddech. Otwieram oczy i wpatruję się w niego spanikowana.

– Nie uciekaj – szepcze.

Jęczę.

– To, że wiesz, co miałam zamiar zrobić, sprawia, że jeszcze trudniej jest zostać na miejscu – odpowiadam szczerze.

– Nie podoba ci się, że wiem, co czujesz.

To nie pytanie i przez to czuję się jeszcze gorzej. Zaczynam myśleć, że nie ma rzeczy, których on nie widzi, cholerny jasnowidz.

Odwracam głowę, a on przyciska policzek do mojego.

– Ale ty też wiesz, co ja czuję, więc jesteśmy kwita.

– Nie wiem, co czujesz. Nic nie wiem – szepczę.

Ujmuje moją dłoń i przykłada sobie do piersi. Czuję mocne, szybkie uderzenia.

– Wiesz, po prostu temu nie ufasz – mówi, intensywnie wpatrując się w moje oczy.

– Nie mogę temu ufać. Nie tylko mam wątpliwy gust do mężczyzn, ale jesteśmy też wrogami.

– Przyjacioło-wrogami. Całowanie jest dodatkową korzyścią.

– Nie ma czegoś takiego – stwierdzam sceptycznie.

– Teraz już jest.

Żeby to udowodnić, całuje mnie.

I, och, co to za pocałunek. Jest inny niż pozostałe, bo Matteo zaczyna tak powoli, ostrożnie, jego usta drażnią moje, język jest najdelikatniejszą pieszczotą na moich wargach. Jest delikatny w sposób, w jaki nigdy nie był, prawie słodki, a efekt jest dewastująco intymny.

Tak łatwo mogłabym zakochać się w tym mężczyźnie. Moje serce nie pragnie niczego bardziej, niż odpuścić i pozwolić na to, ale nigdy więcej nie mogę być tak ślepa, jak w przypadku Brada.

Dla Matteo to może nie być niczym więcej, tylko manipulacją, sposobem, żeby mieć ciastko i zjeść ciastko. Właśnie w tej chwili jego załoga może pracować nad moimi projektami. Wbrew swoim zapewnieniom mógł skopiować każdą stronę z mojego szkicownika. Możliwe, że nie ma najmniejszego zamiaru zniszczyć projektów przed pokazem. W zasadzie mógłby liczyć na to, że moje zdruzgotane ego i złamane serce przyćmią mi zdrowy rozsądek.

Możliwe, że sama wchodzę w jego pułapkę.

Odsuwa się i patrzy na mnie, a w jego oczach dostrzegam żar i mrok.

– Rozmyślasz. Przestań – mówi.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie dałeś mi jeszcze szkicu. Rano też nie. Jesteś mi winien dwa.

– Kiedy skończymy – odpowiada i znowu dopada moich ust.

Chwytam go za koszulę, żeby utrzymać równowagę. Oplata mnie ramionami i przyciąga do siebie. Wszystkie moje zmysły są przytłoczone zapachem nocy i jego, uczuciem silnego ciała przy moim oraz mroczną tęsknotą, która odgania i niszczy moją samokontrolę. Kiedy z głębi mojego gardła wydobywa się desperacki odgłos, Matteo całuje mnie jeszcze mocniej. Jedną dłoń wplata mi we włosy.

Musi mieć inne kobiety. Nie mogę być jedyna. Jest bogaty, sławny, seksowny, a ja kim jestem? Smutnym, małym nikim. Odtrąconą Krawcową. Porzuconą Szwaczką. Kobietą, która nie miała dość zdrowego rozsądku, by zdać sobie sprawę, że jej narzeczony woli kutasy od niej.

Odpycham Matteo i trzymam go na dystans, kładąc dłonie na jego piersi i blokując ręce w łokciach. Stoimy tak przez chwilę, a noc wokół nas oddycha cicho, aż Matteo kładzie dłonie na moich.

– Cokolwiek dzieje się między tobą a twoim byłym, pamiętaj jedno: ja nie jestem nim. – Jego głos jest niski i ochrypły.

Boże, zlituj się, on dokładnie wie, co myślę.

Jak mam sobie z tym poradzić? Jaka byłaby najmądrzejsza reakcja? Śmiech? Odesłanie go do diabła? Potrzebuję rady.

Nagle dopada mnie taka tęsknota za ojcem, że chce mi się płakać. Matteo uwalnia moje dłonie. Schyla się po aktówkę, otwiera ją, wyjmuje dwie kartki papieru i podaje mi je.

Moje szkice.

Oczywiście, że przyszedł przygotowany. Zawsze jest przygotowany na wszystko.

Kiedy odbieram je od niego, zamyka aktówkę, prostuje się i trzyma ją w dłoni.

– Do zobaczenia jutro. O ósmej – rzuca i odwraca się, znikając w nocy.

Zostawia mnie, jakby wiedział, że właśnie rozważałam zerwanie całej naszej umowy.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Kimber

Wchodzę do pokoju i zastaję tam pobojowisko. Moje ubrania zostały wywleczone z otwartej walizki, rozrzucone po całym pokoju i podarte na strzępy. Zszokowana, podnoszę koszulkę i oceniam szkody. Patrząc na rozmiar rozdarć i dziur w tkaninie, została zaatakowana przez wściekłe zwierzę z małymi pazurkami i drobnymi, ostrymi kłami.

– Fasolka – mamroczę, kipiąc ze złości.

Ewidentnie Matteo nie jest jedynym członkiem rodziny Moretti, z którym pozostaję w stanie wojny.

Sprzątam bałagan, fantazjując przy tym, że łapię Fasolkę i golę jej futro tak, żeby przypominała pudla. Cornelii nie ma nigdzie w pobliżu. Przypuszczam, że nie chce wpaść w tarapaty przez niegrzeczne zachowanie siostry.

Idę spać bez kolacji, zbyt wykończona, żeby jeść. Rano budzę się z workami pod oczami i bólem głowy tak potężnym, jakby ktoś próbował dostać się do wnętrza mojej czaszki, używając młota udarowego. Biorę prysznic, ubieram się, zabieram jabłko z miski na kuchennym stole i wychodzę jeszcze przed świtem.

Pracuję do jedenastej, a potem dzwonię po taksówkę, która zabiera mnie na wizytę w klinice. Załatwiam wszystko w dwadzieścia minut, oddaję krew i mocz, a także omawiam wszystkie życiowe wybory, które doprowadziły mnie do tej chwili. Kiedy wracam do sklepu, zamawiam lunch dla moich pracownic, ale sama jestem zbyt zestresowana badaniami, żeby jeść.

Wyniki będę miała dopiero za dwa dni. Więc, w zależności od tego, jak sprawy się ułożą, Bradowi może pozostać jeszcze czterdzieści

osiem godzin życia. Odblokowuję jego numer i piszę mu to, żeby cierpiał razem ze mną.

W ciągu sześćdziesięciu sekund mój telefon zaczyna dzwonić.

– Na pewno wszystko będzie w porządku – mówi Brad, kiedy odbieram. – Uwierz mi. Wszystko jest dobrze.

– *Uwierzyć* tobie? Naprawdę? – ironizuję jadowicie.

Wzdycha po chwili ciszy.

– Tak, to niefortunny dobór słów.

– A mówiąc o niefortunnych wyborach, możliwe, że będziesz musiał brać nogi za pas, kiedy znowu spotkasz się z Matteo.

– Czemu? Jest homofobem? – pyta skonsternowany.

Krzywię się.

– *Homofobia* to takie nieadekwatne słowo. Przecież to nie fobia. Nikt się niczego nie boi. Ci ludzie po prostu są dupkami – mówię z niesmakiem.

Brad śmieje się.

– Myślę, że Samuel L. Jackson kiedyś to powiedział.

– Możliwe. Jest bardzo mądry. – Wyjątkowo zgadzam się z nim.

– O co chodzi z tym uciekaniem? – dopytuje Brad.

– Cóż, sprawy mają się tak, że może chcieć skopać ci tyłek.

Po chwili ciszy dłuższej, niż wcześniej, mówi:

– Dwie sprawy.

– Wal – przyzwalam.

– Pierwsza: nie powiedziałaś mu, że jestem gejem, prawda?

– Nie – przyznaję.

– Dlaczego?

– Nie powiedziałeś nawet swoim rodzicom. To nie moje zadanie, żeby uświadamiać cały świat o twojej orientacji.

Brad, zszokowany, wykrzykuje cicho i wypuszcza powietrze.

– Nie mogę uwierzyć, że chronisz mnie po tym, co zrobiłem.

– Wiem. Jestem niesamowita. Nie zasługujesz na mnie. Ale pamiętaj, że moje milczenie nie dotyczy kobiet, które będziesz chciał wkręcić w małżeństwo, udając, że jesteś hetero. To, gdzie chcesz wkładać fiuta, jest twoją sprawą, o ile nie będziesz próbował zniszczyć życia kolejnej, biednej dziewczynie. Wtedy już po tobie. A co to za druga sprawa? – pytam, kończąc wywód.

– Jak poważnie go traktujesz?

To pytanie szokuje mnie tak, że milknę. Odkąd to Brad stał się taki spostrzegawczy? Kiedy staje się jasne, że nic z siebie nie wyduszę, Brad postanawia mnie wyręczyć.

– Byliśmy razem przez trzy lata, Kimber. Wiem, że masz mnie za nierozgarniętego, ale nawet ja widzę, że nigdy nie patrzyłaś na mnie tak, jak na niego – mówi.

Przypominam sobie, jak Brad patrzył na mnie, kiedy szłam do ołtarza i serce ściska mi się boleśnie.

– Może pewnego dnia będziemy się z tego śmiać. Może pewnego dnia, za kilka lat, kiedy uda mi się zalepić wszystkie dziury, które wyrwałeś w moim sercu, znowu będziemy mogli zostać przyjaciółmi. Ale w tej chwili muszę być szczera i powiedzieć, że to nie twój pieprzony interes.

– A jednak mój, bo zależy mi na tobie – odpowiada.

– Ciekawie to okazujesz – mamroczę.

– Przyjrzałem mu się – informuje mnie.

– A co to ma niby znaczyć? – pytam zaskoczona.

– W internecie. Sprawdziłem go.

– Cokolwiek zamierzasz mi powiedzieć, nie chcę tego słuchać – oznajmiam.

Parska, jakby uważał, że jestem zabawna.

– Kłamczucha.

Przygryzam wargę, siadam na krześle i przygotowuję się na najgorsze.

– Jest kobieciarzem, tak?

– Prędzej mnichem. Od lat nie sfotografowano go z żadną dziewczyną. Według stron plotkarskich ma obsesję na punkcie pracy.

– Albo potrafi się świetnie ukrywać – odpowiadam mrocznym tonem.

– Nie każdy ma trupy w szafie – stwierdza Brad.

– Ani słowa o tym.

Śmieje się, rozbawiony.

– Racja. Ups. Ale to trochę śmieszne, co?

– Tak, zupełnie jak nieoperacyjny guz mózgu. Rozłączam się – mówię ostro.

– Zanim to zrobisz, powiedz, kiedy mam wystąpić w roli modela.

Od razu staję się podejrzliwa.

– Czemu pytasz?

– Moja mama chce wiedzieć, czy wyślę jej jakieś zdjęcia.

Oczy wychodzą mi z orbit.

– Powiedziałeś o tym swojej matce? – Szczęka opada mi z wrażenia.

– Cóż, tak. To znaczy… moi rodzice wiedzą, że poleciałem do Włoch, żeby cię odzyskać.

Oczywiście. Rodzice Brada zawsze muszą wiedzieć, gdzie jest. Kiedyś uważałam to za urocze, ale teraz wiem lepiej. Tutaj chodzi tylko o chorą potrzebę kontroli.

I znowu jestem wściekła.

– Powiedz matce, że będzie mnóstwo zdjęć. Na pewno niczego nie przegapi. – Chciałabym dostać zdjęcie jej twarzy, kiedy zobaczy swojego syna w sukni.

Bradowi nadal nie przyszło do głowy zapytać, co będzie miał na sobie, pomijając fakt, że ja zawsze tworzyłam tylko damskie stroje. Prawdopodobnie myśli, że wejdę w męskie ubrania specjalnie dla niego.

– Świetnie. Dzięki, pa… a, Kimber. Dzięki, że podchodzisz do wszystkiego na luzie. To wiele dla mnie znaczy.

– Jeszcze mi nie dziękuj, idioto.

Rozłączam się bez pożegnania. Potem ponownie blokuję jego numer, bo mam przeczucie, że jeśli tego nie zrobię, będzie mi wysyłał uniesione kciuki i przyjacielskie emotki co godzinę, przez cały dzień i noc.

Powinnam była pozwolić, żeby Matteo go zamordował i zakopał za domem. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdybym musiała radzić sobie tylko z wyrzutami sumienia.

Zakładając, że w ogóle miałabym jakieś wyrzuty sumienia po śmierci Brada, a bardzo w to wątpię.

***

Kiedy podjeżdżam do domu taksówką o siódmej, czarny samochód Matteo stoi już na podjeździe.

– Świetnie – mówię pod nosem. – A może po prostu się wprowadzisz? Wszyscy będziemy jedną, wielką, wbijającą sobie nóż w plecy rodziną.

Zatrzaskuję drzwi taksówki z większą siłą niż to koniecznie, potem wmaszerowuję do domu, a z moich uszu tryska para. Cała ta sytuacja wygląda, jakby wymykała się spod kontroli, jakbym znajdowała się w jakiejś kiepskiej operze mydlanej. Za chwilę dowiem się, że mam złą siostrę bliźniaczkę, o której nie wiedziałam, a która chce położyć łapska na *Il Sogno* i firmie ojca.

Na tym etapie kusiłoby mnie, żeby powiedzieć: *a bierz sobie wszystko!* i umyć ręce od tego.

Kiedy wchodzę do jadalni, Matteo i markiza siedzą pogrążeni w rozmowie. Pochylają głowy, mówią cicho i szybko, jakby planowali obalenie rządu. Odsuwają się od siebie, kiedy mnie widzą. Matteo rozpiera się na krześle, przebiegłość błyszczy mu w oczach, a jego matka zaczyna karmić kawałkami jedzenia ze swojego talerza Fasolkę, która siedzi w swoim krzesełku i wpatruje się we mnie z żarem tysiąca słońc.

Kładę rękę na biodrze i odpowiadam podobnym spojrzeniem, również dwóm pozostałym osobom przy stole.

– Nie chcę przeszkadzać w tym podłym planie, który zapewne właśnie knujecie.

Matteo uśmiecha się szeroko.

– Podłym? Czytałaś słownik? – pyta, a ja odpowiadam uśmiechem, który mógłby zdzierać farbę ze ścian.

– Tak. Jest tam wiele interesujących słów na literę „p”. Przemądrzały. Paw. Palant. Pompatyczny. Mogę tak dalej.

Z rozbawieniem w oczach Matteo odparowuje:

– Pakt. Podpis. Papier.

Oczywiście musiał wprowadzić nasz durny układ do tej rozmowy. Śmieje się, kiedy zerkam znacząco na nóż obok jego talerza.

– Kiepski dzień, droga siostrzyczko przyrodnia? Wydajesz się spięta. – Wykazuje się wątpliwą troską.

Drwi ze mnie, kretyn. Dlaczego jest w takim świetnym nastroju?

– Była siostro przyrodnia – prostuję, podkreślając „była”.

– Tak, zgadza się. Wiem, że to wprowadzało pewne nieścisłości – rzuca beztrosko.

Kiedy cień uśmiechu pojawia się na ustach markizy, rozważam zastąpienie jej szamponu płynem do usuwania włosów. Bez kolejnego słowa do któregokolwiek z nich wychodzę i ruszam prosto do sypialni. Cornelia drzemie na środku mojego łóżka, na grzbiecie, z rozłożonymi nogami, jakby ktoś ją zastrzelił.

– Psie!

Podrywa głowę, przekręca się i siada. Kiedy mnie zauważa, szczeka i zaczyna wić się z ekscytacji jak szczeniak, uderzając łapami w kołdrę.

Wskazuję na posłanie, które zrobiłam dla niej z koców. Przestaje szaleć, kładzie uszy po sobie, spogląda na koce, a potem na mnie. Potem opada na brzuch i układa swój wielki łeb na łapach i patrząc błagalnym wzrokiem, stara się wyglądać jak najbardziej żałośnie.

– Cornelia. – Słyszę za plecami głos Matteo. – Wyjdź.

Nie musi powtarzać. Pies zwleka się z łóżka z ogonem pomiędzy łapami i zwija się w wielką, czarną kulkę na kocach, przykrywając oczy łapą.

– Nie ma jeszcze ósmej. – Rzucam torebkę na komodę i odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Opiera się o framugę, z rękami w kieszeniach, uśmiechając się, jakby był na wakacjach.

Ignoruje mój komentarz i mówi:

– Kocham cię w tej sukience. Wyglądasz jak gwiazda filmowa. – Przesuwa spojrzeniem po mojej figurze, zatrzymując się na piersiach i nogach, zanim wraca do twarzy. – Kolor pasuje ci do oczu – mruczy.

Starając się usilnie zignorować „kocham cię”, które zawisło w powietrzu jak odpalona laska dynamitu, nerwowo wygładzam sukienkę w talii.

– To jeden z projektów ojca. Pewna mała, szatańska, futrzana kulka podarła większość moich ubrań. Taksówkarz, który wiózł mnie do pracy chyba sądził, że jestem bezdomna.

– Powinienem przestrzec cię przed Fasolką. Ma manię gryzienia wszystkiego.

– Dzięki za przestrogę – rzucam cierpko. – Wracaj do swojej kolacji.

– Jadłaś już?

Dokładnie w chwili, kiedy mówię „tak”, mój żołądek wydaje z siebie głośny, alarmujący dźwięk, który brzmi, jakbym miała w brzuchu obcego.

Matteo uśmiecha się i potrząsa głową.

– Zaraz wracam.

Odwraca się i wychodzi. Czuję ulgę, bo wydaje mi się, że mam trochę czasu, zanim wróci i zacznie żądać pocałunków, ale pojawia się za pięć minut, niosąc talerz pełen jedzenia.

Cornelia unosi głowę, wąchając powietrze z zaciekawieniem. Mój żołądek warczy jak potwór.

– *Ossobuco alla Milanese*[42] – oznajmia Matteo. – Specjalność mojej matki.

– Twoja matka gotuje? – pytam zaskoczona.

Śmieje się z mojego tonu pełnego niedowierzania.

– Jest wspaniałą kucharką. Zwykle to Lorenzo czyni honory, ale w piątki jemy rodzinną kolację, którą ona przygotowuje.

Wyciąga talerz w moją stronę. Jest na nim cielęcina odchodząca od kości, *polenta*[43] i jakieś małe kulki w czerwonym sosie. Zakładam, że to klopsiki, ale Matteo wyprowadza mnie z błędu.

– To są *arancini di riso*[44]. Kulki ryżowe wypełnione *ragù*[45], pokryte bułką tartą i usmażone. Są pyszne – zachwala Matteo.

Na pewno smacznie pachną. Woń potraw sprawia, że ślina napływa mi do ust. Odbieram talerz z jego rąk i przyjmuję widelec, który mi podaje. Biorę ostrożny kęs cielęciny, nie do końca przekonana, że nie jest zatruta, ale jęczę z przyjemności, kiedy smak eksploduje na moim języku.

Matteo uśmiecha się.

– Dobre?

Przełykam i wpycham do ust więcej.

– O mój Boże. Tak cholernie dobre – mówię, kiedy przełykam kęs.

Zdaję sobie sprawę, jak erotycznie to zabrzmiało, kiedy jego oczy ciemnieją. Patrząc na moje usta, mówi cicho:

– Tak cholernie dobre.

Przechodzi przeze mnie prąd, jakbym włożyła palec do gniazdka. Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, aż przypominam sobie, że muszę przełknąć. Kiedy talerz drży w mojej dłoni, Matteo zabiera mi go. Wyjmuje mi z ręki widelec, nabija kawałek mięsa i podsuwa mi do ust.

– Nie trzeba mnie karmić – protestuję.

– Nie masz pojęcia, czego ci trzeba. Otwórz.

Dobra, moje majtki właśnie eksplodowały. I co z tego? To wcale nie znaczy, że on tu rządzi.

– Przyzwyczaiłeś się, że wszystko jest po twojemu, co? – prycham ze złością.

– Tak. A teraz otwórz buzię. – Szturcha moje usta końcówką widelca.

Mam ochotę kopnąć go w goleń, ale jestem zbyt głodna, żeby walczyć, więc po prostu rozchylam wargi i pozwalam, żeby wsunął między nie widelec.

Obserwuje mnie jak jastrząb. Kiedy oblizuję sos z dolnej wargi, jego oczy płoną. Oddech więźnie mi w gardle i chociaż bardzo chcę odwrócić wzrok, nie mogę.

Jestem sarną zastygłą w świetle reflektorów. Jestem lisem schwytanym w sidła.

Potem dostaję kęs kremowej *polenty*. Podaje mi ją powoli, wsuwając widelec do moich ust, skupiając na mnie nadzwyczajną uwagę. Czuję puls w każdej części ciała, nawet w opuszkach palców.

Kiedy przełykam, ociera kącik moich ust kciukiem. Potem oblizuje go, delektując się, jakby mógł poczuć mój smak, jakby pragnął, żeby ten kciuk był jakąś intymną częścią mojego ciała.

– Tak cholernie dobre – szepcze z płonącym wzrokiem i ponownie napełnia widelec.

W takim tempie dostanę orgazmu, zanim dotrzemy do smażonych kulek.

– Matteo…

– Ćśś… – Trąca moje usta widelcem.

Zamykam oczy i pozwalam, żeby mnie karmił, przełykając wszystko, co podaje mi do ust. Mój puls staje się nierówny, a na skórę

występuje żar. Po trzech kolejnych kęsach jestem już tak podniecona, że ledwo mogę przełykać.

Matteo dotyka pulsującej żyły na mojej szyi, pochyla się i całuje ją.

Gwałtownie otwieram oczy i z zaskoczeniem wciągam powietrze. Ze stukiem odstawia talerz na komodę, a potem wplata palce w moje włosy i przekrzywia szyję, żeby mnie pocałować.

– Drzwi są otwarte! – wyduszam z siebie bez tchu.

– Pieprzyć drzwi – warczy i miażdży moje usta.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Kimber

Smakuje przyprawami, winem i czymś nieokreślonym, co ma w sobie tylko on. Tym tajemniczym, męskim narkotykiem, którym pokryty jest jego język. Tracę równowagę i zataczam się krok w tył. Tyłkiem uderzam w komodę, aż widelec podskakuje na talerzu, ale jego usta dopominają się całej mojej uwagi. Kiedy wbijam palce w jego bicepsy, on wplata obie dłonie w moje włosy.

Ten pocałunek jest mocniejszy niż poprzedniego wieczoru. Bardziej zmysłowy. To pocałunek, który w oczywisty sposób mówi: *chcę z tobą robić brzydkie rzeczy*, a moje ciało reaguje tak, jakby powiedział to głośno.

Sutki mi twardnieją. Piersi stają się ciężkie i zaczynają boleć. Między nogami czuję ten nieznośny żar, który staje się jeszcze gorętszy, kiedy Matteo przyciska biodra do moich, tak że jego erekcja zostaje uwięziona pomiędzy nami, bardzo blisko miejsca, w którym najbardziej go pragnę.

Odrywam się od niego, zaniepokojona otwartymi drzwiami i myślą, że Najdroższa Mamusia mogłaby tu zajrzeć, ale Matteo mnie nie puszcza. Stoimy tak, pierś przy piersi, biodra przy biodrach i oddychamy ciężko. Trzymamy siebie nawzajem i patrzymy sobie głęboko w oczy.

Mój Boże. Ten facet sprawia, że słowo „seksowny” wydaje się nieadekwatne.

Odchyla mi głowę i bierze głęboki wdech tuż przy mojej szyi. Ociera się o mnie gorącym, szorstkim policzkiem. Kiedy wsuwa nos w moje włosy, drapanie zarostu sprawia, że dostaję gęsiej skórki.

– Powiedz mi, co pomyślałaś, że przez to zadrżałaś – mówi ochryple.

– Chcę poczuć ten ostry zarost na udach.

Nie zdaję sobie sprawy, że powiedziałam to na głos, dopóki Matteo nie odwraca się do Cornelii, żeby nakazać jej wyjście z pokoju. Podąża za nią do drzwi i zamyka je, potem powoli wraca do mnie. Ledwo mogę stać, przytrzymując się komody.

Bez słowa opada na kolana przede mną i podwija sukienkę w górę nagich ud.

Ledwo zdążę pisnąć jego imię, zszokowana, zanim chowa twarz między moimi nogami. Bierze głęboki wdech, wydaje z siebie wygłodniały dźwięk, a potem otwiera usta i gryzie mnie przez majtki.

Dokładnie. *Tam*.

Nie mocno. Nie boli. To bardziej jak zaznaczenie prawa własności, jakby mówił: *to moje i zrobię z tym, cokolwiek zechcę*. To tak niespodziewane i na wskroś erotyczne, że nie mogę powstrzymać cichego jęku.

Matteo otwiera oczy i podnosi na mnie wzrok, a ja wpatruję się w niego. Wzrok ma tak pociemniały, tak niebezpieczny, że moje serce zaczyna łomotać w piersi. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, powoli przesuwa żuchwą po wewnętrznej stronie uda, drażniąc je zarostem, a potem odwraca głowę i całuje to samo miejsce. Kiedy czubkiem języka przesuwa po mojej skórze, fala gorąca opływa całe moje ciało.

Odwraca głowę do drugiego uda, pociera o nie szczęką, całuje i liże, jak przy poprzednim. Z tym, że teraz używa również dłoni, przesuwając kciukiem po nagim ciele, tuż przy brzegu majtek, szczypie delikatnie, sprawdza i testuje, jak zachowuję się pod jego palcami i zębami.

Jego erekcja ostro odznacza się w jednej nogawce spodni. Sutki mam tak twarde, że widać je pod gorsetem sukni, dwa twarde punkciki krzyczące o uwagę jego gorących, wilgotnych ust.

– Rozłóż nogi – mówi i przesuwa nosem w górę i w dół wilgotnego miejsca na przedzie mojej bielizny.

Kiedy nie słucham, potrząsa głową i syczy.

Potem otwiera usta i zasysa moją pulsującą łechtaczkę przez majtki. Ostro wciągam powietrze, plecy mi sztywnieją, a oczy otwierają się szeroko. To takie złe, ale jest mi tak dobrze, że jedyne,

co chcę zrobić, to wepchnąć krocze w jego twarz i pozwolić, żeby sprawił, że dojdę teraz, szybko i sprośnie.

Mówi coś po włosku. Jego głos jest gardłowy, a oczy mu płoną. Wstaje tak szybko, że ledwo to zauważam. Przyciska mnie do siebie tak, że moje piersi zostają zgniecione przy jego twardej klatce. Całuje mnie ponownie, tak mocno, że aż się wyginam.

Jedną ręką przytrzymuje mi głowę, a drugą pieści pierś, ściskając ją w dłoni. Pociera i szczypie obolały sutek przez materiał. Kiedy jęczę mu w usta, odpycha talerz z jedzeniem na bok i sadza mnie na komodzie.

Sukienkę mam podciągniętą do bioder. Nogami oplatam go w pasie. Mózg już całkowicie się wyłączył, więc pozostały tylko doznania.

Jego palce zwinnie zajmują się guzikami na przedzie sukienki. W ciągu kilku sekund jestem zupełnie odsłonięta – zaróżowiona skóra, przyspieszony oddech i różowy stanik, który nie ma szans z jego wprawnymi palcami. Zapięcie jest z przodu. Znajduje na nie sposób nawet bez konieczności odrywania się od moich ust i już po chwili moje piersi znajdują się w jego dłoniach.

Kiedy ściska obie, wyginam się w łuk i drżę, jęcząc. Pochyla głowę do jednej piersi i zasysa jeden z twardych sutków, aż wciąga policzki. Wbijam paznokcie w jego ramiona i drżę. Jestem zgubiona.

Przechodzi do drugiej piersi, liże i ssie, mamrocze po angielsku i włosku, a ja oddycham płytko i wiję się przy nim. Głowę mam odrzuconą, a oczy zamknięte.

– Patrz na mnie… Taka słodka… *Cosi perfetta*[46]*… Il mio dolce amore perfetto*[47].

Jego słowa są takie delikatne, ton tak namiętny i czuły, że nagle obezwładniają mnie emocje. Gorące łzy kłują mnie w oczy. Ostro nabieram powietrza, desperacko starając się nie rozpłakać.

Wszystkie te razy, kiedy spałam z Bradem, były udawane. Moje życie było kłamstwem. A teraz jestem w ramionach mężczyzny, który z łatwością może ze mną pogrywać.

Znowu jestem wykorzystywana?

– Spokojnie. – Teraz mnie przytula, kołysze przy swojej piersi, z policzkiem przyciśniętym do czubka mojej głowy. Jego ciało dopasowało się do mojego. Przeczesuje dłonią moje włosy, głaska po plecach, cicho uspokaja, kiedy wydaję z siebie rozpaczliwe odgłosy. – Po prostu oddychaj, *bella*. Ćśś…

– Wszystko w porządku – mówię drżącym głosem.

– Wcale nie. I nie okłamuj mnie więcej.

Jego głos jest zarazem łagodny i twardy, pieszczota i rozkaz, daje mi dobitnie znać, że nie ukryję się przed nim, a jeśli spróbuję kolejny raz, będą konsekwencje.

Popycham go w pierś, ale jest niewzruszony. Jego ramiona wokół mnie zmieniają się w stalową obręcz. Nachyla się do mojego ucha i szepcze:

– Uciekanie niczego nie rozwiąże. Porozmawiaj ze mną. Co się właśnie stało?

Ukrywam mu twarz na piersi, wciskając głowę pod jego obojczyk. Mrugam gwałtownie, próbując pozbyć się łez.

– Nie jestem taka twarda, jak próbuję wyglądać – szepczę w końcu.

Z jego ust słyszę cichutki śmiech.

– Wiem – szepcze, przesuwając palcami po moim kręgosłupie. – To jedna z rzeczy, które w tobie uwielbiam.

O Boże. Co to robi z moim biednym sercem. Można by pomyśleć, że miało już dość facetów, którzy rzucają słodkie słówka, ale wywija koziołka w mojej piersi jak smutny klaun, którym w rzeczywistości jest.

– Nie rozumiem, czemu to robisz – odzywam się po chwili.

– Co robię? – pyta z zainteresowaniem.

Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy. Mruga z zaskoczenia, kiedy widzi moją twarz i ściąga brwi. Wyobrażam sobie, że wyglądam jak dzikie zwierzę zapędzone pod ścianę.

– Powiedziałeś mi, że chcesz kupić firmę ojca. Jasno wyraziłeś, że nie sądzisz, żebym poradziła sobie w biznesie modowym tutaj. A ta cała gra w całowanie… jaki to ma cel? Masz nadzieję, że coś do ciebie poczuję i wtedy skłonisz mnie do sprzedaży? Próbujesz rozkochać mnie w sobie, żeby zdobyć to, czego naprawdę chcesz, czyli firmę?

Jest na mnie skupiony z przerażającą intensywnością. Jego spojrzenie wwierca się we mnie.

– A czujesz coś do mnie?

Jego ton jest pozbawiony emocji. Nie zdradza niczego, co mógłby myśleć albo czuć, jego twarz też nie. Jedyne, co na pewno widzę, to jego niezwykłe skupienie, co pokazuje, że moja odpowiedź jest dla niego ważna, ale nie wskazuje to, dlaczego.

Nie bądź głupia. Nie pozwól, żeby piękny oszust znowu złamał ci serce.

Postanawiam zmienić temat i zobaczę, jak z tego wybrnie.

– O czym rozmawiałeś z matką, kiedy weszłam?

Jego lewa powieka drga, ale to jedyna reakcja, jaką otrzymuję. Po chwili ciszy odpowiada:

– O niczym ważnym.

– Jeśli to nic ważnego, możesz mi powiedzieć. O co chodziło?

Mięsień w jego szczęce napina się. Powoli nabiera powietrza i wypuszcza je. Podejrzewam, że próbuje grać na czas. I to tyle. Ta chwila wahania mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Patrząc mu w oczy ze śmiertelną powagą, mówię:

– Odsuń się.

Marszczy brwi i wykrzywia się w taki sposób jak zawsze, kiedy jest niezadowolony. Widzę, że potrzebne będą groźby.

– Jeśli nie chcesz, żebym kolanem zamieniła twoje jaja w naleśniki, odsuń się.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem klnie pod nosem i cofa się, zakładając ręce na piersi tak, że on i jego jaja mogą obrzucać mnie wściekłym spojrzeniem z odpowiedniej odległości.

Niezdarnie zapinam guziki sukienki, zawstydzona, że pozwoliłam mu dobrać się do siebie tak łatwo. Nadal czuję jego usta na skórze.

– Powiedz, czy coś do mnie czujesz. – Jego głos jest niebezpiecznie cichy.

– Powiedz, czy mną manipulujesz – odpowiadam żądaniem.

Zirytowany potrząsa głową.

– Mówiłem ci już, nie jestem twoim byłym.

– Dokładnie to powiedziałby mężczyzna, który próbuje mną manipulować. Łatwiej byłoby po prostu powiedzieć „nie”. Chyba że

prawdziwa odpowiedź brzmi „tak”.

Znowu przeczesuje włosy palcami, klnie i zaczyna krążyć po pokoju.

– Dobra, chcesz, żebym z tobą porozmawiała? Proszę bardzo. Przedstawię ci mój najgorszy scenariusz z możliwych. Twoja matka, która, jak sam przyznałeś, jest tobą zawiedziona, potrzebuje zabezpieczenia, że nie wyrzucę jej z domu. Ojciec nie zapisał jej nic w testamencie, co musiało naprawdę zaboleć, ale jego durna córka ostatnio została spektakularnie porzucona i jest wrażliwa. Jest w posiadaniu firmy, którą chciałbyś mieć oraz drogiego domu, którego twoja matka chciałaby zostać prawowitą właścicielką, więc razem postanawiacie, że zamieszacie tak, że durna córka zakocha się w tobie i z uśmiechem odda wam wszystko. Akurat szczęśliwie się składa, że jesteś w posiadaniu szkicownika, który durna córka desperacko pragnie odzyskać, więc wymyślasz sprytny plan, który zakłada, że często spędzacie czas przyssani do siebie. Jaki jest lepszy sposób, żeby hormony zrobiły spustoszenie w jej mózgu? Kiedy już przekonasz ją, żeby sprzedała ci firmę i przekazała dom twojej matce, wrócisz do łask rzeczonej matki i wszyscy będą żyć długo i szczęśliwie. Poza mną. Durna Kimberella wykiwana przez kolejną ropuchę udającą księcia.

Zanim kończę, Matteo przestaje chodzić. Wpatruje się we mnie z opuszczonymi ramionami i lekko rozchylonymi ustami, a na jego twarzy maluje się dziwny wyraz.

– Tak właśnie myślisz? – pyta.

Nie jestem pewna, czy zszokowała go prawdziwość mojego wywodu, czy zamierza rzucić się na mnie i zacisnąć palce na moim gardle. Jego mina jest nieprzenikniona.

– Powiedz, że się mylę. – Wzruszam ramionami.

– Masz mnie za takiego właśnie człowieka? – naciska. – Kłamliwego, knującego, manipulującego kutasa? Uważasz, że tak desperacko pragnę akceptacji matki, że udawałbym zainteresowanie tobą, zanim jeszcze dowiedziałem się, kim jesteś?

Patrzę zdezorientowana, więc precyzuje:

– Na lotnisku nie wiedziałem, kim jesteś. W hotelu nadal nie miałem o niczym pojęcia. Dowiedziałem się dopiero, kiedy

przyszedłem na spotkanie, a ty siedziałaś na kanapie.

Ten cichy głosik, który słyszę, to syk powietrza spowodowany szpilką, którą właśnie przebił mój balon paranoi.

– Może już po tym, jak odkryłeś, kim jestem, zdecydowałeś, że wzajemne zainteresowanie tylko ułatwi ci sprawę – nie odpuszczam.

– Masz na myśli, że ułatwi mi przelecenie cię? – pyta pustym głosem.

Puls czuję wszędzie. Zaschło mi w ustach. Chciałabym wiedzieć, co mówi jego twarz, ale jestem tak kiepska w ocenianiu czyichś intencji, że prawdopodobnie uznałabym to za refluks i zaproponowała mu leki.

– Powiedz mi, że tak nie jest. Powiedz, że wszystko to sobie uroiłam. Powiedz, o czym rozmawialiście z matką, kiedy weszłam.

– Rozmawialiśmy o tobie – odpowiada bez wahania.

Wiedziałam!

– Co o mnie? – warczę.

Oczy mu błyszczą.

– I tak byś nie uwierzyła, gdybym powiedział, więc jaki to ma sens? – odwarkuje.

– Może powinieneś to sprawdzić! – podsuwam mu.

– Może powinnaś mi zaufać! – odparowuje.

Śmieję się, ale brzmi to okropnie. Jakbym umierała w środku.

– Przykro mi, hrabio, ale zaufanie to coś, czego ostatnio nie mam w nadmiarze.

Jego twarz pąsowieje od szyi aż po linię włosów. Żyła zaczyna mu pulsować na czole. Powoli nabiera powietrza i zaciska zęby.

– Jestem. Pieprzonym. Markizem.

Rusza do drzwi, otwiera je i zatrzaskuje za sobą tak mocno, że szyby w oknach drżą.

– Świetnie pokazujesz mi, że się mylę! – wrzeszczę.

Jedyną odpowiedzią, jaką słyszę, jest dźwięk jego stóp wściekle uderzających o podłogę w korytarzu.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Kimber

Następnego dnia jestem oszołomiona. Próbuję skoncentrować się na pracy, ale przygnębiająca scena z Matteo rozgrywa się w mojej głowie bez przerwy. Nie chce przestać, niezależnie jak bardzo próbuję się rozproszyć. Niepokój zawisa nade mną niczym chmura. Kiedy wracam do domu o siódmej trzydzieści, jestem tak wyczerpana, że muszę wychylić kieliszek wina, żeby uspokoić nerwy. Nie wiem, czy Matteo udusi mnie od razu, kiedy pojawi się o ósmej, czy może poczeka, zanim dostanie swój pocałunek.

Ale on nie przychodzi.

Nie potrafię zdecydować, czy czuję ulgę, czy zmartwienie. Co jego nieobecność może oznaczać?

Kolejnego dnia wychodzę z domu przed wschodem słońca i wracam do pracy. Poza nowymi projektami, nad którymi pracujemy, jest też kilka wcześniejszych zamówień ojca, które należy dokończyć. Dzień mija w zalewie różnych zadań. Jestem tak zajęta i rozproszona, że zapominam martwić się wynikami badań. Kiedy robię sobie przerwę na późny lunch, sprawdzam email w telefonie i znajduję wiadomość z instrukcją logowania do profilu, by otrzymać wyniki.

Zaczynam pocić się, jak zwierzę gospodarskie, i prawie wymiotuję.

Po ochlapaniu twarzy wodą i zafundowaniu sobie motywującej mowy w łazience, siadam przy biurku. Loguję się na stronę i staram się powstrzymać ręce od drżenia, kiedy wpisuję hasło.

Serce bije mi tak mocno, że odczuwam realny ból.

Strona ładuje się jakieś sto lat. Czcionka jest tak maleńka, że muszę przybliżyć i przeszukuję stronę w panice, próbując znaleźć coś, co przypomina słowo *pozytywny*.

Zajmuje to kilka nerwowych minut, ale w końcu mam potwierdzenie: negatywny wynik wszystkich badań.

Zamiast poddać się potrzebie wybuchnięcia płaczem, pozwalam sobie na całe pudełko lodów pistacjowych z uroczej, małej lodziarni na końcu ulicy, a potem dzwonię do Danielle, która ostatnio zostawiała mi coraz bardziej spanikowane wiadomości. Kiedy odbiera, pomija powitanie i od razu przechodzi do narzekania.

– Nie mogę uwierzyć, że nie zadzwoniłaś do mnie przez dwa tygodnie!

– Wiem. Jestem okropną przyjaciółką. Ale życie zdecydowało, że jestem świetna w roli tarczy, więc byłam zajęta przyjmowaniem strzałów.

– Twój tata. Och skarbie, tak mi przykro.

– Jenner ci powiedział?

– Tak. A także o twoim sklepie, gorącym przyrodnim bracie, dziwnej macosze i dwóch psach w sukienkach, które jedzą przy stole. Ciągle męczyłam go o nowe wiadomości. W twoim życiu jest więcej zwrotów akcji niż w koreańskich melodramatach z napisami, które oglądam.

– Jeśli to poprawi ci nastrój, słyszysz to jako pierwsza: Brad przyjechał za mną do Włoch.

Pisk, który wydobywa się ze słuchawki, jest tak przyjemny, jak kostka lodu wepchnięta do ucha.

– Co?! – krzyczy z niedowierzaniem Danielle.

– I nadal tu jest.

– Nie!

– Tak.

– Czego chce ten szczur? – pyta już normalnym tonem.

– Odkupienia, jak mniemam. – Wzdycham, wykończona samą myślą o nim. – Błagał mnie o przebaczenie. Nadal chce wziąć ślub.

Danielle wypuszcza powietrze, ale brzmi to tak, jakby zionęła ogniem.

– To kutas. Ma tupet! Wynajęłaś już płatnego mordercę?

– Nie znam żadnego. Nie każdy Włoch należy do mafii.

– Ale każdy Włoch prawdopodobnie *zna* kogoś z mafii, prawda? Albo kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś – upiera się.

– Oglądasz za dużo kryminałów.

– Och, racja – mówi po chwili. – Nie możesz mi powiedzieć. Wiarygodne zaprzeczenie. Mądrze.

– Nie ma żadnego mordercy, Danielle.

– Oczywiście, że nie. – Obniża głos do szeptu. – Myślisz, że linia jest na podsłuchu?

– Nie, ale naprawdę uważam, że powinnaś zająć się pisaniem powieści kryminalnych. Twoja wyobraźnia się marnuje. Jak Brian i dzieciaki?

Rozpromienia się.

– Dobrze. Dzieciaki za chwilę wracają do szkoły, na szczęście, bo jestem już bliska załamania nerwowego. Nie pamiętam, żebyśmy były tak melodramatyczne w ich wieku.

Danielle ma trzy córki. Poślubiła ukochanego ze szkoły średniej, przeniosła się na środkowy zachód i zaczęła produkować dzieci, zanim skończyła dwadzieścia lat, rozwalając wszystkie statystyki rozwodowe dla młodych małżeństw.

Przynajmniej jedna z nas ma szczęście w miłości.

– Byłyśmy zbyt durne na melodramaty. Pamiętasz moją fryzurę?

– Słodki Jezu, ta trwała! – Przyjaciółka parska śmiechem. – Wyglądałaś, jakbyś zrobiła sobie fryzurę, wkładając palce do gniazdka.

– Nie zapominajmy o twoim aparacie na zęby – odgryzam się od razu.

– Cztery lata pokazywania się publicznie, wyglądając, jakbym właśnie przyleciała z kosmosu. Nadal nie poradziłam sobie z tą traumą – mówi.

– Przynajmniej masz teraz piękne, białe zęby. Ja utknęłam z włosami, na których nie da się utrzymać ani jednego loka, chyba, że zmusi się je chemią.

– Twoje włosy są cudowne! Wiesz, ile dziewczyn z puszącymi się włosami zabiłoby, żeby mieć je takie proste?

Nie mów mi nic o prostych rzeczach, już zapomniałam, co to znaczy, wzdycham głęboko.

– Tęsknię za tobą – zmieniam temat szkolnych wspomnień.

– Ja za tobą też. Kiedy wracasz do San Francisco? Chyba dałabym radę przyjechać na Święto Pracy.

– Nie wracam do San Francisco. Postanowiłam zostać we Włoszech – informuję.

Milczenie Danielle aż wibruje zaniepokojeniem.

– Czy to ma coś wspólnego z twoim gorącym przyrodnim bratem? – pyta po chwili.

– Nie, po prostu chcę zacząć wszystko od początku.

– Powiedziałaś to Jennerowi? Nie wyobrażam sobie, żeby miał pozwolić ci przenieść się tysiące kilometrów tak po prostu.

– Tak, mówiłam mu. Nie popiera. Przyjedzie tutaj za kilka tygodni na Fashion Week i wtedy będzie mnie maltretował.

– Powodzenia. Nie chciałabym stać po przeciwnej stronie do Jennera.

– Więcej szczeka, niż gryzie – mówię lekkim tonem.

– Żartujesz? Widziałam, jak doprowadzał ludzi do łez jednym spojrzeniem. Jest przerażający.

– Jest Brytyjczykiem. Mają wprawę w straszeniu pospólstwa. – Słyszę dzwonek przy drzwiach i już wiem, że ktoś wszedł do sklepu. – Skarbie, muszę lecieć, ale obiecuję, że niedługo do ciebie zadzwonię, dobrze?

– Lepiej, żeby tak było, albo wyślę moje dziewczyny do Włoch, kiedy znowu będą miały wolne w szkole, i będziesz musiała radzić sobie z tymi małymi potworami – straszy mnie Danielle.

– I kto tu jest przerażający?

– Kocham cię, dzieciaku.

– Ja ciebie też. Pa!

Rozłączam się i ruszam na przód sklepu, ale staję jak wryta, kiedy dostrzegam, kto przyszedł.

Matteo stoi przy ladzie. Ma na sobie cudny, granatowy garnitur, wygląda elegancko, wściekle i seksownie.

W ręku trzyma mój szkicownik.

– Och. Cześć – mówię ostrożnie.

Unosi zeszyt.

– To twoje. – Rzuca go na blat lekceważącym gestem, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się go pozbędzie.

Jedno spojrzenie na szkicownik pozwala mi stwierdzić, że pozostałe szkice są w środku. Moje nerwy zaczynają płonąć.

– Dobra. Wejdę w to. Dlaczego mi go oddajesz?

– Już go nie chcę – mówi, wpatrując się we mnie z dziwnym wyzwaniem. – Nie jest wart tyle zachodu.

Robię, co w mojej mocy, żeby ukryć swoją reakcję na ten cios, ale chyba krzywię się lekko, bo wzrok Matteo staje się ostrzejszy.

– Rozumiem. – Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Kładę dłoń na brzuchu, ale to nie pomaga na kłucie, które czuję. – Dziękuję.

– Nie ma za co.

Ten dziwny, wyzywający wzrok zaczyna mnie przerażać. Jakby czekał, aż coś powiem albo zrobię, ale nie wiem, o co mu chodzi.

– Więc nasz układ jest skończony? – upewniam się spokojnym głosem.

– Nie wykorzystam twoich projektów i nie będę twierdził, że są moje – mówi ostrym tonem.

Miałam na myśli tę część z całowaniem, ale przypuszczam, że to oczywiste. Jeśli nie ma już szkiców, to nie ma o co się targować. A przecież to szkice są tu ważne, nie całowanie.

Chyba.

– Co spowodowało tę nagłą zmianę stanowiska? – Nie mogę ukryć ciekawości.

– Jakbyś nie wiedziała. Zresztą to i tak nie ma znaczenia. – Jego wzrok płonie. – Prawda?

Zraniłam go tamtego wieczoru.

Ta myśl mnie zdumiewa. Oskarżyłam go o manipulowanie mną i to zraniło jego uczucia.

Mały, czerwony diabełek stuka mnie w ramię i przypomina, że Matteo postanowił nie odpowiadać na moje pytanie, żeby zwrócić je przeciwko mnie, więc nie tylko on ma tu zranione uczucia.

Zwilżam wargi, rozdarta między gniewem, a chęcią przepraszania.

– To mogłoby mieć znaczenie.

– *Mogłoby* to za mało – odpowiada.

Kiedy przygryzam wargę, jego szczęki sztywnieją.

– Nie rób tak – żąda.

Widzę głód w jego spojrzeniu. W połączeniu z wściekłością daje niesamowicie seksowny efekt.

Postanawiam zapuścić się na nieznane wody.

– To nie ma znaczenia – przyznaję. – Nie jestem tylko pewna, co to znaczy.

Wpatrujemy się w siebie. W końcu oznajmia:

– Rozumiem. Masz teraz dużo na głowie. Ja tylko komplikuję ci życie. Ostatnim, czego chcę, to być dla ciebie problemem.

Dlaczego mam wrażenie, że to rozstanie? I dlaczego obchodzi mnie, jeśli rzeczywiście tak jest?

– Ja też nie chcę być dla ciebie problemem – deklaruję.

– Nie jesteś nim – odpowiada. – Jesteś najlepszym, co mnie spotkało, odkąd miałem dziesięć lat.

Oddech ucieka z moich płuc ze świstem, jakby dwie gigantyczne dłonie ścisnęły mnie z przodu i z tyłu.

– Och – szepczę, próbując nie upaść. – A co się stało, kiedy miałeś dziesięć lat?

– Matka wreszcie podarowała mi szczeniaka, o którego błagałem. Dog niemiecki, jak Cornelia. Nazwałem ją Maria, po mojej ulubionej śpiewaczce operowej. Kochałem ją całym sercem. Każdej nocy spała ze mną w łóżku, nawet kiedy zrobiła się na to za duża. Przesuwałem się na sam brzeg, żeby zrobić jej miejsce.

Jego głos jest surowy, a oczy błyszczą, aż serce mi puchnie. Myślę o tym, jak Cornelia przytulała mnie w nocy i wyobrażam sobie Matteo jako małego chłopca, tulącego psa w swoim łóżku w tym bezdusznym, zimnym zamku, w którym dorastał.

Niebezpieczeństwo, że zakocham się w nim w tej chwili, jest tak wielkie, że przygryzam policzek ze strachu.

– Miałeś ulubioną śpiewaczkę operową jako mały chłopiec? – pytam, uciekając od niebezpiecznych myśli.

– Wolno mi było słuchać tylko opery. Rodzice chcieli, żebym doświadczał kultury.

W wieku *dziesięciu* lat. Dodając do tego Ścianę Śmierci, powinien zostać zabrany przez opiekę społeczną.

– Maria zachorowała na raka i umarła – mówi Matteo ze smutkiem. Wygląda na zagubionego, aż muszę przygryźć policzek

mocniej.

– To okropne.

– Tak. Była moją najlepszą przyjaciółką. Bawiłem się z nią na dworze, kiedy umarł mój ojciec. Matka wysłała nianię, żeby mnie przyprowadziła, ale nie chciałem wejść do środka. Nie chciałem przebywać w tym pokoju, w którym pachniało chorobą, a wszędzie panowała ciemność. Dlatego odmówiłem wejścia do środka, a ojciec umarł i matka nigdy mi tego nie wybaczyła. Po tym odesłała mnie do szkoły z internatem, ale od tej chwili zawsze miała w domu doga niemieckiego. – Jego głos staje się słaby. – To był jej sposób na to, żeby zawsze przypominać mi, co zrobiłem.

Jestem zdruzgotana. Uderzył we mnie piorunem i spalił moją duszę na popiół. Nigdy wcześniej nie był przy mnie tak bezbronny. Zawsze pokazywał jakiś rodzaj arogancji albo pewności siebie, był zgryźliwy albo seksowny, droczył się albo rządził jak cholera. Nawet kiedy czule masował moje ramiona, gdy miałam kaca, zawsze udawał sztywniaka. Nadal miał na sobie pełną zbroję. Nadal sprawował całkowitą kontrolę.

Ale to… Ta wrażliwość i szczerość z ust takiego samca alfa jest pęknięciem na skorupie. Serce łomocze mi tak mocno, jakbym przedawkowała kokainę. Od razu się uzależniam i pragnę więcej. Zamierzam też udusić jego matkę.

– Miałam kiedyś chomika – wypalam. – Nazywał się Bugs, po moim ulubionym bohaterze kreskówek, Króliku Bugsie. Żył naprawdę długo. Znacznie dłużej niż średnia życia chomików.

Matteo mruga, jakby budził się ze snu. Marszczy czoło i rzuca tylko:

– Och.

Gdybym miała pod ręką jakiś ostry przedmiot, chętnie dźgnęłabym się w oko. Facet obnaża przede mną duszę, a ja odpłacam się fascynującą opowieścią o nieśmiertelnym chomiku.

Stać mnie na więcej.

– Po prostu jestem przerażona, że złamiesz mi serce.

Mówię to tym cichym głosikiem, którego używam jedynie zdradzając sekrety o sobie. Jestem przy tym mała i przerażona,

nienawidzę tego, ale tylko szeptem potrafię zdradzać największe tajemnice.

Matteo wygląda, jakby wstrzymywał oddech.

– Rzucasz mi wyzwania. Z tobą nigdy nie jest łatwo. I lubię to. Myślę, że takie coś jest mi potrzebne. Przy tobie jestem bardziej żywa, chociaż przez większość czasu mam ochotę ci przyłożyć za to, że jesteś taki irytujący. Kiedy jesteśmy razem, przeważnie tylko psioczę na ciebie, a kiedy cię nie widzę, myślę o tobie bez przerwy. Poznałam cię w absolutnie najgorszym momencie życia, kiedy wszystko, na czym mi zależało, nagle zostało mi odebrane. Teraz brakuje mi gruntu pod nogami. Nie wierzę własnym osądom. Nie potrafię zdecydować, czy jesteś fantazją, czy koszmarem. Księciem czy złoczyńcą. Najlepszym, co mi się przydarzyło, czy najgorszym. Więc… – Biorę głęboki wdech dla kurażu. – Boję się. Jestem przerażona, ale nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo, jak pragnę ciebie.

Jego piękne, błękitne oczy błyszczą, kiedy Matteo mówi łagodnie:

– Nie jestem księciem, *bella*. Ile razy muszę ci powtarzać? Jestem markizem.

Potem zmniejsza dystans między nami i całuje mnie.

Czuję się, jakbym zeskoczyła z klifu. Żołądek mi się zaciska. Puls galopuje z przerażenia. W uszach słyszę donośny huk.

Ujmuje moją głowę w dłonie i obsypuje pocałunkami całą twarz, mrucząc wszystko, co chcę od niego usłyszeć: *uwielbiam cię*, *jesteś ze mną bezpieczna, to było takie odważne* i *jak szybko mogę pozbyć się tej sukienki?*

– Obiecaj, że nigdy mnie nie okłamiesz – mówię, dysząc przy jego ustach, kiedy przygryza moją wargę.

– Ostrzegałaś mnie, żebym nigdy nie wypowiadał przy tobie słowa na „o”.

– Obiecaj albo stracisz klejnoty! – krzyczę.

Śmieje się ze wzrokiem przepełnionym emocjami.

– W takiej sytuacji obiecuję.

Nasz pocałunek jest tak namiętny, aż jestem zaskoczona, że wszystkie ubrania wokół nas nie stanęły w płomieniach. Moje serce wystukuje rytm, jakby powtarzało: *pragnę cię, pragnę cię. O, Boże, jak*

bardzo cię pragnę i przywieram do niego, czując, że resztki mojego oporu ulatują.

Może i gra w pocałunki się skończyła, ale ta w pocałunki w łóżku dopiero ma się zacząć.

Tyle, że nic z tego, bo głośne chrząknięcie gdzieś z tyłu przebija moją bańkę pożądania. Odwracam się, skołowana, i dostrzegam Clarę w drzwiach na tyły sklepu. Patrzy na mnie ponad oprawkami okularów.

– Skończyłyśmy szósty projekt – mówi, emanując pogardą. Gdyby była jednym z odświeżaczy powietrza, nazywałaby się Powiew Jawnego Rozczarowania.

– Dobrze. Zaraz przyjdę. – Ze ściśniętym gardłem staram się wymusić pokrzepiający uśmiech, ale zważywszy na ciężkie westchnienie, jakie otrzymuję w odpowiedzi, Clara wcale nie jest przekonana. Wraca do pracowni, potrząsając głową.

– Nie lubi mnie – stwierdza Matteo, chociaż nie wydaje się przejęty.

– Nie lubi ludzi z penisami. Pocałuj mnie jeszcze raz.

Spełnia moje życzenie i już wkrótce jestem zarumieniona wszędzie i mam problemy, żeby stać prosto.

– Jasna cholera, twoje usta są jak fabryka prochów. Płuczesz gardło heroiną?

Ochrypłym, seksownym głosem odpowiada:

– Czekaj, aż przekonasz się, co potrafię zrobić rękami.

Chyba cicho jęczę, otumaniona pożądaniem. Jeśli jego dłonie i wszystkie inne części ciała są choć w połowie tak dobre, jak usta, to przedawkowanie mam jak w banku. Matteo wplata palce w moje włosy i przekrzywia głowę na bok tak, żebym widziała przebieralnie.

– Mam ci pokazać? – szepcze mi do ucha.

Jedno uderzenie serca, potem drugie i jestem zdecydowana. Te wyniki badań nie mogły pojawić się w lepszym momencie.

– No pewnie – mówię bez tchu.

Zanim moje serce wykona jeszcze jedno uderzenie, Matteo chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę jednej z zasłon.

TRZYDZIEŚCI

Kimber

Przymierzalnia jest zaledwie tak duża, żeby jedna osoba mogła obrócić się wokół własnej osi, a co tu mówić o dwojgu napalonych ludziach, których myśli skupiają się tylko na jednym. Ale my staramy się wyciągnąć z sytuacji, ile się da, pozostając w pozycji stojącej.

Matteo zaciąga za nami zasłonę, przyciska mnie do ściany i całuje tak zachłannie, że tracę dech. Po chwili odsuwa się, dysząc.

– Wybacz – mówi.

– Za co?

– Ugryzłem cię.

– Wiem. Zrób tak jeszcze raz – proszę.

Uśmiecha się szeroko i wygląda przy tym jak pirat, który dostrzegł nowy łup. Pochyla się i z rozmysłem ujmuje zębami moją dolną wargę. Przygryza ją delikatnie, a potem liże, a ja zaczynam się rozpływać.

– Lubisz, kiedy gryzę twoje wargi – mówi ochryple i z satysfakcją. – Zobaczmy, gdzie jeszcze to lubisz.

Przesuwa dłoń na mój tyłek, potem niżej, na udo, aż wsuwa ją pod spódnicę. Zdejmuje mi majtki przy użyciu jakiegoś magicznego triku, bo w jednej chwili są na miejscu, a w następnej czuję je wokół kostek.

Wsuwa dłoń między moje nogi i ściska tak, jak ja ściskam melona, żeby sprawdzić, czy jest dojrzały, a potem opada na kolana i podciąga mi spódnicę na wysokość talii. Wpatruje się w moje odkryte ciało i warczy:

– Kurwa, pragnąłem tego.

Czy człowiek może spontanicznie stanąć w płomieniach? Bo jeśli tak, właśnie to zaraz mnie spotka.

Potem jego usta odnajdują najbardziej intymną część mojego ciała. Mruczy ochryple, co przypomina mi odgłos rozkoszy, który wydaję, kiedy dobieram się do opakowania lodów. Wibrację tego dźwięku odczuwam w całej miednicy. Muszę przygryźć język, żeby nie krzyknąć.

Zamyka oczy. Łapie mnie za biodra i ucztuje, ssie i liże, jak najlepsze danie, wirując swoim magicznym językiem wokół wrażliwego pączka, a potem przygryza go delikatnie.

Żar przelewa się przeze mnie, jakby moimi żyłami płynął ogień. Jęczę i sapię, chwytam go za włosy, sutki mnie mrowią, a serce łomocze jak wściekłe.

– To też lubisz – mówi z niskim śmiechem.

– Koniec gadania. – Kołyszę biodrami bliżej jego ust, desperacko ich pragnąc.

Błękitne oczy Matteo ciemnieją.

– Tak jest, proszę pani – szepcze, a potem powoli opuszcza usta na moją kobiecość, obserwując mi twarz, kiedy znowu zaczyna ssać.

Fale gorąca przetaczają się przeze mnie. Jego język jest miękki i ciepły, mokry i znajomy, szybko znajduje właściwy rytm, który sprawia, że miękną mi kolana. Przyjemność jest tak intensywna, że ledwo mogę oddychać. Widok tego potężnego, cudownego mężczyzny na kolanach przede mną to innego rodzaju przyjemność, niemożliwie uzależniająca. Jego zęby ponownie drażnią moją łechtaczkę, aż cała drżę, opierając głowę o ścianę.

Matteo ujmuje moje dłonie i przyciska je do talii tak, że teraz przytrzymuję materiał spódnicy, uwalniając jego ręce. Jednym, płynnym ruchem opuszcza dekolt, uwalnia piersi z biustonosza i szczypie moje twarde sutki. Czuję iskry w całym ciele. Pociera sutki kciukami i nie przestaje mnie lizać. Jestem tak podniecona, że jęczę, nie mogąc tego powstrzymać.

– Pieprz moje usta, *bella*. Dojdź w moich ustach – szepcze ochryple.

Dobra, trochę może mówić.

Wyginam się w łuk i zamykam oczy, pozwalając się porwać fali przyjemności. Zaczynam się pocić, kropelki pojawiają się na skroniach i szyi, krew wrze pod skórą. Moje ciało przejmuje kontrolę

i nie potrafię już zapanować nad ruchem bioder. Zaczynam się szarpać przy ustach Matteo, wić i wiercić, oddech mam urywany, a całe ciało drży.

On wydaje z siebie niski odgłos satysfakcji, który sprawia, że jestem jeszcze bardziej nakręcona.

Wiem, że podoba mu się to. Uwielbia, kiedy tracę kontrolę, kocha mi to dawać tak samo, jak ja otrzymywać to od niego. To on jest na kolanach, ale nie ja sprawuję tu kontrolę.

Jedną dłoń wykorzystuje, by szczypać i pocierać te fragmenty ciała, których nie liże. Chyba umrę. Potem wsuwa we mnie palec i zaczyna nim poruszać, ssąc jednocześnie łechtaczkę. Puszcza pierś i łapie tyłek, przyciągając mnie bliżej do swojej twarzy. Wbija mi palce w skórę, językiem pracując szybciej i szybciej, aż mój puls staje się urywany.

Jego usta są takie cudowne, takie wymagające, ssą, głaszczą i kręcą. Głęboko we mnie węzeł się zaciska. Gorąco zbiera się u podstawy kręgosłupa. Sutki mnie mrowią, a łechtaczka pulsuje, kiedy Matteo ssie, o Boże, ssie coraz mocniej…

Kiedy ją przygryza, dochodzę.

Mój orgazm jest tak gwałtowny, że całe ciało sztywnieje, kiedy przetacza się przeze mnie. Wyginam plecy w łuk. Otwieram usta w niemym krzyku. Przechodzą przeze mnie fale przyjemności, a ja mogę tylko dyszeć i jęczeć bezbronnie, słuchając, jak Matteo warczy ochryple z aprobatą, kiedy wiję się przy jego ustach.

Kiedy kończą się ostatnie konwulsje i pozostaję tylko drżącą masą galaretowatych kończyn, Matteo podnosi się. Bierze mnie w ramiona i całuje głęboko, tak że czuję swój smak.

– Jesteś taka pyszna. – Wciska nos w moją szyję, przesuwając dłonie w górę i w dół talii i klatki piersiowej, ucząc się moich kształtów. – Taka piękna. Taka idealna. Mógłbym zjadać cię na każdy posiłek.

Wzdycham leniwie, nasycona i zaspokojona, a na moich ustach rozgościł się największy i najbardziej durny uśmiech.

– Och, przestań, bo będę chciała więcej.

Zsuwa marynarkę i odwiesza ją na kołek. Rozpina koszulę i uśmiecha się do mnie pobłażliwie, kiedy gapię się na jego nagą

pierś.

– Proszę. Nawet możesz dotknąć. – Ujmuje moje dłonie i kładzie sobie na brzuchu.

Głaskam jego skórę, jest jak jedwab. Jak umięśniony, bezwłosy jedwab.

Naprawdę ma piękne piersi.

Wymyka mi się chichot. Czuję się odurzona.

– Och, ona się ze mnie śmieje – mówi Matteo. Udaje, że obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem. – Tak nie może być. – Chwyta mnie za nadgarstek i przesuwa moją dłoń niżej, aż spoczywa na zdumiewającej wypukłości na przedzie jego spodni.

Ku ewidentnej satysfakcji Matteo, śmiech zamiera mi na ustach.

Jest duży. Nie tylko długi, ale pokaźny. Gruby. Nagle to ja chcę paść na kolana i mieć władzę.

– Te oczy – mruczy Matteo akurat w chwili, gdy opadam na podłogę.

Rozpinam pasek i suwak, używając własnych, magicznych sztuczek, a krew znowu zaczyna szybciej płynąć na myśl o tym, co mnie czeka. Kiedy zsuwam jego bokserki, erekcja wyskakuje na mnie jak pajacyk z pudełka.

– Widzę, że ten wielkolud ma tyle cierpliwości, co ty – mówię, zerkając na twarz Matteo.

Patrzy na mnie z zaciśniętymi szczękami i pożądliwym spojrzeniem, ale nic nie mówi. Przenoszę uwagę na to, co najważniejsze. Owijam palce wokół trzonu, zafascynowana pulsującą żyłką, którą czuję pod nimi i głęboką czerwienią główki. Kutas podryguje niecierpliwie w mojej dłoni, wywołując uśmiech na twarzy.

– Dobra, koleś, trzymaj się mocno – ostrzegam.

Kiedy wkraczam do akcji, zostaję nagrodzona ostrym nabraniem powietrza przez Matteo. Jestem jeszcze bardziej zadowolona, kiedy słyszę niski jęk, gdy biorę go w usta tak głęboko, jak jestem w stanie. Pochyla się nade mną i jedną ręką opiera się o ścianę, a drugą wplata w moje włosy, by objąć tył głowy.

Wycofuję się powoli, wirując językiem wokół główki, zachwycona jego smakiem i dotykiem, a jeszcze bardziej tym, że mamrocze coś po

włosku zduszonym głosem.

Chcę, żeby poczuł się tak dobrze, jak ja. Chcę patrzeć, jak on również się rozpada. Mocniej ssę główkę i pocieram trzon. Obie dłonie angażują się w pracę. Jego ręka w moich włosach zaczyna drżeć.

– Truskawkowe usta – mówi, oddychając ciężko. – Kocham te miękkie, czerwone…

Przerywa z jękiem, kiedy znowu wsuwam go głęboko do gardła, zatrzymując się na chwilę, by pomasować jedwabiste jądra.

Nadaję rytm. Równe pchnięcia i wysunięcia, wiruję językiem wokół główki, kiedy się wycofuję, a potem otwieram gardło, żeby wziąć go jak najgłębiej. W odpowiedzi porusza biodrami, na początku łagodnie, jakby chciał się upewnić, że to nie jest zbyt wiele, a potem z większą gorliwością, gdy mruczę dla zachęty. Kolana pieką mnie od ocierania o dywan, a serce łomocze w piersi. Mam mokro między nogami od własnego podniecenia, które znowu zaczyna szaleć, przez co zaczynam wiercić się niecierpliwie, im dłużej mam go w ustach.

– Dotknij się – szepcze ochryple.

Wsuwam palce pod spódnicę i pocieram swoją wilgotną szparkę, nie przestając go ssać. Wiem, że mnie obserwuje i to podnieca mnie jeszcze bardziej.

Drży i jęczy, gdy moja głowa podskakuje i pracuję palcami między nogami. Oboje zbliżamy się do końca. Temperatura w przymierzalni wzrosła o dwadzieścia stopni.

– Jeszcze nie – rzęzi, zaciskając palce na włosach. – Kurwa, Kimber. Jeszcze nie.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, widzę, że jego twarz jest napięta. Żyła pulsuje mu na szyi. Jego wzrok pociemniał, aż przechodzi przeze mnie wibracja, wysoka i słodka, jak pojedyncza nuta na skrzypcach.

Podnosi mnie na nogi i znowu całuje ostro, przyciskając mnie do swojej piersi, więc czuję, jak mocno bije mu serce, a skóra pali.

– Masz…? – zawieszam głos.

– Tak, tutaj…

– Szybko – ponaglam.

Szpera w kieszeni i wyjmuje portfel. Znajduje prezerwatywę, rozrywa opakowanie i wyjmuje ją. Z sercem w gardle obserwuję, jak nasuwa ją na penisa. Kiedy kończy, chwyta mnie za biodra i przypiera do ściany. Zarzuca sobie wokół talii moją nogę i ustawia się między udami.

Czuję go, jest gorący i twardy, pragnie mnie. Przywieram do jego ramion, kiedy wchodzi we mnie jednym, mocnym pchnięciem.

Oboje jęczymy z ulgi, gdy jest już w środku.

W końcu.

Czuję go wszędzie jednocześnie, w palcach rąk i stóp, pod powiekami. Jest moim płonącym rdzeniem, centrum wszystkiego, mojego oddechu, bicia serca i życia w każdej komórce. Nie mam pojęcia, jak mogłam sobie przedtem wyobrażać, że seks jest dobry. Jego ciało jest niesamowite, ale nie tylko o to chodzi. To *uczucie*. Trzęsienie ziemi odczuć, ten wybuch w moim wnętrzu, który sprawia, że czuję, jakbym została rozerwana na strzępy i poskładana z powrotem, wszystko na raz. Jakbym zmieniła skórę na coś nowego i absolutnie wyjątkowego.

Jakby wszystkie złe rzeczy były potrzebne, bo prowadziły do tej chwili.

Patrzymy sobie w oczy, kiedy wchodzi we mnie. Jego tors jest śliski od potu. Piersi nadal mam odsłonięte, wysunięte z miseczek biustonosza, a sutki ocierają się o jego skórę przy każdym ruchu, wysyłając fale przyjemności pomiędzy moje nogi. Matteo utrzymuje większość mojej wagi, trzymając mnie za tyłek, bo ta jedna noga, na której stoję, jest galaretą, ale nie widać po nim zmęczenia, gdy wbija się we mnie raz za razem, oddychając krótko i urywanie.

– Odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy… – mówi ochryple i przerywa. Powieki ma półprzymknięte, a twarz zarumienioną. Do jego czoła przykleiły się mokre kosmyki włosów.

– Co? – dyszę, przywierając do niego, już bardzo blisko.

Przy moim gardle szepcze:

– Byłem twój. – Przyciska zęby do mojej szyi.

Kolejne, mocne pchnięcie sprawia, że spadam w przepaść. Wbijam mu palce w plecy i wgryzam się w ramię, żeby stłumić krzyk, wijąc się przy jego ciele.

Ostatnie, solidne pchnięcie i dochodzi. Czuję, jak drga i pulsuje we mnie, mam wrażenie, że jeszcze się wydłuża. Dreszcz przechodzi przez jego pierś. Sapie coś, co brzmi jak moje imię.

Potrzebuję kilku długich chwil, zanim dojdę do siebie. Kiedy wreszcie mi się udaje, mrugając, patrzę na Matteo. Uśmiecha się do mnie z zamglonym wzrokiem i satysfakcją malującą się na twarzy.

– Jeśli powiesz mi, że to było przeciętne, wykastruję cię – oznajmiam.

Śmieje się słabo, ściskając mój tyłek.

– Tyle gróźb wobec moich biednych jąder. Powinnaś być dla nich milsza. – Głos mu łagodnieje, wzrok również. – Lubią cię.

– O, szczęściara ze mnie. – Kiedy szczypie mnie w tyłek, śmieję się i odpuszczam. – Ja też je lubię.

Matteo unosi brew.

– I niektóre inne części twojego ciała – dodaję.

Ściąga wargi i czeka. Wzdycham. Ujmuję jego twarz w dłonie i całuję go.

– Oraz faceta przytwierdzonego do tych części ciała – uzupełniam.

– Jak romantycznie – mówi ze śmiertelną powagą. – Przestań, bo się zarumienię.

– Słuchaj, właśnie przeleciałeś mnie do nieprzytomności w przymierzalni. Nie jestem w najlepszej formie na elokwentne dysputy. Mogłabym odzyskać moją nogę?

– Zawsze jesteś taka po seksie? – Marszczy na mnie brwi.

– Niesamowicie urocza? Ależ oczywiście. Jestem.

Posyłam mu promienny uśmiech. Odpowiada tym samym.

– Chyba nieźle namieszałaś mi w głowie.

Opuszczam rzęsy, a mój uśmiech staje się zawstydzony.

– Myślę, że to stało się już dawno i to w obie strony, sir. A teraz oddaj mi nogę. Złapie mnie skurcz.

Nie robi tego, ale zaczyna masować mi tyłek, potem uda, wciskając kciuki w mięśnie. Nadal nie wychodząc ze mnie uśmiecha się jak marzenie nastolatki.

– Mógłbym tak stać przez wieczność – szepcze.

Zafunduje mi migotanie przedsionków, jeśli będzie dalej tak na mnie patrzył. Jego oczy ukazują mi bajkową opowieść, ale mimo że

wiem, jak bardzo oszalałam na jego punkcie i że nie ma już odwrotu, nie jestem jeszcze gotowa rozwinąć czerwonego dywanu dla kolejnego księcia na białym koniu. Zwłaszcza, że poprzedni miał zardzewiałą zbroję i kulawego rumaka.

Kiedy delikatnie odpycham jego pierś, Matteo puszcza mnie z ociąganiem. Całuje mnie ponownie z nieskończoną czułością, a potem poprawia mi spódnicę i wyrzuca prezerwatywę do maleńkiego kosza w rogu. Zapina koszulę i wpuszcza ją w spodnie. Kiedy zapina pasek, upycham piersi z powrotem w biustonoszu i poprawiam włosy. Potem rozglądam się za majtkami.

– Pozwól. – Matteo podnosi je, chwyta jedną z moich kostek i wkłada stopę w odpowiednie miejsce. To samo robi z drugą nogą, a potem podciąga mi majtki nad kolana, dalej na uda, aż znajdują się we właściwym miejscu.

– To było prawie profesjonalne – mówię, starając się ukryć, jak wielki wpływ mają na mnie jego oczy.

Powoli, Kimber. To było piękne, ale bądź ostrożna. Bądź mądra. Małymi krokami. Oczy szeroko otwarte. Masz mnóstwo czasu, żeby się szaleńczo zakochać po tym, jak poznasz go lepiej, ostrzegam się w duchu.

– Znowu rozmyślasz.

Kiedy podnoszę wzrok na Matteo, odkrywam, że wpatruje się we mnie, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Zamierzam właśnie rzucić jakimś żartem, ale zamiast tego postanawiam być szczera. Ostatnim razem zadziałało dobrze.

– Myślałam właśnie, że jesteś niesamowity i to wszystko było wspaniałe. Mam nadzieję, że będziemy to powtarzać tak często, jak to tylko możliwe, ale też, że powinniśmy działać powoli, bo muszę być rozważna i nie mogę zakochać się w tobie za szybko.

Wygląda na rozbawionego, dzięki Bogu. Nie chciałabym wszystkiego zniszczyć.

– Szkoda, zważywszy na fakt, że ja już się w tobie zakochałem.

Bum!

To moje serce. Jakiś świst wydobywa się z moich ust.

– C… co?

Matteo całuje mnie pewnie, obejmując w talii.

– Zakochałem się w tobie – mówi powoli i wyraźnie, patrząc mi głęboko w oczy. – Wiem, że to niedorzeczne i może zbyt nagłe, ale wiem też, że jestem w tobie zakochany. Nie planowałem tego. Nie chciałem nawet przyznać tego przed samym sobą, aż zdałem sobie sprawę, dlaczego nie mogę jeść ani spać, a nawet myśleć logicznie, odkąd cię spotkałem. Albo to miłość, albo szaleństwo, wszystko mi jedno, bo tak czy inaczej, to nieodwracalne. Nieuchronne. Żadna inna kobieta nigdy nie poruszyła mnie tak bardzo, jak ty i jeśli stwierdzisz, że mnie nie chcesz, to będzie mój koniec. Dlatego cokolwiek wydarzy się od teraz, nie możesz powiedzieć, że nie wiedziałaś. Nie powiesz, że ci nie mówiłem. Oznajmiam ci to otwarcie: jestem w tobie zakochany, Kimber DiSanto. Nawet jeśli papież uzna to za grzech.

Wpatruję się w niego długo, badając jego twarz, skołowana z niedowierzania.

– Papież? – pytam słabym głosem.

– Długa historia. Wszystko w porządku?

Mój śmiech jest nieco obłąkańczy.

– Och, jasne. Oczywiście. Piękni mężczyźni codziennie mówią mi, że mnie uwielbiają…

– Kochają – warczy Matteo. Po chwili dodaje: – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Próbuję nie zemdleć.

Całuje mnie ponownie.

– Nic ci nie będzie – oznajmia.

– A jeśli zemdleję?

– Upewnię się, że nie uderzysz w nic głową – obiecuje.

Ciężko mi się oddycha.

– Dobra, muszę teraz coś powiedzieć i mam nadzieję, że się nie wściekniesz – uprzedzam go, zanim powiem resztę.

Czeka sekundę, zanim odpowiada:

– Postaram się, ale nie brzmi to dobrze.

Przełykam ślinę i oblizuję wargi.

– Czy to ma coś wspólnego z Bradem? – pytam w końcu.

– Co masz na myśli? – Matteo przekrzywia głowę.

Nie wygląda na wściekłego z powodu wzmianki o moim byłym, więc biorę to za dobry znak.

– Chodzi o to, że przyszedłeś tutaj tamtego dnia, zobaczyłeś, że się przytulamy, zachowałeś się dziwnie i wyszedłeś.

– I? – Unosi w oczekiwaniu brwi.

– I od tamtego czasu nie rozmawialiśmy o tym. A to znaczy, że nie masz pojęcia, co się między nami dzieje.

Rozważa to przez chwilę.

– To prawda, nie mam. Ale wiem dobrze, że nawet nie zbliżyłabyś się do tej przymierzalni ze mną, gdyby była jakaś szansa, że się zejdziecie.

– Czemu nie?

Odpowiada bez zastanowienia:

– Jesteś kobietą jednego mężczyzny. Jesteś zbyt dobra na takie gierki. Zbyt lojalna.

Czuję w brzuchu przypływ przyjemności. Serce rozpada się w rój motyli, przelatujących przez moje ciało na jedwabnych skrzydłach. Czuję się wstawiona, jakbym przez całe popołudnie piła szampana.

O nie.

– Znowu masz ten zabawny wyraz twarzy – zauważa Matteo.

Wydaję z siebie cichy jęk desperacji.

– Okazuje się, że to naprawdę trudne zadanie, żeby nie zakochać się w tobie na zabój. Na przykład teraz.

Jego oczy błyszczą od emocji. Odpowiada ochryple:

– Wyzwanie przyjęte.

A potem całuje mnie tak namiętnie i z takim uczuciem, że wiem bez pudła, że żaden inny mężczyzna nie będzie mógł temu dorównać.

Przez cały czas gdzieś z tyłu głowy dzwoni mi ostrzegawczy dzwonek. Jeśli katastrofa z Bradem czegoś mnie nauczyła, to tego, że jeśli coś wydaje się za dobre, żeby było prawdziwe, to z pewnością właśnie takie jest.

„Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej” powiedział mi kiedyś Matteo.

Czy to był żart… czy może jego mistrzowski plan?

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Matteo

– Jeśli chcesz zrobić to jak należy, musisz jej powiedzieć i to w taki sposób, żeby nie zrozumiała tego opacznie. Skończ z byciem silnym i milczącym. Kobiety potrzebują usłyszeć, co myślisz.

Rzuciłem matce poirytowane spojrzenie, kiedy powiedziała mi to przy kolacji tamtego wieczoru. Facet nie może po prostu wyskoczyć z „zakochałem się w tobie". Zwłaszcza przy naszej historii. *Jej* historii. Te rzeczy wymagają finezji. A finezja to moje drugie imię.

Z tym, że okazało się dokładnie odwrotnie.

Zaszarżowałem.

Nie mogłem się powstrzymać. Będąc w niej straciłem całą samokontrolę, ale oceniając jej reakcję, popełniłem ogromny błąd.

Mam nadzieję, że nie ostateczny.

– Wszystko w porządku? – pytam zaniepokojony.

– Tak – odpowiada słabym głosem. Posyła mi nieprzekonujący uśmiech.

– Więc uznaję, że jesteś taka blada, dlatego że przed chwilą dałem ci najbardziej niesamowity orgazm w życiu. Wszystko inne zmasakruje moje ego.

– Poważnie wątpię, czy twoje ego mogłoby zostać choćby draśnięte.

W tej chwili jest poważnie draśnięte, ale nie przyznaję tego. Nie mówię również, że jej wzmianka o Bradzie zaledwie dwie minuty po tym, jak uprawialiśmy seks po raz pierwszy, jest, delikatnie mówiąc, irytująca.

Ona tego żałuje.

Ta myśl sprawia, że krew zastyga mi w żyłach.

– Powinnam wracać do pracy – mówi.

Ucieka. Próbuje unikać spojrzenia. *Kurwa*.

– Spójrz na mnie.

Zwraca na mnie te wielkie, zielone oczy i na chwilę tracę oddech. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, jest tam. Właśnie tam. A ja prawdopodobnie wszystko schrzaniłem, bo otworzyłem gębę i obarczyłem ją tym zbyt szybko.

Z ciężkim sercem mówię:

– Nie chciałem ci tego wyznać tak po prostu. Samo tak wyszło. Przepraszam, jeśli poczułaś się z tym niekomfortowo. Nie będę więcej o tym wspominał.

Maleńka zmarszczka formuje się między jej ciemnymi brwiami. Przez chwilę wpatruje się we mnie w ciszy, badawczym wzrokiem omiatając moją twarz.

– Nie przepraszaj – mamrocze, przesuwając dłonią po mojej piersi. – To było piękne.

Wspina się na palce i całuje mnie. Delikatnie, słodko – tak, że prawie łamie mi serce. Już czuję, jak mi się wymyka.

Jestem skończonym idiotą.

Słyszymy dzwonek nad drzwiami frontowymi. Ktoś wszedł do sklepu.

– Cholera – szepcze Kimber, spanikowana. – Ktoś tu jest!

– Halo? – woła męski głos.

Jasna cholera. To Dominic. Tego gnojka rozpoznałbym wszędzie.

Kiedy z mojej piersi wyrywa się gniewne warknięcie, Kimber uderza mnie w ramię i przykłada palec do ust. Krzywię się do niej, gotowy odsunąć zasłonę i wyparować stamtąd, ale odpycha mnie i potrząsa głową, a jej oczy błyszczą.

– Halo? – Głos Dominica wydaje się oddalać. Pewnie zawędrował na tył sklepu.

– Zostań tu, aż się go pozbędę.

– Co? Chyba żartujesz! – Jestem czerwony z gniewu, bo zostałem zmuszony do ukrywania się w przebieralni jak niegrzeczny chłopiec, ale jej już nie ma, zaciągnęła za sobą zasłonę i woła radosnym głosem.

– Tu jestem! Cześć!

Stoję tam zszokowany, kiedy Dominic i Kimber wymieniają uprzejmości i zaczynają pogawędkę.

Ukrywa mnie w pieprzonej przebieralni! Nie chce, żeby ktoś zobaczył nas razem!

Nigdy w życiu nie zostałem tak upokorzony.

– Jak się masz, *tesoro*? Tak się o ciebie martwiłem, odkąd mieszkasz z tą barakudą.

Całe moje ciało sztywnieje od furii. Zabiję go. Odseparuję każdą kończynę od jego ciała. Nikt nie będzie nazywał mojej matki jakąś ohydną, drapieżną rybą bez konsekwencji. Mamy swoje problemy, ale nie pozwolę, żeby ktoś ją znieważał.

Już sięgam po zasłonę, ale zamieram, słysząc głos Kimber:

– Nie musisz się martwić. Wszystko jest dobrze.

– Naprawdę? – Dominic wydaje się wątpić.

Kimber śmieje się nerwowo i kompletnie nieszczerze.

– Cóż, jeden z jej psów zniszczył mi całą garderobę, ale jak dotąd to jedyny problem.

– Musisz być ostrożna, Kimber. Nie chciałem mówić o tym wcześniej, bo i tak było już bardzo przykro po śmierci twojego ojca… – Ścisza głos. – Ale nie możesz ufać tej kobiecie ani przez chwilę. Jej synowi też nie. Ci dwoje są naprawdę podstępni. Powinnaś pozbyć się jej, zanim wymyśli, jak przejąć dom.

Następuje długa cisza. Muszę walczyć z sobą, żeby nie wyskoczyć z przymierzalni, ale muszę usłyszeć, co Kimber odpowie na to jawne, ohydne kłamstwo.

Powiedz mu, że ma iść do diabła. Powiedz, że nie wierzysz w to ani odrobinę. Stań za mną, jeśli nie za nią.

Zamiast tego ona pyta dziwnym głosem:

– Dlaczego tak mówisz?

To jak sztylet wbity prosto w serce.

Dominic parska.

– Bo ich znam! On jest bezwzględny, a ona żądna pieniędzy. Wyszła za twojego ojca tylko dlatego, że uważała go za bogacza. Dom, firma, w tym właśnie się zakochała. Nie w twoim ojcu. Uwierz mi, widziałem, jak go skubała. A kiedy tylko dowiedziała się, że nie

ma za dużo pieniędzy, zaczęła go nakłaniać do sprzedaży firmy. Oczywiście miała już kupca.

– Oczywiście, że miała – odpowiada Kimber słabym głosem.

Ona mu wierzy.

To uderza we mnie z mocą lawiny. Tak samo obezwładniające. Tak samo zimne.

Ona wierzy w każde słowo, które wychodzi z ust tego skurczybyka. Budzi się we mnie nadzieja, kiedy zaczyna naciskać bardziej energicznie.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Twój ojciec mi powiedział.

Brzmi na skruszonego, gnój. Kiedy już wyrwę mu wszystkie kończyny, spalę go.

Kiedy Kimber znowu przemawia, jej ton nie jest już taki energiczny. Jest zdezorientowana, przepełniona desperacją.

– Ale… w szpitalu… powiedział mi, że ją kochał. Mówił, że był szczęśliwy…

– Twój ojciec był romantykiem – mówi Dominic łagodnie. – Wiesz o tym. Romantykiem, który zawsze widział w ludziach to, co najlepsze. Patrzył na życie przez różowe okulary. Był jagniątkiem, które nie miało szans z lwami Moretti.

Furia przepływa przeze mnie jak kwas, destrukcyjna i paląca. Niczego nie pragnę bardziej, niż ujawnić się i wydusić z niego prawdę, ale gdybym teraz wyskoczył ze swojej kryjówki, wyszedłbym na głupca. I tak by nie uwierzyła. On jest najlepszym przyjacielem jej ojca, którego zna przez całe swoje życie, a ja tylko byłym przyrodnim bratem, niegodnym zaufania, który zmusił ją do przehandlowania pocałunków za jej własne projekty.

Którego nie lubiła od pierwszego wejrzenia.

Który nie robił nic, poza irytowaniem jej, pomijając orgazmy.

Już wiem, jak zakończy się ta historia. I nie będzie to szczęśliwe zakończenie.

TRZYDZIEŚCI DWA

Kimber

Czuję mdłości. Zwymiotuję prosto na swoje buty, podłogę i przód lnianej koszuli Dominica. Jak mogłam być taka głupia? *Znowu?*

– Bardzo przykro mi to słyszeć – mówię Dominicowi drżącym głosem. – Nie chcę w to wierzyć.

Wyraz jego twarzy łagodnieje. Patrzy ze współczuciem, klepiąc mnie w ramię.

– Wiem. Masz dobre serce, jak twój ojciec. Ciężko jest słuchać takich okropnych rzeczy o ludziach. Uwierz mi, *tesoro*, żałuję, że muszę ci to powiedzieć. Ale jesteś dla mnie jak córka, a teraz, kiedy twojego ojca nie ma, to moje zadanie, żeby się tobą zająć, tak? Więc to właśnie robię. – Przyjmuje biznesowy ton, zakładając ręce na piersi. – Po pierwsze, pozbądź się z domu markizy.

– Nie – odpowiadam.

Oboje jesteśmy tym zaskoczeni. Nie wiedziałam, że wyjdzie tak gwałtownie, a szybkie mruganie Dominica mówi mi, że on również się tego nie spodziewał. Czym prędzej mówię dalej, by zagłuszyć żałosne jęki mojego serca.

– Mój ojciec zaznaczył w testamencie, że ona ma zostać w domu do śmierci. Muszę to uhonorować. On tego właśnie chciał.

– Ale jej nie można ufać! – rzuca Dominic.

– Kochał ją – odpowiadam pewnie. – Był sam przez prawie trzydzieści lat po śmierci mojej matki, a z jakiegoś powodu markiza dała mu szczęście. Nie wyrzucę jej.

Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale wydaje się to właściwe. Może i markiza jest nadętą wiedźmą, nie dającą się lubić, ale dała mi sukienkę na pogrzeb ojca i urodziła bóstwo, które pozwoliło mi

zrozumieć, jaki *naprawdę* powinien być seks, nawet jeśli to bóstwo jest kłamliwym palantem.

Wiem, że to zbyt wcześnie i może to niedorzeczne, ale wiem, że zakochałem się w tobie.

Ciekawe, czy matka wymyśliła mu te słowa. Pokazała, jak wypowiadać je z taką szczerością w oczach. Zastanawiam się, jak szybko wspomniałby znowu o sprzedaży firmy.

Ciekawe, czy w końcu chciał mi się oświadczyć, załatwić wszystko legalnie, żeby móc ominąć kwestie dokumentów, a on i mamuśka dostaliby wszystko, czego chcieli. Oddech więźnie mi w gardle – zwrot szkicownika był takim sprytnym posunięciem.

– Im dłużej tam mieszka, tym łatwiej będzie jej rościć sobie prawa do posiadłości. – Dominic aż wychodzi z siebie. Nie tylko on nie może uwierzyć, że biorę stronę markizy, sama ledwo w to wierzę. – I tym bardziej będzie próbowała przeciągnąć cię na swoją stronę dzięki swoim sztuczkom!

– Uwierz mi, ona wcale nie próbuje przeciągnąć mnie na swoją stronę.

– Nie? Nie dała ci żadnych prezentów? Nie zrobiła niczego wyjątkowego, żebyś ją polubiła?

Sukienka. I powiedziała, że Brada powinno się zastrzelić.

Boże, proszę, zabij mnie teraz.

Ściskam nasadę nosa, ale to nie pomaga na kłujący ból czoła.

– Matteo jest bogaty. Mieszka w zamku, na litość boską. Ich rodzina ma zamek! Nie może aż tak zależeć im na pieniądzach! – wyrzucam z siebie.

Dominic patrzy na mnie, jakbym była wyjątkowo ograniczona.

– *Castello di Moretti* jest własnością rodziny tylko z nazwy. Rząd ma zastaw na tej posiadłości. Zaległe podatki, moja droga. Utrzymanie tego miejsca to astronomiczna kwota.

Całe powietrze uciekło mi z płuc. Powinnam usiąść, zanim upadnę. Ale zanim porzucę wszelką nadzieję, muszę zadać ostateczne pytanie.

– Lorenzo ma o niej wysokie mniemanie. Wydaje się bystrym facetem i jest z nią od tak dawna, jak mógłby nie wiedzieć, co ona naprawdę robi?

– Czy to nie oczywiste? – pyta Dominic spokojnie. – Jest w niej zakochany.

Tak, teraz, kiedy o tym wspominasz, to przecież jasne jak słońce.

Podejrzewałam to od samego początku.

– Racja – szepczę, a świat wali mi się na głowę.

Ledwo udaje mi się dotrzeć do kosza na śmieci, kiedy mój lunch postanawia wydostać się na zewnątrz.

Dominic wykrzykuje z zaskoczenia i podbiega, by zająć się mną jak matka kwoka. Odprawiam go, kiedy wymiotuję, zażenowana i upokorzona. Chcę pozbyć się jego, Clary i pozostałych kobiet tak szybko, jak to możliwe.

Muszę zostać sama z Matteo. Muszę patrzeć mu w oczy, kiedy wyjdzie z tej przymierzalni. Chcę, żeby powiedział mi prawdę prosto w oczy.

– Usiądź, usiądź, jesteś blada jak duch!

Dominic chwyta mnie za ramię i pomaga dotrzeć do stołka za kontuarem. Opadam na niego, dyszę i wycieram usta wierzchem dłoni. Papryczki, które jadłam w sałatce, smakowały dużo lepiej schodząc w dół. Teraz drażnią moje gardło i nos, sprawiając, że oczy mi łzawią.

Tak, dokładnie. Te łzy są od papryczek. Dominic podaje mi chusteczkę.

– Jesteś chora?

Mam chore serce. I duszę. Mam już dość mężczyzn i wszystkich innych bzdur.

– Chyba zjadłam na lunch nieświeżą rybę – mówię słabo, chociaż w rzeczywistości to była sałatka warzywna. Nie mogę pozwolić, żeby Dominic dowiedział się, że moje problemy żołądkowe mają cokolwiek wspólnego z jego opowieścią. Może i mam okropny gust do mężczyzn, ale nadal pozostały mi resztki godności.

Boże, byłby taki rozczarowany, gdyby dowiedział się, co robiłam przed jego przyjściem.

– Pozwól, że zawiozę cię do domu, Kimber. Musisz odpocząć.

– Nic mi nie jest. – Desperacko potrzebuję pozbyć się go. Czuję obecność Matteo za zasłoną. Muszę sprawić, żeby Dominic opuścił sklep, zanim wydarzy się coś złego. Jestem zaskoczona, że Matteo

jeszcze stamtąd nie wyskoczył, ale to pewnie znaczy tylko, że wykorzystuje czas, żeby ułożyć wiarygodną odpowiedź.

– A jednak coś ci jest – naciska Dominic. – Wymiotowałaś. To nie jest nic.

Przez kolejne pięć minut muszę go przekonywać, że może zostawić mnie samą. Nie podoba mu się pomysł, że chcę jechać do domu taksówką, ale zapewniam go, że Clara mnie odwiezie. Po wielu obietnicach, że zadzwonię do niego później, w końcu wychodzi. Kiedy zamykam za nim drzwi sklepu, ręce mi drżą.

Odwracam się i widzę, że Matteo wyszedł z przymierzalni.

Wygląda tak źle, jak ja się czuję.

– Wierzysz mu.

Jego głos jest cichy, wyważony, ale brzmi w nim gniew. To i wyraz jego twarzy dają mi nadzieję, że wszystko, co wydarzyło się pomiędzy nami, nie było tylko zagraniem biznesowym.

– Nie chcę tego. – Przyznaję to otwarcie, nie próbując ukryć, jaka jestem zdruzgotana. Pozwalam, żeby widział we mnie całą dezorientację i gniew, jakie czuję.

– Ale wierzysz – mówi, a ja nie mogę zaprzeczyć. I nie powinnam. Cokolwiek tu się dzieje, najlepiej, żeby wszyscy zaangażowani w sytuację wyłożyli karty na stół w tej chwili.

– Postaw się na moim miejscu. Jak byś się czuł? Co byś pomyślał? – pytam z rozpaczą w głosie.

– Dominic nienawidzi mojej matki od bardzo dawna – odpowiada.

– Dlaczego?

– Bo poślubiła innego.

To sprawia, że zataczam się do tyłu.

– Byli razem?

– W młodości. Zanim poznała mojego ojca.

Przypomina mi się reakcja markizy, kiedy wspomniałam Dominica tamtego popołudnia, gdy dowiedziałam się, że Matteo jest jej synem. Była przygnębiona, ale starała się to ukryć.

Zawsze, kiedy płakałam jako dziecko, byłam bita, powiedziała mi w dzień pogrzebu ojca. Wtedy byłam zbyt rozproszona, żeby się nad tym zastanawiać, ale teraz to proste stwierdzenie wydaje się tak wiele ujawniać z jej charakteru.

A może wymyśla to na poczekaniu?

– Co się stało? – pytam o szczegóły tej rewelacji.

Mężczyzna wypuszcza ciężki oddech.

– Szczerze mówiąc, nie znam szczegółów. Wiem to tylko dlatego, że podsłuchałem rozmowę mojej matki i twojego ojca, krótko przed ich ślubem.

Podchodzę kilka kroków, serce bije mi szybciej.

– I? Co powiedzieli?

Matteo porusza żuchwą. Jest wściekły, widać, że odczuwa dyskomfort, jest rozczochrany po naszej niesamowitej schadzce w przymierzalni i tak przystojny, że aż boli.

Patrzenie na niego sprawia fizyczny ból.

– Twój ojciec chciał pożyczyć Dominicowi pieniądze. Wydaje się, że robił to dość regularnie, ale moja matka nalegała, że był już wystarczająco hojny i powinien odmówić. Kiedy zapytał, dlaczego nie lubi Dominica, powiedziała, że nie chodzi o sympatię, ale o to, że zna jego charakter. Kiedy twój ojciec ją przycisnął, przyznała, że byli w krótkiej „relacji", jak to nazwała, zanim poślubiła ojca. Mój dziadek nie akceptował Dominica, więc zainterweniował i rozdzielił ich. Dominic nigdy nie uwierzył, że to była sprawka jej ojca. Obwiniał ją. Od tego momentu powziął postanowienie, że zdyskredytuje ją wszędzie, gdzie tylko zdoła. Rozsiewał okropne plotki. Nigdy jej nie wybaczył tego, że złamała mu serce.

Przetwarzam to przez chwilę, a w głowie aż mi wiruje. Dominic i markiza? Próbuję wyobrazić ich sobie jako młodych, zakochanych ludzi, ale nie potrafię.

– Dominic nigdy się nie ożenił – mówię, przeszukując w myślach wspomnienia. – Pamiętam, jak mówił ojcu, że ten znalazł jedyną kobietę we Włoszech, której nie zależało na pieniądzach.

– Tak. – odpowiada oschle Matteo. – Dominic zawsze robi zamieszanie o pieniądze. Kto je ma, kto nie, dlaczego nie ma ich dość. Osobiście uważam, że ten człowiek nigdy nie czuł nic do mojej matki. Podejrzewam, że liczył na źródło dochodu. Dziadek pewnie też to zrozumiał. Moja matka była jego jedynym dzieckiem i oczkiem w głowie. Gdyby sądził, że Dominic jest dobrym człowiekiem, nigdy by ich nie rozdzielił, niezależnie od zamożności Dominica.

Stoję tam i wpatruję się w Matteo, czuję się bezradna i oszołomiona, niepewna, w co wierzyć.

– A co z *Castello di Moretti*? Naprawdę rząd ma na niego zastaw?

Matteo bez mrugnięcia okiem odpowiada:

– Nie.

Nie jestem pewna, czy to prawda, ale przypuszczam, że mogłabym to sprawdzić w internecie. Musi istnieć jakaś strona, na której są wypisane posiadłości należące do rządu, gdzie można sprawdzić, na których z nich jest zastaw i takie tam.

– Panienko Kimber. – Clara staje w drzwiach na tyły sklepu.

– Tak, Claro? – Odwracam do niej głowę.

– Jeśli masz chwilę – posyła Matteo niezadowolone spojrzenie – musisz rzucić okiem na projekt numer sześć. – Odwraca się i znowu znika, mamrocząc coś pod nosem. Zostawia mnie i Matteo, wpatrujących się w siebie w bolesnej ciszy.

– Cóż. Próbowałem – mówi w końcu.

Przemierza pomieszczenie w kilku długich krokach, obejmuje mnie ramionami i przytula mocno. Całuje mnie w skroń i szepcze ochryple:

– Wszystko, co powiedziałem w przymierzalni, to prawda. Uwierz przynajmniej w to. – Potem mnie puszcza i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Dwadzieścia minut później siedzę na krzesełku, wpatruję się w przestrzeń i próbuję rozwikłać plątaninę moich myśli, kiedy kurier przynosi papierową torebkę z lekami z pobliskiego sklepu. W środku są leki na zobojętnienie kwasów żołądkowych, szczoteczka i pasta do zębów, duża butelka wody i karteczka: *nie zapytałaś Dominica, dlaczego nazwał mnie bezwzględnym. Spytaj.*

– Moje życie to szekspirowski dramat! – jęczę.

Zza pleców słyszę głos Clary:

– Mam nadzieję, że nie taki, w którym wszyscy na koniec giną. Idziesz czy mamy wszystkie pójść do domu? Starzejemy się tam. Mój mąż chce dziś na kolację *stromboli*, a samo się nie zrobi.

Odwracam się i patrzę na nią.

– Znasz przyjaciela mojego ojca, Dominica, prawda?

– Tak.

– Co o nim myślisz?

Parska.

– To mężczyzna. O czym tu myśleć? Są niczym więcej, jak tylko przerośniętymi dziećmi. Jeśli nie mają przy sobie kobiety, żeby im gotowała, opiekowała się i mówiła, co mają robić, są kompletnie zagubieni. Ale sądzę, że nie w kwestii Dominica potrzebujesz rady. – Przewierca mnie spojrzeniem. – Jesteś bystrą dziewczyną, a twoje życie uczuciowe to nie mój interes, więc powiem to tylko raz, a potem więcej nie wrócę do tej sprawy – mówi mrocznym tonem, a jej wzrok staje się intensywny. – To nie jajeczko płynie w stronę spermy. Nigdy nie uganiaj się za mężczyzną. To wbrew naturze. Jeśli go pragniesz, pozwól, żeby cię gonił, aż go złapiesz. – Prostuje się do swojego pełnego metra pięćdziesięciu i pociąga nosem. – I żadnego więcej seksu w przymierzalni. Jak myślisz, kto tam sprząta? – Odwraca się na pięcie i woła przez ramię: – Jeśli chcesz poznać dobrego mężczyznę, przeczytaj książkę. A teraz wracamy do pracy!

***

Kiedy tej nocy wracam do domu, wszędzie panuje mrok i cisza. Włączam światło w kuchni i znajduję wiadomość od Lorenza w małym, białym notatniku przy telefonie. Informuje mnie, że markiza wyjechała do Mediolanu w ramach przygotowań do Fashion Week, jak robi co sezon. Jest też numer telefonu, pod którym można skontaktować się z nimi w razie potrzeby i nazwa eleganckiego hotelu.

– Fabuła się zagęszcza – mamroczę. Kilka tygodni w Mediolanie to nie tani wypad, zwłaszcza z lokajem i dwoma psami na doczepkę. Będzie potrzebowała połączonych pokoi w hotelu…

Chyba, że ona i Lorenzo dzielą jeden.

Nagle uświadamiam sobie, że nigdy nie zapytałam, gdzie sypia Lorenzo. Może dlatego, że nie podejrzewałam go o spanie. Z tego, co wiem, wszystkie pokoje gościnne na drugim piętrze nadal są zamknięte, jak było przez lata. Może zajmuje poddasze?

Dziesięć minut później mam już odpowiedź. Pokoje na drugim piętrze nadal są zamknięte, a na strychu od lat nikt nie spał. Na

komodzie jest warstwa kurzu, narzuta na łóżku pachnie stęchlizną, a patrząc na plamki na podłodze, jedynymi mieszkańcami jest rodzinka jakichś gryzoni.

Schodzę do swojej sypialni, pogrążona w myślach, pragnąc porozmawiać z Matteo.

Zamiast tego kolejną godzinę spędzam na zabawie w detektywa. Docieram do źródła, kiedy znajduję stronę internetową z raportami o włoskich posiadłościach, ale problemem jest dostępność do portalu: dwieście dolców za dwa dni.

Już wyzerowałam swoją kartę kredytową na bilet lotniczy, którego nie wykorzystałam, ale istnieje inna opcja. Z torebki wyjmuję nową, błyszczącą kartę American Express na nazwisko Brada i wpatruję się w nią.

– To kradzież – mówię do pustego pokoju. A może niewielka forma rekompensaty?

Prawdopodobnie kradzież. Piszę do Brada, informując go, że wybiorę z karty dwieście dolarów. To nie pytanie. I nie sądzę, żeby można uznać to za kradzież, skoro informuję go wcześniej.

Odpisuje mi, że karta ma limit pięćdziesięciu tysięcy, więc nie muszę się ograniczać.

To przywołuje niebezpieczny uśmiech na moją twarz.

Pięćdziesiąt tysięcy. Dobrze wiedzieć.

Zamawiam raport, a potem dzwonię do Dominica. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Halo, *tesoro*? Jak się czujesz?

Niecierpliwiąc się, by przejść do sedna, pomijam uprzejmości.

– Muszę zapytać cię o coś i chcę, żebyś był ze mną absolutnie szczery.

Po chwili ciszy Dominic mówi:

– Oczywiście. Pytaj.

– Ile pieniędzy pożyczył ci mój ojciec?

Zamierzałam najpierw zapytać o markizę, ale w ostatniej chwili postanowiłam zacząć od pieniędzy. Mam pomysł, co powiedzieć, jeśli zaprzeczy.

Co też czyni. Gorliwie.

Wydaje się zagniewany i urażony w sposób, w jaki zachowują się winni, kiedy usłyszą prawdę. Ale jego ton nie jest żadnym dowodem. Niestety, jest tylko jeden sposób, żeby dotrzeć do prawdy i muszę wykorzystać niewinne kłamstewko.

– Znalazłam rejestr dłużników, który ojciec prowadził.

Nie mówię nic więcej, pozwalając, by wyobraźnia Dominica wypełniła brakujące informacje. Odchrząkam. W końcu oznajmia:

– Nic o tym nie wiem.

Teraz jego ton jest pozbawiony emocji i jednoznaczny, ale coś mnie w nim niepokoi. Coś, co sprawia, że chcę drążyć głębiej.

– To ciekawe, bo mam tu sporo informacji o datach, wysokościach pożyczek…

Przekonaj mnie, Dominicu. Powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że kochałeś mojego ojca, nigdy nie wziąłeś od niego pieniędzy i mogę ci zaufać.

W chwili, gdy słyszę jego ciężkie westchnienie już wiem, że porzuca poprzednią wersję, a żołądek zaciska mi się w supeł.

– Możliwe, że kilka razy przez wszystkie te lata potrzebowałem jakiejś pomocy.

– Ile razy? – żądam zbyt głośno. – Ile pieniędzy ci dał?

– Twój rejestr ci tego nie mówi? – pyta, wykręcając się od odpowiedzi.

Odpowiadam tym samym.

– Chcę, żebyś ty mi powiedział.

Cisza. Potem kolejne ciężkie westchnienie. Następnie wymienia tak dużą liczbę, że prawie przewracam się z zaskoczenia.

I wtedy gnojek postanawia, że czas na zmianę taktyki. Rzuca sztywno:

– To sprawa między mną a twoim ojcem, Kimber. Nie twój interes. Okazujesz mi brak szacunku, pytając o to. Twój biedny ojciec…

– Nie waż się mówić do mnie o moim „biednym” ojcu ani o braku szacunku! Ledwo dwie minuty temu kłamałeś, że nigdy nie wziąłeś od niego pieniędzy!

– Nie zamierzam o tym rozmawiać. – Pociąga nosem.

Przysięgam, że pewnego dnia jeden z tych mężczyzn przeciągnie strunę, a moje imię znajdzie się we wszystkich gazetach i to

z zupełnie innego powodu, niż porzucenie przed ołtarzem: „Porzucona Krawcowa Wpada w Morderczy Szał”.

– Teraz będziesz unikał odpowiedzi? Więc podejrzewam, że nie zamierzasz też rozmawiać o swoim związku z markizą?

Następuje długa, lodowata cisza.

– Nastawiła cię przeciwko mnie – stwierdza w końcu Dominic.

– Zaprzeczasz?

– Cokolwiek ci powiedziała, jest kłamstwem.

– Dobra, to odpowiedz na to: dlaczego powiedziałeś, że Matteo jest bezwzględny?

Kolejna cisza, ale tym razem długa i nieprzenikniona. Przeczuwam, że ostrożnie dobiera słowa.

– Nie pozwolił mi przyjść na ślub. Próbowałem, ale zatrzymał mnie przy drzwiach. Groził, że urwie mi głowę. To zwierzę.

Zwierzę, które staje się bestią, kiedy obraża się kogoś, na kim mu zależy.

Ciekawe, co Dominic powiedział o markizie, że Matteo mu groził.

Zapewne nic miłego.

– W szpitalu powiedziałeś mi, że nie zostałeś zaproszony na ślub. Że nikt w nim nie uczestniczył. Że odbył się w tajemnicy. Teraz to wydaje się zupełnie inna historia.

Dominic stwierdza, że ma dość mojego przesłuchania i wybucha:

– Twój ojciec i ja byliśmy przyjaciółmi przez pięćdziesiąt lat! Tylko ja przyszedłem do szpitala, kiedy był chory! Tylko ja stałem przy nim po śmierci twojej matki, kiedy on tak długo zaglądał do butelki, że trzeba było odesłać cię do ciotki w Stanach! To ja opiekowałem się nim podczas jego depresji, upewniałem się, że jadł, mył się, a interes nie podupadł zupełnie! Ja! Zasłużyłem na pieniądze, które mi dał! *Zarobiłem* na nie!

Moja pierwsza myśl: *ty kutasie*.

Następna: *Matteo*.

Już wiem, że raport o *Castello di Moretti* nie pokaże żadnego zadłużenia.

Rozłączam się z Dominikiem, a potem dzwonię na numer, który Lorenzo zostawił mi do hotelu w Mediolanie.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Kimber

– Pronto?

– Lady Moretti. – *Jezu, Mario i Józefie, nie wierzę, że tak ją nazwałam.* – Mówi Kimber. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Kimber? Wszystko w porządku? Chodzi o Matteo? Co się stało?

Jej ton przepełniony jest paniką. Nie winię jej. Jeśli sytuacja byłaby odwrotna i ona dzwoniłaby do mnie, też zakładałabym najgorsze.

– Wszystko w porządku. Matteo nic nie jest. Nie chodzi o niego. Zastanawiałam się tylko… – Muszę odchrząknąć, bo czuję, jakby w gardle utknęła mi żaba. – Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy porozmawiać przez chwilę.

Spodziewałam się wszystkiego poza lekkim zaskoczeniem i ciepłem w głosie, kiedy odpowiada:

– Oczywiście. Z chęcią porozmawiam z tobą. – Po chwili wahania dodaje: – Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Dlaczego nie mam pod ręką lampki wina? O czym sobie myślałam? Ta sytuacja aż krzyczy o alkohol!

Starając się brzmieć jak dorosła osoba przy zdrowych zmysłach, kontynuuję rozmowę:

– Myślę, że kiepsko zaczęłyśmy znajomość. A co tam, *wiem*, że kiepsko zaczęłyśmy.

– Tak. Również tak sądzę.

Jej głos jest cichy, ale nie wrogi. Na razie idzie dobrze.

Zaczynam chodzić. Myślę, że wyczuła poruszenie, bo milczy i pozwala mi zebrać myśli. Zajmuje mi to dłużej, niż podejrzewałam.

– Jesteś pewna, że nie przeszkadzam? – pytam.

– Właśnie skończyłam kolację, a Lorenzo wyszedł na spacer z psami kilka minut temu. To dobry moment.

Dobra, zaczniemy od tego.

– Gdzie Lorenzo sypia? – Wychodzi bardziej oskarżycielsko, niż zakładałam. Równie dobrze mogłam nazwać ją puszczalską.

– Słucham? – W głosie markizy brzmi zaskoczenie.

Och, pieprzyć to. Mleko już się rozlało.

– Czy ty i Lorenzo jesteście parą? – wypalam wprost.

Jej śmiech jest niespodziewany.

– Gdybyśmy byli, z pewnością jego żona miałaby coś do powiedzenia na ten temat!

Zatrzymuję się.

– Żona? Jaka żona? – Teraz ja nie mogę ukryć zaskoczenia.

– Jego całkiem urocza żona od prawie czterdziestu lat, Barbara. To kochana kobieta, ale gdyby choć przez moment uwierzyła, że mam jakieś dwuznaczne zamiary wobec jej męża, straciłabym zęby. Jest Niemką. Powinnaś zobaczyć jej ramiona. Ta kobieta mogłaby uchodzić za profesjonalną zapaśniczkę. Mieszkają niedaleko *Il Sogno*, w tym białym domku z niebieskimi drzwiami u stóp wzgórza, obok piekarni. Widziałaś go? – pyta Lady Moretti.

Widziałam i jestem pewna, że w środku znajduje się wygodne łóżko dla Lorenza.

– Barbara pracuje na nocne zmiany i właśnie dlatego Lorenzo często zostaje do późna. Albo przychodzi wcześnie, zależy jak na to spojrzeć. A odpowiadając na twoje pytanie wprost: nie. Lorenzo i ja nie pozostajemy w romantycznej relacji. Jednakże jest jednym z moich najprawdziwszych przyjaciół. Był przy mnie w wielu trudnych sytuacjach. – Przerywa, by uspokoić lekkie drżenie głosu. – Barbara przyjeżdża jutro pociągiem. To nasza coroczna tradycja, małe wakacje dla nas wszystkich. Mogę liczyć na obsługę hotelową, a Lorenzo i Barbara podziwiają widoki. Mediolan jest piękny o tej porze roku.

To jej najdłuższa wypowiedź, jaką słyszałam, odkąd się poznałyśmy. Najwidoczniej oskarżenie kobiety o sypianie z lokajem to świetny sposób, żeby nakłonić ją do mówienia.

Muszę jej oddać to, że nie nawrzeszczała na mnie i nie rozłączyła się.

– Mam nadzieję, że wkrótce ją poznam. Przepraszam, ale musiałam o to zapytać. Nie chciałam okazywać braku szacunku, tylko… – urywam, bo nie wiem, co mogłabym jej powiedzieć w tym momencie.

– Tylko Dominic przedstawił ci swoją wersję – kończy. Słychać, że jest smutna, ale nie zaskoczona.

– Tak. – Czuję się winna, przyznając to.

Jest dla mnie taka miła. Gdzie była ta uprzejma pani? Dlaczego ukrywała się pod maską góry lodowej?

– Zastanawiałam się, kiedy to zrobi. Czy jest jeszcze coś, o co chciałabyś zapytać? Skoro już tak miło sobie rozmawiamy.

Ciepła nuta wraca do jej głosu. Może coś piła. Przecież jest na wakacjach.

– Skoro już o tym wspomniałaś, rzeczywiście mam kilka pytań.

– Słucham.

Poświęcam chwilę na otwarcie butelki wina i nalanie sobie kieliszka. Potem siadam przy kuchennym stole i pokrzepiam się kilkoma łykami.

– Dlaczego nie przyszłaś do szpitala, kiedy mój ojciec był chory?

– Och – rzuca słabym głosem. – Widzę, że wytaczasz ciężkie działa.

– Nie radzę sobie w rozmowach na błahe tematy.

– Ewidentnie. – Cicho nabiera powietrza. – Mój pierwszy mąż cierpiał ponad dwa lata, zanim rak w końcu go zabił. Bez przerwy byliśmy w szpitalach. Wszystko w naszym życiu kręciło się wokół choroby. Nie narzekam, zrozum, wyjaśniam tylko, jak wyglądała nasza rzeczywistość. Czekanie na jego śmierć. Patrzenie, jak słabnie i czuje się coraz gorzej. Bezradność, którą czułam, nie mogąc nic zrobić, żeby to powstrzymać… – Milknie na chwilę. Wydaje mi się, że słyszę słabe pociąganie nosem, ale nie jestem pewna. Jej głos jest silniejszy, kiedy powraca do rozmowy. – Kiedy wyszłam za twojego ojca, przysiągł mi, że nigdy już nie będę musiała przechodzić przez coś takiego. Wymusił na mnie obietnicę, że jeśli kiedykolwiek zachoruje i będzie musiał pójść do szpitala, będę trzymała się stamtąd z daleka. Na początku odmówiłam, ale kiedy powiedział, że tak mu będzie łatwiej, kiedy nie będzie musiał patrzeć, jak ja patrzę

na jego śmierć, zgodziłam się. – Jej ciche westchnienie jest przepełnione bólem. – Skoro już rozmawiamy otwarcie, muszę przyznać, że to była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Prawie mnie to zabiło, ale on tego właśnie chciał. Dlatego uhonorowałam jego życzenie.

– A ja nawrzeszczałam za to na ciebie – szepczę, a łzy kłują mnie w oczy.

Jej głos staje się łagodny.

– Och, moja droga. Nie wiedziałaś.

– Nadałam ci ksywkę ZM – wyrzucam z siebie, jakbym przyznawała się do morderstwa. – Od Złej Macochy.

Chichocze.

– Całkiem sprytne. Zawsze doceniam dobrą ksywkę.

Zdecydowanie piła.

– Na pewno będziesz chciała zapytać o Matteo – mówi. – Jest w tobie zakochany na zabój.

Prawie wypluwam wino, które przed chwilą wypiłam. Zamiast tego przełykam ciężko i sapię.

– Uch…

– Świetnie się bawiłam, patrząc jak próbuje sobie z tym poradzić. Nie ma serca na dłoni, jak pewnie zauważyłaś. – Znowu chichocze. – Obawiam się, że to u nas rodzinne.

Wino. Więcej wina. To jedyna racjonalna rzecz, jaką mogę zrobić. Słucham samej siebie i wychylam zawartość kieliszka.

– Kiedy kilka dni temu przyszłaś podczas kolacji, prosił mnie o radę, jak o ciebie zabiegać. Czyż to nie urocze? Takie staromodne. Patrząc na niego, ciężko dojść do takiego wniosku, ale on naprawdę nie ma szczęścia do kobiet. – Śmieje się. – Zawsze próbuje zgrywać macho. W tej kwestii bardzo przypomina swojego ojca. Nie może znieść myśli, że ktoś uznałby go za słabego. To ego! Ha! Jest ich piętą achillesową.

Opuszczam głowę na stół i zaczynam uderzać czołem w blat.

Jego twarz. O, Boże, ta mina, kiedy zapytałam, o czym rozmawiał z matką. Będę musiała paść na kolana, błagając go o wybaczenie.

– A mówiąc o ego, jest także okropnie próżny. Potwornie. Jego poranne przygotowania zajmują wieki. Same produkty do włosów… –

Wypuszcza ciężki oddech, który ma w sobie uwielbienie i rozczarowanie.

– Powiedział mi o Marii. O tym, że zawsze musiałaś mieć w domu doga niemieckiego, żeby nigdy nie zapomniał, jak odmówił przyjścia do domu, żeby zobaczyć się z ojcem przed śmiercią.

Następuje chwila okropnej ciszy i wyobrażam sobie, jak bardzo zraniłam ją tymi słowami.

– Tak właśnie myśli? Że go karałam? Myślałam, że to dla niego pociecha, że ma psa tej samej rasy co Maria. Byli sobie bliscy.

– O, cholera – jęczę.

– Dokładnie – zgadza się markiza. – Wydaje się, że wszyscy działaliśmy zgodnie z fałszywymi założeniami.

Kończę zawartość kieliszka.

– Ostatnie pytanie.

– Tak?

– Wiesz, dlaczego mój ojciec nie powiedział mi o tobie?

– Poprosiłam go, żeby poczekał, aż będziemy mogły spotkać się twarzą w twarz.

To zaskakuje mnie tak bardzo, że zamieram.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Odpowiada łagodnie:

– Bo nigdy nie miałaś matki, a ja nigdy nie miałam córki. Pomyślałam… to głupie, wiem, ale pomyślałam, że obie mogłybyśmy dostać to, czego zawsze nam brakowało. Przyjechałabyś po miesiącu miodowym, poznałybyśmy się i wszyscy zostalibyśmy wielką, szczęśliwą rodziną. Zaplanowałam już wielkie przyjęcie. Taką imprezę niespodziankę. – Gardło jej się zaciska. – Przepraszam, teraz to wszystko wydaje się takie głupie.

Łzy spływają mi po policzkach. Wielkie łzy żalu i radości. Kiedy już skończę kopać się w tyłek za wszystkie razy, kiedy źle ją oceniłam, uściskam tę kobietę.

– To wcale nie głupie, tylko urocze – mówię. – Przepraszam, że nie zachowałam się tak, jak chciałaś.

Jej śmiech jest cichy i smutny.

– Obawiam się, że takie po prostu jest życie. Ciągle niszczy nasze wspaniałe plany.

– Myślę, że jestem winna Matteo ogromne przeprosiny.

– Czemu? Zadrwiłaś z jego fryzury? – żartuje markiza.

– Obawiam się, że jeszcze gorzej – przyznaję.

– Po prostu skomplementuj jego włosy. To wiele pomoże, uwierz. Wszystko inne można załatwić pocałunkiem – odpowiada praktycznym tonem.

Śmieję się, ale nadal płaczę. Do jasnej ciasnej, moje życie to prawdziwy bałagan, ale myślę, że w końcu będzie dobrze. Jakimś sposobem wydaje mi się, że jakoś się ułoży.

***

Kiedy taksówkarz podjeżdża do krawężnika przed *Castello di Moretti*, tuż przed główną bramą, wyskakuję z auta, zanim jeszcze się zatrzyma i przyciskam guzik na domofonie.

Słyszę trzask w głośniku, a potem głos Matteo:

– Kimber.

Po jego tonie poznaję, że będę musiała płaszczyć się do rana.

– Tak, to ja. – Uśmiecham się i macham do małej kamerki, zamontowanej wysoko na kamiennym murze, i czekam, aż brama się otworzy.

Ale nic się nie dzieje.

Marszczę brwi i ponownie przyciskam guzik.

– Matteo? Halo?

Cisza trwa tak długo, że ziarenko niepokoju, które zakiełkowało w moim brzuchu, zdążyło rozkwitnąć w prawdziwe przerażenie, wielkością przypominające Trójkąt Bermudzki.

Nie wpuści mnie!

W końcu brama otwiera się ze zgrzytem i znowu mogę oddychać. Przepycham się pomiędzy połówkami kutego żelaza, kiedy tylko jest tam dość miejsca, żebym mogła przejść, nie robiąc sobie krzywdy, a potem pędzę obok krużganków, równo przystrzyżonych trawników oraz fontann oświetlonych na fioletowo i niebiesko, aż znajduję się przy pierwszym rzędzie kamiennych łuków, które okalają podjazd.

Zaczynam naprawdę panikować, kiedy Matteo wychodzi przez duże, drewniane drzwi i widzę jego twarz. Nie jest to twarz

mężczyzny, którego da się zmiękczyć komplementami o włosach.

Zwalniam do marszu, serce łomocze mi boleśnie, a żołądek zaciska się w supeł. Zatrzymuję się, kiedy jestem kilka kroków od niego. Dopiero wtedy staję się świadoma ciepłej, wieczornej bryzy i zapachu jaśminu, ponieważ wpatrujemy się w siebie w ciszy tak długo, że moje nerwy są napięte do tego stopnia, że chyba słyszę, jak rosną mi paznokcie.

– Cześć.

– *Buonasera* – odpowiada oficjalnym tonem. Nie wykonuje żadnego ruchu, żeby zaprosić mnie do środka.

– Yy… czy moglibyśmy wejść do środka i porozmawiać? – proponuję.

Odwraca wzrok, bierze głęboki wdech i przesuwa dłonią po włosach, a moje serce umiera. Potem otwiera usta i dobija mnie:

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Żar wypływa mi na policzki. Pierś mi się zaciska, jakby schwyciła ją wielka pięść.

– Chciałam tylko cię przeprosić. Byłam zdezorientowana…

– To zrozumiałe. Twoje życie teraz to chaos – przerywa mi.

– Rozmawiałam z Dominikiem…

– Nie musisz wyjaśniać. – Znowu wchodzi mi w słowo.

– Najwyraźniej muszę, bo ty nie…

– Nie mogę tego zrobić – mówi głośno, z mocą, brwi ma ściągnięte, a szczęki zaciśnięte.

Czuję się, jakbym dostała cios w brzuch.

Kiedy wpatruję się w niego z otwartymi ustami, patrzy w ziemię i mówi cicho:

– Kurwa.

Oddychanie okazuje się niezwykle trudnym procesem. Kiedy się odzywam, brzmię jak Myszka Minnie.

– Zrywasz ze mną. O to ci chodzi? Nie chcesz mnie więcej widzieć? – dopytuję cienkim głosem.

Matteo opiera ręce na biodrach i potrząsa głową, nadal wpatrując się w ziemię.

– Matteo, porozmawiaj ze mną!

Kiedy podnosi głowę i patrzy mi w oczy, oddychanie staje się niemożliwe. Jest miliony kilometrów ode mnie i szybko oddala się jeszcze bardziej.

– Potrzebujesz czasu. Żeby opłakiwać ojca. Swojego byłego. Za sześć miesięcy pewnie poczujesz się z tym wszystkim zupełnie inaczej. W tej chwili, jak sama powiedziałaś, jesteś zdezorientowana – wyjaśnia tonem bez emocji.

– Byłam zdezorientowana – szepczę, drżąc. – Byłam.

Na chwilę zamyka oczy, na jego twarzy widzę ból.

– Wymusiłem to na tobie. Wszystko.

Jego głos jest tak przepełniony żalem, że mam ochotę rzucić mu się w ramiona i pocieszyć. Tyle, że właśnie kończy nasz nie–związek, więc chcę rozbić mu głowę.

– Hej! Niczego na mnie nie wymusiłeś, koleś! – rzucam gorączkowo. – Nie rób z siebie tego złego! I nie rób ze mnie jakiejś damy w opałach, która nie ma żadnego wyboru! To, co wydarzyło się w przymierzalni, stało się dlatego, że *oboje* tego chcieliśmy. Wszystkich tych pocałunków również *oboje* chcieliśmy.

– Szantażowałem cię – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Owszem. Podobała mi się każda sekunda! Gdyby tak nie było, miałbyś podbite oczy i dziurę między nogami w miejscu, gdzie kiedyś miałeś fiuta! – Piorunuję go wzrokiem, a on mnie. – Ani się waż teraz stchórzyć, Moretti. Będę na ciebie wściekła, jeśli teraz okażesz się tchórzem!

– Porównywanie mnie do zwierząt w niczym ci nie pomoże – warczy, zbliżając się do mnie.

– Będę cię nazywać ciepłą kluchą, jeśli będę chciała! – krzyczę.

Oczy mu błyszczą.

– Te usta… – Robi kolejny krok w moją stronę, jakby nie chciał, ale nie mógł się powstrzymać. Ramiona ma sztywne, a usta zaciśnięte, głowę przekrzywił lekko w proteście.

Zatkaj nos, jeśli chcesz, Hrabio Egotistico, ale pocałuj mnie, do cholery. Pocałuj mnie w tej chwili.

Oddychamy wściekle i znowu pieprzymy się wzrokiem w ten cudowny sposób.

Potem Matteo odrzuca głowę do tyłu i wrzeszczy:

– Kurwa!

Opuszcza głowę i patrzy na mnie wściekle.

– Wezwę ci taksówkę. Poczekaj przy bramie.

Odgłos zatrzaskiwanych drewnianych drzwi jest dokładnie tak głośny, jak można się tego spodziewać po drzwiach zamku.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Kimber

Kiedy odbieram telefon, kończę trzecią lampkę wina i drugą paczkę migdałowych biszkoptów, będąc już tak głęboko pogrążona w beznadziei, że wkrótce stanie się ona dominującą cechą mojego charakteru.

– Halo?

– Hej, to ja.

– To nie jest dobry moment, Brad. – Wpycham sobie do ust kolejnego biszkopta i ciamkam głośno do słuchawki. Zasłużył, za to że dzwoni w samym środku załamania nerwowego.

– Co się dzieje? Brzmisz dziwnie.

– Nic wielkiego. Tylko kryzys egzystencjalny, który bez wątpienia zostawi poważne blizny na moim sercu, psychice i zdolności nawiązywania kontaktów z resztą rasy ludzkiej.

– Powodzenia. Co jesz? Brzmi dobrze.

– Masz empatię kupki błota – mówię bez zapału.

– Przepraszam. Chcesz o tym porozmawiać?

– Wolałabym dać sobie wyrwać trzonowca. Czego chcesz? – burczę nieuprzejmie.

– Chciałem dowiedzieć się, kiedy dokładnie ma odbyć się to całe modelowanie dla ciebie.

Wzdycham ciężko i biorę kolejny łyk wina.

– Nie odbędzie się.

– Co? Czemu nie? – pyta zaskoczony.

Wydaje się jawnie zmartwiony tą wiadomością, aż staję się podejrzliwa.

– Ponieważ powód, dla którego pierwotnie chciałam to zrobić, już nie istnieje. Dlaczego cię to obchodzi?

Waha się ułamek sekundy, zanim odpowiada:

– Bo… w ten sposób miałem ci wynagrodzić całe to porzucenie przed ołtarzem.

– Jestem świadoma, dlaczego powinieneś naprawiać relacje ze mną – rzucam oschle. – A teraz powiedz prawdę.

Porzuca pozory, ale przyjmuje przy tym ponury ton.

– W porządku. Chciałem kogoś zaprosić.

Parskam.

– Twoja matka miała przylecieć aż do Włoch, żeby zobaczyć cię na pokazie mody? Myślałam, że chciała tylko zdjęć.

– Chodzi o kogoś innego. – Brad brzmi jeszcze bardziej ponuro.

Już mam ponownie podnieść kieliszek do ust, ale ta informacja mnie powstrzymuje.

– Serio? Kogo?

– Giancarlo.

– Giancarlo? Kim, u diabła, jest Giancarlo? – Kiedy Brad zbyt długo zwleka z odpowiedzią, już wiem. – O, mój Boże. Masz *chłopaka*? Już?

– Nie bądź taka zbulwersowana. Nie tylko ja mam nowego chłopaka, dziewczyno!

Po chwili oznajmiam:

– Słuszna uwaga. A jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie jak do swojej dziewczyny, złamię ci nos. – Opróżniam kieliszek wina i nalewam sobie kolejny.

– Jenner ciągle może nazywać cię swoją dziewczyną – jęczy Brad.

– Drąż dalej, a w końcu wykopiesz dołek, w którym cię pochowam. – Mój głos obniża się o oktawę. – I nie mam chłopaka. Matteo i ja… to się nie wydarzy.

– Dlaczego nie? Pokłóciliście się?

Brad brzmi na szczerze zmartwionego. Nie mogę zdecydować, czy to komiczne, czy przygnębiające.

– Nigdy nie byliśmy razem. A teraz *naprawdę* nie jesteśmy.

– Och, cóż, to ma sens. Dzięki za wyjaśnienie – ironizuje.

Na żarty mu się zebrało, pacan.

– Nie, żebym była ci winna wyjaśnienia, ale… to skomplikowane.

Brad sapie.

– Puściłaś bąka w łóżku, tak? – pyta domyślnie.

– To mi się przydarzyło *tylko raz*! – wrzeszczę. – I obiecałeś, że więcej o tym nie wspomnisz!

Cmoka.

– Wiesz, że nie powinnaś jeść fasoli, Kimber. Nie trawisz jej. Gdybym był słabszy, to już bym nie żył. Ten bąk był prawdziwym mordercą. Miesiącami czekałem, aż odrosną mi włosy w nosie.

– To się nie dzieje – jęczę i zapadam się głębiej w krześle. – Nie zamierzam teraz o tym rozmawiać. Jestem zamknięta w jakimś pokoju z wyścielanymi ścianami, ubrana w wygodny kaftan i przeżywam porządne załamanie nerwowe. *To nie jest* moje życie.

– Zaraz do ciebie oddzwonię. Nigdzie nie idź.

Brad rozłącza się bez wyjaśnienia.

Zakładam, że Giancarlo pojawił się w jego pokoju hotelowym, więc nie odezwie się przez jakiś czas. Z zaskoczeniem widzę, że mój telefon dzwoni znowu po dziesięciu minutach. Kiedy odbieram, Brad brzmi jak zawodowa sekretarka.

– Mam Jennera i Danielle na linii. Włączyłem telekonferencję.

– Co zrobiłeś? Co do… – Aż mnie zatkało z oburzenia.

– Skarbie – mówi Danielle. Wydaje się spanikowana. – Brad powiedział, że masz kłopoty…

– Poppins – przerywa Jenner. – O co tu chodzi? Wszystko w porządku?

Brad włącza się do rozmowy i wszyscy przekrzykują się nawzajem. Siedzę i słucham z niedowierzaniem, kiedy Brad opowiada swoją wersję naszej wcześniejszej rozmowy, a Jenner i Danielle zasypują go pytaniami. W końcu, po kilku minutach, następuje chwila ciszy.

Jenner mówi:

– Ale nie rozumiem, dlaczego to *ty* do nas dzwonisz.

Brad odpowiada:

– Ona jest moją najlepszą przyjaciółką. Chcę, żeby była szczęśliwa.

Kolejna cisza, tym razem dłuższa. Korzystając z niej, oznajmiam:

– Myślę, że jest pewna informacja, której brakuje pozostałym, żeby wszystko zrozumieć, Brad. Pozostawiam do twojej decyzji, czy chcesz się tym podzielić.

– Nie powiedziałaś im?

Jest zszokowany. Słyszę to w jego głosie.

– To nie moja rola. Już ci mówiłam.

– Nawet Jennerowi? – szepcze, a głos mu drży.

– Przepraszam bardzo – rzuca Jenner niecierpliwie. – Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

– Yy… ja… yy… – jąka się Brad. Wydaje z siebie cichy, spanikowany odgłos, a potem błaga. – Ty im powiedz.

Nie zamierzam się kłócić. Nic i tak nie ma sensu. Dlaczego miałoby mieć?

– Pamiętacie, gdzie zamierzaliśmy jechać z Bradem w podróż poślubną?

– Chodzi o to rancho pełne facetów? – pyta Danielle.

– Co w związku z tym? – dodaje Jenner.

– Dwie sprawy. Pierwsza: to Brad chciał tam jechać. Druga: to jest ranczo pełne facetów – podkreślam „Brad” i „facetów”.

Cisza trwa tylko kilka sekund, zanim Jenner rzuca beznamiętnie:

– Nie.

Brad wtrąca się nieśmiało:

– Tak.

Znowu cisza, po czym Danielle pyta:

– Co się dzieje?

Jenner odpowiada jej:

– Jeśli się nie mylę, to Brad właśnie ujawnił się przed nami.

– Ujawnił się? Z czym? – pyta zdezorientowana Danielle.

– Na litość Boską, co Ohio zrobiło z twoim mózgiem? – rzuca rozdrażniony Jenner.

– Wybacz, że nie potrafię czytać w myślach – odpowiada równie poirytowana Danielle. – I żebyś wiedział, że Ohio jest wspaniałym miejscem.

– Ja tego nie wiem, więc popieram Jennera – mówi Brad, jakby z namysłem. – Kiedyś pojechałem do Cleveland i prawie obrabowano mnie przed kościołem o dziesiątej rano.

Zanim ta rozmowa zmieni się z niedorzecznej w totalnie tragiczną, przejmuję kontrolę.

– Brad jest gejem, Danielle – uświadamiam ją.

Wybucha śmiechem, który trwa tak długo, że Brad musi stanąć w swojej obronie.

– To prawda. Jestem gejem. Właśnie dlatego nie mogłem przebrnąć przez ten ślub.

Śmiech Danielle zamiera, kiedy pojawiają się wątpliwości.

– Gejem? Nie rozumiem.

– Zareagowałam dokładnie tak samo – komentuję.

Wstaję od kuchennego stołu i znajduję kolejną butelkę wina.

– Jestem zaskoczony, że tego nie zauważyłem – stwierdza Jenner. – Ale cieszę się, że poszedłeś po rozum do głowy, zanim było za późno, dla dobra was obojga. – Jego głos twardnieje. – Później porozmawiamy o tym, jak powinieneś był to załatwić.

– Doceniam wsparcie, ale już porządnie go przeciągnęłam. – Wyjmuję butelkę ze stojaka obok lodówki. *Nebbiolo*. *Fajnie*. – Poza tym, co się stało, to się nie odstanie.

– Racja! – rzuca Brad przesadnie radośnie. – Teraz musimy skoncentrować się na tym, żeby pogodziła się ze swoim przyrodnim bratem!

– To najdziwniejsza rozmowa telefoniczna w historii – mamrocze Danielle.

– Będziemy potrzebować wszystkich szczegółów, jeśli mamy w czymkolwiek pomóc – stwierdza Jenner, gładko przechodząc do sedna. Zawsze dobrze radzi sobie w kryzysowych sytuacjach.

Przez następne dziesięć minut streszczam wszystko, co wydarzyło się między mną i Matteo odkąd go poznałam, w tym moje plany zniszczenia jego pokazu na Fashion Week przy użyciu Brada i nowych projektów.

– Chwila – przerywa Brad. – Zamierzałaś zmusić mnie do założenia sukni? Kiedy planowałaś mi o tym powiedzieć?

– Mniej więcej w tej samej chwili, co ty mi o odwołaniu ślubu – mówię słodkim głosem. – Bo nic nie może się równać z upokorzeniem przed setkami ludzi, kiedy masz na sobie suknię szytą ręcznie specjalnie na tę okazję. Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, żeby mi to wynagrodzić.

To ucisza go skutecznie.

– Przejdźmy do sedna, dobrze? Co do niego czujesz? Kochasz tego mężczyznę?

Pytanie Jennera sprawia, że zamieram.

– To byłoby niedorzeczne, prawda? Tak wcześnie od poznania? Tak wcześnie po zakończeniu związku z Bradem? Tak… wcześnie?

– To nie jest odpowiedź – stwierdza Jenner.

– To byłoby romantyczne, a nie niedorzeczne – mówi Danielle. – Kiedy tylko zobaczyłam Briana, od razu wiedziałam, że to ten jedyny. Jedno spojrzenie i bum. A wasze dzieci byłyby cudowne – zachwyca się rozmarzonym tonem.

– Hola! Nikt tu nie mówi o dzieciach – oburzam się zgorszona.

– Ona ma rację. Wasze dzieci byłyby cudowne – rzuca Brad.

– Uch. Hodowcy. – Jenner mamrocze pod nosem.

– Czy możemy skończyć rozmowę o dzieciach i wrócić do miłości? Co ja mam zrobić? – pytam.

– Weź się w garść i dowiedz się, co czujesz. To nie w porządku, żebyś zawracała mu głowę tylko dlatego, że jesteś samotna, albo dlatego, że Szatan uraził twoje ego – mówi rzeczowo Jenner.

– Hej – woła Brad, urażony. – Daliście mi ksywkę Szatan?

– Tak i to obraza dla Władcy Ciemności – parska Danielle.

– Uważam – ciągnie Jenner, nie zważając na ich krótką wymianę zdań – że powinnaś zrobić dokładnie to, co zasugerował Matteo i dać sobie czas. Przeżyłaś kilka z najbardziej traumatycznych rzeczy, które mogą przytrafić się człowiekowi, a wszystko w ciągu miesiąca. Zakończyłaś ważny związek. Pochowałaś ojca. Przeprowadziłaś się do innego kraju. Twoja firma spłonęła…

– Twoja firma spłonęła? – wykrzykują Brad i Danielle jednocześnie.

Wyjmuję korkociąg z szuflady i otwieram wino.

– Jak już mówiłem – grzmi Jenner. – Nawet gdybyś wiedziała teraz bez cienia wątpliwości, co czujesz, nie można tworzyć stałego związku podczas takiego chaosu w życiu.

Ma rację. Moje życie to chaos.

A jedynym, co trzymało mnie przy zdrowych zmysłach, był mężczyzna, który szantażował mnie o pocałunki, podtrzymywał podczas pogrzebu ojca, groził, że połamie Bradowi nogi za to, że mnie zdradził, rzucał mi wyzwania, irytował i ekscytował na każdym kroku.

W głowie słyszę głos ojca, wypowiadającego ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam, ostatnią mądrość, zanim opuścił ten świat:

Co łatwo przychodzi, to łatwo odchodzi. Prawdziwie wartościowe rzeczy i ludzie zawsze będą z początku testować siłę twojego charakteru, ale każda kropla bólu na koniec okaże się tego warta. Nie poddawaj się, kiedy coś jest trudne. Trzymaj się rękami i nogami.

– Muszę trzymać się rękami i nogami – oznajmiam.

– Co? – pytają wszyscy.

– Długa historia. Słuchajcie, kocham was wszystkich. Dziękuję, że martwicie się o mnie i dziękuję, że jesteście moimi przyjaciółmi. Myślę, że wiem, co powinnam zrobić. I… Brad?

– Tak?

– Nie wybaczyłam ci zupełnie, ale ten telefon dał ci duże fory.

– Dzięki – mówi, ale jest trochę rozczarowany.

– Co się stało? – pytam.

– Yy… nawet spodobał mi się ten pomysł z sukienką.

Żegnam się i rozłączam, zanim ta rozmowa zboczy na jeszcze bardziej niespodziewane tory. Potem wybieram numer Matteo.

Muszę złapać się rękami i nogami, żeby móc się trzymać.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Matteo

Widzę na ekranie telefonu jej numer i czuję się, jakby ktoś strzelił mi prosto w serce. Nikt nigdy nie mówił, że cała ta miłość będzie tak bolesna. Biorę głęboki wdech i wciskam „odbierz”.

– To ty – rzucam do telefonu.

– Tak, to ja. Proszę, nie rozłączaj się – mówi szybko Kimber.

– Nie zamierzałem.

– Dobrze, bo muszę powiedzieć coś ważnego i chcę, żebyś posłuchał.

Marszczę brwi, słysząc dziwny ton jej głosu i wstaję z krzesła, na którym siedziałem przez ostatnią godzinę i użalałem się nad sobą.

– Piłaś?

– Tak! – Wzdycha, przechodząc od entuzjazmu do smutku. – Ale nie dlatego, że potrzebowałam płynnej odwagi, żeby do ciebie zadzwonić. Po prostu byłam załamana.

To jest nas dwoje.

Wpatruję się w płomienie w kominku, modląc się, żeby uścisk w mojej piersi zelżał i żebym znowu mógł oddychać.

– Jesteś tam jeszcze? – pyta, kiedy cisza przedłuża się coraz bardziej.

– Jestem. – Zniżam głos. – I nie podoba mi się, że pijesz w samotności.

– Odpuść mi trochę, hrabio. Nie co dzień dostaję kosza od faceta moich marzeń. I zanim zapytasz, nie, nie upiłam się po tym, jak Brad zostawił mnie przed ołtarzem i nie, on nie był facetem moich marzeń. Był fantazją, którą uroiłam sobie w głowie, dzięki której odhaczyłam kilka punktów na mojej liście, ale one okazały się bez znaczenia, bo nie były prawdziwe. Ty jesteś prawdziwy. Jesteś tym,

czego od zawsze szukałam, tylko byłam zbyt zajęta radzeniem sobie z katastrofami, żeby zdać sobie z tego sprawę. – Milknie na chwilę. – Chociaż muszę przyznać, że potrafisz być niesłychanie irytujący. Nigdy nie spotkałam kogoś bardziej zapatrzonego w siebie niż ty.

Ten ryk w moich uszach to puls. Ledwo słyszę przez niego jej głos. Nie jestem pewien, ile z tego, co mówi, to alkohol, a ile prawda, ani czy chcę poznać te proporcje.

– Miałem sporo wprawy – odpowiadam.

Śmieje się, a to rozluźnia nieco napięcie w mojej piersi.

– Masz złotą gwiazdkę za starania, to pewne.

Czuję, jak moje usta zaczynają układać się do uśmiechu, jak zawsze, kiedy słyszę jej głos. Albo widzę jej twarz. Albo o niej myślę.

Ale wierzyłem w to, co powiedziałem jej wcześniej. Potrzebuje czasu. Nie będę nagrodą pocieszenia. Nie mogę – nie dla niej.

Muszę być dla niej wszystkim albo niczym.

– Dobra, znowu robisz tę zagrywkę z milczeniem, więc po prostu będę mówić dalej, a ty możesz sobie tam siedzieć milczący i nie dzielić się swoimi myślami.

– Ile dokładnie wypiłaś? – pytam zmartwiony.

– Chcę ciebie.

Oznajmia to, w ogóle nie zważając na moje pytanie, z gwałtownością, która kompletnie mnie zaskakuje i mrocznym, poważnym tonem, który pokazuje mi wyraźnie, że jest absolutnie poważna.

Nagle całkowicie przestaje mnie obchodzić ilość alkoholu, jaki spożyła.

– Chcę ciebie, bo jesteś mądry, zabawny i utalentowany, szanujesz swoją matkę i potrafisz sprawić, że czuję się zdolna zarówno do morderstwa, jak i latania.

– Latania? – wtrącam zdziwiony.

– Kiedy mnie całujesz, czuję się, jakby wyrosły mi skrzydła. Wiem, że to banał, ale szczera prawda, więc musisz to przeżyć.

Dokładnie rozumiem, co masz na myśli.

– Chcę ciebie, bo nigdy nie poznałam nikogo, kto rzucałby mi wyzwania tak, jak ty. Kto patrzy na mnie tak, jak ty. Kto sprawia, że moje serce przestaje bić, kiedy tylko wchodzi do pomieszczenia.

Uścisk w mojej piersi wraca ze zdwojoną siłą. Pojawia się również w gardle. Muszę walczyć o każdy oddech.

Milczymy przez jakiś czas, aż w końcu ona dodaje:

– Masz też niesamowite włosy.

Teraz już nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Rozmawiałaś z moją matką.

– Naprawdę ją lubię – stwierdza.

– Wydajesz się zaskoczona.

– *Jestem* zaskoczona – przyznaje.

Śmieję się.

– Jest specyficzna, ale warto ją poznać.

– Totalnie. A przechodząc dalej. – Czka. – Mam dla ciebie dużo więcej komplementów, jeśli chcesz posłuchać.

Boże, jest urocza. I kompletnie pijana.

– Chciałbym usłyszeć, że wypijesz dużą szklankę wody, weźmiesz aspirynę i pójdziesz do łóżka.

Jej głos łagodnieje.

– A może przyjedziesz tutaj i położysz mnie spać?

Na myśl o tym, że leży naga w pościeli, aż jęczę.

– To był jęk na *tak*, czy na *nie*? – dopytuje Kimber.

– To był jęk frustracji.

– Przyjedź i frustruj się tutaj. Możemy frustrować się razem. Aż przestaniemy.

Chichocze.

– Nie mogę być nagrodą pocieszenia – mówię napiętym głosem. – Nie mogę być tylko wypełniaczem czasu, aż odzyskasz swoje życie. Wierzę w to, co powiedziałem: potrzebujesz czasu…

– Potrzebuję tylko, żebyś przestał mówić mi, czego potrzebuję i przywlókł tutaj swój tyłek – przerywa mi. – Potrzebuję cię pocałować i przeprosić, a także opowiedzieć ci, jak knułam, żeby zniszczyć twój pokaz na Fashion Week.

Słyszę w głowie pisk hamulców.

Zniszczyć mój pokaz?

– Tak, to było głupie – przyznaje nieśmiało, kiedy nic nie mówię. – Zamierzałam zmusić Brada, żeby założył jedną naprawdę ładną sukienkę, nad którą pracowałam. Miałam też nadzieję na Jennera

i kilku jego kolegów modeli, ale nie było go jeszcze na miejscu. Mieli wyjść na wybieg z tabliczkami na szyjach, głoszącymi, że *Moretti ssie jaja*. Albo coś takiego. Tej części jeszcze nie dopracowałam. Ale zerwałeś ze mną i zdałam sobie sprawę, że to był głupi plan i nie chcę zemsty, tylko ciebie. A w zdobyciu cię prawdopodobnie nie pomogłoby zrobienie sceny podczas pokazu.

Jestem kompletnie zdezorientowany.

– Kim jest Jenner i dlaczego, u diabła, twój były miałby zgodzić się założyć sukienkę?

– Jenner to mój najlepszy przyjaciel z San Francisco. Poznasz go, jest świetny. Przyjeżdża do Włoch na Fashion Week. A Brad nadal stara się wynagrodzić mi całą tę ślubną katastrofę.

Założę się, że tak.

Jeśli próbuje wywołać u mnie zazdrość, dobrze jej idzie. Ciśnienie właśnie skoczyło mi do sufitu. Chociaż zaledwie dwie minuty temu powiedziała mi, że nie był facetem jej marzeń, mówiła też, że mają „niedokończone sprawy". A teraz oznajmia mi, że wyraził ochotę, by dać się kompletnie upokorzyć w miejscu publicznym, żeby zadośćuczynić za upokorzenie jej.

Ten sukinsyn nadal próbuje ją odzyskać.

Powinienem był połamać mu nogi, kiedy miałem okazję.

– Halo? – wydaje się zdenerwowana.

– Jestem.

– Jesteś na mnie zły?

– Nie, *bella* – mruczę, pragnąc jej tak bardzo, że odczuwam fizyczny ból. – Ale piłaś, a ja już mówiłem, że nie wykorzystuję nieprzytomnych kobiet.

– Nie jestem nieprzytomna – mówi, udając, że jest trzeźwa. Może nawet bym uwierzył, gdyby nie to beknięcie na koniec.

Nawet *to* jest urocze.

Kolejny dowód, że totalnie przepadłem dla tej kobiety i że robię to, co słuszne, trzymając się z dala.

Ostatnim, czego potrzebuje, to kolejny mężczyzna, który będzie zaciemniał jej obraz. Sama musi zdecydować, czego chce.

W odpowiednim czasie.

Kiedy będzie trzeźwa.

Skoro już wspomniała Fashion Week, mam ochotę zdradzić jej swój plan, ale stwierdzam, że to nie jest właściwy moment.

Poza tym chcę, żeby to była niespodzianka. Chciałem tak od samego początku.

– Idź spać, *bella* – mówię, choć to mnie prawie zabija.

– Znowu mnie spławiasz? – Jest wściekła i tak rozczarowana, że muszę zacisnąć zęby i walczyć z potrzebą, żeby złapać kluczyki, wybiec z pokoju i pojechać do niej.

– Nie, mówię dobranoc.

Dobranoc, śpij dobrze, jestem w tobie szaleńczo zakochany.

– Nie mogę uwierzyć, że moje płaszczenie się nie zadziałało – burczy do siebie. – To było wzorcowe płaszczenie.

– Owszem. Idź spać.

Wzdycha.

– W porządku. Ale jeśli umrę od zatrucia alkoholowego, nie będziesz mógł powiedzieć, że nie przekonywałam cię, żebyś tu przyjechał i mnie uratował.

Rozłącza się, zanim zdążę wypowiedzieć kolejne słowo, pozostawiając mnie gapiącego się na telefon.

To zdecydowanie moja zguba.

Zabieram kluczyki z komody i wychodzę, warcząc pod nosem.

Kiedy obudzi się rano, będzie musiała zmierzyć się z czymś gorszym niż kac.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Kimber

Budzę się powoli, jest mi gorąco i chce mi się pić. Czuję ciepło na plecach i ciężar w talii, a pierwszą myślą jest, że Cornelia znowu przytula mnie od tyłu.

Potem przypominam sobie, że Cornelia jest w Mediolanie z markizą i otwieram oczy.

Ciężar w talii okazuje się ramieniem. Ludzkim. Patrząc na mięśnie i pokaźny rozmiar – męskim.

– Chrapiesz – słyszę za sobą ochrypły głos.

Obezwładnia mnie słodka ulga. Przyszedł.

– Wcale nie.

– W ten sposób. – Matteo ostro wciąga i wypuszcza powietrze, naśladując Dartha Vadera.

– Kłamiesz! Nie chrapię!

Kiedy słyszę śmiech, mam ochotę potraktować go łokciem, ale potem otrzymuję pocałunek w nagie ramię i roztapiam się od środka.

– Następnym razem cię nagram.

Przekręcam się na drugi bok i wtulam w jego pierś. Jest kompletnie ubrany, ma nawet skarpetki, co odkrywam, kiedy wsuwam stopę między jego nogi.

– Jesteś ze mną pod kołdrą – stwierdzam.

– Jestem – potwierdza.

– I masz na sobie wszystkie ubrania.

– Masz prawdziwy dar mówienia o tym, co oczywiste – podsumowuje.

Gdybym nie słyszała czułości w jego tonie, walnęłabym go, ale jego głos jest taki senny i ciepły, że wzdycham z zadowoleniem i wtulam się jeszcze mocniej. Z zamkniętymi oczami szepczę:

– Nie umarłam od zatrucia alkoholowego. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

Jego pierś unosi się i opada przy ciężkich oddechach.

– Bo przyjechałeś i uratowałeś mnie – oznajmiam.

– Jesteś naprawdę dziwna – mówi.

– No dalej. Baw się.

Kolejny wydech i pocałunek w czubek głowy. Pomimo bólu tuż za oczami jestem tak zadowolona, że mogłabym unieść się ponad łóżko.

– Tak, przybyłem na swoim rumaku i ocaliłem cię przed przedawkowaniem wina. Jestem prawdziwym bohaterem. Należy mi się defilada – oznajmia.

– Przynajmniej plakietka – mówię, przytakując. – Albo pamiątkowy kubek.

– Jestem na ciebie zły – stwierdza i chyba naprawdę tak uważa.

Serce zaczyna mi łomotać.

– Przez to, co stało się z Dominikiem?

– Dlatego, że już drugi raz nie spałem całą noc, bo martwiłem się, że możesz zadławić się własnymi wymiocinami.

Marszczę nos, myśląc o tym.

– Fuj.

– Dokładnie. Musimy o tym porozmawiać.

Wciskam twarz w przestrzeń między jego ramieniem a szyją i zaciągam się zapachem.

– Zanim cię poznałam, tylko raz w życiu miałam kaca. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy piłam gin. Miałam szesnaście lat.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że to nie jest twój zwyczaj? – pyta z lekkim niedowierzaniem w tonie.

– Mówię ci, że to nie zwyczaj – zapewniam.

Znowu wypuszcza powietrze. Brzmi to tak, jakby mu ulżyło. Zaciska ramię na moich plecach.

Uśmiecham się i szepczę:

– Jesteś bardzo opiekuńczy jak na kogoś, kto daje mi przestrzeń.

W jego głosie słychać burczenie i warknięcia.

– Słyszałaś kiedyś wyrażenie: „nie drażnij lwa”?

– Tak, czemu?

– Bo właśnie drażnisz lwa – uświadamia mnie.

– Przepraszam. – Przerywam na chwilę, a potem szepczę: – Ale szaleję na punkcie tego lwa i nie podoba mi się, kiedy nie chce być przy mnie, więc muszę gonić go z kijem i drażnić, aż znowu zacznie zwracać na mnie uwagę. Mimo że jajeczko nie powinno gonić spermy.

Matteo odsuwa głowę i patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – pyta zszokowany.

Już sama nie wiem. Jego oczy są tak błękitne, że mnie oślepiają.

Boże, ten mężczyzna z bliska jest naprawdę piękny.

– Nadal jesteś pijana – stwierdza, kiedy nie odpowiadam.

– Nie jestem pijana. Chodzi tylko o to, że jesteś niesamowicie przystojny.

– Próbujesz mi słodzić. – Robi kwaśną minę.

– Działa? – pytam z nadzieją.

– Nie. Nadal jestem zły.

– Myślałam, że się pogodziliśmy – mówię zawiedzionym tonem.

Przez chwilę wygląda na zdezorientowanego.

– Czyżby? – Potem potrząsa głową. – Nawet jeśli, to nadal jestem zły. A ty nadal potrzebujesz czasu.

– No proszę, znowu mówisz mi, czego potrzebuję. Myślę, że powinieneś posłuchać kogoś innego, kto sugeruje ci, czego naprawdę potrzebuję. On ma dużo lepsze pomysły.

Przyciskam biodra do wypukłości w jego spodniach, żeby nie było wątpliwości co do moich intencji. Matteo jęczy cicho i zaciska pięść w moich włosach.

– Przestań.

– Leżysz ze mną w łóżku z szalejącą erekcją. Nie chcesz, żebym przestała.

Całuję go w szyję, przygryzam lekko i poruszam biodrami w czymś, co – mam nadzieję – jest kuszącą bielizną. W nagrodę za moje wysiłki zostaję przerzucona na plecy z nadgarstkami przyszpilonymi nad głową do poduszki i obrzucona gniewnym spojrzeniem.

– Leżę z tobą w łóżku, bo rozłączyłaś się ze mną po tym, jak zagroziłaś, że umrzesz – oznajmia.

Boże, ależ jest seksowny. Spójrzcie tylko na ten cudowny okaz mężczyzny, taki wściekły i seksowny.

– Nie. Patrz. Tak. Na. Mnie. – Zgrzyta zębami.

– Kochaj się ze mną – szepczę, patrząc mu intensywnie w oczy.

Jęczy i opuszcza czoło na moją pierś.

– Chcesz mnie zabić, tak? Masz nadzieję, że mnie wykończysz?

– Potrafię sobie wyobrazić gorsze sposoby, żeby umrzeć. – Wyginam plecy w łuk tak, że przyciskam piersi do jego twarzy.

Wydaje z siebie odgłos, jakby mocno cierpiał, i wciska nos między moje cycki.

– Co ty masz na sobie?

– Koszulkę nocną. Założyłam ją w nadziei, że przyjedziesz. Podoba ci się?

– To nie koszulka nocna, to narzędzie tortur. Nie znoszę jej. – Z lubością pociera o nią policzkiem i wzdycha.

Wiercę się pod nim, bo chcę, żeby puścił moje nadgarstki, to w końcu będę mogła dobrać się do jego idealnego ciała.

– Puść mnie – dyszę, a fala gorąca przepływa przeze mnie.

Kiedy podnosi na mnie wzrok, tracę oddech. Jego oczy zrobiły się takie ciemne. Jest w nich spokój, jakieś nowe zagrożenie i nagle naprawdę ciężko mi oddychać.

– Nie – odpowiada cicho, jakby do siebie. – Nie sądzę.

Chwyta moje nadgarstki w jedną dłoń, a drugą zrywa pasek z takim trzaskiem, że sapię z zaskoczenia. Pęta mi paskiem nadgarstki, przywiązuje go do zagłówka i wpatruje się we mnie wygłodniałym wzrokiem, podziwiając moje ciało.

Jego wargi wykrzywiają się w okrutnym uśmieszku.

– Matteo…

– Cicho – przerywa mi.

Dominujący ton jego głosu ucisza mnie równie szybko, jak podnieca. Przygryzam wargę, przyglądając się mu i czuję, że mój puls zaczyna galopować. Możliwe, że zaraz stanę w płomieniach.

Klęczy między moimi nogami i powoli rozpina koszulę, a potem rzuca ją na podłogę. Widząc jego brzuch zaczynam wiercić się jeszcze bardziej, umierając z niecierpliwości, by poczuć go na sobie.

Schodzi z łóżka i po prostu wychodzi do łazienki.

– Hej! Gdzie idziesz?

– Aspiryna – rzuca przez ramię. – Woda.

Kładę głowę na poduszkę, zamykam oczy i zgrzytam zębami. Z łazienki słyszę niski śmiech.

– Co to za dźwięk? Mamy w pokoju dwa lwy? – pyta ironicznie.

– Masz szczęście, że jestem związana – mówię, oddychając ciężko z potrzeby rzucenia czymś w niego. Najlepiej sobą. – Gdybym nie była, skopałabym ci tyłek. Zastosowałabym takie ciosy karate, że głowa odpadłaby ci od szyi. Zrobiłaby…

– W takim razie dobrze, że jesteś związana. – Pojawia się przy łóżku tak szybko, jak zniknął, trzymając w jednej dłoni szklankę wody, a w drugiej dwie białe pigułki. Uśmiecha się, kiedy widzi, że piorunuję go wzrokiem.

– Czy to kara za to, że uwierzyłam Dominikowi?

– Nie. To kara za to, że się martwiłem i pozbawiłaś mnie kilku lat życia przez swoją niewyparzoną buzię. Weź. – Wyciąga do mnie tabletki.

Wystawiam język i pozwalam, żeby przysunął mi szklankę do ust, żebym mogła się napić. Przełykam i wracam do piorunowania go wzrokiem.

Odstawia szklankę na stolik i nie odrywając ode mnie wzroku, mruczy:

– Ale wiesz, że nie pozwolę ci cierpieć zbyt długo.

Wydaję z siebie nieartykułowany pisk pożądania i znowu się wiercę.

Siada na mnie okrakiem i układa dłonie po obu stronach mojej głowy. Patrząc mi prosto w oczy, mówi:

– A może tak. Jeszcze nie zdecydowałem.

Zanim zdążę zarzucić go różnymi klątwami voodoo, które właśnie przyszły mi na myśl, pochyla głowę i zaczyna ssać mój sutek przez materiał, sprawiając, że wyginam się w łuk i z sykiem wciągam powietrze.

– Mmm… Koronka. – Pociąga zębami za materiał, drażniąc przy tym sutek, aż znowu sapię. Potem zsuwa koszulkę, chwyta w dłonie moje piersi i zaczyna ssać je na zmianę, aż ledwo mogę złapać oddech.

– Takie różowe i twarde – szepcze, powoli całując jeden obolały sutek. – Mokre od mojego języka. Gdzie jeszcze jesteś różowa i mokra, *bella*?

Boże, proszę, pospiesz się i sprawdź to.

Nie mam odwagi odezwać się z obawy, że przerwę ten czar, a on znowu będzie zły i zechce dawać mi przestrzeń.

Przesuwa dłońmi po moich żebrach, aż obejmuje talię. Ściska ją, wzrok ma pociemniały, a uścisk jest solidny. Widzę, że się kontroluje, stara się postępować powoli, ekscytuje mnie myśl, że on jest tak samo podniecony jak ja.

Przesuwa dłonie na biodra, a potem na uda i powoli podsuwa do góry brzeg mojej koszulki.

– Nie masz majtek – sapie, wpatrując się we mnie pożądliwym wzrokiem. Wsuwa kciuk w moją wilgoć, pociera nim w górę i w dół, a ja jęczę i kołyszę biodrami, sutki mnie mrowią.

Patrząc na mnie tak otwartą, trzymając palec między moimi nogami, chwyta penisa drugą ręką i ściska go przez spodnie.

Prawie mdleję z pożądania.

Rozsuwa rozporek i wyjmuje twardego kutasa z bokserek, ściskając go u nasady.

– Jesteś taka piękna – szepcze, patrząc na mnie spod półprzymkniętych powiek, kiedy poruszam biodrami w rytm ruchów jego kciuka. – Boże, ale mnie podniecasz.

– I nawzajem, gorący towarze. Muszę cię dotknąć – odzywam się w końcu.

Ciągnę za pasek krępujący nadgarstki, ale związał mnie mocno. Nie mam pojęcia, dlaczego to takie podniecające, ale nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była tak nakręcona. Powietrze wokół mojej skóry iskrzy. Prześcieradło pode mną jest jak rozżarzone węgle.

Jego dłonie pracują nad nami obojgiem, aż zaczynam dyszeć i pocić się, bliska załamania.

– Proszę. O, Boże, proszę – jęczę.

– Czego chcesz, skarbie? – pyta niskim głosem.

– Proszę, spraw, że dojdę. – Ledwo mogę mówić.

– Jak? Ustami czy kutasem? – dopytuje się Matteo.

Wyrywa mi się niski jęk, odrzucam głowę na poduszkę, a on śmieje się.

– *Certo*. Jedno i drugie. – Pochyla głowę i zastępuje kciuk językiem.

Wciągam powietrze przez zęby, wypuszczając je ostro, kiedy wsuwa we mnie palec.

– Oooch…

Warczy wprost we mnie. To sprośne, seksowne i podoba mi się jak cholera. Do tego stopnia, że szerzej rozchylam nogi i zaczynam kołysać biodrami przy jego języku, jęcząc jak gwiazda porno. Matteo sięga, by wykręcić mój twardy sutek.

Skóra wpija mi się w nadgarstki. Zarost Matteo drapie wnętrze moich ud. Drżę, dyszę i desperacko pragnę, żeby mnie wypełnił, pieprzył, mówił, co do mnie czuje, kiedy zaleje mnie swoim nasieniem i oznaczy jako swoją. Wyginam się mocno, ciągnąc za więzy, a ból między nogami zmienia się w płonące igły. Właśnie kiedy mam spaść w przepaść, jego usta znikają. Klepie mnie lekko między nogami tam, gdzie przed chwilą znajdował się jego język, prosto w pulsującą łechtaczkę.

Dochodzę z krzykiem.

Łapie mnie za kolana, rozwiera szerzej nogi i klepie znowu. I jeszcze raz.

I jeszcze.

Krzyczę, a przyjemność jest tak intensywna, że prawie bolesna.

Mówi do mnie po włosku, a ja się wiję. Jego ton jest naglący, wyrzuca z siebie słowa w takim pośpiechu, że stają się tylko melodią w moich uszach. Jestem bezradna, zagubiona, jęczę i wyję, błagam, żeby nie przestawał, głosem, który nie brzmi jak mój własny.

– Piękna. Piękna – szepcze ochryple i klepie mnie ponownie.

Kiedy mijają ostatnie wstrząsy i opadam wycieńczona na prześcieradło, cała obolała, wybucham płaczem.

– Skarbie? Och, skarbie! O, Boże, zrobiłem ci krzywdę? Co się dzieje?

Matteo jest przejęty, zrywa pasek z moich nadgarstków i bierze mnie w ramiona. Szlocham przy jego piersi, wtulając się mocno, aż udaje mi się złapać oddech, a łzy spowalniają.

Ujmuje moją twarz w dłonie.

– Przepraszam! Myślałem, że ci się podoba, myślałem, że było ci dobrze, powinnaś była powiedzieć…

– Nie przepraszaj. To był najbardziej niesamowity orgazm w moim życiu – mówię drżącym głosem.

Zamiera i przygląda mi się uważnie.

– Naprawdę?

Przytakuję, pociągając nosem.

– Tak, naprawdę. Chyba zobaczyłam Boga.

Wypuszcza powietrze z uczuciem ulgi i ściska mnie tak mocno, że mogę pęknąć na pół.

– Jezu! – wyrzuca z westchnieniem.

– Jego też. Mogły tam być też jakieś cherubiny.

Matteo zaczyna się śmiać, na początku cicho, a potem coraz głośniej.

– Co ja mam z tobą zrobić?

– Więcej tego samego, poproszę.

Kładzie mnie z powrotem na łóżko i całuje z taką czułością, że cała drżę. Osusza moją twarz opuszkami palców i ustami, scałowuje łzy i mruczy takie urocze rzeczy, że czuję się, jakby serce mogło mi pęknąć od słuchania tego. Oplatam go nogami w pasie, a ręce zarzucam na ramiona, podpowiadając, żeby zdjął resztę ubrań.

– Och. – Znowu zamiera.

– O co chodzi?

– Nie wziąłem prezerwatywy.

Jedno spojrzenie wystarczy, żebym zrozumiała, dlaczego.

– Jak kiedy kobieta nie goli nóg przed randką, żeby nie skusić się na seks – stwierdzam.

– Dokładnie – przytakuje.

Biorę głęboki oddech dla kurażu i mówię:

– Jestem czysta. Dopiero co robiłam badania. Więc…

Lekko opuszcza powieki i zniża głos.

– Więc… chcesz powiedzieć, że bez niczego?

Przygryzam wargę i przytakuję.

– O ile ty też jesteś czysty.

– Jestem – odpowiada natychmiast. – Mam wyniki w domu, jeśli chcesz, mogę je przynieść.

Posyłam mu spojrzenie, mówiące: *zamknij się, do cholery!*

Uśmiecha się szeroko.

– Dobra. Skoro tę sprawę mamy wyjaśnioną. – Skacze na równe nogi, staje przy łóżku i rozbiera się. Kiedy kończy i jest nagi, w pełnej krasie, powoli kręcę głową ze zdumienia.

– Wow. Po prostu… *wow*.

– Dziękuję. Chyba.

– Właź z tyłkiem do tego łóżka i to już.

Jest grzecznym chłopcem i słucha bez mrugnięcia, rzuca się na mnie ze zwierzęcym warknięciem i zaczyna łaskotać, aż piszczę. Potem wsuwa się we mnie, a piski zostają zastąpione przez głębokie jęki.

Ochrypłym głosem mówi mi do ucha:

– Jesteś *przemoczona*.

– Twoja wina. – Sapię, kiedy wchodzi coraz głębiej. – O Boże, to wszystko twoja wina, jeśli przestaniesz, to cię zabiję.

– I taka gorąca – szepcze, pchając ponownie. – To takie niesamowite uczucie. Jak niebo, *bella*, jak pieprzone niebo.

Rozkładam nogi i przyjmuję go jeszcze głębiej, zaciskając palce na włoskach na karku. Kiedy drapię jego głowę, zaczyna robić się intensywnie. Gryzie mnie w szyję, a ja jego w ramię. Zaciska palce na moim tyłku. Ja wbijam paznokcie w jego plecy. Zaczyna mnie pieprzyć ostro, warcząc i sycząc tak cudowne, sprośne rzeczy, że aż płoną mi policzki.

Uwielbiam to. Kocham wszystko. Każde nieprzyzwoite słowo. Każde zaborcze ugryzienie. Każde uszczypnięcie, dotyk czy jęk, jaki z siebie wydaje.

Kiedy drży i słyszę cichy, bolesny odgłos, wiem, że jest blisko. Próbuje się powstrzymać, żebym doszła pierwsza.

Ale chcę, żebyśmy zrobili to razem. Szepczę mu do ucha:

– Mam spiralę. Dojdź we mnie.

– Boże – odpowiada zduszonym głosem. – Czy możesz być jeszcze bardziej idealna?

Potem nie mogę już myśleć, bo płynę na grzbiecie fali, wyżej i wyżej, aż po bezkresny błękit nieba. Ryk wiatru zatyka mi uszy. Słońce pali twarz, nos wypełnia zapach jego skóry. Lecę.

Fala rozbija się nade mną. Ryk wiatru zaczyna przypominać moje imię, kiedy Matteo odrzuca głowę i wykrzykuje je. Ciało ma napięte jak strunę, uderzając we mnie.

Spadam, spadam i spadam, wiję się, kręcę i wiercę, wypuszczając z rąk resztki oporu, kiedy wylewa się we mnie i wykrzykuje w swoim języku coś, co brzmi jak modlitwa.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Kimber

Śpimy.

Budzę się z jego dłonią na piersi, czuję jego twardość i gorąco na plecach. Znowu się kochamy, powoli, w ciszy, leżąc na boku. Cieszę się, że nie patrzę na jego twarz, bo czuję takie emocje, że cały czas walczę z łzami.

Nigdy nie spodziewałam się, że będę czuła tak wiele. Pierś boli od trzymania wszystkiego w sobie. Mam na końcu języka *kocham cię*, ale nie mogę tego powiedzieć, nawet później, kiedy leżymy przytuleni, a nasze oddechy i pulsy spowalniają. Pot chłodzi nasze ciała, on uśmiecha się do mnie łagodnie, a w jego oczach widzę całe serce.

Wcześniej miłość zrobiła ze mnie taką potulną idiotkę. Tym razem muszę być na sto procent pewna, że nie jestem ślepa.

– Rozmyślasz.

Jego głos jest ciężki od snu i spełnienia. Przesuwa dłonią po moim kręgosłupie, wplata palce we włosy i przyciąga mnie bliżej.

– Skąd wiesz?

– Czuję swąd dymu.

– Ha.

Milczymy przez chwilę, chociaż mam wrażenie, jakby zostało wypowiedziane tysiąc słów. Jego dłonie tworzą historie na mojej skórze. Silne, spokojne bicie serca pod moim policzkiem wysyła tyle obietnic. Jego uśmiech jest baśnią, w którą bardzo chcę uwierzyć.

– Powiedz mi.

Wzdycham, szczęśliwa i zadumana, spokojna i cholernie przerażona zarazem.

– Pewnie byłoby mi z tym wszystkim łatwiej, gdybyś był biedny i brzydki jak Shrek.

– Sprzedam zamek i oddam wszystkie pieniądze na cele charytatywne – mówi pewnym głosem. – Przytyję dziewięćdziesiąt kilo i pomaluję się na zielono.

– Dobrze. – Ukrywam twarz na jego piersi.

Przytula mnie, całuje w skroń, trąca nosem ucho i śmieje się cicho z mojej głupoty.

– Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, od teraz będę mówił ci tylko to, co mnie w tobie irytuje.

Podnoszę głowę i piorunuję go wzrokiem.

– Na przykład?

Zaciska wargi, żeby się nie roześmiać.

– Na przykład twój spokojny, przewidywalny temperament. Słodki, czuły język.

Rzucam oschle:

– Uważałeś mój język za całkiem słodki, kiedy był owinięty wokół twojego kutasa.

Oczy mu płoną, kiedy mamrocze:

– Moje królestwo za te usta.

Serce zatrzymuje mi się przez chwilę. Nagle tracę oddech i mówię:

– Nie masz królestwa, hrabio.

– Jasne, że mam.

Wywracam oczami, kiedy pojawia się jego szelmowski uśmieszek.

– Dobra. Jasne. Jesteś królem świata mody. Władcą wybiegów. Panem skórzanych wdzianek…

– Wiesz, że nie mam skórzanych wdzianek – warczy i przekręca mnie na plecy tak, że jestem unieruchomiona pod nim. – I nazwij mnie hrabią jeszcze raz… – Pochyla głowę i skubie moją pierś.

– Au!

Jego język, ciepły i kojący, przesuwa się po miejscu, które przed chwilą przygryzł. Rzucam gniewne spojrzenie na czubek jego głowy.

– Ugryzłeś mnie w cycek!

Posyła mi cwaniackie spojrzenie. Z ostrą nutą w głosie mówi:

– I podobało ci się jak cholera.

Żołądek mi się zaciska, jak zawsze, kiedy tak na mnie patrzy. Kiedy podnosi się na łokciach i ujmuje w dłonie moją twarz, czuję, jakbym już zupełnie nie miała żołądka.

– I kochasz mnie, prawda?

Jego wzrok wwierca się wprost we mnie, niebieskie lasery przebijają moją duszę, rzucają wyzwanie, żebym go okłamała.

– Myślałam… że chcesz dać mi… przestrzeń.

Tylko tyle jestem w stanie wydusić. Mój mózg zamienił się w papkę przez to, jak na mnie patrzy. Przez jego słowa i intensywne spojrzenie, a także przez wysiłek, który muszę włożyć w powstrzymanie entuzjastycznego „tak”.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, co do mnie czujesz – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – Chcę, żebyś była dzielna i wyrzuciła z siebie wszystko. Tym razem prosto w twarz. Możemy zrobić to powoli. To nie musi niczego zmieniać. Ale jeśli uważasz, że to ma jakąś przyszłość, muszę wiedzieć. Wierzę w to, co wczoraj powiedziałem. Nie mogę być nagrodą pocieszenia. Dla kogoś innego tak, ale nie dla ciebie.

Przygryzam wargę tak mocno, że aż boli.

– Już ci powiedziałam, że nigdy nie pragnęłam nikogo tak, jak ciebie.

Czeka i bez mrugnięcia wpatruje się w moją twarz.

– I że jestem przerażona, że złamiesz mi serce.

Nadal jest jak kamień.

Do jasnej ciasnej, ten facet potrafi być onieśmielający.

– Co jeszcze? – popędza mnie.

– A to nie wystarczy?

– Rozpieść mnie.

Zwilżam wargi, pragnąc, by moje serce znowu miało stały rytm.

– Nie uważam cię za nagrodę pocieszenia.

– Nie *uważasz*?

O, cholera. Kiepski dobór słów.

– To znaczy, jestem prawie pewna.

Kiedy blednie, dodaję szybko:

– Jestem pewna prawie na sto procent!

Odsuwa się ode mnie, jakby nagle napotkał na chodniku wielką, parującą kupę. Odwraca się do mnie plecami, siada na brzegu materaca i ukrywa twarz w dłoniach.

Siadam, podciągam prześcieradła, żeby ukryć nagie piersi i staram się nie panikować. *Chciał prawdy. Poprosił o prawdę!*

Owszem, a ty jesteś kretynką, skoro uważasz, że naprawdę tego właśnie chciał.

– Proszę, nie bądź na mnie zły – szepczę.

Potrząsa głową i ciężko wypuszcza powietrze.

– Nie jestem. Wściekam się na siebie.

Kiedy wstaje i zaczyna się ubierać, opcja niepanikowania znika.

– Matteo, proszę, nie. Porozmawiajmy o tym.

– Po co? Czy to coś zmieni?

– Proszę, chcę, żebyś zrozumiał…

– Bardzo dobrze rozumiem – odpowiada, a w jego głosie słyszę lód. – Właśnie tego próbowałem uniknąć. Właśnie dlatego chciałem, żebyś dała sobie czas. A potem upiłaś się i powiedziałaś mi, że jestem tym, kogo szukałaś. Powiedziałaś mi cudowne rzeczy. Nawet skomplementowałaś moje włosy.

Brzmi, jakby był zdegustowany i nie mógł uwierzyć, że upadłam tak nisko.

– Dałaś mi wszystko, czego chciałem. Dałaś mi siebie całą. Odpuściłaś. Ale nie do końca, bo kiedy zapytałem, czy mnie kochasz, nie potrafiłaś odpowiedzieć „tak”. – Jego wzrok jest zajadły. – Nie dlatego, że nie mogłaś, bo myślę, że tak nie jest. Po prostu tego nie zrobiłaś.

– To ty ciągle powtarzasz mi, że potrzebuję czasu!

– Bo tak jest! – grzmi. – I właśnie go dostaniesz!

Zszokowana patrzę, jak zakłada spodnie i koszulę. Wpycha stopy w buty, nie zakładając nawet skarpet, chwyta kluczyki z komody i wymaszerowuje z pokoju, nie mówiąc nawet „do zobaczenia”.

– Ani się waż płakać – ostrzegam samą siebie, słuchając, jak silnik samochodu Matteo ryczy na zewnątrz. – Ani się waż.

Idę pod prysznic i stoję tam z twarzą zwróconą do strumienia wody, żeby mieć wymówkę dla kropel, które płyną mi po policzkach.

***

Reszta poranka bez niego wydaje się bezkresna i pusta. Serce mnie boli. Nie wiem, czy powinnam do niego zadzwonić, czy zostawić go w spokoju, żeby ochłonął. Przypuszczam, że ma rację – jedynym, co może naprawić sytuację, jest separacja, ale nie znoszę tej myśli.

Z drugiej strony w końcu odkryłam, jakie jeszcze ma wady. Poza gigantycznym ego ten facet ma temperament, który przechodzi w tryb smoka ziejącego ogniem równie szybko, co mój. Prawdopodobnie nie powinnam cieszyć się z tego, bo już wyobrażam sobie wszystkie te kłótnie w przyszłości, które zapewne dałoby się lepiej załatwić spokojną rozmową.

Ale, jakby nie patrzeć, seks na zgodę to jasna strona tej sytuacji.

Kiedy wchodzę do sklepu, Clara rzuca na mnie pojedyncze spojrzenie i od razu osądza:

– Ganiałaś spermę, prawda?

– Związki są bardziej skomplikowane niż jajeczka i sperma, Claro!

– Chcesz mieć skomplikowany związek, to weź sobie kota. Mężczyźni są tak skomplikowani, jak paprotki. Za dużo analizujesz.

Wraca do haftowania, a ja wchodzę do swojego biura i opadam twarzą na biurko. Dziesięć sekund później dzwoni mój telefon.

– Halo?

– Hej, Kimber.

Opadam na oparcie krzesła i patrzę w sufit.

– Cześć, Brad. Wyświadczysz mi przysługę?

– Jasne! O co chodzi?

– Następnym razem, kiedy poczuję do kogoś coś głębszego, strzel mi prosto w serce i zaklej pochwę na Super Glue.

Następuje długa cisza przepełniona zmartwieniem.

– Rozumiem, że sytuacja z Matteo nie poprawiła się – stwierdza w końcu Brad.

– Dokładnie.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał? – proponuje.

Oczy prawie wyskakują mi z orbit.

– Oczywiście, że nie! To był żart? – pytam.

– Mówię tylko, że to mogłoby pomóc. Mógłbym wyjaśnić mu kwestię twojej osobowości.

– Co masz do mojej osobowości? – żądam, podnosząc się na krześle.

Mówi dalej spokojnie, jakby właśnie nie groziła mu śmierć.

– Upór. Temperament. To, że zawsze musisz wygrywać. Ale nie powiem mu o bąkach. W tej sprawie musi poradzić sobie sam.

Ponownie opadam twarzą na biurko i jęczę:

– Jakim cudem to może być moje życie?

– A z innym wieści… – przerywa dla podkreślenia efektu. – Przeprowadzam się tutaj.

– Tutaj? Gdzie tutaj? Nic z tego nie rozumiem.

Brad wzdycha głośno.

– Do Florencji! Czyż to nie wspaniałe?

– Przychodzi mi do głowy kilka innych słów – mówię przez zaciśnięte zęby. – Dlaczego się tu przeprowadzasz? Twoje całe życie jest w San Francisco!

– Wcale nie. Ty tu jesteś.

Odbiera mi mowę. W poprzednim wcieleniu zdecydowanie musiałam zrobić coś okropnego, bo wszechświat obchodzi się ze mną naprawdę okrutnie.

Potem Brad dodaje nieśmiało:

– I Gio też.

– Gio?

– Giancarlo. Mówiłem ci o nim.

Potrzebuję chwili, żeby to przetrawić, a potem jestem kompletnie zdumiona.

– Aż tak poważnie traktujesz tego faceta? Już?

– No halo, kociołku – rzuca oschle. – To ja, garnek. Może zjemy lunch i przedyskutujemy definicję ironii.

Widzę, że wyostrzył mu się humor, odkąd postanowił się ujawnić. Może Giancarlo powinien mi za to podziękować. Plus dla niego.

– A co z twoimi rodzicami? – pytam.

Jego głos robi się spięty.

– Nadal sądzą, że próbuję cię odzyskać.

– A zastanawiałeś się, co z tym zrobisz? – drążę.

– Nie. A ty zastanawiałaś się, co zrobisz z Matteo?

– Daje mi przestrzeń, żebym upewniła się, że nie jest dla mnie tylko nagrodą pocieszenia, więc nie muszę nic robić ponad to, żeby udowodnić, że nią nie jest.

– Nie jest – stwierdza Brad, jakby był autorytetem w tej dziedzinie. – Znam cię i wiem, że to, co do niego czujesz, jest prawdziwe. Może to kiepski moment, ale to nie koniec świata.

– Dziękuję bardzo, panie doktorze. Szkoda, że nie byłeś taki mądry w kwestii naszego ślubu.

– Ja też tego żałuję. Jeszcze raz przepraszam. Jeśli nie będę dla ciebie występował jako model, musisz wymyślić inny sposób, żebym mógł ci to wynagrodzić.

Obezwładnia mnie fala wyczerpania. Jedyne, czego chcę, to wrócić do łóżka, wpełznąć pod kołdrę i zostać tam, aż będę stara.

– Po prostu bądź szczęśliwy, to wystarczy.

– Chcesz, żebym był szczęśliwy? – pyta ze zdumieniem.

Brzmi, jakby był zaskoczony, przez co czuję się jeszcze bardziej zmęczona. W tej chwili nie dam rady uporać się z załamaniami nerwowymi innych ludzi. Za bardzo zajmują mnie własne.

– Nie wyobrażam sobie, że po wszystkim, co przeszliśmy, żadne z nas ostatecznie nie wyjdzie na tym dobrze. Więc tak. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Zasługujesz na to.

Po chwili ciszy Brad wybucha płaczem.

– Na litość boską, bierzesz hormony, czy jak?

– Nie krzycz na mnie! To takie emocje! – szlocha.

– Naprawdę? Nie zauważyłam. – Znowu opieram się na krześle i zamykam oczy. Może to wszystko zły sen. Może obudzę się za chwilę i wszystko się skończy. – Muszę już iść. Kaftan bezpieczeństwa mnie woła.

– W porządku. – Pociąga nosem i bierze drżący wdech. – Ale jeśli będziesz chciała pogadać o Matteo, jestem tu.

Rozłącza się, a ja zaczynam rozważać, czy moje życie jeszcze kiedykolwiek będzie miało jakiś sens.

***

Przez następny tydzień całkowicie poświęcam się pracy. Spędzam w sklepie tyle godzin, że odpuszczam sobie wracanie do domu na noc i śpię na składanym łóżku w biurze. Clara mnie karmi. Niepokój dotrzymuje towarzystwa. Zawsze, kiedy Jenner albo Danielle dzwonią, żeby zapytać o Matteo, odpowiadam im tym samym:

– Nie rozmawialiśmy.

Zaczynam myśleć, że jest tak samo uparty, jak ja.

Potem, dziesięć dni po naszej kłótni, otrzymuję zaproszenie. Zostało wydrukowane na śnieżnobiałym płótnie, ozdobione złotymi literami. Moje nazwisko wypisano pod eleganckim logo Domu Moretti, a poniżej widzę datę, godzinę i adres Pałacu Królewskiego w Mediolanie, gdzie odbędzie się pokaz ich kolekcji.

Clara widzi, że coś trzymam i pyta, co to.

– Kimberella dostała swoje zaproszenie na bal – odpowiadam z uśmiechem.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Kimber

Pierwsze, co muszę zrobić, to zdecydować, co ubiorę.

Nigdy nie byłam na takim pokazie, ponieważ są organizowane tylko dla zaproszonych osób. Nawet jeśli jesteś saudyjską księżniczką albo Beyoncé – bez zaproszenia nie dostaniesz się do środka. Kobiety, które noszą najlepsze i najdroższe ubrania świata są szczególną rasą, a większość z nich nie chce być wywoływana publicznie albo, broń Boże, fotografowana. Projektanci bardzo strzegą prywatności swoich klientów, więc cały proces nabiera tajemniczej, wręcz sakralnej, atmosfery.

To jedyna w swoim rodzaju okazja, żebym zaprezentowała któryś ze swoich projektów. Na tym pokazie będzie więcej potencjalnych kupców, niż kiedykolwiek zdobędę indywidualnie. O ile w ogóle mogłabym określić, kim będą, a nie mam takiej mocy. Lista klientów każdego projektanta jest bardziej strzeżona niż tajemnica państwowa.

Poza wysyłaniem ubrań do sławnych ludzi, w nadziei, że kiedyś założą coś mojego, jedynym sposobem, by przebić się do tego ekskluzywnego grona kobiet, które noszą eleganckie, szyte ręcznie ubrania, jest polecenie ustne.

Będę chodzącą reklamą swojej pracy. A to znaczy, że cokolwiek założę, musi być idealne. Mamy tylko kilka dni, żeby dokończyć kolekcję i dopasować projekt, który wybiorę, do mojego rozmiaru.

Problemem jest wybranie jednego.

– Błękitna z cekinami i strusimi piórami – sugeruje Clara, kiedy krytycznie oglądam każdą sukienkę, nad którą pracowałyśmy.

– Zbyt dramatyczna – stwierdzam.

– Skóra i satyna z klamrą w talii – proponuje inną.

– Zbyt awangardowa. – Tę też odrzucam.

– Czerwony jedwab z marszczonym dekoltem. – Clara wskazuje kolejną sukienkę.

– Zbyt seksowna.

– Fioletowa bez rękawów z gładką spódnicą.

Odwracam się, by obejrzeć sukienkę przypiętą do muślinowej formy obok stanowiska Sofii. Numer dziewięć jest spektakularna, jeśli mogę tak stwierdzić. To głęboki, królewski fiolet z gładką, satynową spódnicą i trenem zaprojektowanym tak, żeby płynął przy każdym ruchu modelki. Gorset zrobiony jest z ręcznie farbowanej koronki, udekorowanej maleńkimi cekinami i odcięty pod biustem poprzecznym pasem jedwabiu, żeby podkreślić talię. Wysokie rozcięcie daje nutę zmysłowości, ale całość pozostaje elegancka i wyrafinowana.

Klaszczę i podskakuję z ekscytacji.

– To jest to! Claro, jesteś genialna.

– Wiem – odpowiada. – To co robimy w kwestii lunchu?

Daję jej całusa w policzek, a potem zamawiam kanapki z delikatesów na końcu ulicy. Kiedy kończymy jeść, wracam do pracy z nową energią, odliczając minuty, kiedy znowu będę mogła zobaczyć Matteo.

***

Trzy dni później fioletowa sukienka jest gotowa. Robimy ostatnie szlify pozostałych projektów z kolekcji, a Jenner dotarł do Mediolanu. Poinformował mnie o tym fakcie w wiadomości głoszącej: *Elvis wylądował*.

Kiedy do niego dzwonię, odbiera po pierwszym sygnale.

– *Moshi moshi*.

– Nie mów, że znowu jesteś w tym Japończyku.

Wzdycha teatralnie.

– Niestety, rozstaliśmy się z uroczym Hiro.

– Ale będziesz zawsze o nim pamiętał, odbierając telefon – mówię ze śmiechem.

– Jestem sentymentalny w takich sprawach. Jak się masz, kochana? Brzmisz lepiej niż podczas ostatniej rozmowy.

– Czuję się nieco lepiej, głównie dzięki zaproszeniu.

Wiem, że wzbudziłam jego ciekawość, kiedy słyszę ten ton.

– Zaproszenie?

– Na pokaz Matteo w Pałacu Królewskim – mówię podekscytowana.

– Więc jednak nie będziesz musiała się wkradać!

– Chyba chciałeś powiedzieć „my".

Pociąga nosem.

– Wypieram się jakiejkolwiek wiedzy o tym nikczemnym planie i z chęcią powiem to każdemu przedstawicielowi władzy – oznajmia stanowczo.

– Phi. Dobrze wiesz, że przekonałabym cię do tego.

– Oczywiście – rzuca beztrosko. – Ale tylko dlatego, że boję się, że mnie stłuczesz. Byłem przy tym, jak przestawiłaś nos Szatanowi, jeśli pamiętasz. A jak on się miewa?

– Wciąż jest gejem. I zakochał się w kimś o imieniu Giancarlo.

– Giancarlo – mruczy Jenner. – Pyszności. Chyba też się w nim zakochałem. Szkoda, że nigdy go nie poznam. Mógłbym pomścić cię, rozbijając ich związek.

– Och, pewnie go poznasz. Brad postanowił przeprowadzić się do Florencji, żeby być ze swoim chłoptasiem. I przyczepił się do mnie jak rzep do psiego ogona. Jestem pewna, że gdybym powiedziała mu, że jadę do Mediolanu na pokaz, on i Gio już kupowaliby bilety na następny pociąg.

Po chwili Jenner śmieje się.

– Cóż, nikt nie powie, że masz nudne życie.

Wypuszczam powietrze i siadam przy biurku, czując się, jakby przez ostatni miesiąc przybyło mi dziesięć lat.

– Muszę przyznać, że teraz przydałoby mi się trochę nudy.

– A co nowego u złej macochy i futrzanych siostrzyczek? – interesuje się Jenner.

– Okazuje się, że ona nie jest wcale taka zła. Boże, muszę ci naprawdę wiele powiedzieć. Kiedy się zobaczymy?

Podaje mi nazwę hotelu, w którym się zatrzymał, a potem nalega, żebym przygotowała się na pokaz Matteo w jego pokoju, bo nie wierzy, że zrobię odpowiednią fryzurę i wybiorę właściwe dodatki. Brzmi fantastycznie, więc zgadzam się od razu.

Przyda mi się wsparcie moralne. Jutro miną dwa tygodnie, odkąd ostatni raz widziałam Matteo i martwię się bardziej, niż chcę przyznać. Nie wiem, jak będzie między nami. Tęsknię za nim tak bardzo, że czuję się tak, jakby ktoś ujął mi kończynę, ale nie mam pojęcia, co on czuje i myśli. Nie kontaktował się ze mną, odkąd wyszedł z mojego domu.

Boję się, że zmienił zdanie względem nas.

Przeraża mnie to nawet bardziej niż fakt, że mógłby złamać mi serce, a to już wiele mówi.

***

– Przestań się wiercić.

– Pospiesz się! Jestem spóźniona! – denerwuję się coraz bardziej.

Stojąc za mną w lśniącej, marmurowej łazience w pokoju hotelowym, Jenner ostrożnie wsuwa grzebień w moje upięte włosy, a potem odsuwa się, by podziwiać swoje dzieło. Kiwa głową z satysfakcją.

– Połowa u góry, połowa na dole. Wyrafinowane, ale seksowne. Gratulacje, wyglądasz idealnie.

– A do tego pocę się w tej cholernej sukience – mamroczę, machając rękami, żeby trochę się ochłodzić. Powietrze z klimatyzacji dmucha wprost na mnie z sufitu w łazience, ale moje ciało uznało, że to czas na kolejną falę gorąca.

Wiem, że to hormony. Niedługo znowu zobaczę Matteo, a moja przeklęta macica urządza dziką imprezę, ze światłami i głośną muzyką. Jestem wrakiem człowieka.

Jenner chwyta mnie za ramiona.

– Po prostu oddychaj, kochana. Właśnie tak.

Bierze powolny wdech przez nos, a potem wypuszcza powietrze ustami.

– Wiem, jak się oddycha – sarkam rozdrażniona.

– Najwyraźniej nie. Hiperwentylujesz. – Demonstruje kolejny powolny wdech przez nos i pokazuje, żebym go naśladowała.

– Uch. Dobra.

Oddycham tak teatralnie, jak to możliwe, powtarzając jego ruchy.

– Och – mówię kilka oddechów później. – To naprawdę działa.

Uśmiecha się.

– A teraz poćwiczymy chodzenie.

– Chodzenie? Przecież wiem, jak to robić!

Unosi brew z powątpiewaniem.

– Kiedy ma się na sobie taką suknię, nie można tupać, jakby rozgniatało się stopami winogrona. Trzeba sunąć. – Odpływa ode mnie, jakby stał na chmurce. Nogi poruszają się, ale górna część ciała jest kompletnie nieruchoma. To daje niesamowity efekt.

– Nigdy nie zdołam tego powtórzyć, chłopaku z wybiegu. I dzięki za poprawienie mojej samooceny w kwestii poruszania się. To był dokładnie taki strzał w kolano, jakiego potrzebowałam.

Kiedy obrzucam go wściekłym spojrzeniem, wybucha śmiechem.

– Och, Poppins. Żartuję sobie. Cudnie chodzisz. Próbuję tylko trochę cię rozluźnić – oznajmia z rozbrajającym uśmiechem.

– Proszę, nie rób tego więcej. Efekt jest dokładnie przeciwny. Jestem tak spięta, że mogę pęknąć.

– Wiem – mówi łagodnie, podchodzi i kładzie dłonie na moich ramionach.

– Czuję się trochę, jakbym miał *déjà vu*, nie sądzisz? Ostatnio, kiedy razem przygotowywaliśmy się do wielkiego wydarzenia, nie poszło dokładnie tak, jak planowaliśmy.

– Mam nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Odpukać. – Wyciągam rękę i delikatnie pukam go w skroń.

– Bardzo śmieszne. Przynajmniej nie masz teraz kalii – mówi zdegustowany.

– A właśnie, gdzie moja torebka? – Rozglądam się po pokoju.

– Tutaj. – Podnosi ją z blatu i robi do mnie minę. – Co tam masz? Kamienie?

– Błyszczyk do ust, telefon i wielką stertę wizytówek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę rozdawać je jak cukierki.

Jenner śmieje się.

– Cieszę się, że podchodzisz do tego tak przedsiębiorczo.

Znowu zaczynam głęboko oddychać, bo moje serce postanowiło, że to dobry moment, żeby zacząć galopować.

– Byłoby mądrzej, gdybym poszła tam z brzuchem pełnym Xanaxu[48]. Boże, to jest gorsze niż ślub. Nerwy mam w strzępach!

Wystawiam dłoń i oboje patrzymy, jak drży.

– Naprawdę coś do niego czujesz, prawda? – mamrocze Jenner.

Niedopowiedzenie roku.

– Wychodzi na to, że powiedzenie: „rozłąka umacnia uczucia" ma w sobie sporo prawdy. Chciałabym tylko…

Kiedy zbyt długo milczę, Jenner pogania:

– Co?

Patrzę mu w oczy i mówię cicho:

– Chciałabym, żeby to było łatwiejsze.

– To? – Unosi brwi.

– Miłość. Związki. Dlaczego to wszystko musi być takie zagmatwane i niejasne?

Wzdycha i głaszcze moje włosy.

– Bo prawdziwe życie to nie bajka, kochana, a stworzenie trwałego związku jest trudne. Miłość wymaga wiele przebaczenia. Ludzie nie są idealni. Zakochać się jest łatwo, ale pozostanie w miłości to wybór. Musisz zdecydować, czy wzloty i upadki są tego warte, bo będzie ich sporo. Będzie też ból. Właśnie tu wszyscy popełniamy błąd, oczekując, że miłość wygląda jak z reklamy, gdzie dwoje ludzi biegnie do siebie przez łąkę pełną czterolistnych koniczyn i żyją razem długo i szczęśliwie, nie żałując niczego. Prawdziwa miłość jest wtedy, kiedy możesz spojrzeć na kogoś i powiedzieć: „wiem, że mnie zranisz i rozczarujesz, a także zawiedziesz na tysiąc sposobów, ale akceptuję to, bo dzięki tobie jestem lepszym człowiekiem. Przy tobie staję się całością. Wolę umrzeć, niż przeżyć choć jeden dzień bez ciebie, niezależnie, co się wydarzy".

Wpatruję się w niego i mrugam, żeby powstrzymać łzy i nie zepsuć sobie makijażu.

– Szczerze mówiąc, jesteś ostatnią osobą na świecie, od której spodziewałabym się to usłyszeć – mówię cicho.

Ciężko przełyka i odwraca wzrok. Kiedy znowu się odzywa, jego głos jest niski i ostry.

– Nie każdy z nas jest na tyle odważny, by ponownie ryzykować złamanie serca. Nie każdy mógłby to przetrwać.

Jestem zszokowana. Znam tego człowieka od dziesięciu lat i to pierwszy raz, kiedy zobaczyłam, że może być nieszczęśliwy z miłości. Najwidoczniej ten niekończący się pochód partnerów zaczął się po zawodzie miłosnym tak wielkim, że nigdy się po tym nie pozbierał.

– Opowiesz mi o tym? – pytam delikatnie.

Opanowuje się, unosi głowę i zmusza do promiennego uśmiechu.

– Nie tuż przed tym, jak masz wskoczyć do karety i pojechać na swój bal. Chodź, idziemy. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Xanax? – pytam z nadzieją.

– Lepiej. Limuzynę. I nie musisz się martwić, że o północy zmieni się w dynię. Dopłaciłem za tę opcję – żartuje i uśmiecha się ciepło.

Knykciem ociera mi kącik oka i za łokieć wyprowadza z pokoju.

***

Pałac jest masywną, neoklasyczną budowlą, usytuowaną w samym sercu Mediolanu, tuż obok białej katedry, której wysokie wieżyczki majaczą nad nim. Fasada pałacu jest spektakularnie oświetlona czerwonymi światełkami, które sprawiają, że budynek mieni się jak rubin na tle szafirowego, wieczornego nieba. Poruszane bryzą szkarłatne banery z logo Moretti zwisają z dachu, wyraźnie pokazując, kto tej nocy rządzi w pałacu.

Matteo zdecydowanie wie, jak oznaczyć terytorium.

W tym moje serce.

Kiedy limuzyna zbliża się do pałacowego wejścia i zatrzymuje, ponownie wykorzystuję technikę głębokich oddechów Jennera, bo zaraz zemdleję z nerwów. Parkingowy w uniformie otwiera drzwi i pomaga mi wysiąść, z aprobatą przyglądając się, jak rozcięcie sukni ukazuje sporą część nagiego uda.

– *Buonasera, bellissima*[49] – mówi ochrypłym barytonem, uśmiechając się do mnie z szelmowskim, pościelowym spojrzeniem oczu barwy espresso.

Uff. Włosi. Mogliby sprawić, że dziewczyna zajdzie w ciążę przez osmozę.

Dołączam do elegancko ubranych ludzi wchodzących do pałacu przez wyznaczone drzwi i pokazuję krzepkiemu, ubranemu na czarno ochroniarzowi zaproszenie. Sprawdza moje nazwisko na liście, kiwa głową i pozwala mi przejść do spektakularnego holu, wyłożonego marmurem i oświetlonego niezliczonymi, kryształowymi żyrandolami, mieniącymi się jak kryształki lodu. Czuję się skrępowana, ale zadowolona z pełnych podziwu spojrzeń, które skupiają się na mojej sukni. Podążam za tłumem schodami, wyłożonymi czerwonym dywanem, prowadzącymi na drugie piętro.

Docierając tam, wkraczam do innego świata.

Kupki płatków czerwonych róż zostały ułożone wzdłuż ścian i balustrad. Tysiące pąków w pęczkach zwisa z sufitu na nieregularnych wysokościach jak winorośle. Szklane wazony, wyższe ode mnie i wypełnione wodą, czerwonymi płatkami i pływającymi świecami, migoczą między kupkami płatków, spowijając wszystko eteryczną poświatą. Z ukrytych głośników sączy się brzmienie skrzypiec, a powietrze przesiąknięte jest wonią róż i wosku.

Ogólny efekt jest magiczny, zmysłowy i tak romantyczny, że zapiera dech w piersi.

Wysokie, rzeźbione, drewniane drzwi stoją otwarte, prowadząc do sali balowej, w której ustawiono rzędy krzeseł wokół wybiegu podświetlonego od dołu różowymi światełkami. Ludzie tłoczą się w środku, udając, że prowadzą luźne rozmowy, a tak naprawdę sprawdzają, kto jest kim i co ma na sobie.

Przy drzwiach kolejny ochroniarz sprawdza zaproszenia i wskazuje miejsca. Moje znajduje się w pierwszym rzędzie na samym środku, aż serce mi zamiera, ale biorę głęboki wdech, prostuję ramiona i wchodzę.

Natychmiast czuję dotyk zimnej dłoni na ręce.

– *Mi scusi, signorina*[50].

Odwracam się i widzę kobietę stojącą za mną. Jest niezwykle blada, ma czarne włosy sięgające talii, kości policzkowe jak świeżo zaostrzony koniec noża i oczy, które prawdopodobnie nie zamykają

się podczas snu, z uwagi na ilość skóry, która została usunięta z powiek podczas operacji plastycznej. Jej sukienka jest obcisła, czarna i jedwabna, ukazująca ostre kości biodrowe. Wygląda, jakby ostatni porządny posiłek jadła w latach dziewięćdziesiątych.

Towarzyszy jej kobieta, która wygląda dokładnie jak redaktor naczelna „Vogue", Anna Wintour.

Jestem tak wytrącona z równowagi możliwością, że to rzeczywiście może być Anna Wintour, że z próby uśmiechu wychodzi mi jakiś wilczy grymas.

– Tak?

Kobieta mówi do mnie coś po włosku, pokazując moją sukienkę.

– Przepraszam, nie mówię po włosku.

Anna Wintour oznajmia:

– Chce wiedzieć, kogo masz na sobie.

– Och! Mnie! To moje! – Znowu się uśmiecham, tym razem starając się wyglądać jak normalna istota ludzka.

Anna i ta kobieta, która przypomina Morticię, wymieniają spojrzenia.

– Jesteś projektantką?

Morticia pożądliwie ogląda sukienkę. Mam wrażenie, że chce mnie pogłaskać albo wziąć jako zakładniczkę. Ambicja podpowiada mi, że zgodziłabym się na jedno i drugie.

– Tak. Oto moja wizytówka.

Morticia chwyta ją, podnosi na wysokość nosa i próbuje zmrużyć oczy. Gdyby tylko miała dość skóry wokół oczu, żeby ją ściągnąć.

– *Grazie*. – Oddalają się, szepcząc coś do siebie z pochylonymi głowami.

Chyba poszło nieźle, ale nie mam czasu nad tym rozmyślać, bo światła przygasają i muzyka staje się głośniejsza, zaznaczając, że pokaz zaraz się zacznie.

Niestety mój zdenerwowany pęcherz uznał, że to czas, żeby udać się do toalety.

Rozglądam się za oznaczeniem łazienek, ale nic nie widzę przez morze ciał i przyćmione światła. Ludzie zajmują miejsca i też powinnam to zrobić, ale jeśli nie znajdę zaraz toalety, będę musiała siedzieć przez cały pokaz zaciskając uda i modląc się, żeby moje

mięśnie Kegla wytrzymały dość długo, by nie narażać mnie na żenujące wyjście awaryjne.

Wracam do ochroniarza przy drzwiach i pytam o łazienkę. Wskazuje koniec korytarza. Ruszam w tym kierunku, przytrzymując spódnicę, kiedy drepczę, ile sił w nogach, na wysokich szpilkach.

Kiedy docieram do końca korytarza, natrafiam na rozwidlenie. Nie ma znaku toalety, ani nikogo, kto mógłby mi pomóc, tylko kolejne korytarze, w których niesie się echo pokazu, który zaraz przegapię.

Ominęłam ją? Może przebiegłam obok drzwi!

Spanikowana, postanawiam ruszyć w prawo.

Idę dalej, mijam kolejne pokoje z zamkniętymi drzwiami, zablokowanymi stojakami z aksamitnymi sznurami. Najwidoczniej to nie toalety. Właśnie kiedy mam się poddać i zawrócić, zauważam otwarte podwójne drzwi na końcu korytarza, z których sączy się światło.

Przebiegam przez nie i natrafiam na zasłony, które projektanci i dekoratorzy wnętrz używają, żeby zakryć dużą przestrzeń. Ta konkretna zasłona jest szkarłatna, stąd wiem, że jestem we właściwym miejscu.

To dziwne, że zasłony są zasunięte, ale co tam. Muszę siusiu.

Rozsuwam zasłony w miejscu, gdzie znajduję przerwę i wchodzę w sam środek chaosu.

W pomieszczeniu wielkości sali balowej zostało zainstalowane niewielkie miasto. Przy ścianach stoją niezliczone stojaki z sukniami. Na krzesłach przy podświetlonych stołach siedzą modelki w krótkich, czerwonych szlafrokach, właśnie mają robione makijaże i fryzury. Projektanci skaczą wokół długiego rzędu modelek, czekających w pobliżu drzwi po drugiej stronie i dodają poprawki na ostatnią chwilę. Gra muzyka rockowa, fotografowie robią zdjęcia, dziewczyny robią selfie, a pomocnicy przekrzykują się nawzajem o szpilki, nożyczki czy buty.

Jestem za sceną.

Jakby był latarnią morską, Matteo od razu przyciąga mój wzrok. Stoi przed wszystkimi modelkami i ma zaraz wyjść na wybieg. Ogląda każdą suknię, akcesoria i każdy kosmyk włosów, żeby upewnić się, że wszystko jest idealne.

Serce zaczyna mi łomotać. Obezwładnia mnie potrzeba podbiegnięcia do niego, rzucenia mu się na szyję, wciśnięcia nosa w jego pierś i zaciągnięcia się tym cudownym zapachem. Tak bardzo chcę go dotknąć, poczuć jego silne ramiona, że czuję, jakby w żyłach płynął mi ogień.

Wtedy przesuwa się i moim oczom ukazuje się dziewczyna na przedzie kolejki, a ogień zamienia się w lód.

Modelka ma na sobie sukienkę z jednym ramiączkiem z cynobrowego jedwabiu. Spódnica jest rozkloszowana. Gorset mieni się cekinami. Krój, styl i projekt są kunsztowne i tak znajome, jak moja własna twarz.

Ponieważ ta sukienka jest *moja*.

Zataczam się, jakby ktoś mnie uderzył, odbierając mi całe powietrze i przykładam dłoń do ust. Wpatruję się w dziewczynę z przerażeniem, w głowie mam pustkę, a krzyk próbuje uwolnić się z mojego gardła.

Powiedział, że tego nie zrobi. Obiecał. Nie, nie, to nie może się dziać, to jakaś pomyłka…

Przesuwam wzrok na kolejną modelkę, potem następną i z uczuciem mdłości zdaję sobie sprawę, że to nie pomyłka.

Wykorzystał je wszystkie!

Wycofuję się, cała drżąc. Nogi mam jak z ołowiu. W głowie mi faluje. Wspomnienia uderzają we mnie z ogromną prędkością, te wszystkie rzeczy, które Matteo mi powiedział. Wszystkie piękne kłamstwa.

Zwierzęcy jęk agonii ucieka mi z ust.

Jak mogłam do tego dopuścić, dać się wykorzystać i upokorzyć, ponieść własnym uczuciom.

Znowu?

Obiecałam sobie, że tego nie zrobię, przysięgłam, że nigdy więcej nie będę taką ślepą kretynką, a jednak jestem tu, stoję w sukni, którą zrobiłam właśnie na tę okazję i patrzę, jak mężczyzna, którego uwielbiam, pali moją duszę na popiół.

Zataczam się do tyłu i wpadam na ścianę, próbując złapać oddech. Jeśli nie wydostanę się stąd natychmiast, umrę.

Odwracam się na pięcie i wybiegam.

Pędzę przez puste korytarze pałacu, nie zauważając ich bogactwa. Ból płynie moimi żyłami jak trucizna.

Jak mógł? Jak mógł? Jak on mógł?!

Na pewno jest wyjaśnienie. Kocha cię. Wiesz o tym. Daj mu szansę wyjaśnić.

Oszalałaś? Ma wyjaśnić, że planował to od samego początku? Że nie mógł przekonać cię do sprzedania firmy ojca, więc zamiast tego sprawił, że zakochałaś się w nim? Że jest najbardziej zimnokrwistym sukinsynem na świecie?

Po prostu daj mu szansę!

Zatrzymuję się na szczycie schodów. Ciężko oddycham, cała drżę i jestem prawie pewna, że zawartość mojego żołądka zaraz zrobi wielkie wyjście i wyląduje na czerwonym dywanie, ale przez chwilę walczę z potrzebą zbiegnięcia na dół na tyle długo, by usłyszeć głos w mojej głowie, który każe się zatrzymać. Nakazuje, żebym zajęła swoje miejsce w pierwszym rzędzie i zobaczyła, co się wydarzy. Niech wszystkie klocki domino upadną.

Musi być jakiś powód, dla którego zaprosił mnie tu dzisiaj. W głębi serca nie wierzę, że dałby mi najlepsze miejsce, żebym mogła obejrzeć jego zdradę.

Jakakolwiek jest przyczyna tego wszystkiego, chcę jej wysłuchać.

Nie ucieknę. Nie przyłożę mu w nos i nie rozbiję całej porcelany w domu. Chociaż najbardziej na świecie chciałabym uniknąć prawdy, rzeczywistość wygląda tak, że jestem w nim zakochana tak, jak nigdy nie byłam w Bradzie.

Jestem w nim zakochana. Nawet jeśli zrobił ze mnie wariatkę. Nawet jeśli mnie okłamał. Pomimo wszystko.

Jestem w nim zakochana. Niech się dzieje, co chce.

To naprawdę okropna decyzja.

Dasz radę. Wejdź do środka i zajmij miejsce. Obejrzyj pokaz. Potem porozmawiaj z nim. Jak dorośli. Dowiedz się prawdy i poradź sobie, jakakolwiek ona jest.

– Dobrze – szepczę do siebie, próbując opanować nerwy. – Dobrze.

Odwracam się, zdeterminowana, by wrócić na pokaz i usiąść na swoim miejscu, ale kiedy chcę zrobić krok do przodu, tren zaczepia się o obcas jednej ze szpilek. Chwieję się, balansuję i macham

rękami, żeby utrzymać równowagę, ale nagle cały świat przechyla się, a grawitacja robi swoje i spadam tyłem ze schodów.

Uderzam głową w stopień.

Widzę gwiazdy.

Ostatnie, co pamiętam, zanim staczam się na sam dół schodów w Pałacu Królewskim w Mediolanie, jest fakt, że nawet Kopciuszek nie musiał przechodzić przez tak wiele.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Matteo

Gdzie ona jest?

Po raz setny wyglądam za zasłonę. Widzę gości na siedzeniach, widzę fotografów czających się po bokach, ale nie widzę Kimber.

W końcu muszę pogodzić się z porażką.

Ona nie przyjdzie.

Może wróciła do byłego narzeczonego. Może zdała sobie sprawę, że to, co do mnie czuje, to bardziej irytacja niż przywiązanie. Może naleganie, żeby dać jej przestrzeń, by przekonała się, że nie jestem tylko nagrodą pocieszenia, było kolosalnym błędem.

Niezależnie, o co chodziło, tutaj jej nie ma.

Agonia, jaką przeżywałem bez niej przez ostatnie dwa tygodnie to nic, w porównaniu z tą chwilą.

– Matteo! Musimy zaczynać! Na co czekasz?!

Antonio stoi obok, podskakując z niepokoju. Już jest cały spocony. Jeśli nie dam znaku do rozpoczęcia, następny może być atak serca.

Wszystkie modelki wpatrują się we mnie i czekają. Publiczność zaczyna się niecierpliwić. Nie mogę dłużej zwlekać.

Wskazuję podbródkiem na Alexę, dziewczynę na przedzie, w czerwonej sukience. Od razu rozumie i rusza na wybieg. Modelka za nią zajmuje jej miejsce. Liczę do dziesięciu i daję jej znak do wyjścia.

Potem pozwalam, żeby Antonio przejął stery. Muszę znaleźć jakieś ciche miejsce, żeby opatrzyć moje krwawiące serce.

Tak cieszyłem się, że zobaczę wyraz twarzy Kimber, kiedy zobaczy wszystkie swoje projekty na modelkach wchodzących na wybieg. Może i miała obskurny sklepik w Stanach, ale kiedy jej nazwisko

będzie flagowym Domu Moretti, stanie się sławna w ciągu jednego wieczora.

Zasługuje na to. Jej prace są jednymi z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Chcę, żeby miała wszystko, czego nigdy nie miał jej ojciec. Pieniądze, poklask, możliwości, które łączą się z sukcesem. Jej ojciec był genialnym projektantem, ale przez całą karierę pozostawał anonimowy. Włączając projekty Kimber do pokazu mogę uhonorować nazwisko DiSanto i dziedzictwo jej ojca, pomóc w starcie jej kariery i dać jej nagłówki gazet, które przyćmią te o nieudanym ślubie.

Nawet jeśli postanowi, że chce wrócić do tego kretyna, zamiast być ze mną, nadal mogę dać jej coś, czego on nigdy nie zdoła.

Mogę dać jej cały świat.

Wkrótce pokaz dobiega końca, a ja wychodzę na scenę, kłaniam się i macham w odpowiedzi na ogłuszający aplauz widowni, jednak wśród nich nie ma jedynej osoby, na której opinii mi zależy.

Nigdy w życiu nie czułem się taki załamany.

CZTERDZIEŚCI

Kimber

Bezustanne pikanie jest tym, co w końcu mnie budzi.

To i niesamowity ból, który odczuwam.

Mrugam, żeby wyostrzyć wzrok, aż dostrzegam zegar. Wisi na wstrętnej, żółtej ścianie naprzeciwko mnie. Tyka radośnie, a odgłosy odbijają się echem w mojej czaszce jak wystrzały z broni.

Gdzie jestem?

Odwracam głowę, za co zostaję nagrodzona tak palącym ukłuciem bólu, że wzrok mi się rozmywa. Słyszę ryk i zakładam, że albo ktoś wpuścił do pokoju słonia, albo ten przeszywający dźwięk wydobył się ze mnie.

Podejrzewam, że moja mała wycieczka w dół pałacowych schodów nie skończyła się najlepiej.

– Poppins! Obudziłaś się!

W moim polu widzenia pojawia się Jenner, niezwykle jak na siebie niechlujny. Włosy ma w nieładzie, a ubranie pomięte, jakby miał za sobą weekend z ostrym piciem i spaniem w aucie.

Próbuję zapytać, co się stało, ale ponoszę klęskę. Przestraszony moim słabym bełkotaniem Jenner woła:

– O, Boże. Pielęgniarka! Pielęgniarka! Obudziła się! Wydaje dziwne odgłosy!

Znika z pola widzenia, ale wraca dość szybko, w towarzystwie srogo wyglądającego pielęgniarza, który świeci ostrym światłem prosto w moje oczy.

– Mrpf! – protestuję, krzywiąc się.

– Jak się pani czuje, panno DiSanto? – pyta pielęgniarz tonem, którego dorośli używają w rozmowach z małymi dziećmi.

Mam ochotę go walnąć.

– Wszystko boli. – Udaje mi się wypowiedzieć te słowa poprawnie, na co Jenner aż wykrzykuje z ulgi. Pielęgniarz również uznaje to za dobre, bo uśmiecha się do mnie szeroko.

– Dobrze! Grzeczna dziewczynka.

Jeśli ten facet wręczy mi lizaka, nie biorę odpowiedzialności za swoje czyny.

– Co się stało?

– Obawiam się, że miała pani okropny krwotok. – Słyszę w odpowiedzi.

– Jak okropny? – Próbuję przekręcić szyję, żeby spojrzeć na swoje ciało, ale odkrywam, że mam na szyi kołnierz, który to uniemożliwia.

Ogarnia mnie przerażenie.

– Jak bardzo jest źle? – Mój głos jest wysoki i żałośnie słaby. Słoń opuścił budynek.

– Nic ci nie będzie – mówi Jenner uspokajającym tonem, który przeraża mnie jeszcze bardziej.

– Mam przesrane, tak? Jestem sparaliżowana! Mam porażenie czterokończynowe! O, Boże, po prostu powiedz mi prawdę! Będę na wózku do końca życia, tak?

Pielęgniarz patrzy na Jennera z uniesionymi brwiami. Jenner unosi ramię.

– Gdybyś wiedział, przez co ostatnio przeszła, zrozumiałbyś – informuje go.

– Nie jest pani sparaliżowana, panno DiSanto – oznajmia cierpliwie pielęgniarz.

– Skąd możesz wiedzieć? – wrzeszczę, nieprzekonana.

Zerka w dół.

– Choćby z uwagi na śmiertelnie mocny uścisk na moim ramieniu.

Podążam za jego spojrzeniem. Rzeczywiście, to moja dłoń wpija się w jego ładnie opalone przedramię.

– A co z nogami? – krzyczę, nie poddając się. – Czemu nie mogę ruszyć nogami?

Jenner odpowiada ostrożnie:

– To może z powodu gipsów.

– Gipsy? Liczba mnoga? Mam gips na obu nogach? – Moje przerażenie sięga zenitu.

– I na lewej ręce. Najwidoczniej masz kości kruche jak sardynka, kochana. – Dodaje radośnie. – Przynajmniej nie złamałaś karku!

– A co z mózgiem? – pytam z niepokojem, próbując usiąść, chociaż czuję przy tym fale kłującego bólu. – Mam uszkodzony mózg? Obrzęk? Coś pourazowego? Czy będę potrzebowała pomocy w jedzeniu? Zapomnę imiona wszystkich i zgubię się we własnym sąsiedztwie?

Widzę, że pielęgniarz próbuje nie wywrócić oczami.

– Nie ma pani uszkodzonego mózgu. Badania nie wykazały żadnych krwawień ani obrzęków, a EEG wyszło w normie.

Wypuszczam powietrze z ulgą, opadając na poduszkę, ale sapię lekko, kiedy mój system nerwowy przypomina mi, że nie powinnam w tej chwili opadać na cokolwiek.

– Proszę się odprężyć. Poproszę lekarza, żeby przyszedł tu i wszystko pani wytłumaczył, dobrze?

Czuję, że do oczu napływają mi łzy. W ciągu czterech sekund zaczęłam nawet lubić tego pielęgniarza mówiącego po angielsku z silnym akcentem, z fryzurą, której przydałby się profesjonalny stylista.

– Dobrze – odpowiadam, starając się nie bełkotać. – Powiedz mu, żeby przyniósł dobre prochy.

Pielęgniarz uśmiecha się.

– W tej kwestii mogę pomóc.

Przyciska guzik, przyczepiony do przewodu zwisającego z metalowego stojaka, na którym znajdują się również dwie torebki przezroczystego płynu. Ciecz spływa plastikową rurką wprost do wenflonu umieszczonego w mojej żyle z wewnętrznej strony łokcia. W ciągu kilku sekund otacza mnie ciepło i wszystko się rozmywa.

– O, rany! – Śmieję się, upojona. – To są dobre prochy. O, Panie!

– Jeśli będziesz potrzebowała kolejnej dawki, po prostu wciśnij guzik. – Układa przewód obok mojej ręki i wychodzi, zaciągając zasłonę wokół łóżka od strony drzwi.

– Jak się tu dostałam?

Jenner wysuwa krzesło, siada i ujmuje moją dłoń.

– W karetce.

– A ty?

– Uwierz lub nie, Brad.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. W mojej głowie falują obrazy uśmiechniętego blondyna ze złamanym nosem, w sportowym garniturze, jadącego na jednorożcu.

O raju, mam halucynacje.

– Nie łapię.

– Ratownicy znaleźli twój telefon w torebce. Brad był ustawiony jako kontakt w nagłych wypadkach.

Do zapamiętania: zmienić kontakt w nagłych wypadkach.

Unoszę brew z zaskoczeniem.

– Jak odblokowali telefon?

– Twój kciuk. – Mówi to tak, jakby było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

– Więc zadzwonili do Brada, który był w… – Przez mój cudny koktajl z prochów z trudem przypominam sobie miejsce jego pobytu. – We Florencji.

– Tak. Zadzwonił do mnie i dotarłem tutaj przed nim…

– Czekaj, on tu jest? – Rozglądam się, jakby miał zaraz wyskoczyć z łazienki, machając rękami i krzycząc „ta–da!”.

– Był. Wcześniej.

Sposób, w jaki Jenner to mówi, sprawia że robię się podejrzliwa, ale nie rozumiem, dlaczego. Zerkam na jego twarz. Zbliża się powoli, potem oddala i znowu zbliża. To naprawdę niezły towar.

– Jak długo tu jestem?

– Przywieźli cię wczoraj wieczorem.

Uderza to we mnie z siłą tarana – wczoraj wieczorem.

Pokaz.

Matteo!

Jęczę cicho z bólu i zamykam oczy.

– Poppins? – pyta z niepokojem.

Szepczę:

– Matteo. Wykorzystał moje projekty w pokazie.

– Wiem – Jenner odpowiada bardzo poważnie.

Otwieram oczy i patrzę na niego.

– Wiesz? Skąd? – Próbuję się skoncentrować.

Zerka na złożoną gazetę, leżącą na małym stoliku obok łóżka, ale zanim odpowiada, słyszę, że drzwi się otwierają i ktoś wchodzi do pokoju. Słyszę jakieś szepty, których nie rozumiem, a potem zza zasłony wyłania się Brad, ramię w ramię z przystojnym mężczyzną, którego wcześniej nie widziałam. Ma ciemne oczy i głębokie dołeczki, a także gęste, czarne włosy tak wspaniałe, że mogłyby grać w reklamie.

– Obudziłaś się! – mówi Brad, na tyle głośno, że się krzywię.

– Nie przypominaj mi. Kto to? – Przenoszę spojrzenie na mężczyznę.

Brad obejmuje ramieniem przystojniaka, który uśmiecha się do mnie nieśmiało.

– To jest Gio – przedstawia go.

Wiem, że to niewłaściwe zachowanie, ale zaczynam chichotać. Tak, naprawdę. To jest moje życie.

– Cześć, Gio – mówię.

– *Buongiorno* – mamrocze, taki uroczy i zakłopotany.

Patrzę na Brada i przekazuję mu mentalnie: *widzę, skąd to zauroczenie.*

Poruszając brwiami, Brad odpowiada bez słów: *prawda?*

Potem przechodzi w biznesowy ton, robi się dziwny, bez uśmiechu i przyjaznego usposobienia.

– Więc, Kimber, pogadajmy.

– Dlaczego nagle brzmisz jak prawnik? Chodzi o twój majątek?

Mruga, zbity z tropu.

– Majątek? Nie, tu chodzi o ciebie. Chcę porozmawiać o tym, jak się czujesz. Co ci dzisiaj chodzi po głowie?

Wyczuwam dziwne napięcie w sposobie, w jaki czeka na odpowiedź. Patrzę na Jennera, który obserwuje mnie z nieprzeniknioną miną. Potem przenoszę wzrok na Gio, nadal wyglądającego uroczo i nieśmiało.

Wściekam się.

– Przestań pieprzyć, Wingate. Leżę tutaj w kawałkach. Jak myślisz, co mi chodzi po głowie?

– Nie wiem, dlatego pytam. Ostatnie, co słyszałem, to że ty i Matteo rozstaliście się, bo dał ci czas, żebyś upewniła się, że nie jest

twoją nagrodą pocieszenia.

W pokoju panuje taka cisza, że można by usłyszeć spadającą szpilkę. Oczywiście poza piszczeniem maszyny, do której jestem podpięta.

– Może moglibyśmy porozmawiać o tym później – szepczę i myślę sobie, że powinnam znowu wcisnąć ten guzik od leków. Moje serce potrzebuje silniejszej dawki otępienia.

Brad i Gio zbliżają się do łóżka. Ten pierwszy mówi:

– Jenner powiedział nam, że poszłaś na pokaz Matteo w pałacu. Więc…?

Pozwala, żeby słowa zawisły w powietrzu, jako zaproszenie do rozmowy. Wie, że nie potrafię oprzeć się niedokończonym wypowiedziom, gnojek.

Z ciężkim westchnieniem kiwam głową.

– Poszłam. A potem spadłam ze schodów.

Brad robi minę.

– A co wydarzyło się pomiędzy przybyciem tam, a upadkiem ze schodów?

– Dlaczego krzyczysz? – bulwersuję się głośno.

Macha na mnie energicznie.

– No, dalej. Mów. Poczujesz się lepiej, jak to z siebie wyrzucisz.

Zerkam na Gio.

– Wiesz, on nigdy nie był taki otwarty, wylewny, w stylu „siądźmy w kręgu i opowiedzmy sobie o naszych najmroczniejszych sekretach", kiedy był ze mną. Masz na niego dobry wpływ.

Gio rumieni się, co wygląda niezwykle czarująco.

– *Grazie* – mówi nieśmiało.

– Ale uważaj z hazardem – ostrzegam. – A w restauracji nigdy nie wie, co chce zjeść. Najgorzej. Będziesz tam siedział całą noc. Zestarzejesz się, zanim wybierze przystawkę.

Brad odchrząka ze zniecierpliwieniem.

– Dość już o mnie, teraz rozmawiamy o tobie! – przypomina mi.

Muszę zamknąć jedno oko, bo pokój lekko wiruje.

– Och, o mnie? Zastanówmy się. Od czego zacząć? Narzeczony porzucił mnie przed ołtarzem. Ale tę część już znasz. Mój ojciec umarł. Odziedziczyłam wszystko. Mój sklep spłonął.

Przeprowadziłam się do Włoch i przejęłam firmę ojca. Nienawidziłam nowego przyrodniego brata, ale tylko na początku. Mój narzeczony okazał się gejem. Och, ale to też wiesz. Potem zakochałam się w moim przyrodnim bracie…

– Co powiedziałaś?

Mrugam, zaskoczona głośnym wtrąceniem Brada.

– Ta ostatnia część – nalega. – O twoim przyrodnim bracie.

Myślę przez chwilę, a potem zdaję sobie sprawę ze swojego błędu.

– Och, racja. Mówiłam o byłym przyrodnim bracie.

Brad jęczy i odrzuca głowę, patrząc w sufit.

– No, ale co z nim? Ta druga część!

– Ta z zakochiwaniem się? – pytam słabym głosem, a łzy zamazują mi wzrok.

– Tak! – krzyczą jednocześnie Jenner i Brad.

Burczę:

– Rany, chłopaki, weźcie na wstrzymanie. Ja tu cierpię, jakbyście nie zauważyli.

Kiedy obaj piorunują mnie wzrokiem, odpuszczam. I tak nie mam pojęcia, co się dzieje. Te prochy są obłędne.

– Tak, jestem w nim zakochana. Nie chciałam tego, ale jak mogło być inaczej? On jest naprawdę… jest po prostu taki… – wzdycham ponownie, tym razem smętnie. – Cudowny. Jest najcudowniejszym mężczyzną na świecie.

Brad szczerzy się, jakby właśnie wygrał zakład. Przypuszczam, że zajrzał po drodze do jakiegoś kasyna.

– Czyli nie był nagrodą pocieszenia – stwierdza.

– Nie. Och. Próbujesz usprawiedliwić to, że mnie porzuciłeś, żebym miała możliwość poznać kogoś lepszego? Właśnie to się tutaj dzieje?

Brad wygląda na poważnie urażonego.

– Lepszego? Wiesz, to świetny facet, ale *lepszy?*

– Nie zbaczajmy z tematu, Szatanie – rzuca Jenner ostro.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy mnie tak nazywasz!

– Dobra. Zmienię na Belzebuba. Zadowolony? – Jenner wzrusza ramionami.

Biedny Gio wygląda na kompletnie skołowanego tymi demonicznymi odniesieniami.

– Mimo tego, że wykorzystał w pokazie wszystkie moje projekty, wciąż go kocham.

To sprawia, że rozmowa nagle zamiera, ale ja jestem nakręcona. Prochów i emocji razem nie da się zatrzymać, więc paplam dalej. Czuję się otępiała, smutna i bardziej niż trochę żałosna.

Macham zdrową ręką.

– Wiem. Nie musicie mi mówić. To głupie. Ale taka jest prawda. Nawet jeśli mnie okłamuje, wykorzystuje i planował to wszystko od samego początku, nadal ma moje serce. Jest tak, jak powiedziałeś, Jenner. Jak to leciało? Och, tak: *bo wolałabym umrzeć, niż przeżyć choć jeden dzień bez niego, niech się dzieje, co chce*. Sukienki nie są ważne, moja duma też nie, ani nic innego. Tylko on. – Biorę głęboki, bolesny wdech. – Przez przypadek dostałam się na zaplecze, kiedy szukałam toalety. Zobaczyłam wszystkie moje sukienki na modelkach… byłam taka wściekła i zszokowana, ale przede wszystkim zraniona. Załamałam się i uciekłam. Dotarłam do szczytu schodów i nie mogłam zrobić ani kroku dalej. Chciałam go wysłuchać. Chciałam, żeby wytłumaczył, bo mimo że zobaczyłam to na własne oczy, nie wierzyłam, że mógłby mnie zdradzić. Serce nie pozwalało mi wierzyć. – Głos mi się łamie. – Potem potknęłam się o tren sukni i zleciałam na sam dół, taki jest koniec tej smutnej historii.

Matteo szarpnięciem odsuwa zasłonę.

– Wcale nie – warczy. Jego oczy mają barwę lśniącego, płonącego błękitu. – To dopiero początek.

Wpatruję się w niego, zdezorientowana bardziej niż Gio całym tym demonicznym cyrkiem. Nie jestem całkiem pewna, czy Matteo rzeczywiście tam stoi, taki piękny i dziki, tak niesamowicie intensywny. Jestem trochę naćpana. To może być kolejna halucynacja. Chociaż ma na sobie inne ubrania niż wczoraj… ale to niczego nie udowadnia – przed chwilą widziałam Brada w garniturze sportowym na jednorożcu.

Potem zaczyna mówić i nie liczy się nic poza tym, co mówi:

– Nie kłamałem. Jedynym, co planowałem, to upewnić się, że twój talent zyska uznanie, na jakie zasługuje. Bo ja też cię kocham.

Bardziej niż pragnę kolejnego oddechu. Bardziej niż cokolwiek. Bardziej niż samo życie, *bella*, kocham cię.

– Och – mówię słabym głosem, a moje serce robi fikołki w piersi. – Wychodzi na to, że wszyscy wygrali.

Patrzymy na siebie z Matteo. Brad wykonuje jakiś dziwny taniec radości, a Jenner podnosi się z krzesła i wypędza Brada i Gio z pokoju, delikatnie zamykając drzwi.

Matteo delikatnie ujmuje moją dłoń, pochyla się nad łóżkiem i całuje mnie w czoło.

– Myślałem, że wróciłaś do Brada – mruczy czule. – Myślałem, że jednak mnie nie chcesz.

– Brad jest gejem – mówię radośnie, mając nadzieję, że będę to wszystko pamiętać, kiedy ocknę się z działania leków.

Śmieje się.

– Tak, już wiem. Podobało ci się, jak byłem o niego zazdrosny, co?

– Tak! Rany, ale było fajnie. Pokaz był cudowny. Te róże, Boże. Musiały kosztować fortunę. Odniosłeś sukces?

Matteo marszczy czoło. Wydaje się lekko wystraszony moim radosnym paplaniem.

– Prasa ogłosiła go moim najlepszym pokazem. Wszyscy mówią tylko o mojej współpracy z zachwycającą, nową, amerykańską projektantką.

To o mnie. On mówi o mnie. Uśmiecham się szeroko, tak szczęśliwa, że mogłabym lewitować.

– Zgadłaś temat przewodni? – pyta.

– Yy… czerwony jak róża? – próbuję coś wymyślić.

Całuje mnie delikatnie w usta.

– Prawdziwa, romantyczna historia – szepcze, wpatrując się we mnie z uczuciem. – Jak nasza.

– No, nie wiem. Jak dotąd nasza historia była dość pokręcona, hrabio.

Całuje mnie ponownie sprawiając, że wargi mrowią mi cudownie.

– Dałbym ci klapsa za nazwanie mnie hrabią, ale zważywszy na twój obecny stan, przełożę to na później.

– Klapsy – wzdycham z rozmarzeniem.

– Jesteś na totalnym haju, co?

– Tak. Jak to się stało, że obiecałeś nie wykorzystywać moich projektów, a jednak to zrobiłeś?

– Powiedziałem, że nie użyję ich, nie uznając twoich zasług. To znaczna różnica. Twoje nazwisko było w programie, we wszystkich materiałach promocyjnych, wszędzie. Na koniec zamierzałem wygłosić przemówienie o tym, jak miłość zainspirowała nową kolekcję i współpracę, ale w pierwszym rzędzie było puste siedzenie, a ja byłem tak przygnębiony, że odpuściłem tę część. – Jego głos staje się szorstki. – Jesteś na mnie zła?

Zastanawiam się.

– Zwykle nie lubię niespodzianek, ale ta wydaje się całkiem fajna. Może powinieneś opowiedzieć mi wszystko, od samego początku.

Znowu mnie całuje, siada na brzegu łóżka i trzymając mnie za rękę, opowiada mi całą historię o tym, jak próbował sprawić, żebym się w nim zakochała, rzucając mi wyzwania. Wspomina coś o wykorzystywaniu mojej chęci współzawodnictwa. Nigdy nie chciał przejąć firmy mojego ojca ani wykorzystywać projektów – chciał tylko, żebym się w nim zakochała, a przy okazji sprawiłby, że stanę się sławna.

Nie wyłapuję szczegółów, ale takie chyba jest główne przesłanie.

– Nie mogę uwierzyć, że zadziałało – mówię, uśmiechając się do niego. – Jestem taka przewidywalna.

Odpowiada uśmiechem.

– Nie do końca. Nie raz myślałem, że mnie wykastrujesz.

– Jak dowiedziałeś się, że tu jestem? Jenner?

Potrząsa głową.

– Brad zadzwonił i powiedział mi, co się stało. Mówił, że jesteś we mnie zakochana, ale za bardzo boisz się to przyznać, ze względu na to, co zrobił. Potem oznajmił, że jest gejem i wiele rzeczy nagle nabrało sensu.

– Czyj to pomysł, żeby schować cię za zasłoną, żebyś usłyszał moje łzawe wyznanie miłości?

Matteo zakłada pasmo włosów za moje ucho i uśmiecha się do mnie, taki przystojny, że aż boli.

– Za to też możesz mu podziękować. Jest bystrzejszy, niż sądziłem.

A niech to. Brad zabawił się w swatkę. Widać, że naprawdę chciał mi wszystko wynagrodzić.

– Skarbie – mówię, obezwładniona nagłym przypływem radosnego ciepła. – Chyba usiadłeś na guziczku do leków.

Matteo zrywa się i patrzy w dół.

– O, cholera!

– Tak – stwierdzam, promieniejąc i patrzę, jak pokój wiruje wokół jego pięknej głowy. – Powinieneś mnie pocałować, zanim odlecę.

Tak też robi, ujmując moją twarz w dłonie i przyciskając usta do moich. Szepcze:

– *Ti amo, bella. Ti amerò per sempre*[51].

– I wzajemnie, przystojniaku. Kocham cię na zawsze – odpowiadam.

Hej, chyba uczę się włoskiego!

Odpływam z ciałem pokrytym gipsem, sercem pęczniejącym od szczęścia i szerokim uśmiechem na twarzy.

EPILOG

Rok później

Niezależnie, jak pulchny, zwyczajny lub biedny jest mężczyzna, właściwy smoking sprawi, że będzie wyglądał bardziej olśniewająco niż bajkowy książę.

Na przykład teraz uważam, że Książę z Bajki mógłby pocałować Jennera w jego zachwycający tyłek. Nie żeby w ogóle takowego przypominał, ale ogólna idea pasuje.

Wychodzi z przymierzalni w fantastycznym, jedwabnym smokingu w kolorze nocnego nieba, nad którym pracowałam dwa miesiące. Okręca się i czeka na moją reakcję. Jest nieskazitelny, obraz perfekcji, aż po lśniące, opatentowane, skórzane mokasyny DiSanto.

Ostatnio rozszerzyłam działalność o modę męską. Zysk z butów dla mężczyzn jest niewyobrażalny.

– Na włochate jajka Winstona Churchilla! – wykrzykuję, podnosząc się z sofy, na której siedziałam i czekałam, aż będzie gotowy.

Jenner potrząsa głową i śmieje się:

– Zawsze kradniesz mi najlepsze teksty.

– Ten trzymałam na specjalną okazję. Dzisiaj uznałam, że to właściwy moment.

Uśmiecha się i wyciąga ręce.

– Chodź, przytul mnie.

Przemierzam niewielki dystans, który nas dzieli, i wpadam mu w objęcia, układając głowę na jego ramieniu, uważając, żeby nie rozmazać makijażu na marynarce. Stoimy w ciszy przez dłuższą chwilę, aż ściska mnie lekko i odsuwa się.

– Czy to nie dziwne? – mamrocze, bawiąc się koronką na jednym z rękawków mojej sukienki.

– Co?

Patrzy mi w oczy i z zaskoczeniem widzę, że jego są zamglone.

– Życie. Nigdy nie sądziłem, że znajdę się w tym miejscu, przygotowując się, by pójść do ołtarza, do mężczyzny moich marzeń, żeby złożyć przysięgę, która w tym kraju nie jest uznawana za legalną. Gdybyś rok temu powiedziała mi, że to się wydarzy, wyśmiałbym cię.

– Zabiłbyś mnie pogardą i zmiótł z powierzchni ziemi lekceważeniem.

Rozpromienia się, jakbym powiedziała mu najlepszy komplement.

– Rzeczywiście. A jednak jesteśmy tu.

– Jesteśmy. – Uśmiecham się i klepię go w pierś. – Kto by powiedział, że masz prawdziwe serce pod tą ołowianą zbroją?

– Pod tą gładką skórą – poprawia gorzko. – I bez pyskowania, kochana. To mój ślub.

– Będę pyskować, ile mi się podoba, przyjacielu, zważywszy na to, że gdybym nie połamała sobie większości kości, nigdy nie poznałbyś mężczyzny swoich marzeń.

– Prawda. – Udaje jęk. – Pielęgniarz. Mogłem chociaż złapać lekarza.

– Serce nie sługa – drwię, uśmiechając się do niego.

– W rzeczy samej. – Przełyka i mruga, żeby odgonić łzy. – Och, Poppins. To najszczęśliwszy dzień mojego życia. – Przerywa na chwilę i wydusza: – Jeśli Toni przerwie ceremonię, żeby oznajmić, że jest hetero, oczekuję, że złamiesz mu nos!

Wybucham śmiechem, a Jenner dołącza. Oboje wiemy, że Toni nie zmieni frontu, ani w kwestii orientacji, ani wyboru partnera. Szaleje na jego punkcie, odkąd po raz pierwszy spojrzeli na siebie nad moim żałosnym, pokrytym gipsem ciałem w szpitalu, rok temu. Jenner wariuje za nim równie mocno.

To właśnie nazwałabym szczęściem w nieszczęściu.

– Gotowy? – pytam.

– Gotowy.

– Głowa do góry. Plecy proste. Cycki do przodu.

– Boże, masz pamięć jak słoń – mówi z uczuciem.

Ramię w ramię wychodzimy z pokoju i ruszamy w stronę schodów. Przez ostatnie kilka miesięcy wszystkie pokoje w *Il Sogno* na drugim piętrze, które przez lata pozostawały zamknięte, zostały teraz wyremontowane. Zewnętrzna część domu i ogrody również przeszły przemianę. Nawet fontanna Afrodyty i jej kochanka jest teraz odnowiona i działa.

Dzięki sukcesom DiSanto Couture są na to wszystko pieniądze.

Kiedy wraz z Jennerem mijamy salon w drodze na tył domu, dźwięki skrzypiec stają się coraz głośniejsze. *Kanon D-dur* Pachelbela. Kiedy parskam, przypominając sobie, że przy tym samym utworze szłam do ołtarza do Brada, Jenner mruczy:

– Ta koszmarna piosenka. Nigdy od niej nie uciekniemy, co?

– Jeśli będę kiedyś ponownie wychodzić za mąż, uduszę muzyka, który spróbuje to zagrać.

Jenner spogląda na mnie porozumiewawczym wzrokiem, ale nie komentuje. Wie, że nie spieszy mi się, by znowu pójść do ołtarza – oczywiście poza obecną okazją – chociaż między mną i Matteo jest tak idealnie, jak to możliwe. Nauczyłam się, że szczęśliwe zakończenie nie musi wiązać się ze ślubem. Wystarczy właściwa osoba u boku.

Wychodzimy przez otwarte, francuskie drzwi do ogrodu i wkraczamy na trawnik. Jest piękny dzień, słoneczny i bezchmurny, prawdziwa idylla. Goście podnoszą się z krzeseł, kiedy nadchodzimy. Matteo siedzi w pierwszym rzędzie, uśmiecha się, zniewalająco przystojny w niebieskim garniturze i krawacie. Markiza siedzi dwa miejsca dalej, trzymając w ramionach Fasolkę. Kiedy pies mnie zauważa, obnaża zęby.

Toni czeka na nas przy ołtarzu. Szczerzy się jak szaleniec, widząc Jennera.

Ceremonia jest prosta, wzruszająca i niesłychanie piękna. Siedzę obok Matteo i staram się nie płakać, ale ciągle podaje mi chusteczki, bo oczy mi przeciekają. Brad i Gio siedzą za nami i w którymś momencie Brad ściska moje ramię.

Ich ceremonia odbyła się dwa miesiące temu. Senator i pani Wingate nie przybyli, ale z tego, co zrozumiałam, szok spowodowany

homoseksualizmem syna został przyćmiony przez pokaźną fortunę rodziny Gio.

Nigdy nie zrozumiem priorytetów niektórych ludzi.

Po wszystkim obrzucamy Jennera i Toniego płatkami róż, kiedy idą między rzędami w stronę domu. Impreza ma się zaraz zacząć, a Matteo przyciąga mnie do swojego boku i całuje włosy. Szepcze mi do ucha:

– Jak szybko mogę cię rozebrać z tej sukienki?

– Na ślubach jesteś napalony? – Uśmiecham się.

– Przez ciebie jestem napalony. – Całuje mnie w szyję, a potem mówi coś po włosku. Wiem na pewno, że jest tam słowo „lizać" i „zawsze", bo w wolnym czasie trochę uczyłam się języka. Choć wolnego czasu nie mam zbyt dużo. Zeszłoroczny pokaz Matteo przyniósł ogromną popularność DiSanto Couture tak szybko, że wciąż kręci mi się w głowie.

Jedyną wadą jest to, że *papà* nie może wszystkiego zobaczyć. Byłby taki dumny.

– Musisz trzymać go w spodniach, aż skończą się toasty, przystojniaku. Muszę wygłosić przemówienie. Może uda nam się szybki numerek w toalecie między tym a pierwszym tańcem.

– Wiesz, że nie lubię szybkich numerków – mówi ochrypłym głosem, a jego oczy płoną.

Uśmiecham się i zarzucam mu ręce na szyję.

Tak. Wiem to.

– Hej, gołąbeczki, zamierzacie wejść do środka?

Obok markizy, na końcu rzędów krzeseł stoją Brad i Gio. Ci dwaj trzymają się za ręce i uśmiechają do nas. Boże, życie jest dziwne. Niespodziewane, cudowne i dziwne. Już nie mogę się doczekać, jakie jeszcze zawirowania dla nas szykuje.

– Tak, idziemy.

Podążamy za nimi, śmiejąc się, kiedy Cornelia wypada ze środka i zaczyna biegać wkoło, szczekając.

Reszta popołudnia to tańce, przemowy, jedzenie i szampan. W pewnym momencie, późno wieczorem, kiedy wszyscy są już podpici, a zespół gra wolną piosenkę, zauważam Dominica i markizę,

rozmawiających cicho w rogu. Szturcham Matteo łokciem i pokazuję podbródkiem w tym kierunku.

– Jesteś lepszą osobą niż ja – mówi Matteo, obserwując Dominica ze zmrużonymi powiekami. – Ja nigdy nie wybaczyłbym mu brania pieniędzy od mojego ojca.

Przysuwam się do niego, a on obejmuje mnie ramionami.

– Chociaż to moja specjalność, *papà* nie pochwalał chowania urazy. Wiem, że chciałby, żebym odpuściła. A Dominic przeprosił i zaproponował, że odda pieniądze, więc przynajmniej się starał.

Matteo mówi sztywno:

– Dopóki nie przeprosi mojej matki za to, jak ją traktował, wciąż będzie na mojej czarnej liście.

Uśmiecham się do mężczyzny, którego kocham.

– Dlaczego myślisz, że go zaprosiłam, hrabio?

Rzuca mi cierpkie spojrzenie.

– Co masz do mojego tytułu?

Uśmiecham się promiennie. Odwracam się i oplatam go w pasie ramionami.

– Zupełnie nic. Po prostu uwielbiam, jak się irytujesz, kiedy nazywam cię hrabią.

– Czyli nie chodzi o to, że wolałabyś być hrabiną, a nie markizą Moretti. – Obejmuje mnie i patrzy z miłością w tych pięknych, błękitnych oczach.

Śmieję się i zerkam na jego matkę.

– Myślę, że ktoś już zaklepał sobie ten tytuł.

– A ja myślę, że to czas na kolejną markizę w rodzinie – mówi cicho.

Zaskoczona, patrzę na niego. Jego usta wyginają się w górę, kiedy widzi mój szok.

Czy on mówi to, co myślę, że mówi?

– Uch… ja… uch…

– Ty „uch” co? – drwi, muskając wargami mój policzek. – Ty „uch” chcesz zobaczyć pierścionek, zanim podejmiesz decyzję?

– Pierścionek? – pytam bez tchu. Serce łomocze mi tak mocno, że ledwo słyszę własny głos. Kolana mam z gumy.

Matteo stawia na nonszalancję.

– Chyba że nie chcesz. Wiem, że nie jesteś fanką małżeństwa. – Przerywa. – Ale jest całkiem ładny. Duży.

Zaciska wargi i obserwuje wyraz mojej twarzy. Próbuje powstrzymać śmiech. Gnojek.

Och, niech będzie.

Zbieram się w sobie, z namysłem ściągam wargi i bawię się klapą jego marynarki.

– Jak duży?

– Ogromny. – Udaje, że się zastanawia. – Teraz, kiedy o tym myślę, jest raczej krzykliwy. I tak nie chciałabyś go nosić. Tak wielkie diamenty przyciągają tylko niewłaściwy rodzaj uwagi. Ludzie pomyślą, że się popisujesz. – Wzdycha i odwraca wzrok. – Pewnie stałabyś się celem dla złodziei. Nie mogłabyś nosić go w miejscach publicznych, to pewne. Tylko po domu. Nie, może nawet nie tam. Służba zaczęłaby plotkować, ktoś zaplanowałby kradzież. Przypuszczam, że musiałabyś trzymać go w sejfie, gdzie błysk wszystkich tych nieskazitelnych karatów może błyszczeć, niezagrożony kradzieżą. Hej, może zatańczymy?

– Gdzie ten okropny, krzykliwy pierścionek? – krzyczę, łamiąc się. Chwytam go za poły marynarki i potrząsam. – Pokazuj albo cię zabiję!

Zaczyna się głośno śmiać, łapie mnie i przyciska do piersi tak mocno, że tracę oddech.

– Mam go w kieszeni, *bella*.

Teraz ja też się śmieję.

– No proszę, a myślałam, że to dlatego, że cieszysz się na mój widok. – Wciskam dłoń do lewej kieszeni jego spodni i wyjmuję małe, czarne, aksamitne pudełko. Wpatruję się w nie, ręce mi się trzęsą, płuca zaciskają, a cała krew odpływa z głowy.

Matteo zabiera mi je delikatnie i otwiera.

Musi mnie złapać, zanim upadnę.

– Jezu – sapię i przywieram do niego, a on zanosi się śmiechem. – Jest naprawdę krzykliwy. Powiedz mi, że to cyrkonia, nie chcę myśleć, że zastawiłeś zamek, żeby kupić tę okropną rzecz.

– Kocham cię – mówi, wsuwając mi pierścionek na palec. – Wyjdziesz za mnie?

Bardzo ciężko mi oddychać.

– Jak mogę odmówić, skoro przyniosłeś mi największy diament na świecie.

– Taki był plan – mówi, przytakując. – Ale oficjalnie nie usłyszałem tak.

Patrzę mu prosto w oczy, mrugam kilka razy, żeby pozbyć się łez. Wszystko, czego kiedykolwiek potrzebowałam, teraz patrzy na mnie.

– Tak – szepczę łamiącym się głosem. – Oficjalnie tak. Kocham cię całym sercem.

– To przez włosy, prawda? – pyta.

– Zamknij się i pocałuj mnie – żądam.

– Boże, ale się rządzisz.

– Nie, po prostu jestem dobra w trzymaniu się rękami i nogami.

Uśmiechamy się do siebie. Potem całuje mnie w akompaniamencie oklasków i korków szampana, a Fasolka wbija zęby w brzeg mojej sukienki.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, ogromne podziękowania należą się mojej wydawczyni, Melody Guy, która jest niezwykle dobra w swojej pracy i ma cierpliwość godną świętej. Zawsze sprawiasz, że moje książki stają się o wiele lepsze. Doceniam twój talent i ciężką pracę.

Dziękuję mojemu zespołowi w Montlake Romance, zwłaszcza redaktor naczelnej Marii Gomez oraz zespołowi redaktorów i korektorów, którzy wkładają wiele pracy, żeby tekst był idealny.

Dziękuję wszystkim blogerom, którzy wspierają moją pracę i moim czytelnikom, bez których moja kariera nie istniałaby.

Podziękowania dla Jaya, za wszystko, zawsze.

Stworzyłam oryginalne szkice projektów Kimber do tej książki, które możecie zobaczyć na mojej stronie Pinterest: *www.pinterest.com/jtgeissinger*.

O AUTORCE

J. T. Geissinger pisze unikalne, pełne namiętności historie miłosne dla czytelników, którzy potrzebują czegoś więcej niż słodki romans. Od zabawnych, zadziornych komedii romantycznych po intensywne, modne kryminały. Jej książki sprzedają się w ponadmilionowych nakładach i są tłumaczone na kilka języków. Otrzymała nagrody *Prism Award for Best First Book* oraz *Golden Quill Award for Best Paranormal/Urban Fantasy*. Jest dwukrotną finalistką nagrody *RITA Award* w kategorii Najlepszy Autor Romansów w Ameryce, a jej prace trafiły do finału plebiscytów *Bestsellers' Best, National Readers' Choice oraz Daphne du Maurier Award.*

Dołącz do jej grupy czytelników na Facebooku – *Geissinger's Gang* – by wziąć udział w cotygodniowych chatach i rozdaniach, zdobywać więcej informacji o powstających pozycjach, mieć dostęp do ekskluzywnych fragmentów i konkursów oraz otrzymywać egzemplarze autorskie najnowszych dzieł. Możesz też zajrzeć na jej stronę, www.jtgeissinger.com, albo obserwować ją na Instagramie *@JTGeissingerauthor* lub na Twitterze *@JTGeissinger*.

[1] *Merci* – (z fr.) dziękuję (przyp. red.).
[2] *TMZ* – amerykańska gazeta internetowa typu tabloid (przyp. red.).
[3] *Che bella* – (z wł.) jaka piękna (przyp. red.).
[4] *Bella* – (z wł.) piękna (przyp. red.).
[5] *Che palle* – (z wł.) dosł. jakie kule, tu w znaczeniu, że ktoś ma jaja (przyp. red.).
[6] *Mafiosi* – (z wł.) członkowie mafii (przyp. red.).
[7] *Pronto?* – (z wł.) dosł. gotowy, zwrot używany podczas odbierania telefonu, w znaczeniu halo? słucham? (przyp. red.).
[8] *Ciao* – (z wł.) cześć (przyp. red.).
[9] *Signor* – (z wł.) pan (przyp. red.).
[10] *Tesoro!* – (z wł.) skarbie! (przyp. red.).
[11] *Papà* – (z wł.) tato (przyp. red.).
[12] *Barakuda* – gatunek dużej, drapieżnej ryby morskiej, uważanej za potencjalnie niebezpieczną dla człowieka (przyp. red.).
[13] *Fantastico!* – (z wł.) fantastyczne! (przyp. red.).
[14] *Il Sogno* – (z wł.) sen (przyp. red.).
[15] *Buonasera* – (z wł.) dobry wieczór (przyp. red.).
[16] *Sì* – (z wł.) tak (przyp. red.).
[17] *Mio Dio* – (z wł.) mój Boże (przyp. red.).
[18] *Signorina* – (z wł.) panienka, panna (przyp. red.).
[19] *Dupioni* – rodzaj splotu tkaniny jedwabnej (przyp. red.).
[20] *Duomo* – (Santa Maria del Fiore, Il Duomo) katedra we Florencji (przyp. red.).
[21] *Per favore* – (z wł.) proszę (przyp. red.).
[22] *Bene* – (z wł.) dobrze (przyp. red.).
[23] *Buongiorno* – (z wł.) dzień dobry (przyp. red.).
[24] *Bene. Grazie* – (z wł.) dobrze. Dziękuję (przyp. red.).
[25] *Ciao, mamma* – (z wł.) cześć, mamo (przyp. red.).
[26] *Certo* – (z wł.) jasne, pewnie (przyp. red.).
[27] *Riposo* – (z wł.) odpoczynek, wypoczynek (przyp. red.).
[28] *J'taime. J'adore. Tu es tout pour moi* – (z fr.) kocham cię. Kocham cię. Jesteś dla mnie wszystkim (przyp. red.).
[29] *Haute couture* – (z fr.) dział luksusowego krawiectwa na zamówienie dla konkretnego klienta (przyp. red.).
[30] *Palais Galliera* – muzeum mody i historii mody w Paryżu (przyp. red.).
[31] *Castello di Moretti* – (z wł.) Zamek Moretti (przyp. red.).
[32] *Mio signore* – (z wł.) mój panie (przyp. red.).
[33] *Sei cosí dolce* – (z wł.) jesteś taka słodka (przyp. red.).
[34] *Voglio mettere la mia faccia tra le tue gambe* – (z wł.) chcę włożyć twarz między twoje nogi (przyp. red.).

[35] *No comprende italiano* – (z hiszp.) (on, ona ono) nie rozumie po włosku (przyp. red.).
[36] *Vino* – (z wł.) wino (przyp. red.).
[37] *Stanza di sicurezza* – (z wł.) pokój ochrony (przyp. red.).
[38] *Ecco a lei* – (z wł.) dosł. „tutaj jest dla niej", w znaczeniu „proszę bardzo", kiedy coś podajemy, przynosimy, usługujemy czymś (przyp. red.).
[39] Postać z filmu *Lot nad kukułczym gniazdem*, przedstawiona jako zimna, bezduszna tyranka (przyp. tłum.).
[40] *Stromboli*, *lasagne*, *gnocchi* – (z wł.) dania kuchni włoskiej (przyp. red.).
[41] *Pezzo di merda* – (z wł.) kawałek gówna (przyp. red.).
[42] *Ossobuco alla Milanese* – (z wł.) dosł. kość z dziurą. Potrawa przyrządzana z ciętej na plastry giczy cielęcej, duszonej i podawanej z sosem (przyp. red.).
[43] *Polenta* – ludowa potrawa włoska z mąki kukurydzianej lub kasztanów (przyp. tłum).
[44] *Arancini di riso* – potrawa włoska, składająca się z ryżu uformowanego w kulki, faszerowane mięsem, groszkiem i mozzarellą, usmażone w panierce z bułki tartej (przyp. red.).
[45] *Ragù* – włoski sos na bazie mięsa (przyp. tłum.).
[46] *Cosi perfetta* – (z wł.) tak perfekcyjna, idealna (przyp. red.).
[47] *Il mio dolce amore perfetto* – (z wł.) moja doskonała, słodka miłość (przyp. red.).
[48] *Xanax* – najpopularniejszy lek uspokajający w Stanach Zjednoczonych (przyp. red.).
[49] *Buonasera, bellissima* – (z wł.) dobry wieczór, prześliczna (przepiękna) (przyp. red.).
[50] *Mi scusi, signorina* – (z wł.) przepraszam, panienko (przyp. red.).
[51] *Ti amo, bella. Ti amerò per sempre* – (z wł.) kocham cię, piękna. Zawsze będę cię kochał (przyp. red.).